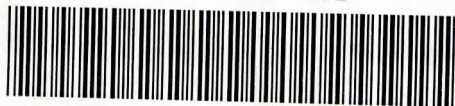


Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 20892



BC Cimelia / 20892

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓŚUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

TOM PIERWSZY.

CZYTELNIA

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZÉZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM PIERWSZY.

Bronisław Paleczny

α. 3-40

LWÓW.

NAKŁADEM AUTORA.

Z Drukarni Zakładu Narod. im. Ossolińskich.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierzawcy Alex. Vogla.

1866.

F. H. Wetstein
Księgarnia antykwariska
Ul. Szpitalna.

SPIS RZECZY

W TOMIE PIERWSZYM ZAWARTYCH.

strona

Przedmowa IX

ROZDZIAŁ I.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Bajronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Książę Lubeczki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju 1

ROZDZIAŁ II.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832go. — Przybycie do Wrocławia, a stąd do Dreżna. Odyniec — okolice dreżeńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — cmentarz Père-la-Chaise — teatru — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigracyą. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacye i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Praniewicz — Skibiński. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek pomiędzy nim a Słowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie. . 27

ROZDZIAŁ III.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jej stosunek do literatur zachodnich — jej główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacji. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w r. 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe, — rozbiór Maryi Stuart. 62

ROZDZIAŁ IV.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętej w poprzedzającym rozdziale. Nieco o powieści poetyckiej jako nowej formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Bajronizm i jego ślady w poezyi polskiej 102

ROZDZIAŁ V.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu Lambro. Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. Dziady. Nagły wyjazd z Paryża. P. Lenormand i podróż do Genewy 131

ROZDZIAŁ VI.

Rok 1833. — Pensjonat na przedmieściu genewskim i jego gospodyni. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stosunki i znajomości. Wrażenie francuskiej recenzji jego Poezyi. Teatr genewski. — Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teraz z Słowackim — rodzina Uwarow — Potopow — hrabina Seidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem 154

ROZDZIAŁ VII.

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tém polega, ażeby obrabiać materjebrane jedynie ze sfery własnej? — Rozbiór Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza i o Garczyńskiego Wacławie . . . 177

ROZDZIAŁ VIII.

Rok 1834 i 1835. — Wiara w przeczucia. Śmierć babki. — Eglantyna. Przykrości wygnania dają się czuć pod każdym względem. Smutne usposobienie. Skromne życzenia, bez nadziei ich osiągnięcia. — Wieczorki genewskie. Prace i studia: Filozofia — Biblia — Georges Sand. Wacław — Mazepa — Balladyna — Horsztyński. — Lepsze chwile — Nowa znajomość — Marya W. — Podróż w miłym towarzystwie i dalsze z tego następstwa. — Rozczarowanie — trzy miesiące samotnego pobytu w górach. Przesilenie i nowe ideały. „W Szwajcaryi“ — Anelli 204

ROZDZIAŁ IX.

Rok 1836 do połowy 1837. — Przygotowania do podróży włoskiej — trudności pasportowe. Wyjazd do Rzymu — wrażenia — nowe znajomości, Kasiński. Neapol — Sorrento — poemat „Wacław“. Podróż na Wschód. Grecja — Egipt — Kairo — piramidy — spotkanie z przyjaciółmi koło Dendery. Teby — jazda na wielbłądach ku Palestynie. Kwarantanna w El-Arish. Jerozolima — noc u grobu Chrystusa. Ruiny Balbeku — Klasztor ormiański na Libanie — spowiedź — „Ojciec Zadumionych“. Bajrut — powrót okrętem do Liwurny. . . 243

PRZEDMOWA.

Oddając do rąk publiczności tę książkę o Juliuszu Słowackim, uważam za potrzebne wytłómaczyć się, skąd mi przyszło na myśl pisać tak obszernie o człowieku, który w społeczeństwie zajmował tylko skromne stanowisko pisarza, a którego dziełom przy całej ich genialności sam nieraz niedostatki wytykam. Że mnie z tej strony będzie zaczepiała krytyka, o tém wcale nie wątpię. Niechże przynajmniej — jeżeli nie rozbroi, to bodaj złagodzi surowość jej zarzutów szczere i otwarte opowiedzenie, jak ta praca moja powstała i w jakim celu była podjęta. Dała mi do niej główny powód oddana do rąk moich w odpisie korespondencya Słowackiego, prowadzona z różnemi osobami, z Zygmuntem Krasińskim, z Teofilem Januszewskim, wujem poety, z Kornelimi Stattlerem, znakomitym niegdyś profesorem malarstwa w Krakowie, a przede wszystkim z matką. Do matki swojej pisywał poeta nasz w stałych i częstych terminach i zwykł jej był przez cały czas życia swego na emigracyi szczegółowo zdawać sprawę ze wszystkiego, z czego się tylko to życie jego splatało. Rozczytując

ten nader znaczny zbiór listów (jest ich tyle, że zapełniłyby dwa spore tomy), nie mogłem się oprzeć w pierwszej chwili urokowi, jaki wywiera to rzeczywiście bezprzykładne bogactwo wyobraźni, strumieniami rozlanéj w owych potocznych i poufnych rozmowach nieznanego zupełnie dotychczas z téj strony wieszczą; i porwany myślą, że to prawdziwy pamiętnik wewnętrznego życia poety, że to istna fotografia najskrytszych poruszeń serca — zamierzyłem nakłonić koniecznie krewnych jego do bezzwłocznego ogłoszenia téj całej korespondencyi. Dalsze czytanie jednakże dało mi uczuć niebawem niestósowność tego żądania. Nie tylko bowiem czas obecny zdaje się być cokolwiek jeszcze za rychłym, żeby wszystko, co się w niej mieści, bezwarunkowo można było drukować; ale i tego nie mogę zataić, że kiedy się odczytuje zbiór listów cały w jednym ciągu jeden po drugim, doznawać się zaczyna z czasem przy tak wielkiej ich obfitości — znużenia. Ostatecznie bowiem każdy list jest tylko listem, choćby go pisał i genialny poeta! Doniesienia o bieżących potocznościach życia, o zdrowiu, kłopotach, powodzeniu itp. zajmują tu zawsze miejsce sobie właściwe; a nawet i najpoetyczniejsze ustępy nie mogą się nie powtarzać w podobnym ciągłym sposobie. W skutek czego czytający te wynurzenia poufne traci coraz bardziej zmysł dla rzeczy prawdziwie niepospolitych, ginących w tym nawale powszednich konwencyjności.

Nie uważając zatém jak na teraz za pożądane, żeby korespondencya ta była drukowana w całości, a nie mogąc z drugiej strony i tego z przekonaniem

swojém pogodzić, żeby pojedyncze z listów urywki, wyjęte na chybi trafi ze związku, było właściwem dawać do rąk publiczności w sposób, jak to uczyniono na przykład z listami Krasińskiego lat temu kilka: wziąłem sobie za zadanie zużytkować ten materiał inaczej. Postanowiłem z osnowy listów rozwinąć wątek autentyczny życia Słowackiego tak mało komu znanego dotąd dokładniej; a zapomocą lepiej rozwiniętego poglądu na tegoż życia koleje, rzucić też nieco światła i na jego dzieła. I oto w taki to sposób powstała książka niniejsza, poświęcona zarazem i biografii poety i krytycznemu rozbirowi pism jego, w odniesieniu do całego ogółu ówczesnych usiłowań w literaturze naszej, stanowiących jakby tło dla wyłącznego uwag moich przedmiotu. Przyznaję otwarcie, że kiedyś się zabierał do téj roboty, nie wystawiałem sobie, że się ona do téj objętości rozciągnie. Nie ręcę nawet za to, czybym się był zabrał do niej, gdybym to naprzód był wiedział. Ale zabrnawszy raz w rzecz i spostrzegłszy się, w co ja wszedłem, trochę zapóźno: nie chciałem się już cofać po czasie. Prowadziłem tedy coraz dalej naprzód pracę zaczęta, pocieszając się nadzieją, że cokolwiek się stąd wywiąże, nie będzie bez pewnego interesu a może i pożytku. Mianowicie zaś towarzyszyło mi w tém zajęciu to przekonanie, że warto jest przypatrzyć się choćby też raz jeden z bliska ... życiu Poety! Warto poznać w tym autentycznym, z własnych świadectw utworzonym obrazie, z czego to u natur wyjątkowych, noszących to chlubne miano, zazwyczaj spleta się ów wątek uczuć, szarów, rzadkich pociech, częstszych

boleści, niebiańskich natchnień i cierpień nieraz najdotkliwszych, który tłum ludzi, stojący u ich piedestała, nazywa później sławnym życiem genialnego człowieka... Tyle o tém już pisano w romansach! Każdy wystawia sobie stan duszy tych ludzi nadzwyczajnych — po swojemu. Prawdy bezwzględnej nie może być nigdy w takich wymarzonych i tylko z własnej głowy branych opisach. Otóż zdarzyła się sposobność, sposobność w literaturze naszej do téj przynajmniej pory jedyna, że przy pomocy takiego zapasu własnoręcznych zwierzeń, wyrzeczonych w chwilach zawsze stanowczych, pod wpływem uczuć zbyt świeżych, żeby przypuszczać, że ten, co to pisał, fałdy swój togi drapował sztucznie i stawał w postaci człowieka który pozuje... możemy krok w krok, jak cień za ciałem towarzyszyć jednemu z podobnych ludzi przez całe pasmo dni jego i mieć jak na dłoni przed sobą całą genezę i dziejów jego jako człowieka i natchnień jego jako artysty. Dlaczegoż nie mielibyśmy korzystać z téj sposobności? Nie miałaby wizerunek taki mieć przynajmniej tyle wartości, co obrazy charakterów i opisy przygód wymarzonych w fantazyi?

Ale odeprze niejeden na to: przecież Słowacki nie był największym naszym poetą! jeżeli więc to chodziło: to należało sobie wybrać kogoś takiego, któryby sprawiedliwiej mógł tu służyć za pomnikowy posąg wieszczego usposobienia. — Prawda! Autor Lilli Wenedy niewątpliwie miał coś w duchu swoim chorobliwego. Między dziełami, których ostatecznie dokonał, a tą potęgą jego poetyckiej zdolności, która w pojedynczych tylko miejscach bije u niego całym blaskiem

światłości, gdzieindziej zaś już tylko „dymi przez słowa“, nie ma należytego stósunku. Stémwszystkiem i ta anormalność, która nas w osobie jego uderza, nie byłto symptom oderwany i czysto osobisty. To było znamię typowe czasu, to było cierpienie właściwe mniej więcej całej téj generacyi, do której Juliusz należał. Już przeto dla téj jednéj przyczyny uważam życie jego za przedmiot pod każdym względem godny głębszego rozpatrzenia.

A zresztą — należy zawsze korzystać ze sposobności, jaka się właśnie nadarza. Mickiewicz nie zostawił po sobie takiego materiału do odtworzenia wizerunku całego swego żywota; dlatego też niejedno z źródeł jego natchnienia na zawsze dla potomnych pozostanie zagadką.

— Obok Słowackiego, stawionego na pierwszym planie, umieściłem w obrazie moim cały chór osób różnych współczesnych, z którymi łączyły go bliższe lub dalsze stósunki i o których często mówi w swojej korespondencyi. Zdawało mi się, że nie mogą być obojętne szczegóły dotyczące ich doli, wpływów na nich działających i okoliczności, wśród których żyli. Ściąga się to głównie do tych pisarzy naszych, co życie spędzili na wygnaniu. Jeżeli wreszcie szczegóły podobne wydają się może dzisiaj jeszcze pomniejszej wagi, nie będąc tak dalece nieznanymi rzeczami dla pokolenia dzisiejszego: to rozumiem, że nie będą bez interesu dla późniejszych, do których tradycje żyjące pomiędzy nami, dójdą tylko w drobnych okrucinach. Cóżbyśmy dziś za to dali, gdybyśmy tyle wię-

dzieć mogli na przykład o znakomitościach naszych z zygmuntofskiej epoki! Byłaby to nielogiczność, rozbijać się za najdrobniejszymi wiadomościami, jeżeli takowe dotyczą od dawna zgasłych, a za nic ważyć sobie wspomnienia dotyczące osób, których mogiły jeszcze w ziemi nie zakłęły i za ledwie darnią porośły. Przyjdzie czas, że i te grobowce znikną z przed oczu żyjących, a wtedy będzie tém droższą wiadomość o wszystkich, którzy w głębi ich spoczęli...

— Ze stroną opisową i historyczną dzieła mojego połączyłem i część krytyczną. I wytłómaczyć się muszę, dlaczego rozwodzę się tak obszernie nawet nie raz nad takimi utworami Słowackiego, którym sam wielkiego znaczenia artystycznego odmawiam. Dzieła tego poety, niesłusznie przez ogół mało poszukiwane, zaczęły od lat kilku tu i owdzie prawie znowu nad zasługę i miarę entuzjasmować pewną liczbę czytelników, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, będzie się to z czasem jeszcze powiększać. Przy takiej sprzeczności sądów i punktów widzenia — bardzo wiele zależy na tém, ażeby sobie zdać raz sprawę na usilniejszych studiach opartą, tak ze zalet jako i przywar właściwych Słowackiemu. Krótkie wyroki na nic się tu nie przydadzą. Doraźnie wypowiedane mniemania nikogo jeszcze o niczem nie przekonały. Zresztą wszelkie krytyczne rozbiory zdaniem mojem wtedy tylko mogą być prawdziwie pożyteczne, kiedy nie ograniczając się do tego, żeby czy to naganą czy pochwałą wpłynąć na dalsze roboty krytykowanego pisarza, po-

ruszają pytania sięgające donośnością swoją nieco poza zakres poruszonego właśnie przedmiotu. Niech mi się tu wolno będzie odwołać do wielkiej w takich rzeczach powagi. Krytyki Lessynga w jego „Hamburskiej Dramaturgii“ objęte, są ciągle jeszcze pouczające, chociaż mało która ze sztuk przez niego tam rozbieranych bywa jeszcze grywaną, a choćby tylko czytowaną przez kogo... Daleki jestem od chęci przypisywania moim krytycznym wywodom znaczenia, któreby je zbliżać mogło do mistrzowskich rozbiórów Lessynga; ale godzi się każdemu iść w ślady za człowiekiem, którego sposób się uznaje za godny naśladowania.

— Na zakończenie powiedzmy słówko, czy się godziło robić użytek, przeznaczony dla wiadomości całej publiki, z listów prywatnych. Poruszył to pytanie co do Mickiewicza niedawnymi czasy znakomity nasz krytyk Julian Klaczko i bardzo się stanowczo wyraził za tém, że „ogłaszanie poufnych pism i listów znakomitych w narodzie ludzi nie jest rzeczą ani tak niechybnie godziwą, ani tak nad wszelką wątpliwość pożyteczną, jak się to niejednemu wydaje.“ Rozróżniając pomiędzy ludźmi czynu, do których policzył polityków, wojowników i dyplomatów, a mistrzami słowa i sztuki: uważa szanowny autor, że tylko pierwszych uważany być może i prywatny nawet żywot za godziwy przedmiot badań powszechnych; podczas gdy osobistość drugich radby on usunąć ile tylko być może z przed oczu ciekawych natrętów, a to dlatego że biografia artystów i poetów bywa prawie zawsze mikrografią ducha.

Przyznaje chętnie, że mogą niewątpliwie zdarzać się wielkie przesady w nieogłędnym traktowaniu prywatnych stósunków czyichkolwiek; czy tam kto walczył na świecie bronią, czy wreszcie piórem. Stém-wszystkiém zdaje mi się, że jednak podnosić do reguły powszechnej zaleconej tu dyskrecyi nie można. Koniec końcem, trudnoby było zaprzeczyć temu, że pospolicie dzieła poetów wtedy dopiero zaczynają być należycie zrozumiałe i pożyteczne dla wszystkich, kiedy się wie dokładnie, wśród jakich okoliczności one powstały, to jest kiedy się dobrze zna przebieg życia ich autora. A już to samo upoważnia do tego, aby się starać zbogacić biografią jego szczegółami jaknajdokładniejszymi skądkolwiek bądź. Zresztą i najszczytniejsza poezya, ażeby nie była próżnym blichtremskim tumanem dla niedoświadczonych, powinna być popartą życiem poety. Mam to przekonanie, że narodowi służy wszelkie prawo do dochodzenia tego, co mu poeta daje: czy to szych, czy złoto szczere? czy przede-wszystkiém wierzył on też w to wszystko, co słowami swemi wygłaszał, i czy sam żył podług tego? Gdzie bowiem rozdział nieprzeskoczny między pismem a czynami, tam zwykle i czyny lichy i pisma wielce podejrzaney wartości!... A nakoniec nie zapominajmy i o owém odwiecznym zdaniu, że *natura horret vacuum*. Jak w świecie fizycznym, tak też i w biografjach znakomitych ludzi aż nadto często się zdarza, że się nie-zapełnione niczém próżnie lubią zapełniać czémkolwiek bądź: w rzeczach fizycznych zapełniają się wiatrem, a w ludzkich — ploteczkami; a te nie zawsze wypadają na korzyść osób, do których się ściągają.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Byronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Książę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju.

„Wśród litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali
Siedziało dwoje dzieci — niezmięszani w tłumie.
Oba we współzawodnej wykarmieni dumie,
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem —
Włos na czole dzielony na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefony, brał blaski dziewiczych warkoczy.—
Ludzie nieraz, „on umrze“ mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzyła długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem. Lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia, i myśląc o synie
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...”

„Młodszy wiekiem“, o którym mowa w tym wierszu, to właśnie nasz poeta. Powyższemi słowy sam on siebie opisał w wierszu zatytułowanym „Godzina Myśli“, zamieszczonym na końcu III tomu Poezyi paryskiego wydania. Godzina Myśli poświęcona jest wspomnieniom lat szkolnych, wspomnieniom pierwszych marzeń, pierwszych rozczerowań, pierwszej przyjaźni i pierwszej miłości. Wiersz ten stanowi między materiałami, które mam przed sobą, najważniejsze źródło do skreślenia wewnętrznego wizerunku Juliuszu w tej życia jego epoce. Opowiadania osób, które pamiętają te czasy i patrzyły na młodość jego, jakkolwiek ciekawe i zajmujące, nie potrafiłyby zastąpić tych zwierzeń z pierwszej ręki podanych; dostarczają bowiem tylko szczegółów do zestawienia samej zewnętrznej strony tego obrazu.

Odbывał więc Juliusz szkoły „wśród litewskiego grodu“, w Wilnie. Tutaj także spędził najrychlejszy poranek życia, nim jeszcze został do szkół oddany. Jednakże właściwym jego krajem rodzinnym, krajem, który tyle razy w pismach swoich z wyłączeniem przywiązaniem wspomina jako swoją krainę,

„Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,

Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem“ —

nie byłato Litwa, lecz Wołyń. Urodził się w Krzemieńcu, dnia 23 sierpnia 1809 roku — z ojca Euzebiusza Słowackiego i matki Salomei z domu Januszewskiej.

Ojciec jego zajmował wtedy jeszcze posadę profesora języka polskiego w liceum krzemienieckim, którą z rąk założyciela tegoż zakładu, Tadeusza Czackiego, otrzymał był już w chwili tejże szkoły otwarcia. Nie długo potem zamienił ją na profesurę uniwersytecką. Właśnie bowiem w tymże roku 1809 ogłoszono w akademii wileńskiej konkurs na katedrę historii literatury, czyli, jak to naówczas tam nazywano, na katedrę wymowy i poezyi. W dowód stosownego uzdolnienia do objęcia tej profesury zażądano rozprawy „O sztuce dobrego w języku polskim pisania“. W skutek tego — po upływie dziesięciomiesięcznego przeciągu czasu, tyle go bowiem dozwolono do wykończenia żądanej pracy — zostało do Wilna nadesłanych kilka rozpraw tej treści. Była pomiędzy nimi i praca profesora z Krzemieńca. Po

rozpoznaniu wad i zalet wszystkich pism nadesłanych, komisya rozpoznawcza, z profesorów akademii złożona, do której przedewszystkiem należeli sławny Godfried Grodek, profesor filologii, i rektor uniwersytetu Jan Śniadecki, przyznała stanowcze pierwszeństwo Euzebiuszowi Słowackiemu. W skutek tego nastąpiło w roku 1811 ostateczne powołanie jego na tę katedrę i przeniesienie się rodziców poety naszego do Wilna.

Zawód Słowackiego jako profesora wszechnicy był tém użyteczniejszy, że przypadł na czasy, gdzie konieczna potrzeba tej profesury coraz dotkliwiej czuć się dawała. Przez cały ośmioletni ciąg trwania odrodzonego pod kuratorją X. Adama Czartoryskiego uniwersytetu wileńskiego aż do owej chwili, przez cały czas od r. 1803 do 1811, katedra poezyi i wymowy ciągle tam wakowała. Nauk tych nie wykladał tam aż potąd żaden nawet zastępca profesora. Wzywano wprawdzie ze strony uniwersytetu od czasu do czasu różne co sławniejsze w epoce owej znakomitości literackie i naukowe do objęcia rzeczonej posady: powoływano na nią najprzód Kopczyńskiego, później Karpińskiego, a dalej Niemcewicza, nakoniec Fr. Xaw. Dmóchowskiego i Woronicza. Lecz wszystkie te kandydatyury rozbiły się o jakieś już to polityczne, już osobiste i uboczne trudności, tak iż dopiero więc w r. 1811 zasiadł na tej katedrze po raz pierwszy Słowacki. Był to mąż wielce czytany i światły. Wprawdzie więcej on wykształcenie swoje zawdzięczał własnym swoim usiłowaniom, aniżeli mistrzom jakim i zakładom naukowym głośniejszej sławy. Za granicą bowiem za młodu na żadnych akademiach nie bywał. Krajowe zaś szkoły, w których się kształcił, w tamtych jeszcze czasach zbyt wysoko nie stały. Pomimo tego wszelako, przy gorliwem pełnieniu obowiązków, przy rzetelnem zamiłowaniu tak powierzzonego sobie przedmiotu, jako i młodzieży, działał Słowacki w zakresie swoim z wielkim dla niej pożytkiem. Co większa, starał się i posunąć dalej samą naukę, którą miał sobie poruczoną, jak o tém najchętniej świadczą pozostałe jego pisma*). Jak wiadomo, próbował

*) Pisma Euzebiusza Słowackiego wyszły w 4 tomach, w kilkanaście lat po zgonie autora, w Wilnie r. 1824—26.

on sił swoich nawet i na polu poezji. Mianowicie wiele tłómaczył, np. Henryadę Woltera i różne ustępy z dzieł kilku poetów łacińskich. Ułożył wreszcie dwie tragedye oryginalne niezgorzszym wierszem, t. j. Mendoga i Wandę. Sztuki te pisane są wprawdzie zupełnie jeszcze na sposób dawny francuski, czyli jak to zwykle nazywamy, klasyczny; stémwszystkiém pamiętać tu należy, że takie to już wtedy były u nas w tej mierze powszechne wyobrażenia. Nikt w tym rodzaju literatury nie pisał inaczej za Księstwa Warszawskiego. W każdym razie tedy działanie takiego profesora wśród grona dzielnej litewskiej młodzieży obiecywało Wilnu jeżeli nie takie plony, jakie się — dzięki innym okolicznościom — okazały w późniejszych latach, kiedy to liczył się do uczniów uniwersytetu Zan i Mickiewicz: — to zawsze jednak zapowiadało ono rzetelne i ważne, chociaż skromniejsze korzyści. Do ziszczenia ich zupełnego atoli nie przyszło; we trzy już bowiem lata po przeniesieniu się swoim do Wilna t. j. w r. 1814 zakończył profesor życie. Umarł przedwcześnie w czterdziestym drugim roku wieku, na piersiową słabość, która o wiele rychlej wycieńczała już siły jego.

Tyleśmy mieli do powiedzenia o ojcu.

Co się tyczy matki, to opowiadania wszystkich, którzy ją znali, w tém się zgadzają, że jeżeli które z rodziców mogło usposobieniem swoim wpłynąć na ów wyższy i excentryczny nastrój ducha Juliusza, to rozumieć to należy właśnie o matce, która też w nim całe swoje szczęście widziała, dla której był on jedynym celem życia, jój dumą, jój nadzieją, jój wszystkiém na ziemi. Ze strony syna także niemniejsze było przywiązanie do matki. Od pierwszego dziecięctwa swego aż do zgonu — przez wszystkie życia koleje, czy to pod jój okiem wzrastając, czy trawiąc na wygnaniu długie lata samotne, zawsze on ją z głębi serca, rzewnie, wyłącznie i niemal bym rzekł religijnie czcił i miłował. Już same listy jego do niój pisywane przekonywają, że nie miał on przed nią nigdy nic skrytego, nic coby zakrawało na tajemnicę. Z szczerą ufnością dziecięcia i ze swobodą przyjaciela zwierzał on jój się zawsze z każdą pociechy i nadziei, z każdą boleści i troski, ze wszystkich uczuć, rojeń, a nawet czasem i szaleństw

drażliwego swego usposobienia. Ale bo była też to osoba rzadkiej giętkości ducha. Łączyła w sobie własności, których harmonijne, mile dla wszystkich otaczających połączenie w jednej osobie tylko się rzadko kiedy i chyba wyjątkowo spotyka. Łatwa, potoczna, nadzwyczaj żywa, a jednak i czująca głęboko i z natury jakiegoś już tęskniejszego nastroju — pociągała ona ku sobie każdą szlachetniejszą naturę. Zawsze potrzebując czegoś takiego koniecznie, coby jój myśl żywszém napęlniało zajęciem, brała udział we wszystkim, co tylko ją otaczało, i znajdowała w sobie nawet dla rzeczy małych dość tej skrzętnej drobnostkowości, która naturze niewieściej dodaje tyle powabu, jeżeli się z nią kojarzy zmysł i głębsze wyrozumienie także i dla spraw wyższych, dla spraw wynikających z obowiązków matki, obywatelki, chrześcijanki... Matka Juliusza wszystko to w sobie godziła. Sercem i wykształceniem stawiona zupełnie na równi z duchowém stanowiskiem syna, odgadywała mimowiednie, a często i pojmowała świadomie tajne nieraz intencje jego poetyckich utworów. I nie tylko nie ukrywała przed nim swojego zdania o wszystkim, cokolwiek jój przełożył; ale niekiedy nie szczędziła mu i wyraźnej nagany, jeżeli coś nie zupełnie smakowi jój zadość czyniło. Nagany takie przyjmował Juliusz od niój — może od niój jednej — z bezwarunkowém poddaniem... Słowem, była pomiędzy temi dwiema naturami jakaś tajemnicza a szczególnie ścisła sympatya. Wielu zaś dostrzegało nawet pewnego wręcz podobieństwa pomiędzy matką a synem, które im też tłómaczyło niejedną stronę skądinąd dziwnie uderzającą w charakterze poety. A jeśli w dalszych ustępach życia Juliusza rysy tego podobieństwa znacznie się zatarały, a wyszły natomiast na wierzch pod niejednym względem różnice: — to byłoby skutkiem dyametralnie odmiennych życia kolei, jakie każde z nich przechodziło. A dalej było to następstwem i tej jeszcze okoliczności, że poetyczne usposobienie matki było oczywiście więcej bierném, a kierowało niém przedewszystkiém serce, swobodnie i miłościwie na świat zewnętrzny zwrócone; podczas gdy fantazya poetyczna syna, w sobie zamknięta, twórcza, lecz dumna, brała raczej z siebie samą pęd ku temu wszystkiemu,

w czém się miała objawić, nie wiele dbając o świat i ludzi i o całe otoczenie zewnętrzne.

Po zgonie Euz. Słowackiego osierociła wdowa opuściła Wilno i przeniosła się z jedynym dziećciem swoim, pięcioletniem naówczas, napowrót w strony swoje rodzinne. Osiadła na nowo w Krzemieńcu, w domu rodziców swoich Januszewskich, którzy stale w témże mieście zamieszkiwali. Po upływie trzech lat jednakże poszła powtórnie za męż. Oddała rękę doktorowi Becu, znowuż profesorowi uniwersytetu wileńskiego w wydziale lekarskim. Dr. Becu był także wdowcem i miał dwie córki niedorose, potrzebujące macierzyńskiej opieki. Przybył tedy do Krzemieńca (r. 1817), umyślnie dla odnowienia znajomości, i połączył się związkiem małżeńskim z wdową po zmarłym swoim koledze. Tak nastąpiło tedy powtórne przeniesienie się onój rodziny na Litwę. Juliusz znalazł teraz w pasierbicach swęj matki, Hersylii i Aleksandrze, dwie przywiązane siostry, obsypujące go pieścizotami, jak rodzonego brata. Do nich to więc odnosi się owa wzmianka w przytoczonym wyżej ustępie z *Godziny Myśli*, o dziewczach „gładkimi dłońmi trefiających co dnia czarne włosów jego pierścienie.“ —

O szkolnych czasach i pierwszej młodości Juliusza niewiele mam do powiedzenia. Tyle mi tylko wiadomo, że miało to być mile dziecię, o pięknej ale bladłej twarzyczce — nikłe ciałem i zawsze słabowite. W czwartym roku życia odbył ciężką, kilkomiesięczną, nader niebezpieczną słabość, z której go ledwie przywrócono do zdrowia. Tém rychlój się za to obudza w nim zaczęły duchowe siły i niepospolite jak na wiek jego zdolności. Za życia jeszcze ojca zaczęto go uczyć czytać. Elementarzem jego, t. j. książką w dosłowném znaczeniu pierwszą, w której poznawał litery, była *Iliada* Homera przekładania Dmóchowskiego. Dziwili się wszyscy, że to czytanie sprawiało temu dziecku przyjemność i że wyobraźnia jego zdążała za tymi obrazami wieszczki starożytnego. W następnych latach, poduczony w początkowych przedmiotach prywatnie w domu, został — za powtórniem przybyciem do Wilna — oddany do szkół publicznych. Tu znowu się objawiła we wszystkiém pewna przedwczesność całej jego organizacyi

duchowej. Objawiała się zaś nie tyle w postępach naukowych, chociaż i pod tym względem liczył się zawsze młody Słowacki do celujących uczniów. Ale daleko więcej uderzała każdego jakaś dziwna skłonność — do samotnych marzeń, jakaś tęskna fantazyzność chłopczyzny...

Jak wiadomo, lata 1818—1824 w obrębie akademii wileńskiej — stanowiąc będą na zawsze w dziejach umysłowości naszej czasy opromienione urokiem najpiękniejszych wspomnień i nigdy niezapomnianych zdarzeń. Zdarzenia te sięgały daleko po za zakres urzędowej że tak powiem instrukcyi naukowej. Był to brzask nowej ery w myślach i pieśniach — świtanie nowego życia, życia rdzennie narodowego. Co tylko z młodzieży żyło duchowo, podzielało ten prąd powszechny. Promienie jego dosięgały i niższych szkół, z wysokości katedr akademickich. Poezya była jakby symbolem tych wszystkich uczuć, które młodzież łączyły. Świeża sława Mickiewicza i jego rówieśników silnie działała i na najmłodszych wychowanców szkolnych zakładów litewskich. A jeżeli na kim wywierało to wszystko potężne, wstrząsające wrażenie, to na Juliuszu. Oddźwiękla w sercu jego ta struna poetyczna, która i bez tego już w duszy jego była napięta. Żądza wielkiej autorskiej sławy zaczęła go już nawiedzać w dzieciństwie. Niejednokrotnie on sam o tém wspomina w listach swoich do matki, pisanych już w późniejszym wieku na emigracyi. — „Droga moja — mówi do nięj np. w liście z d. 25 stycznia 1845 — ja ośm lat mając przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał — a za to za grobem o wszystko się upomnę.“ Albo w innym liście: — „W dzieciństwie, kiedy byłem exaltowanie nabożny, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie poetyczne, choćby zresztą najędźniejsze, — żeby mi pogardzony przez cały wiek mój — i tylko żeby mi za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci... A w owym poemacie, z którego ustęp daliśmy na czele obecnego rozdziału, wręcz wyznaje mówiąc o sobie, że

„Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniem dało myśl skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmém niebie.

Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
 Że się zapozna myślą z myślным ludzi tłumem,
 Ma przed sobą krainę duchów do zdobycia“...

W ogóle tedy cały tryb spędzonego jego dzieciństwa, wszystkie jego zabawy, zajęcia, stósunki i zapędy okazują nam się w obrazie, który jak upoważniał do najpiękniejszych nadziei o tém dziecku, tak też mógł wzbudzać i pewne obawy o jego dalsze koleje... Jeżeli bowiem dumnie i poetycznie to brzmi, powiedzieć o kim, że cały jego życia poranek nie był taki, jak zwyczajnych ludzi: to z drugiej strony wiele prawdy i w tém być mogło, co później sam on wyrzekł o sobie z goryczą w jednym z listów do matki (Paryż r. 1832):—„Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka“...

Teraz trzeba nam tu wspomnieć o dwóch okolicznościach nader ważnych w jego wieku młodzieńczym i bynajmniej też nieprzepomnianych przez poetę w *Godzinie Myśli*. Jedną okolicznością taką była przyjaźń najściślejsza, idealna, dozągonna, jaką był zawarł od pierwszych ławek szkolnych z pewnym starszym od siebie kolegą. Pamięć jego często mu była przytomna w późniejszym nawet wieku, na emigracyi. Nieraz w listach o nim wspomina. Jego to też i wtedy właśnie miał na myśli, kiedy mówił o owém dwojgu dzieci, niezmięszanych w tłumie, w szkolnej sali obok siebie siedzących. Jednym z tych dzieci był to, jak już wiemy, sam Juliusz. Drugim zaś był ów jego przyjaciel. Imię mu było Ludwik.

„Włosy miał jasne, kolor oczu lazurowy.
 Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.
 Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
 Do licznych nauk dziwnie pałace czuł głody —
 Trawił się. — Jego oczy ciemne i błękitne,
 Jak polne dzwonki, łzawym kryształem pokryte
 I godzinami myśli w nieruchomość wbiły,

Tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty
 Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty“...

A zatem i usposobienie Ludwika nie było takie, jak reszty uczniów, których oni obydwaj nazywali też — tłumem. Miało ono wiele podobieństwa do natury Juliusza, tylko że tu sentymentalizm już wyraźnie był chorobliwy. Kiedy bowiem młodszy przyjaciel, Juliusz, jako poeta snuł sobie rojenia jakieś napowietrzne i tylko w sferze idealnej: tymczasem „jego towarzysz większy nauką i laty,“ odnosił się w swoich nieokreślonych cierpieniach duszy bezpośrednio do otaczającego go świata rzeczywistego, czyli jak się wyraża nasz autor, „nigdy od krain myśli nie odłamał życia, sprzął razem i powiązał dwa niezgodne światy.“ Z czego atoli takie tylko wynikały następstwa, że

„Jako posagom nieraz braknie w rysach duszy,
 Posagom jego myśli brakowało ciała;
 Więc nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
 Budził — i rzeczywistość zimna roztrącała.“

Był to zatem najzupełniejszy Werteryzm, czyli owato sentymentalna schorzalność i wycieńczenie ducha, które szczególnie Niemców za młodu nawiedza i które oni technicznym terminem zwykli nazywać *Weltschmerz*.—Młodzieńcem tym był Ludwik Spitznagel, podobno syn jednego z profesorów wileńskich. Rychły koniec jego życia był bardzo smutny, a nastąpił z przyczyn równie niedocieczonych, a przynajmniej nieokreślonych, jak i posępność całego życia nie miała właściwie żadnego określonego powodu. Po ukończeniu szkół wileńskich Ludwik zapragnął słuchać „wieków tajemnicy, wymówionej niepewną twarzą hieroglifów,“ to jest odbyć podróż na Wschód, zwłaszcza do Egiptu. To mu poddało myśl poświęcenia się służbie publicznej w zakresie dyplomacyi. Udał się przeto do Petersburga dla dokończenia nauk i przykładał się tam przez trzy lata szczególnie do orientalnych języków. Przygotowany wreszcie najzupełniej do rozpoczęcia karyery, jaką sobie sam obrał, przydzielony już do poselstwa jadącego „w piramid krainy“ w charakterze dragomana tegoż poselstwa — zajechał jeszcze na Litwę, ażeby się

pożegnać z rodziną i przyjaciółmi. Załatwiwszy już wszystkie sprawy, bawiąc na wsi, w pewnym domu zdawna sobie znajomym i całej rodzinie jego życzliwym, kiedy po kilku dniach miłej zabawy już był na samém wsiadaniu, kiedy powóz, który go miał uwieść daleko, właśnie co tylko się zatoczył przede dwór... oddalił się Ludwik niepostrzeżenie do jednego z oddalonych pokoi i — zastrzelił się. O rzetelnych powodach samobójstwa, jak już wspominałem, ani najbliżsi nawet przyjaciele nigdy się nie dowiedzieli.

Ale bo też wnosząc z wszystkiego, zdaje się, że nie było do tego żadnej rzeczywistej pobudki. Ogólny niesmak życia, excentryczny rozstrój w umyśle, zwątpienie — a bezpośrednio może i brak odwagi do rozstania się na czas nieokreślony z tą miłą ziemią rodzinną, która go właśnie z takim urokiem w domu przyjacielskim żegnała — oto prawdopodobnie najwłaściwszy powód rozpaczliwego postanowienia, jakie Ludwik przywiódł do skutku, skoro tylko mu przyszło stawić pierwszy krok w zakresie rzeczywistego świata i praktycznego zawodu. Taki brak odwagi korzystnie wprawdzie świadczy o rzewności serca, o głębi uczuć, o idealności całej natury tego nieszczęśliwego młodzieńca. Dowodzi zarazem jednak i tego, że mimo tych wszystkich zalet, właściwych wprawdzie głębszym tylko umysłem, odlogiem tam zalegała i zeru się musiała równać ta męska praktyczna zdolność, ta energia woli, ta chęć dokonania czegoś pożytecznego w świecie, co by go zbliżyć mogło do wymarzonego ideału, słowem ta cała druga siła umysłu, bez rozwinięcia której sentymentalizm najpoetyczniejszy, najczystszy — ani ludziom ani sobie na nic się przydać nie może.

Że ściśle, codzienne, nierozdzielne pożycie z rówieśnikiem tak excentrycznego usposobienia, i to jeszcze w latach, gdzie wszelkie wpływy najsilniej się w umysł wrażają, nie mogło być bez następstw dla towarzysza młodszego laty i mniejsze, jak sam o sobie rozumiał, zapowiadającego nadzieje: to pojmie każdy. —

Trwalsze jeszcze ślady w nastrojeniu duchowém naszego poety mogło zostawić po sobie inne uczucie, uczucie donioślejszego

jeszcze znaczenia, aniżeli przyjaźń, a które zaznał także już w latach szkolnych — miłość.

Przez owe trzy lata, gdzie się Ludwik poświęcał w Petersburgu nauce języków wschodnich, „dziecko z czarnemi oczyma

„Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była —

I najsilniejsza z uczuć....“

Ale nim przywiodę dalsze wyrazy poświęcone temu wspomnieniu, nie od rzeczy będzie udzielić tu kilka szczegółów, bez wiadomości których dalsze opowiadanie nie byłoby zupełnie jasnym. Owoż rzetelne fakta co do tego epizodu pierwszej miłości były następujące.

Rodzina profesora Becu zostawała w najściślejszej zażyłości z domem Jędrzeja Śniadeckiego także profesora akademii. Przyjaźń mianowicie między córkami jednej rodziny a drugą była tego rodzaju, że czy to w mieście, czy na wsi (podczas wakacji), było to jakby jedno grono prawie nigdy nierozdzielne. Juliusz, młodszy wiekiem od pańien, do grona tego oczywiście należał i tém swobodniej się w niem poruszał, że był niejako Beniaminkiem pomiędzy nimi wszystkimi. Wiedzieć zaś trzeba, że jak w tylu innych względach okazywała się w chłopcu pewna przedwczesność, tak też i to jeszcze w nim uderzało, że piękne rysy twarzy kobiecej sprawiały na nim już w owych latach czar jakiś niewysłowiony. Był on zdolny godzinami całemi siedzieć u stóp jakiej choćby też niekoniecznie młodej osoby i wpatrywać jęć się w oczy, jeżeli te oczy miały dla niego urok. Widać wrodzony mu już był pewien idealny, artystyczny, platoniczny pociąg do niewieścich piękności, bez względu na wiek i tym podobne okoliczności uboczne. Otóż jedna z córek owego domu zaprzyjaźnionego z rodziną Juliusza, Ludwika, zaczęła sama może o tém nie wiedząc, obudzać w nim coraz żywsze zajęcie. Zajęcie to było oczywiście bez wzajemności; panna była bowiem podobno od niego starsza, więc uważała go w porównaniu ze sobą za dziecko, a jego zapały za dzieciństwo, za dziwactwo, za szal poetyczną fantazy, którym się w najlepszym razie czas jakiś pobawić można, ażeby go potem zimną przyjacielską perswazją przywołać

do równowagi. Nie przeszkadzało to wszelako bynajmniej zarodowi uczuć, raz w sercu chłopca zbudzonych, rozwijać się coraz więcej, tak iż w 17 roku życia rozgorzał całą namiętnością rozkochanego po raz pierwszy młodzieńca.

Jeżeli się godzi polegać na opowiadaniach, podług których przedstawiam te stósunki: powierzchowność osoby, o której mowa, nie miała w sobie nic tak nadzwyczajnego. Była to twarz pełna wyrazu i życia — miła, świeża, o czarnych oczach przy płci białej i delikatnej — lecz z resztą, jak wiele innych. Ale duchowo łączyła w sobie panna Ludwika wiele własności, znamionujących głębszą naturę i zdolnych właśnie przeto sprawić na drugim żywsze wrażenie. Tkliwa, czuła, ruchliwej wyobraźni, wykształcona starannie, trochę nawet sawantka, nie bez skłonności do poetycznych zachwytów i posuniętych czasami aż do excentryczności uniesień — nie dziwnego, że wywierała ona jakiś urok niepokonany na umyśle młodego poety naszego, którego pociągało ku niej nie samo tylko to pokrewieństwo ich duchowego nastroju, ale jeszcze i ta okoliczność w dodatku, że był on wtedy dopiero właśnie dążącym ku temu ideałowi, na wysokości którego tamta, jako doskonałość skończona, już mu się być zdawała. I dalsze życie panny Ludwiki Ś. zawsze w niej okazywało osobę mniej zwyczajnego usposobienia. Lecz mówić o tém nie byłoby tu na miejscu. — Owoż właśnie to wszystko działało silnie na wyobraźnię Juliusza: pokochał, ubóstwił, i zdawało mu się, że kiedy on podniósł się sercem na wysokość uczuć Abelarda albo Romea, to też powinien być, równie jak tamci, i wzajemnie kochanym. Ale po drugiej stronie nie podzielano bynajmniej tego przekonania. Tam nie zapomniano ani na chwilę, że odgrywać rolę Heloizy albo też Julii w obec chłopca, który ledwie dzieckiem być przestał, narażałoby tylko na śmieszność. Przy całej tedy przyjaźni i życzliwej wyrozumiałości dla romantycznych uniesień młodego entuzjasty, nie chciała go panna ani łudzić ani też w nadziejach, jakie powziął, utwierdzać; choć z drugiej znowu strony nie zdawało jej się stósownem doraźnie i wręcz niweczyć te nadzieje. Trwał tedy przez czas jakiś pomiędzy nimi ten szczególny stósunek, to

sprawiając w młodym marzycielu zachwytu szczęścia, to go przejmując boleścią; to mu z ust wyrывая wyrazy uwielbienia, to znowu gorzkie skargi i zlorzeczenie. I w tej też chwiejności pomiędzy jedną ostatecznością a drugą widzimy go i w późniejszych jeszcze latach, czy to kiedy w listach do matki wspomina mimochodem o owych czasach i miejscach i stósunkach, czy kiedy je poetycznie maluje w *Godzinie Myśli*. W nader częstych wzmiankach listownych mówi zwykle o Ludwice tonem obrażonego, tonem niby obojętnym i chłodnym; ale widać ze wszystkiego, że tam zupełnie co innego kryło się na spodzie serca, jak sama tylko pamięć — minionej przeszłości. W *Godzinie Myśli* zaś, pisaniej w sześć albo pięć lat po czasie, gdzie się to działo, wspomina o tém w następujących wyrazach:

„Dziecko z czarnemi oczyma

Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była,

I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.

Widziałem go przy stopach dziewicy-aniola: —

Czarnemi węń oczyma patrzała i bladła,

Myśląc o życiu dziecka, bo z wielkiego czoła

Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.

Więc odwracała oczy, a wtenczas łyż łała.

Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała

Czerniła się na wieki miłością daremną.

Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną

Ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi

Przeciwko własnej duszy i czczym chwilom ziemi.

Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,

A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,

Że we wspomnieniach dziecka złane, dały dźwięki

Podobne do miłości zeznaniej wyrazu“...

Ale rzeczywiście — zeznaniej miłości pomiędzy nimi nie było. Skończyły się tedy te sny uroczyste młodości rozejściem się obojga, każdego w inną stronę. Juliusz poszedł w swoje z uczuciem zranionej dumy, cały zgorzkniały, z bajronicznem rozczarowaniem i zwątpieniem o wszystkiem. Rozczarowanie to nie mając żadnego rzetelnego powodu i przypadając na wiek bardzo rychły,

możeby jako prosty tylko objaw niedojrzałości moralnej, nie zasługiwało wcale na wzmiankę w biografii autora Balladyny, gdybyśmy go i w kilka jeszcze lat później, już na emigracji, nie widzieli patrzącego na te rzeczy ciągle pod wpływem tychże samych ujemnych usposobień. Tak np. powiada, że po owej rozmowie stanowczej, która koniec położyła wszystkiemu pomiędzy nimi, „upadł bladą twarzą do ziemi, jak zabity słowami, dumnym wstydem drżący, gdyż miał już wtedy dumę wielkiego człowieka“...

.... „Wtenczas lat tysiące,

Wtenczas mu w oczach przyszłość stała daleka,
Świetna okrzykiem ludzi: — a z tymi obrazami
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem...
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało —
I nie było w nim wiary w szczęście ani Boga;
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga!
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się, i gmach budował niedowiarstwem ciemny;
Ta budowa ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miliona,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać...

— Gdyby teraz, obok tej tak posępnej barwy wewnętrznych dziejów młodości Słowackiego, postawić obraz rzeczywistych stósunków, w jakich wzrastał i wśród których przebiegał szkoły wileńskie: okazał by się zaprawdę kontrast niemały pomiędzy wymarzonemi cierpieniami tego złamanego serca a istotną dolą, jakąż żywał!

Rzeczywiście bowiem zewnętrzne powodzenie młodego bajronisty było jedno z najszcześniejszych. Nie zbywało mu na niczem. Wszystkie jego potrzeby opatrywała matka, odgadując najskrytsze życzenia jedynaka. Nie zaznał, co to sieroctwo, co to życie pośród obcych, co to samotność i tęsknota za domem rodzicielskim, co to wreszcie niedostatek... Miał rodzeństwo przybrane,

które go kochało jak rodzzonego brata, i żył sobie najszcześniejszy w otoczeniu swoim codziennym. Na łonie miłującej, dobrej matki dano mu było przepędzić cały życia poranek. Co się tyczy wychowania — i tutaj czuwano opatrnie i troskliwie nad wszystkim. Czego go nie uczono w szkołach publicznych, to mu było udzielane za pomocą lekcyi prywatnych. Środków na to wszystko było w tym domu dostatkiem. Uczył się muzyki; dawano mu lekce języka angielskiego, rysunku, tańca; malował, — miał książek, ile tylko chciał i jakich tylko żądał. W szkołach otaczało go grono miłych towarzyszy, pomiędzy którymi był liczony do celujących. Wakacje spędzał rok rocznie na wsi, w rozkosznych Mickunach, położonych nad Wilejką niezbyt daleko od Wilna. Była to majętność krewnych jego ojczyma, czy też nawet własność samego doktora Becu. Z jakąż lubością, jakże tęsknie rozpamiętywał nieraz Słowacki w listach do matki pisanych w późniejszym życiu, o tych cudnych okolicach, o tej upajającej woni lasów sosnowych, o kwiatach polnych i łąkach zielonych owej ukochanej wioski litewskiej, w której mu lotem błyskawicy w takiej swobodzie duszy ubiegały wakacje!... Gdyby, powtarzam, porównać więc młodość jego z dziejami młodości innych — gdyby ją porównać z losem na przykład Brodzińskiego... Kiedy Brodziński był jeszcze drobnym dzieckiem, srodze poniewierała go macocha. Ojciec o niego nie dbał wcale, tak iż tylko chyba w czeladnicy pomiędzy służbą, albo na wsi pomiędzy dzieciakami wiejskimi był dla niego jakiś przytułek. Kiedy się już chłopcem podniósł nieco od ziemi, bito go w szkółce parafialnej różgami, za to że sobie z owym nieszczęśliwym katechizmem niemieckim nie umiał nigdy dać rady. Kiedy chodził do gimnazjum, morzono go głodem, bo go niedbały i niezaradny ojciec na stancyi zawsze najniefortunniej umieszczał. A w wyższych klasach morzono go znowu innym głodem — głodem duchowym! Boć zabraniano mu pod najsurowszą karą wszelkich książek nieobjętych w ciasnym ówczesnym regulaminie szkolnym; a to, czego dozwolano, takie było jałowe, tak dalekie od wszystkiego, czego serce pragnęło, że na przykład dzieła Kochanowskiego już były kontrabandą, za którą trzeba było odsiadywać kozę... Żył więc ciągle w niedostatku, biedzie, ponie-

wierce — w upokorzeniu i sieroctwie... Nie znał co to uścisk rodzicielski, co to kierunek życzliwej ręki, co to pragnienie — najskromniejsze, najsluszniesze a zaspokojone! Wzrastał jak ta płonka polna, wystawiona bez opieki na wszelkie sloty i wiatry. Do wysokości tego wszystkiego, w co Słowacki codzien opływał, Brodziński się nie wznosił ani marzeniem! A przecież — miał i autor Wiesława dosyć téj tkliwości serca i téj żywej wyobraźni, ażeby czuć boleśnie, w jakich żyje stosunkach!...

W r. 1824 nawiedziło dom rodziców Juliusza nieszczęście: ojczym jego, profesor Becu, wśród dziwnego zbiegu okoliczności uderzony piorunem zakończył życie. Smutny ten wypadek nie wywarł jednak zbyt niekorzystnych następstw na dalszą dolę 15-letniego już natenczas jego pasierba, ani też na los żony i córek zmarłego. Pozostały bowiem majątek wystarczał dostatecznie na przyzwoite utrzymanie całej rodziny; a opieka takiéj matki sprawiała, że brak głowy domu czuć się dotkliwie nie dawał. Szło więc i potem wszystko swoim trybem, prawie równie pomyślnie, jak przedtém. Po skończeniu gimnazjum przeszedł Juliusz do uniwersytetu. Jego siostry powychodziły za mąż. A pani Becu, chociaż jój od czasu śmierci męża z wielu przyczyn bardzo posmutniało na Litwie, a wielce ją ciągnął ku sobie rodzicielski domek w Krzemieńcu, mieszkała jednak i nadal w Wilnie przez cały czas studyów syna uniwersyteckich, ażeby go tam nie pozostawiać samego. Jego ciąga słabowitość i ta niewprawa w radzeniu o samym sobie, która mu już była wrodzoną, wiązały ją do miejsca.

Zresztą w r. 1826 przerwał Słowacki na czas jakiś kursa uniwersyteckie i odbył kilkumiesięczną podróż nad morze Czarne, do Odessy. Odbył ją już to dla rozrywki i roztargnienia, już ażeby użyć kąpieli morskich, poleconych mu przez lekarzy z powodu jakichś dolegliwości piersiowych. Pokrzepiony na siłach, powrócił potem jeszcze do Wilna, ażeby dokończyć nauk, chociaż nie zdaje się, żeby był wtedy zamierzał poświęcić się jakiemu zawodowi, któryby wymagał studyów akademickich uwieńczonych examinami albo patentem doktorskim. Jeszcze i następnego roku pisał list do stryja Erazma Słowackiego, adwo-

kata w Żytomierzu i właściciela dóbr w okolicy, (ogłoszono list ten w Gazecie Codziennéj warszawskiej 1860), w którym o dalszych planach swoich w niepewności przemawia, to skłaniając się myślą ku projektom kilkoletniej podróży do Włoch, w którymto kraju możeby i na stałe zamieszkał, to znowu marząc o nabyciu jakiej wsi na Wołyniu w okolicy Krzemieńca, z którego biblioteki licealnej spodziewał się korzystać, jeżeliby miał jaki stały pobyt w pobliżu.

Dopiero wreszcie rok następny (1828) rozstrzygnął onę niepewność, jakby się pokierować dalej na świecie; rozstrzygnął ją zaś w taki sposób, jaki, ile się zdaje, nie wchodził wcale w dawniejsze plany. Stało bowiem na tém, że się Słowacki zdecydował oddać służbie rządowej i to w zakresie administracyjnym. Z tego powodu i syn i matka pożegnali się teraz z Wilnem; pierwszy, ażeby się przenieść do Warszawy; matka zaś, ażeby odetchnąć tém ożywczém powietrzem, które dla niej wiało już tylko od stron rodzinnego Wołynia. Żyli tam jeszcze — w Krzemieńcu samym — jój sędziwi rodzice i tęsknie jedynaczkę swoją przyzywali do siebie. I bracia jój obydwa, Jan i Teofil Januszewscy, byli także w tamtych stronach osiedli. Co większa — żoną jednego z nich, Teofila, była od niejakiego czasu właśnie jedna z pasierbic matki Juliusza, Hersylia Becu. A zatem i część wileńskiej niegdyś rodziny oczekiwała już teraz na nią w Krzemieńcu. To wszystko skłoniło tedy panią Becu do powzięcia postanowienia, że się ze synem po raz pierwszy w życiu na czas nieco dłuższy rozstanie, puści go do Warszawy samego, a sama obierze dom rodzicielski za miejsce tymczasowego pobytu, pókiby się Juliusz jako nie rozporządził i ostatecznie nie ustalił losu swojego na świecie.

Nastąpiło tedy w rzeczonem r. 1828 rozstanie się z stolicą Litwy. Podróż do Krzemieńca odbyli jeszcze oboje razem. Pragnęli bowiem dziadostwo osobiście pobłogosławić wnukowi przy tym pierwszym jego kroku w zakres praktycznego zawodu. Przy téjto więc sposobności odwiedził Juliusz raz jeszcze owo miasto, w którym się zrodził i przepędził pierwsze lata dzieciństwa. Kiedy po kilku tygodniach wesołego i pełnego rozrywek życia wśród

grona całej rodziny, które mu jak sen słodki spływały, przyszło mu nareszcie w świat daleki z murów Krzemieńca wyjeżdżać, to się rozstawał z temi wzgórzami, które go znały chłopięciem, i z krewnymi i z ukochaną matką niewątpliwie ze łzą w oku i ciężkiem sercem; ale tego w tej rychłej wiosnie życia swojego nie mógł on biedny przypuszczać, że to była ostatnia jego bytność w tych stronach... że z tych wszystkich drogich osób nie zobaczy jednych już nigdy, drugich zaś miał wprowadzić raz jedyny jeszcze w życie swoje oglądać, ale w okolicznościach tak smutnych i na ziemiach tak odległych i przez ciąg chwili tak krótkiej, że i z niemi to jego żegnanie się ówczesne było rzeczywiście jak-by ostatniem pożegnaniem...

Za przybyciem do Warszawy, przedstawił się księciu Lubekiemu, naówczas ministrowi skarbu, i wszedł w poczet bezpłatnych pracowników w będącym pod jego sterem wydziale rządu ówczesnego królestwa polskiego. Książę przyjął go dobrze i był już korzystnie uprzedzony o osobie młodego aplikanta. Przyobiecował mu swoją protekcją, i w rzeczy samej okazywał się zawsze dla Słowackiego dosyć życzliwym. Bezpośrednim naczelnikiem biura, do którego przydzielono Juliusza, był Dominik Lisiecki, pisarz znany w literaturze z niezłe dokonanych tłumaczeń niektórych autorów francuskich. Był to zwolennik klasycyzmu, mianowicie wielbiciel Kornela i Woltera, którychto właśnie w latach młodszych przekładał. Ale miał on zmysł i dla nowszych pojawów literatury; zaczął poszło, że spolszczył i Lamartina utwory niektóre, a wreszcie i inne rzeczy, np. Nieszpory Sycylijskie Delavignego. Ta żyłka poetyczna dyrektora wydziału ułatwiła Juliuszowi serdeczniejsze zbliżenie się do niego. Zawiązały się tedy między nimi przyjacielskie stósunki, tyle pożądane dla niedoświadczonego młodzieńca, rzuconego w sam wir nieznanego mu świata i obcych zgoła żywiołów. Za jedną znajomością poszły i drugie. Odszukał Odyńca, z którym, lubo młodszy, miał zapewne jakąś znajomość już z Wilna. Odyńiec bawił wtedy, od lat już kilku w Warszawie; jako poeta zażywał już pewnej wziętości, dawszy się poznać publiczności z rozmaitych wierszy i ballad, których zbiór we dwóch tomach był wydał jeszcze roku 1825.

W owym czasie, kiedy Słowacki do Warszawy przybył, był on zajęty właśnie drukiem swojej Izory (1828). O ile wnosić można z listów, później z emigracyi pisanych, musiało i ze Stefanem Witwickim zejść poznanie już w owych czasach warszawskich. Ale nie przypadli sobie jakoś do serca, przynajmniej Słowacki zawsze o nim wspominał z lekceważeniem i w sposób, który przekonywa, że go nie lubił. Czy znalazł sposobność zbliżenia się do Brodzińskiego, tego powiedzieć nie umiem. Również niepewną jest rzeczą, czy się widywali z Lelewelem, choć go dobrze znać musiał z wileńskich jeszcze czasów. Najwięcej wrażenia sprawił na nim Niemcewicz, sędziwy patriarchyca pomiędzy całą ówczesną intelligencją warszawską, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jeden z najzasłużeńszych i najpopularniejszych ludzi nie tylko w stolicy, ale i w całym narodzie. Złożył mu Słowacki pierwszą swoją wizytę w jego wiejskiem mieszkaniu w Ursynowie, małej pod samą Warszawą wioseczce, która jak wiadomo, była aż do r. 1831 Niemcewicza własnością i jemu też zawdzięczała tę nową swoje nazwę. Zawiózł tam Juliusza do niego hr. Tomasz Potocki. Było to w miesiącu wrześniu 1830 r. Ponieważ to pierwsze zbliżenie swoje do czcigodnego starca — sam on szczegółowo matce w dni kilka potem listownie opisał, i list ten — jedyny z przedemigracyjnych czasów — odszukany został pomiędzy ich papierami: miło więc pewnie będzie czytelnikom moim odczytać tu dosłownie z niego cały ustęp dotyczący rzeczonej okoliczności.

.... „W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin. Wymówilem się z tém kiedyś dawniej przed jednym z moich znajomych, i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach; przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przypijała do mnie szampanem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stoła; zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejscu. Winogrona — kawony — melony Wołyń mi przypominały i jeszcze bardziej dopomagały illuzji. — W kilka dni potem, jednego poranka przyjechał do mnie Potocki, prosząc żebym z nim jechał do Ursynowa, małej wioseczki Niemcewicza. Muszę więc Mamie opisać obszernie tę wizytę. Ur-

synów leży o małą milę od Warszawy za Mokotowem. Sliczny był ranek — trochę zimny — i mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśny. — Nareszcie stanęliśmy u celu podróży — pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której z daleka widać już było dom poety — nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed gankiem — podobno więc jak L. do Częstochowy, zbliżaliśmy się pieszo z sercem skruszonym. Przywitał nas dosyć obojętnie — zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał? Szczęściem że rozmowa ta prędko się skończyła. — „Panie Hrabio, rzekł do Potockiego, wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach — ja się muszę tymczasem przebrać.“ To mówiąc, uklonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie. — Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny — w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza. Z tej krowy, jak mi sam mówił — ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać każe przez skromność. Usiadłem w altanie — Potocki stał nademną, a widząc że jestem nadzwyczaj smutny i blady, zapytał mnie o przyczynę. Myślą odpowiedziałem mu, iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz — słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem! Szczęśliwy... odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie! — Wtém lokaj przysłany od Starego zaprosił nas na śniadanie. Właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń!... Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza, i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samą tylko rozmowę. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie małe dziewczynki; są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: „Pan jesteś tak głupi jak ja“ — a stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. — Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, że-

bym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę — kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: kto jesteś? — odpowiedziała: żona Panowa. Potem kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedii Mindowe. Na wezwanie powtórne staruszek czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku siedząc boki odwrócony; gdy przyszło do drugiej sceny, w której Mindowe zrywa z Krzyżakiem: obrócił się nagle — czoło jego pomarszczyło się — widać było znacznie natężoną uwagę — patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć, a oczy ma szare, przenikliwe i wielkimi najeżone brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno: ach! czemuż tej tragedii grać nie można! Ten wykrzyknik bardziej mi pochlebił, niż wszystkie potem dawane pochwały. — Czytałem dalej — słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent i duch obywatelski utrzyma.“ Potem dodał: „przepisz Pan tę tragedią na kilka ręk — warto, niech czeka szczęśliwszych czasów!... Chciałbym ją całą czytać“... Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą — a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: — „Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.“ — Prawda, jak to po staropolsku?“

Z powyższego listu wynika, że miał wtedy Juliusz i w Warszawie przyjaciół, którzy mu dawali serdeczne dowody przywiązania, i że zdarzały mu się chwile, które go przenikały uczuciem szczęścia. Jednak w ogóle stolica nie podobała się naszemu poecie. Zrażała go do Warszawy szczególniej ta okoliczność, iż przywykł do pięknych okolic Wilna i Krzemienia, tutaj już nie znajdował nic podobnego. Często o tём w późniejszych nawet listach wspominał. Dla zwyczajnego człowieka obojętną to jest rzeczą, jakie tam jest położenie miejsca, w którym się życie spędza; ale w oczach poety ma to ważność niemałą. Prócz tego nie mógł też Słowacki zasmakować w tej robocie suchej biurowej, która z obowiązku miała stanowić pierwszorzędną jego zajęcie; ile że go zaprzątano samemi prawie pracami mechanicznymi, to jest kazano po prostu przepisywać... Drażliwy umysł Juliusza przyjmował to jako umyślne upośledzanie, które miało być następstwem jego

nie dość dostojnego położenia towarzyskiego. Uważał zaś to sobie za tém dotkliwszą krzywdę, że wszakże pracował w biurze równie bezpłatnie, jak ci wszyscy, którzy byli protegowani... „Mój wielki niegdyś protektor — mówi uszczypliwie o księciu Lubeckim w jednym z późniejszych listów — zaraz mi chciał dać pensją: nie przyjąłem jéj. Cóż to pomogło? byli tam hrabiowie — ja przepisywałem!... Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem“...

Tymczasem nadeszła jesień 1830, a z nią i koniec Listopada, i wypadki listopadowe. Wywarły one zaraz w najpierwszej chwili na Słowackim wstrząsające wrażenie. Dał się porwać tym entuzjazmem, który całą ówczesną ludność stolicy, a mianowicie młodzież ogarnął. Wyrazem tego usposobienia było kilka lirycznych jego utworów, na przykład Oda do Wolności, Hymn do Bogarodziecy, Kulik, wreszcie Pieśń Legionu litewskiego, które tak ściśle rymowały z powszechnym zapalem w chwilach owych pamiętnych. Obiegając w licznych odpisach, podawane z rąk do rąk — one to dopiero rozslawiły w najdalszych kołach imię nowego poety, którego talent znali przedtém najbliżsi tylko znajomi. Ogłaszane w pismach peryodycznych, a niektóre drukowane i w osobnych broszurach*) — pieśni te stawały Słowackiego w obec całego kraju w szeregu idących przodem, powołujących cały naród do czynu...

Po upływie atoli pierwszych tygodni listopadowego powstania, zaczęły owe pełne ognia popędy u niego stygnąć i ustępować miejsca innym uczuciom. Nadzieje z razu tak jasne, zaczęły się ściemniać i osłaniać chmurami — trudno wyrzec stanowczo, czy chmurami

*) Tak na przykład wyszła osobna broszura pod tytułem „Oda do Wolności i Hymn przez Słowackiego. W Warszawie w drukarni stereotypowej przy ulicy królewskiej w pałacu Dembowskich Nro. 1065. r. 1830.“ Format éwiartkowy, stron 8 i 2 nieliczbowane. Tę Ode do Wolności zamieściłem w III tomie Pism pośmiertnych. Hymn (do Bogarodziecy) jest w edycji lipskiej. — Również znany mi jest jako osobne pisemko: „Kulik Polaków przez Juliusza Słowackiego. Warszawa, 1831.“ 8o, stron 8 nieliczbowanych. — To więc były najpierwsze poety naszego publikacje.

trwogi o przyszłość kraju, czy tylko osobistego wstępu do wszystkiego, co się tam działo. Zwątpienie, niesmak, niemożność jakaś dłuższego wytrwania wśród stosunków, w jakich się widział, brały odtąd coraz więcej górę nad excentrycznem usposobieniem poety. Przyszło nareszcie do tego, że powziął już na początku marca zamiar porzucenia Warszawy — i zaopatrzwszy się w formalny pasport ze strony ówczesnego rządu polskiego, rzeczywiście wyjechał za granicę już dnia 8 marca 1831 roku.

Był to krok, który jak się okazało później, miał być w życiu jego stanowczym. Owato chwila, ów wyjazd tak rychły z kraju, rozstrzygnął nie tylko o całym dalszym życiu jego jako człowieka, ale i o powodzeniu jego w zawodzie, któremu całe szczęście osobiste poświęcił, w wzniosłym zawodzie poety... Gdyby Słowacki był pozostał w kraju, lutnia jego byłaby niezawodnie strojniejsza; niebo jego poezyi byłoby niewątpliwie mniej chmurne. I cóż go to wyprowadziło z ojczyzny? Co go rzuciło na niepewne fale wygnania? Dlaczego przyszło jemu rozpoczynać już wtedy to bolesne życie bez celu, wśród żywiołów obcych, w okolicznościach które tak rychło zdarły z oczu jego wszelkie one illuzye, które lubo uludne, przecież niezbędne są człowiekowi poniekąd, ażeby sobie nie obrzydzał tych znikomych kształtów istnienia? Czyż mu przewodniczyła, kiedy się na tulactwo sam wskazał, owa myśl podnosząca i wielka, która w kilka miesięcy później tylu innych miała prowadzić na zachód? czy szła powtarzam przed nim ta gwiazda wiary, że to jeszcze jedyny, że to ze wszystkich, jakie były, ostatni sposób spełnienia w obec świata i Boga obowiązku, który jest najwznioślejszym na ziemi? — Nie! W téj myśli Słowacki z krajem się swoim nie żegnał. Byłaż to zatem tylko chimera poetycka, która go pchnęła w nieznane obszary świata, zaludnione idealami nieokreślonych pragnień? Czy wreszcie kazało mu tak sobie postąpić życzenie matki, trwożnej może o swego jednaka wśród niebezpieczeństw otaczającej go wojny?..

Na te pytania trudno jest odpowiedzieć stanowczo.

Pierwszy list Słowackiego, z zagranicy pisany, od takich się słów zaczyna:

„Kochana Mamo! zadziwisz się zapewne odbierając ode mnie list datowany z Wrocławia. Dopelniając woli kochanej Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałem za granicę“...

Z tych słów zdawałoby się wynikać, że zatem matka to ka-
zała mu oddalić się z Warszawy. Ale dodatek, że się to życze-
nie matki i z jego chęcią zgadzało, nasuwa przekonanie, że mieć
musiał Juliusz jednak i inne jeszcze, swoje własne powody do wy-
jazdu za granicę. Nakoniec i życzenie matki musiało być chyba
kiedyś tam dawniej i bez żadnej nalegliwości, więc nawiasowo
tylko wypowiedziane, kiedy tak dalej ciągnie Juliusz zdanie to
na początku listu owego stawione:

„I teraz z wielkim strachem oczekuję listu od Mamy,
czy Ci się mój wyjazd podoba, czy nie. (Z listu z d. 17
marca 1831, pisanego z Wrocławia).“

Daléj w tymże liście spotykamy znowu takie wyrazy:

„Wyjechałem w podróż 8 tego miesiąca — wyjecha-
łem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że
uciekam: i teraz jeszcze często się kłócę z moim sumie-
niem“....

W liście następnym (z dnia 12 kwietnia) powraca znowu do
dziwnego wyjazdu swego z Warszawy i tak się tłómaczy:

„W biurze nie było żadnych widoków — nawet to
biuro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane, z powodu....
Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chę-
ci — Los jakiś rządzi moją karierą i widzę, że zawsze
będzie mi na przeszkodzie stawał“...

W innych miejscach korespondencji jego z owych miesięcy
spotykają się wyrażenia, które dowodzą, że mu żal, że go na-
wet wstyd było, że wśród takich okoliczności, jak ówczesne, wy-
dalił się z Warszawy. Były chwile, gdzie się wahał, czyby nie
wrócić... Zdaje się, że i rodzina w Krzemieńcu z frasunkiem i
nieukontentowaniem przyjęła wiadomość o tém. Do matki pisał
Juliusz (d. 6 lipca 1831):

„Dzięki Ci Matko, za wszystko, co robisz dla syna,
który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pa-
migał i jeszcze go kochał. O Mamo moja, nie gadaj teraz
przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano. Może
potém znajdzie sposób zyskania szacunku w moim kraju...“

Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte —
ale przyjdzie chwila“...

Wujowi zaś swemu, który snąc tę ucieczkę Juliusza czy
żartem, czy seryo kładł na karb nieodwagi albo wstępu do służby
w wojsku, odpowiedział, jak następuje:

„Teofilu kochany, jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczę-
dzić, niech w twoich listach nie przebiega taka ironia, jak
w ostatnim przypisku. Chciałem — nie mogłem być uży-
tecznym Ojczyźnie“...

Wszystkie te ustępy z listów Juliusza sprawiają w pierwszej
chwili wrażenie, jakby mu ciążyła na sumieniu jakaś wina upo-
karzająca. Wyjazd jego z Warszawy wygląda jak tajemnica, na
dnie której ukrywa się coś, czego niemiło wyrazić po właściwém
imieniu. Pozory wszystkie mówią przeciwko niemu. Jakakolwiek
była to sprawa, która go spowodowała do porzucenia kraju w ta-
kiej chwili, w jakiej go rzucił, w każdym razie było to coś,
z czém nie do twarzy autorowi Bogarodzicy i Kuliku...

Taką się ta rzecz wydaje, jeżelibyśmy sądzić o niej mieli
wedle pozorów. A jednak —

Ja nie mam bezpośredniego faktu, na mocy którego mógł-
bym tu stanąć w obronie Słowackiego. Rzetelny powód jego wy-
jazdu pozostał tajemnicą na zawsze. Zdaje mi się jednak, że
przenikam tę tajemnicę. Był to okoliczność, która przynosi raczej
zaszczyt sercu, aniżeli ujme sile charakteru młodego poety. Po-
mimo tego, tak się wtedy rzeczy złożyły, że nie mogła ona
żadną miarą być powiedziana ani matce, ani krewnym. Powody
dostateczne nie pozwalają mi zagadki téj wytłómaczyć już na tém
miejscu. Znajdzie ją czytelnik dopiero wyluszczoną między zda-
rzeniami z r. 1832. Gdybym to, co tu mam w myśli, wypowie-
dzał już teraz, wyglądałoby to tylko na luźną hipotezę i na nie-
więcej. W tamtym rozdziale domysł mój się okaże podparty tyłu
przemawiającemi za trafnością jego okolicznościami, że zdaje mi
się, iż nikt o istocie prawdy wątpić wtedy już nie potrafi.

Bądź jak bądź, tymto więc krokiem, tym wyjazdem wce-
snym z Warszawy Słowacki w 22 roku życia zamknął nieroz-
myślnie pierwszą połowę zawodu swego na ziemi. Pierwsza ta ży-

cia jego epoka, spędzona na ojczystej ziemi — upłynęła mu między swymi, pośród stosunków normalnych i godzi się dodać: pod wielu względami nader pomyślnych. Od owej chwili poczęła się epoka druga: życie na wygnaniu, poniewierka między obcymi, wieczna tęsknota do ojczyzny, nieustająca świadomość czczości życia bez celu, gorzkie zawody przy każdym kroku, ciągła walka z przeciwnościami, niekiedy z niedostatkiem — i ten cały długi szereg tysiącznych cierpień, z jakich się splata smutna dola tułacza. Takięto życia koleje otwarły się teraz dla naszego poety — na zawsze, aż do samego zgonu! Czy egzystencja wśród takich okoliczności wpłynęła na podniesienie czy na spaczenie tej potężnej poetyckiej zdolności, jaką go obdarzyła natura, to się okaże w dalszych rozdziałach.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832go. Przybycie do Wrocławia, a stąd do Dreżna. Odyniec — okolice drezdeńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — ementarz Père-la-Chaise — teatru — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigrację. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacye i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Pranieiewicz — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek pomiędzy nim a Słowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie.

Od pierwszej chwili wydalenia się Słowackiego z kraju rozpoczyna się jego korespondencja z matką. Korespondencja ta regularna, szczegółowa, prowadzona bez przerwy aż do ostatnich dni życia, leży w całej zupełności przedemną. Od tej pory możemy tedy iść za poetą naszym krok w krok i nawet własnymi jego słowy opowiadać o niejednym zdarzeniu.

Wyjechał z Warszawy dnia 8 marca 1831 r. Wyjechał smutny i bez złudzeń co do sprawy publicznej.

„Nudną miałem drogę — pisał w pierwszym liście, z d. 17 marca datowanym z Wrocławia — czas dosyć brzydki; wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam; teraz jeszcze często się klóczę z mojem sumieniem. Mamo moja, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić“...

Jechał właściwie ku Dreżnu, ale trzeba było przejeżdżać przez terytoryum pruskie. Kiedy się przez granicę przeprawił, odebrano mu pasport, który miał wystawiony od rządu warszaw-

skiego, i kazano zatrzymać się w Wrocławiu, obiecując dać nowy pasport, pruski. Czekając na ten dokument, przepędził Słowacki w Wrocławiu dwa tygodnie i dni kilka pod ścisłym policyjnym nadzorem. Stał w hotelu *Goldene Gans* i nudził się w tym mieście niemiłosiernie; do czego się w części i ta przyczyniała okoliczność, że prawie nie znał wcale języka niemieckiego.

„Nie lękajcie się jednak o mnie (pisał żartobliwie w jednym z listów ówczesnych); mówię już i ja trochę tym językiem i nie jestem przymuszony, chcąc jeść zaglądać do rozmówek, jak nasz pocciwy Kl. A propos rozmówek, książeczka, którąś mi kochana Mamo przy moim odjeździe z Krzemieńca do tłómoka włożyła, nieraz mi tu służy; ale ucę się pierwój frazesu, a potém go recytuję w książeczkę nie patrząc. To jest bardziej honorowo“....

Wreszcie dano mu pasport pruski, wystawiony do Francji. Słowacki wyjechał jednak do Drezna, w zamiarze dłuższego tam atryzmania się. Przybył do Drezna w sam wielki Piątek. Stanął w hotelu pod złotą Koroną. Pierwszém miejscem, do którego się za przybyciem do miasta udał, był kościół.

„Zaraz wyszedłem na miasto — pisze w liście z dnia 12 kwietnia — albowiem mówiono mi, że w katolickim kościele ma być ładna muzyka. I slyszalem śpiewy. Trafiłem właśnie na psalm śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nutę. Pierwszy raz slyszany głos tego rodzaju — wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednój trójkat obstawiony palacemi się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie... Po obiedzie znowu wyszedłem na miasto, w nadziei iż chodząc po ulicach, napotkam gdzie Odyńca*).

*) Odyńiec przedtém mieszkał w Warszawie i tamto się z nim, jak już wyżej nadmienilem, bliżej zapoznał Słowacki. W r. 1829 puścił się atoli autor *Izory* razem z Mickiewiczem w podróż do Włoch; a właściwie podążył do niego nasamprzód do Petersburga, gdzie (w miesiącu maju) wsiadli obydwaj na okręt i puścili się morzem bałtyckim do Lubeki, stamtąd do Berlina (tu pierwsza znajomość z Garczyńskim), a z Berlina na Pragę, na Wejmar i przez Szwajcaryą — do Włoch. Zimą z 1829 na 1830 przepędzili razem w Rzymie. W maju (1830) zrobili wycieczkę do Neapolu, a stąd zwiedzili i Sycylią. W ciągu lata zwrócili się do Włoch północnych, a wreszcie nawiedzili powtórnie Szwajcaryą, tak iż w sierpniu już

Błądząc różnemi drogami, zachodzę na wielki rynek. Spotrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię — Baldiniego; nad drzwiami napisano: *Café de l'Europe*. Ha! myślę sobie, Odyńiec musi być w Europie... Wchodzę na pewno, i za pierwszym rzutem oka postrzegam naszego poetę, który mi zaraz na moje zapytanie *To Czatyrdach?* odpowiedział *Aa!...**) I nie przez jedno tylko *Aa!..* wyraził niepospolite zadziwienie. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania, i zaraz wzięwszy się za ręce poszliśmy do Odyńca kwatery. Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez swojego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancję, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, że mi tu za darmo przychodzi. Za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o pięciu oknach (a przez każde okno, jak powiada Odyńiec, inną widzę panoramę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, tylko trochę zapyloną; słowem że mogę wieczorami lampę zapalać i bajronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach mieszkania dać wam wyobrażenie, donieść muszę, że oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność patrząc na ładną córkę mojej gospodyni. Paniąka mówi po francusku, i ładnie gra na fortepianie. Waryacje Czernego zawsze mi Wilno i was wszystkich przypominają“...

Cały ton tego listu przekonywa, że pierwszy czas pobytu w stolicy saskiej nie był dla Juliusza zbyt przykry.

„Bardzo mi się to miasto podoba, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony byłem po pięknych okolicach; tutaj zaś są przesliczne.“—

Oprócz Odyńca znalazł w Dreźnie kilku innych jeszcze rodaków: Platę, Chwaliboga, Mikulicza; pannę Czacką, dobrą matki swojej znajomą; Komara, generałową Dąbrowską, panią

stanę w Genewie. (Tu pierwsza znajomość Mickiewicza ze Zygmuntem Krasińskim). W wrześniu dopiero czy październiku (1830) zostali się ze sobą obydwaj towarzysze podróży. Mickiewicz powrócił znowu do Rzymu, które to miasto dopiero w r. 1831 na wiosnę opuścił; a Odyńiec prosto z Genewy udał się do Paryża. Po upływie kilku miesięcy spędzonych w Francji przeniósł się do Niemiec i już od początku 1831 r. stale przemieszczał w Dreźnie.

*) Zakończenie jednego z najpiękniejszych Sonetów Krymskich Mickiewicza.

Szymanowską z domu Poniatowską i t. d. Niektórzy bawili w Dreźnie z całymi rodzinami i byli już znani Słowackiemu z Warszawy. Szczególniej uprzejmie był przyjmowany w domu pani Dobrzyckiej.

Pocziwa ta staruszka Polka, są własne słowa Juliusza, ma córkę, która jest pierwszą damą dworu. Ta oddawna zachwycona hymnem Bogarodzica, przyjęła mnie z otwartymi rękoma; a nad moim Kulikiem, którego jeszcze nie znacie — płakała.“

W towarzystwie poufalszych znajomych robił wycieczki do saskiej Szwajcaryi i przeglądał cenniejsze ciekawości drezdeńskie. *Grünes Gewölbe* nie sprawiło na nim takiego wrażenia, jak mu to obiecywano.

Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu; tak że mi nie nie zostaje w pamięci. Ostatnia tylko sala mocno mnie zajęła. Widok tylu brylantów razem zgromadzonych nosi na sobie cechę jakiejś wielkości, jako szczególny w swoim rodzaju.... Ciekawszym jest daleko zbiór zbroi starożytnych (*Rüstkammer*); znajduje się w nim dwóch rycerzy na koniach, doskonale dających wyobrażenie o ówczesnych walkach. Widzieć to dla poety i dla malarza bardzo potrzebne.... Śliczne są okolice Drezna! Wczoraj panna Dobrzycka i pani Asthon Angielka zaprowadziły mnie do Brysnitz nad Elbą. Nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół godziny na płaskim szczycie świątyni podobnej do chłodnika Tetydy w Zofjówce. Byliśmy zawieszeni nad Elbą. Z drugiej strony rzeki śliczne równiny, z prawej strony w odległości ładne Drezno, a okna domów przy zachodzącym słońcu paliły się jak tysiączne lampy. Kilka statków z rozpiętymi żaglami płynęło po wodzie, i kilka czółen rybackich. Oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyślenie, że przez cały czas pomimo etykiety słowa do dam nie przemówiłem.... Najczęściej chodzimy z Odyńcem do Wielkiego Ogrodu na spacer; dziwimy się tam często, jak Niemcy mogą cały dzień przepędzać nad szklanką piwa, z cygarem w gębie. Gdzie się tylko zbliżyć do tłumu, wszędzie o nas gadają, i lubią nas. Gospodyni, u której mieszkam, i córka gospodyni także bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, iż chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domu — druga, iż jeżeli by chciała mieć brata, to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem idea doskonałości“....

Wśród takich tedy rozrywek i zajęć płynął mu czas w Dreźnie—na pozór niby dość przyjemnie. Wieczory przepędzał w towarzystwie, albo też na operze włoskiej, w której bardzo smakował. Dni zapełniał pracą, jeżeli go nie odrywało od niej zwiedzanie jakiejś pięknej okolicy lub różnych miasta tego osobliwości. Praca jego ograniczała się w owych tygodniach do samego czytania, gdyż to było lato. Trzeba zaś wiedzieć, że była to już taka jego właściwość, iż dopiero z jesienią poczynala się dla niego pora zapału do pracy twórczej. Przez wiosnę zaś i lato (podobnie jak niegdyś Książnin) nie czuł w sobie zazwyczaj żadnej chęci do pisania, i nie przymuszał się też do tego. Było mu to właściwe przez całe jego życie i często też o tém i sam później wspominał. I wtedy także pisał te słowa do matki: „Przeczytałem wiele ważnych dzieł. Nic teraz nie piszę — to mój zwyczaj w lecie“....

W gruncie rzeczy wszelako było już i w owej porze niejedno, co mu zamęcało ten tryb życia pozornie tyle przyjemniocny. Żał, że wyjechał z kraju, trapił go ciagle, i to z biegiem czasu w coraz wzrastającej progresyi. W pierwszych dniach bytności swojej w Dreźnie wyrażał się tylko:—„Źle jest trochę, żem wyjechał za granicę... Przez czas jakiś miałem zamiar do Was powrócić.“ Ale już w półtora miesiąca później (dnia 6 lipca) znajdujemy natomiast owe wyżej już przytoczone utyskiwania:

„O mamó moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano.... Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyrzyte — ale przyjdzie chwila!“

Drugie, co mu dokuczało, była to niespokojność o to, co się tam dzieje z matką i z resztą rodziny.

„Gdyby nie ta niespokojność, która mnie dręczy o Was, kochani moi, byłoby mi bardzo dobrze w Dreźnie.“

Wyrozumiemy ten zabijający niepokój, jeżeli wystawimy sobie stósunki, w jakich oni tam wtedy żyli. Słowacki wyprawiał do nich list za listem, a nie odbierał od nich przez długie czasy ani litery. Przez całe cztery pierwsze miesiące, od chwili wyjazdu swego z Warszawy, nie otrzymał ani jednego słowa od matki! Tymczasem wiedział aż nadto dobrze o niebezpieczeństwach,

jakie im groziły i ze strony grasującej właśnie na Wołyniu cholery i z powodu wojny, która z wszystkimi swemi okropnościami zdawała się wisieć już po nad prowincjami owemi.

A trzecia troska była o siebie — o swoją własną przyszłość, o której nasz dobrowolny tułacz nie umiał sobie utworzyć ani nawet wyobrażenia... Natura jego, skądinąd tyłu uposażona darami, ale nad wszelki wyraz niepraktyczna — cała przeszłość jego, przebyta pod kierunkiem życzliwej bo macierzyńskiej ręki, lecz zawsze ręki obcej, więc biernie: wszystko to stawiało teraz biednego tego młodzieńca na rozdrożu, na którym radzić sobie nie umiał. Z otuchą podjąć walkę życia, ażeby przewyciężyć trudności: — to było nad jego siły. — „Napiszcie mi, co ja mam robić? gdzie się obrócić? jaki jest stan naszych interesów?“ — oto takimi słowami przemawiał do rodziny, w zupełnym braku wiadomości, co z sobą począć. Stan interesów, o który się dopytywał, byłby bardzo pomyślny, gdyby byli oboje z matką mogli żyć razem i tworzyć tylko dom jeden; a w razie rozłączenia, gdyby były choć widoki, że Juliusz zajmie z czasem pozycyą, której korzyści przyjdą w pomoc dochodom z prywatnego majątku. Ale widoków takich teraz nie było... Sława literacka — wprawdzie uśmiechała się do niego, choć w pewnej jeszcze oddali; ale na materyalne korzyści z tego tytułu, w okolicznościach jak ówczesne, bynajmniej liczyć nie było można. Otóż, co mu szczególnie odbierało otuchę. Wprawdzie miał żyć z czego chwilowo, gdyż mu matka dostarczała, czego potrzebował na utrzymanie. Ale, myślał sobie, co będzie dalej?

Były tedy przyjemne, ale też były i gorzkie, a nawet bardzo gorzkie chwile w owym drezdeńskim życiu młodego emigranta i pozostały też tego ślady w korespondencji. Tak na przykład po pierwszym liście nareszcie odebrany od matki, pisał jej między innemi, co następuje:

„W przytomności Odyńca czytałem list Twój, kochana Mamo. Nie mogłem się wstrzymać od płaczu, czytając list o Twoim nagrobku. Ponieważ lzy te miały świadka, nie chcę ich zataić, tak jak wiele innych łez, wylewanych samotnie“...

Koniec końców, w lipcu (1831) układał sobie dalszy plan taki, iż chciał czas jakiś zabawić jeszcze w Dreźnie, a potem z dziwnymi projektami pojechać dalej.

„Wyjadę przez Szwajcaryą do Neapolu, tam znajdę w jakim klasztorze, jak mi mówił H. za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszym obchodzić się będę starał. Przyjemność zaciszy wszystkie mi przyjemności zastąpi — czuję że mi jój potrzeba.“

Rozpaczliwe postanowienie! pomyśli sobie czytelnik. I poeta nasz czuć musiał to samo, skoro przerwał list na tych wyrazach, a nazajutrz, wśród dnia jasnego, tak pisał dalej:

„Niech Was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem; albowiem pisałem to wieczorem, a w wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie te myśli, bardzo by mi było dobrze w Dreźnie“...

Kiedy się zatem tak bił z myślami i układał sobie wyjazd na południe, nastąpić mający za kilka dopiero miesięcy: zaszła nagle okoliczność, która go rzuciła nie na południe, lecz na zachód i północ; i nie za kilka miesięcy, ale natychmiast. Całego więc pobytu Słowackiego w Dreźnie było tylko 4 miesiące niepełna.

„Dnia 25 lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie, i zrana zapijałem niemiecką kawę. Wtém drzwi się otwierają, wchodzi nieznajomy Jegomość i powiada mi, że przywiózł listy z kraju, z którymi jak najprędzej do Paryża i do Londynu mam jechać“. (Były to zatem listy dyplomatyczne, pisane w sprawie publicznej do rządów francuskiego i angielskiego. Do listów dołączono i fundusz na podróż, co wszystko Słowacki opisywał matce w dalszej osnowie listu figurycznie, ażeby jej nie skompromitować. Ten ustęp pomijamy. Dalej pisał tak:) „Zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą, i tak w trzy godziny po odebraniu listów, extrapocztą ruszyłem do Paryża. Wszystko koło mnie mijało jak cienie latarni czarnoksięskiej — podróżowałem dzień i noc, jak Gryzomir Krasickiego, i nie wiele więcej od niego widziałem. Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem — płaciłem po królewsku! O godzinie 12 w południe wyjechałem z Drezna — nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26go byłem w Wejmarze — interesowało mnie to miasto, jako będące miejscem pobytu Göthego — bardzo ma ładną postać... Przez noc przeje-

chałem przez Erfurt — Saxgotha — a nad rankiem piliem kawę w Eisenach... śliczne miasteczko, a jeszcze piękniejsza droga, która z niego dalej prowadzi między ogromnymi górami. W Fuldzie zatrzymałem się godzinę, dla naprawy powozu — znalazłem tam w oberży chłopca, co pisze historią teraźniejszej wojny — czyli biografią generałów — bardzo dobrze. Dnia 28 z rana byłem w Frankfurcie, tam bawiłem godzinę dla zmienienia moich wexłów. O południu byłem w Moguncyi — śliczny Ren — jaka szkoda, że na niego dłużej popatrzyć nie mogę!... Potem przeleciałem śliczne prowincje reńskie — dnia zaś 29 wieczorem wjechałem do Metz. Co za przepyszny widok! Miasto uilluminowane, jako rocznica rewolucyi francuskiej. Lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes do Prefekta Departamentu — był na balu. Zabłocony i bez koszuli prawie, bo kołnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zadziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którym byłem przyjęty. Krótki interes, który miałem do Prefekta, odbywszy pojechałem dalej. Szkaradna Francya — miasteczka gorsze od naszych miasteczek — nędza!... W południe minąłem Verdun — wieczorem w Chalon sur Marne zламаł mi się powóz — zostawiłem go tam i kazałem przedać na rzecz składek zbieranych. 31 lipca o godzinie 12 w południe wjeżdżałem do Paryża. Postyillion mój wiozł mnie najpiękniejszymi ulicami, i jemu winienem, że widział Paryż. Zajechałem do pani L. P. Prosiła mnie, żebym poszedł spać. Usłuchałem jej rady i przespawszy 4 godziny, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal i na posilenie żołądka, co uskuteczniłem w pierwszym paryskim traktyerze. Prawda że z pożytkiem wojażuję?... O godzinie 5tej wieczorem już siedziałem w chaise de poste i leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem uilluminowane miasta i miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety. Nic mi się szczególnego nie zdarzyło, oprócz (jak mówił świętej pamięci S.) oprócz powtarzam, że tylko co się nie spaliłem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał podemną i zupełnie spłonął, na pole od surduta i na kawałku kołnierza od płaszcza. Wszystkiemu temu winne cygaro, odtąd też ani cygarów ani lulki nie palę — ale nie tak z bojaźni, jak dla nadzwyczajnej tego drogości w Londynie. Ale wróćmy do podróży. Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, to jest 1 sierpnia przejeżdżałem przez Boulogne sur mer — widziałem morze — przyjemne przypomnienie Odessy. O 11 godzinie w nocy wjeżdżam do Calais — z Paryża mil 37. Śliczny ten widok latarni mor-

skich, bo każda inaczej się pali dla rozróżnienia. Stałem w *hôtel de Bourbon*. Okropnego mi wypłacali figla! Paquetbot á vapeur odszedł bezemnie. Najałem więc statek, co mnie niezmiernie kosztował, ale za to byłem panem okrętu, i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecznie najać statek, bo czekać było niepodobno do jutra. Wjeżdżając do Dover, kazałem zatknąć francuski pawilon — i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebranym na brzegu Anglikom majtkowie odpowiadali, kto i skąd jedzie. — Śliczna Anglia! murawa zieleńsza, a piasek czerwieniej farby, co pejzażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona — śliczne miasteczka! Kanterbury jak mały Londynik wygląda. O godzinie 5tej z rana dnia 3go sierpnia stanąłem w Londynie“....

Kiedy po tylu trudach podróży i bezwzględem oddaniu listów, gdzie należało, rzucił się Słowacki w hotelu na łóżko, nie przebudził się aż na trzeci dzień dopiero, tak był zmęczony! Przebudził się z fluxyą. Ale doznawał pocieszającego uczucia, że i on teraz był pożyteczny sprawie; a doznawał go tém bardziej, że sprawa ta, jak mu się wtedy zdawało, w skutek interwencji dworów, do wywołania której i on się w maleńkiej części przyczynił, miała niebawem wziąć obrot wcale pomyślny. Nie dziwi więc, że znajdujemy też w liście z Londynu wyrazy, jak na przykład te:

„Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiej wagi — to co było w mojej mocy... O moi mili, rodzina nasza będzie zdrowa!“

Będąc już w Londynie, nie chciał go porzucać, nie poznawszy miasta choć powierzchownie; najał sobie tedy na cały miesiąc mieszkanie prywatne wraz z umeblowaniem i wiktem. Płacił za to wszystko razem półtrzeciej gwinei na tydzień, to jest polskich złotych 105. Przepędził w stolicy Anglii czas od 3 sierpnia do pierwszych dni września. Uczyl się języka angielskiego, którego początki były mu już udzielane w Wilnie. Bywał też często na teatrze i zachwycał się grą sławnego naówczas artysty dramatycznego, niezrównanego w rolach zwłaszcza szekspirowskich, nazwiskiem Kean. W ogóle podobał mu się bardzo sposób, w jaki Anglicy przedstawiają tragedye. O teatrach paryskich zdania tego później nie wyrzekł, kiedy je poznał. — Między innemi zna-

omościami zawiązał też z niektórymi literatami londyńskimi stó-sunki. Jeden z nich namówił go do napisania broszury o wypadkach warszawskich, które świat polityczny tyle naówczas zajmowały, a nie były dokładnie znane nikomu z cudzoziemców. Słowacki napisał ją po francusku, Anglik przetłumaczył na angielskie i wydał pod swoim imieniem. Tytuł broszury nie jest mi wiadomy, ani też nazwisko owego Anglika. Przyniosło to naszemu autorowi 50 dukatów dochodu, właśnie więc tyle, ile go po-byt w Londynie kosztował, zliczywszy wszystko. Miał tedy to po-cieszające przeświadczenie, że to dłuższe zatrzymanie się jego w Londynie nie przyniosło matce wydatku, jako i podróż do Anglii także nie zrobiła żadnego uszczerbku skromnym jego fun-duszom. — Londyn bardzo mu się podobał.

„Wiele miałem w nim — powiada w liście już po wy-jeździe z Anglii pisanym (z d. 10 września 1831) — chwil zachwycających. Przyjemne miasto! Wszedłszy na samą ku-lę wieży św. Pawła, rzuciłem okiem w około i pomimo nie-zmierniej wysokości wieży, z żadnej strony końca miasta nie było widać. Domy aż za horyzont się rozciągały, i pyszna Tamiza z ogromnymi mostami, i za ostatnim mostem las ogromny masztów, i nad brzegami Tamizy do obelisków po-dobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu — wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiędzałem także, ale dla przygoto-wań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć kąta poe-tów, który mnie najwięcej interesował. Dziwny ma pozór dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowymi kamienia-mi — i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem zastanawiają się, czytając je pod noga-mi... Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliższych sławnych ludzi spoczywać.“ —

Przy końcu pobytu Słowackiego w Londynie przyjechał tam i Niemcewicz (a zatem ku końcowi sierpnia).

„Widywałem się ze staruszką — mile od niego przy-jmowany. Wyrzucał mi, że mojej tragedii litewskiej (Min-dowe) grać nie kazałem. Staruszek trochę chory — smu-tny — i niepewny przyszłości. Ale Bóg czuwa nad nami“...

Kiedy przyszła godzina wyjazdu i pożegnania się z gospo-darstwem domu, jako też z innymi mieszkańcami jego, którzy

wszyscy pod tymiż co on warunkami zasiadali z nim razem do wspólnego stołu: miał Juliusz znowu miłą chwilę. Przekonał się bowiem, że i pod obcym niebem, że i w krajach okrzyczanych za materyalne, można znaleźć serca poczciwe i niewątpliwe sym-patye dla doli narodu, którego był członkiem.

„Nie możecie sobie wystawić, powiada, z jakim wy-laniem się, z jaką czułością żegnali mnie Anglicy. Ręka mnie bolała od ściskania się — wszyscy wstali od stołu, co u Anglików jest niesłychaną rzeczą, aby mnie odprowa-dzić do powozu.“

Podróż jego skierowana była do Paryża, ale nie odbyła się tym razem bez przygód.

„W nocy wyjechałem z Londynu. Nad rankiem staną-łem w Dover — tam cały dzień czekać musiałem na odej-ście statku parowego. O 4tej po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze. Im dalej płynęliśmy, tém było okro-pnięj. Calais choć mała cieśnina, ale niezmiernie burzliwa. O godzinie 10tej w nocy ciemność była okropna i fale tak wzburzone, że przelatwały przez pokład. Znużony i drę-czony morską słabością, poszedłem do kabiny czyli do sa-lonu. Dziwny widok, że czterdzieści osób leżało na sofach i na podłodze — szczęściem miejsce małeńkie na sofie zna-lazłem — skurczyłem się i zasnęłem. A jednak pomyślałem sobie przed snem, iż się może gdzie indziej przebudzę. O godzinie 12tej w nocy obudzono mnie rozmową. Dowiedzia-łem się z rozpaczą prawie, iż do portu Calais wpłynąć by-lo niepodobieństwem, bo tegoż ranka przy wejściu do por-tu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go. Znow więc kilka godzin morskiej słabości. Wracamy do Dover, lecz nimeśmy wrócili, wiatr ustał, i napowrót ka-pitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8mej z rana przybyliśmy. Śliczne było słońce wschodzące na morzu, mia-łem więc wyobrażenie burzy.“

Po tych przeprawach, bez żadnych już przeszkód dostał się do Paryża. Przybył tam w zamiarze stałego na czas jakiś zamie-szkania — około 6go albo 7go września i zaraz urządził się w wła-snym kąci, po swojemu. Miał, jak mówi w liście do matki, śliczny mały pokój, z mahoniowymi meblami i marmurowym kominkiem, który mu wielkie przyjemności obiecywał na zimę. Dopytywał się zaraz o znajomych; ale okazało się, że nie zastał tych, których najwięcej widzieć życzył sobie. Mickiewicz miano-

wicie i Górecki byli wprawdzie czas pewien przedtém w Paryżu; ale przed jego jeszcze przyjazdem opuścili Francją i bawili na tenczas w Dreźnie.

Paryż nie zrobił na Słowackim przyjemnego wrażenia; równie i Francuzi wcale nie odpowiedzieli jego oczekiwaniom. Porównanie z Londynem i z Anglikami, które się mimowolnie samo przez się nastęczało, wypadło już w pierwszej chwili na niekorzyść Francuzów.

„Londyn jest zupełnie oryginalnym, Paryż podobny do innych miast, do Warszawy... W Paryżu piękne pałace i ogród Tuilleryjski z swemi drzewami bardzo piękny; ale cóż za podobieństwo do ogromnego parku James w Londynie, gdzie po obszernej murawie rozrzucone olbrzymie drzewa i pasą się najpiękniejsze trzody, i naokoło ogromne pałace z drzewami pokazują się wpół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności widokom angielskim“...

Równie niekorzystnie sądził i o mieszkańcach Paryża.

„Wiele zbiegłem świata, pisał w jednym z późniejszych listów (20 października 1831) — żyłem z Anglikami, bo mi się podobali, z Francuzami nie żyję. Mam do nich jakąś nieprzezwyciężoną odrazę. Taka nieszczerłość... i tak wiele gadają! Samotny prawie przepędzam dzień cały.“ ...„Jeden najmilszy z wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu *Père la Chaise*. Nic nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju. Za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można. Różne drogi krzyżują się w tym lesie — w cyprysach mnóstwo róż miesięcznych, białych ale kwitnących wiecznie. Czasem ognistym kwiatem błysnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie, najczęściej małe kolumny z białego marmuru. We środku na górze jest mała kaplica. Stamtąd wzrok po murawie, z wierzchołków cyprysowych utworzonej, spada na dół i z dala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swymi gmachami. Nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. — Czarne wozy ciągle tam przez główną ulicę przejeżdżają — ale pogrzeby tu bardzo ciche — u nas tak Żydów chowają. — Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wiankami z świeżych i z sztucznych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów. Każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoją boleść, a kiedy da kil-

kanaście, to kwiaty z płótna aż po roku dopiero trzeba będzie odmienić.“

Takisam wyrok potępiający znajdujemy i o teatrach paryskich.

„Byłem na kilku teatrach — nie możecie sobie wystawić, jak Francuzi szkaradnie grają tragedję. Każdy wiersz przez nadprzyrodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu, na piękne kawałki świszczą — nie nie lubią, tylko małe komedjki. W każdej musi być Dej algierski. Tego wiecznie dręczą, i zdaje im się, że to jest sława narodowa. Byłem na takim wodewillu — zupełnie podobny do Siedem razy jeden. Francuzi rozplywali się.“

Takie to były pierwsze wrażenia, które na naszym wędrowcu sprawiła stolica Francji i stósunki tamtejsze. Z upływem jakiegoś czasu sądy jego o tém wszystkiém zmieniły się cokolwiek. Pobyt w Paryżu zaczynał być przyjemniejszym dla niego przynajmniej o tyle, że nabierało mu się wiele znajomości — tak między rodakami już dawniej zamieszkałymi w Paryżu, jak przybywającymi coraz liczniej dopiero za jego tam bytności — na emigracyą. Został też wprowadzony do domu XX. Czartoryskich i szczegółowo matce w listach swoich opisuje poniedziałkowe recepcje w hotelu Lambert, na których bywał przyjmowany gościnie. Za jedną znajomością szły drugie. Do hr. Platerów (Ludwikostwa) był zamówiony raz na zawsze na wieczory czwartkowe; oprócz tego pełno w listach jego wzmianek o różnych Polakach, z którymi już w pierwszych miesiącach pobytu swego w Paryżu znajomości albo pozawieżywał albo poodnawiał. Leonard Chodźko, Antoni Górecki, Lelewel, Władysław i Cezary Platerowie, Michał Podczaszyński, Oleszczyński rytownik, Michał Skibiński, — oto kilka nazwisk więcej znanych z pomiędzy większej liczby rodaków, których znał, widywał i o których w listach swoich wspomina. —

Co się tyczy Lelewela, który przybył do Paryża zaraz po upadku powstania i spotykał się ze Słowackim przy różnych emigracyjnych uroczystościach, widzę się tu zmuszonym dodać, że go nasz poeta nie lubił. Wyrażał się w listach o nim zawsze z wielką goryczą. Oto na przykład, co o nim pisał z okazji rocznicy 29 listopada obchodzonej w Paryżu w r. 1831.

„Rej wodził na tym wieczorze znajomy niegdyś w Krzemieńcu tancerz, dzisiaj zjedzony przez mole biblioteczne, chudy, z dwoma czerwonymi plamami na policzkach, któremu do ozdoby jeszcze wasy przybyły.“ (z listu z d. 10 grudnia 1831).

Przy innéj sposobności, z powodu polecenia, które mu przysłano z domu, ażeby się kłaniał Lelewelowi:

„Kłaniałem się, powiada, kutasom u bótów, które mile to przyjęły. Wy je uwielbiacie, szczęśliwi! Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi. Jestto *le prophète voilé de Korashan*, tak go nazywamy ze Skibickim.“ (d. 7 marca 1832).

Niesnaski podobne pomiędzy pierwszymi naszymi znakomitościami niewarteby były wspomnienia, i chętniebym je był położył „w letejskich zapomnienia falach“, gdyby nie okoliczność, że mi się później przyjdzie w rzeczy nader ważnej do tego, co tu teraz powiedziałem, odwołać. W tymto celu — lubo ze wstrętem — wypisałem powyższe miejsca z korespondencji Juliusza; i konstatuję niniejszém fakt stanowczej niechęci, już w owym czasie mającej miejsce, pomiędzy tymi dwoma pisarzami naszymi.

Stósunki te z emigracją nie wystarczały jednak idealnym, a raczej exaltowanym pragnieniom Słowackiego. Źródłem ostateczném takowych była tęsknota do kraju, choć może zupełnie świadomie sam sobie wtedy jeszcze nie zdawał z tego sprawy. Dlatego też usposobienie jego ówczesne bardzo było niejednostajne. Czasem znajdujemy go rozpyływającego się w jakichś błogich uczuciach szczęścia i miłości ku ludziom; a bywały znowu chwile, gdzie go nudziło i ziębiło śmiertelnie całe owo otoczenie jego paryskie. Wtedy sądził o nim z lodowém szyderstwem, z odtrącającém, pogardliwém lekceważeniem! To też oczywiście pozostały i w listach ślady to jednych uczuć, to drugich. Są wprowadzić miejsca w korespondencji (zresztą tak rzadkie, iż to śmiało do ustępów wyjątkowych zaliczyć można) gdzie pisał:

„Mamo! Nie śmiem Ci napisać, że mi teraz lepiej na świecie, niż kiedykolwiek było; bo sobie wyrzucam, że ja mogę być bez ciebie, kochana matko, szczęśliwy! Ale widząc, jakto wielu ludzi teraz lubi mnie i kocha i mogę

powiedzieć uwielbia, nie wstydziłabyś się swego syna.“ (list z d. 7 marca 1832 r.).

Jednakże obok podobnych zwierzeń, daleko więcej dałoby się przywieść ustępów, w których zupełnie innym tonem przemawia.

„Wiele mam teraz znajomych (pisał na przykład d. 10 grudnia 1831); ale żadnego milego, żadnego z którymby mi było żyć przyjemnie. I chciałbym jak najprędzej wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojej wyobraźni; bo Paryż bardzo prozaiczny — szkaradny — ani tak świetny, jak był kiedyś dawniej. Trzyma mię w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować. Ale już tyle moich nadziei na niczém spełzło.“ —

Albo weźmy inne miejsce (z listu z d. 24 stycznia 1832 r.):

„Towarzystwo moje w Paryżu bardzo się powiększyło. Wielu mam nawet szkolnych kolegów; ale wszystko nie ci, którychbym sobie życzył. Słowem, że nie mam prawie towarzystwa. Życie moje bardzo jednostajne, i gdybym go sobie literaturą nie urozmaicał, nudneby było. Najlepiej jestem z jednym Anglikiem, z którym często wieczory przepędzam i chodzę na spacer. Temu winienem, iż po angielsku już trzępię, a rozumiem wszystko doskonale. Jedną więc z moich największych przyjemności jest to, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Walterscoata pokaże.... Życie moje, jak mówiłem, jest więc bardzo jednostajne; zrana wstaje o godzinie 10tej — piję herbatę w domu — potem piszę — potem idę czytać gazety — o czwartej idę na obiad, gdzie się schodzi wielu Polaków. Tam się zawsze widzę i gawędzę z godzinę z A. Góreckim, dawniej pierwszym poetą (?). Jest on teraz w Paryżu, przyjechał z Dreżna — i zrobił mi wielką przyjemność, przywożąc mi ukłony od ładnej Saxonki, córki mojej gospodyni...“

Dwa te wyjątki z korespondencji wystarczą, ażeby zrozumiał to czytelnik, że Paryż Słowackiego niczém tedy w murach swoich nie więził; i że jeżeli w nim bawił, to tylko w nadziei, że może znajdzie tu dla dzieł swoich nakładcę, albo też jakim innym sposobem te dziecięta duszy swojej, jak był zwykł plody swoje nazywać, potrafi wyprowadzić pomiędzy ludzi.

A było w owym czasie kilkoro już tych dzieciąt w samotnej Słowackiego pracowni. Dotąd nie miałem jeszcze sposobności po-

wiedzenia choć słówka o autorskich jego zajęciach. I w tém miejscu także jeszcze nie pora rozgadania się o nich. Tyle jednakże nie zawadzi już tutaj mimochodem nadmienić, że zaczął poeta nasz sił doświadczać w tym zawodzie wymodlonym sobie od Boga, już w rychłym wieku. Z rzeczy napisanych na szkolnej jeszcze ławie nie pozostało ani śladu, choć było to tam tego pewnie mało. Co powstało po wyjściu ze szkół — w latach uniwersyteckich i za pobytu jego w Warszawie — z tego dopiero to i owo przechowywał u siebie w tece. Małą próbę téj najrychlejszój Słowackiego poezji zamieściłem na czele tomu Igo pism jego pośmiertnych, których wydanie staraniom moim udało się przywieść do skutku. Duma ukraińska była pisana w Wilnie w roku 1826. Na rok 1827 przypadają cztery Sonety, widocznie utworzone pod wpływem wydanych właśnie rokiem pierwej sonetów Mickiewicza. Owocem roku 1828 był poemat pod napisem Szanfary — błada kopia owéj poezji oryentalno-angielskiej, która wtedy dostarczała natchnienia i starszym od Słowackiego pisarzom w kole mianowicie literatów litewskich (Al. Chodźko, Julian Korsak itp.). — Wszystkie te próby były dość słabe, jak na młodzieńca już kończącego uniwersytet i mającego zajaśnić kiedyś takim blaskiem poetyckiej potęgi. W Warszawie dopiero zaczął się ten olbrzymi talent rażniej rozwijać. W roku 1829 napisał poemat Hugo i dramat Mindowe. W 1830 przybył do tego Mnich, Bielecki, Marya Stuart, jako też cztery owe wspomniane przezemnie już przy innéj sposobności liryczne jego utwory (Kulik — Oda do Wolności — Bogarodzica — Pieśń Legionu litewskiego), zaimprovizowane w skutek politycznych zdarzeń zaszłych na końcu owego roku i ogłoszone drukiem. Na początku roku 1831 powstała pieśń pierwsza Żmii...

To są wszystkie prace lat jego młodocianych, o których doszła do mnie wiadomość*). Wnosić jednak należy, że musiało ich

*) Właśnie kiedyś miał te arkusze pisma mojego odesłać już do drukarni, przyniesiono mi numer 32 (z r. 1866) Kłósów warszawskich, w którym zamieszczona jest bezimiennego autora korespondencya z Brukselli, a w niej szczegóły o odszukanym rękopisie

być i więcej jeszcze: jeśli choć w części tylko jest prawdą to co pisał do matki swojój żartobliwie Słowacki przybywszy do Wrocławia w roku 1831 zaraz po wyjeździe z Warszawy za granicę:

jakichś młodzieńczych poezji Słowackiego, których między pośmiertnymi poety mego papierami ja nie znalazłem. — „Autor Lilli Wenedy — pisze autor rzeczonéj korespondencyi — zagubił przypadkowo w przejeździe przez Niemcy najpierwsze (?) poezye swoje, pisane w Warszawie 1829 roku. Później przez cały ciąg życia napróżno szukał tego rękopisu. Dopiero po śmierci poety, przed niedawnym czasem dostała się ta książeczka w ręce, które zapewne będą umiały zrobić z niéj użytek. Szacowną tę puszczynę stanowi niewielki zeszyt (stron 154, format 16kowy), oprawny w czerwony, złożony, safianowy papier, zapisany w całości własną ręką poety, z rysunkami, esami i floresami jego własnéj ręki.

„Na końcu téj książeczki znajduje się następująca notatka:

„Warszawa 15 listopada 1830 r.

„Oddałem do cenzury, a wkrótce oddam do druku moje wiersze: Maryą Stuart tragedya, Jana Bieleckiego powieść, Huga, Mnicha i Araba. Jakiż będzie mój zawód literacki?“

„Nieźmiernie ciekawe (mówi dalej autor korespondencyi) są w téj książeczce notatki pod napisem: Wydatki i przychody z dzieł moich:

„Za wydrukowanie Bogarodzicy zapłaciłem złp. 200. Wyplacili mi księgarze Gałęzowski, Zawadzki i Węcki, Merzbach, Hugues i Kerman, Brzezina i Kenkel, razem wszyscy złp. 144. Straciłem na Bogarodzicy złp. 56.

„Za wydrukowanie Kulika zapłaciłem złp. 263. Wyplacili mi księgarze złp. 163. Straciłem na Kuliku złp. 100.“

Wreszcie donosi korespondent, że się w rzeczonéj książeczce mieścić mają elegie, melodye, dumania, sonety, urywki i rozmaite drobne wiersze; i udziela w Kłósach na próbę „Piosnkę dziewczyni“, która zdaje się być ustępem z jakiejś dłuższéj całości.

Skoro tylko (dawniej jeszcze) się dowiedziałem z pism peryodycznych o exystencyi tego zbioru poezji, udałem się listownie do osoby będącéj w ich posiadaniu, prosząc o pozwolenie wcielenia ich do powszechnego zbioru pism Słowackiego pozgonnych, których wydanie tu we Lwowie właśnie się wtedy przeprowadzało. Gdyby tego potrzeba była, ofiarowałem się złożyć i honorarium, byleby tylko zapewnić tym rzeczom ocalenie, a wydaniu mojemu nadać zaletę istotnéj kompletności. Nie wiem, czy list mój nie doszedł owych „rąk, które (jak się autor brukselskiej korespondencyi wyraża) będą umiały zrobić z odszukanego rękopisu użytek“; czy też raczej tam osądzono, że ten użytek koniecznie musi być zrobiony viribus separatis:—dość

„Wszystko moje z sobą niosę, to jest mały tłumoczek, a w tłumoczku trochę bielizny i... mnóstwo wierszy. Szkaradne wiersze! wagę mego tłumoka do 46 funtów podniosły“...

Dajmyż na to, że w tych słowach było wiele przesady. Jakikolwiek jednakże mógł być stosunek między ową trochę bielizną a wierszami: zawsze przypuścić można, że było tam pewnie materiału zadosyć, ażeby czém zapelnąć parę tomików. — Od owego czasu upłynęło znowu kilka miesięcy. Minęło lato — i jesień; nadeszła zima, na początku której, jak to wyżej już powiedziałem, u Słowackiego zazwyczaj krynice poetyczne zbierały. Dawne zasoby warszawskie zapewne pomnożone zostały znowu jakim świeżym przybytkiem. Było tedy co drukować, i gorąco tego pragnął młody poeta. Ale życzeniu temu stał na przeszkodzie brak funduszu potrzebnego na pokrycie kosztów z tego wynikających. Nadzieja znalezienia nakładcy pomiędzy wydawcami z rzemiosła rozbiła się bardzo rychło o nieprzewidywane trudności. Pośród rodaków było wprawdzie niemało takich, którzy robili Słowackiemu wyrzuty, iż niczego nie drukuje; ale takiego, któryby się ofiarował z materialną pomocą do ogłoszenia dzieł jego, takiego między nimi nie było! Szukać go i wyciągać rękę po datek, jakby po jałmużnę — tego Juliusz nie chciał. Wynikło tedy ze wszystkiego bardzo rychło to smutne przeświadczenie, że jeżeli te dzieła miały kiedy być ogłoszone, to chyba własnym nakładem. Ale skądże go było wziąć, kiedy autorowi zaledwie wystarczało na życie? Przez czas jakiś, zaraz za przybyciem do Paryża, nosił on się z myślą, że może na inną drogę trafi do celu. Najdośćniejszą i najprędzej wynagradzającą pracę autorską gałęzią w literaturze francuskiej było już i w owych latach powieściarstwo. Słowacki władał niezłe językiem francuskim; ułożył sobie zatem napisać romans po francusku, pomyślany na tle stosunków

że starania moje pozostały bez skutku. Wcale nie raczyła osoba dotycząca odpowiedzieć na mój list. Skończy się pewnie na tém, że te rzeczy albo przypadną, albo kapaniną pojawiać się będą w pojedynczych numerach jakiego dziennika emigracyjnego, który tu w kraju — przy i tak już zbyt ciężkiej masie najrozmaitszych pism peryodycznych — mało przez kogo będzie czytany.

polskich. Honorarium, któreby za niego od Francuzów otrzymał, zamierzał włożyć w wydawnictwo swoich poezyi. Chociaż się zawsze wzdrygał przed myślą pisać coś, że tak powiem, na obstatunek, za pieniądze i dla pieniędzy: wtedy jednak przez wzgląd na to, że nieraz wiele robi miłość kochającego ojca dla swoich dzieciąt, potrzebujących sukienki, w którejby się na świecie ukazać mogły, — wziął rzeczywiście pióro do ręki i zaczął pisać powieść francuską. Było to w styczniu 1832 roku. Znajdujemy o tém w jednym z listów z owego czasu następującą wzmiankę:

„Kręca mi się po głowie teraz wszystkie anegdoty; bo powiem wam pod sekretem, iż piszę romans po francusku — z naszych brzyginalów. Scena na Ukrainie — głównymi osobami są s. p. szlachcic, co obchodził święta Cerery (podobno jakiś Marchocki), i drugi co podróż do Turcji czy do Anglii odbywał (Rzewuski), a trzeci geometer Zszantyr. Wszystko sprzężone z wielu fikcjami i z długimi rozmowami w guście Waltera Scotta, i z długimi obiadami — w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków. Słowem będzie to chef d'oeuvre, za które mi powinni zapłacić jako za takie. Mam już 5 rozdziałów i tylko mi jeszcze 25 nie staje — to bardzo niewiele! Ale nie mówcie o tém nikomu, bo wystawiając żywe oryginały, można się kiedy z nimi spotkać. J'aurai cependant la précaution de faire périr mes personnages à la fin de la pièce — pour qu'on ne puisse plus les retrouver dans le monde; stąd możecie sobie wystawić, że będzie wiele krwi rozlewu — uniknę tego, połowę osób wieszając“...

Z samego tonu baraszkującego, jakim tu sam autor o dziele swoim przemawia, wynika, że nie przywiązywał doń żadnego znaczenia i traktował je jako robotę rzemieślniczą. Jakoż zdaje się, że się na owych pięciu rozdziałach rzecz też podobno urwała; ani bowiem nie takiego nigdy z druku nie wyszło, ani też nie wspomniał już drugi raz o tém Słowacki w korespondencji. Ziściło się zatem i przy tej sposobności, co był już dawniej napisał: „za pieniądze pisać nie mogę zupełnie; ile razy o tém myślę, imaginacją mam zupełnie skrzeplą,“ itd.

Skoro tedy znikąd nie było widoku otrzymania zasiłku na

owo przedsięwzięcie, udał się po pomoc ostatecznie do matki. Zapytywał rodzinę, czyby nie można podnieść jakiego kapitału — i pisał w tym interesie jak następuje:

„Za kilka tysięcy wdzięczny wam będę. Widzicie sami, że dla mnie nie ma innego widoku, jak te nieszczęśliwe poezye. Czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja w moim życiu, zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem. Innéj nie spodziewałem się kariery. Kiedy z małego ułomku znany byłem wszystkim Polakom w Paryżu i Dreźnie; kiedy jeszcze dotąd każdy poznając się ze mną wykrzyka: a! to autor Bogarodzicy: czegoż spodziewać się mogę na przyszłość? Przynajmniej nie zapomnienia! Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego, co mi najwięcej w życiu zrobiło przyjemności. Jeżeliby mi się szczęśliwie z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpanii — a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym i Wenecją, Tryest, Wiedeń wrócić kiedyś do Was, jeżeli będzie można. Jakbym był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały!“...

Powiedzmy jednak już w tém miejscu nawiasem, że ta myśl powrotu do ojczyzny nasuwała mu się wtedy tylko przelotnie. W istocie bowiem nie wchodziła ona wtedy w stałe jego projekta. W innych listach, pisanych około tegosamego czasu, budował on sobie zupełnie inne plany.

„Wasz kraj tak mi się pięknym teraz wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy. O powrocie ani myśleć, bo powiedzcie, cobym ja teraz tam robił? Różnica kosztów bardzo mała, czy tam, czy za granicą“...

I w innym miejscu:

„Często sobie myślę, jeżeli mi Bóg w moim zawodzie poszczęści, jeżeli będę miał jakie przychody, co wynosić będą z 5000 franków na rok: wtenczas matko, przyjeżdżesz do Dreżna — tam życie bardzo tanie — najmiemy sobie jaki wiejski domek pod miastem — i może będzie nam dobrze! Dreżno bardzo lubię i radbym tam wrócić.“ —

Matka pocziwa zrozumiawszy żądanie syna, dotyczące owej sumy na druk poezyi, uczyniła niezwłocznie, co tylko mogło, tak iż już list Juliusza z d. 7 marca 1832 r. zaczynał się od słów:

„Mamo kochana! nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy! I tobie to, Matko moja, winienem jedynie szczęście

jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi. Za dwa miesiące będziesz je Mama miała. To taksamo, jakbyś mnie zobaczyła — bo ja nie jestem niczém inném, jak mojem poezyami“...

Z dalszego toku listu dowiadujemy się o wszystkich niemal okolicznościach ubocznych, które towarzyszyły oddaniu pod prasę owych poezyi. A że wiąże się z tém i inny jeszcze szczegół, o którym w biografii Juliusza zupełnie przemilczećby nie można: — przytaczam tedy rzecz tę całą własnymi jego słowami:

„W poniedziałek, d. 22 lutego, siedzę rano u siebie; aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 franków. I natychmiast składa mi na stole całą sumę w biletach, razem z listem od Mamy. Od téj chwili inne zaczęło się dla mnie życie.... Zaraz nazajutrz rano poszedłem do drukarni Pinnard o druk się układać, i tam zastałem bardzo ładną pannę Pinnard (najstarszą), której narzeczony zawiaduje drukarnią. Ten narzeczony był bardzo grzeczny dla mnie. Ułożyłem się o druk, i dwa tomy będą mnie kosztować nie tak wiele, jakem się spodziewał. (Kosztowały go 2000 franków, jak w inném miejscu nadmieniam). Potém zostałem z panną Pinnard i z tą długo gadaliśmy. Chodźko mówił mi, iż odemnie o trzecią część biorą taniej, niż brali za dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze to poznawać się z panienkami — dobrze się zostać przy kominku i o czém inném niż o interesach pogadać“...

W pięć dni później opisywał Słowacki matce bytność swoją na obiedzie u panien Pinnard, na który był proszony, i powiada co następuje:

„Znalazłem tam Chodźkę (Leonarda), Średnia z panien, których jest trzy, nazywa się Kora. Śliczna! zupełnie taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda, ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja nieszczęśliwy więcej daleko podobałem się pannie Pinnard najstarszej, która coś na sawantkę zakrawa. A ponieważ mam dobre uszy, podsłuchiłem jęj rozmowy z Chodźką. Mówiła mu, że mnie znajduje bardzo do rzeczy i z do-wcipem. A on jęj na to odpowiedział: *mais, les Polonais ne sont pas bêtes!* Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, że zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupimi! — Po obiedzie zo-

stałem sam z pannami, i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypominałem sobie ciche domowe wieczory w Wilnie. Na-
zajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na
teatrze słyszałem.“ —

W niespełna miesiąc potem, znowu pisał matce tyle jeszcze
o tejże okoliczności.

„Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć. Dzi-
wne prawdziwie moje lekcye! Starsza siostra bardzo z tego
kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy jej mówiłem,
jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i pan-
ny się kształcą. Chce więc zapewne, aby się panna Kora
uformowała. Bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły
wpadła sposób; panna Kora płakała cały ranek, nim ja
przyszedłem. Dziwna dziewczyna! Mówiłem wam, że Hi-
szpanki ma zakrój. Wieczór razem ze Skibickim na wło-
skiej operze pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków:
a jednak — nudziłem się...”

I jeszcze raz, w tymże liście — wraca do owęj dziewczynki
z okazji innego zdarzenia.

„W Paryżu cholera! Z rana przyszedłszy do drukarni,
zastąpiłem całą skonsternowaną. Chłopiec mały 15letni umarł
na cholere. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać
panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że kiedy chło-
piec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy stali w około bładzi
i przerażeni, tak że nikt się tknąć chorego nie ważył —
moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała le-
karstwo. Gdy się o tem dowiedziałem, chciałem gwałto-
wnie w obecności wszystkich chwycić ją i ucałować — szcze-
ściem że rozważa przybyła mi w porę.“

W ciągu tego wszystkiego, druk poezyi postępował raźnie
naprzód. Uwaga rodaków na emigracyi żyjących zwracała się co-
raz więcej na młodego poetę i zdarzały się różne okoliczności,
które go zachęcały w jego zawodzie, ośmielały w rozumieniu o
sobie, a częstokroć też niestety bałamucili i psuły. Podsycali
bowiem tę próżność i dumę i miłość własną, którą mu wprawdzie
wszyscy chętnie wybaczymy, był to bowiem bardzo młody czło-
wiek natenczas, ale która ostatecznie nie należała bynajmniej do
warunków jego powodzenia autorskiego w przyszłości. Raczej prze-
ciwnie! Jedną okoliczność taką sam szeroko opisał. Było dzień

25 marca, przeznaczony na obchód ~~ar~~roczyzny rocznicy litewskie-
go powstania.

„Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między któ-
rymi znajdował się podpis Julliena starego (wydawcy Revue
Encyclopédique, znanego z życzliwości dla naszych), list za-
klinający mnie, abym na posiedzeniu literackim czytał.
Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem ody,
w której umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przy-
szedł wieczór — ogromne zgromadzenie — mnóstwo dam
polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafeyette przy-
dował — wszyscy czytali po francusku — Lelewel także.
Czytano wiersze francuskie — potem na końcu Wicepre-
zes obracając się do zgromadzenia rzekł, że towarzystwo
uprosiło największego z poetów polskich (?!), aże-
by po polsku deklamował, a stąd wzywa Pana Słowackie-
go, aby zasiadł miejsce. Pan Słowacki nie zasiadł, lecz
stojąc mówił — co? trudno opisać. Rzuciłem całem zgro-
madzeniem — potem rozlałem wiersz ody, i powiedziałem
jedną śliczną historyczną powieść w trzydziestu wier-
szach, — znów wróciłem do ody — i zakończyłem myślą
z Lambra wyjętą. Wypiszę ją tu:

„Ja będę śpiewał i dążył do kresu,

Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce....

Tak Egipcjanin w liście z aloesu

Obwija zwiędłe umarłego serce;

Na liściu pisze zmartwychwstania słowa —

Chociaż tém liściem serce nie ożyje,

Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,

W proch nie rozsypie.... Godzina wybije,

Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie;

Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie“....

„Po skończeniu Prezes ścisnął mnie za rękę i gadałem
z nim przez chwilę — starzec interesujący! Francuzi mó-
wili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko rozumie-
li prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam —
obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone
na mnie, że moje musiałem odwrócić — i znów spojrzałem, i
jeszcze to samo spojrzenie. Żeby tak długo, tobym zwaryował.
Potem słyszę głos jednej damy po polsku pytającej się wszy-
stkich o mnie. Była to pani B. którą w Dreźnie znałem. Ta skoro
mnie spostrzegła, przyleciała z krzykiem: „Ach! serce Pa-
na!“ Odpowiedziałem, że się cieszę, jeżeli się jej moje ser-
ce podoba. Potem wymawiała mi, że u niej nie byłem. Po-
tem pytała mię, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce

zapisać swój adres. Gdybym go był miał, to ręczę że w pugilaresie znalazłbym potem coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka! Ale ja z najzimniejszą krwią wziąłem ze stołu pióro i kawałek papieru i dałem te materyały nieromantyczne, co znacznie zapalał jęć osłabiło, tak iż tylko o mieszkaniu samem dowiedziałem się. Potem w kilka dni byłem na wieczorze u Platerów, gdzie znów nowe obojęj płci zbierałem pochwały, gdzie pan Jullien znów się do mnie przyśiadł i upewniał, że Ode zrozumiał“...

Podobnie odurzały go także dochodzące ze wszzech stron wieści o recenzentach, o tłómaczach itd. już gotowych do rozślawienia imienia jego na wszystkie końce świata i tylko oczekujących z natężoną niecierpliwością wyjścia drukujących się poezyi.

„Dowiedziałem się — pisał z niezachwianą ufnością w ich powodzenie, w tymże samym liście — że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezyi pisać.... Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem na zawsze, tak jak Murray Byrona — i będzie mnie oszukiwał... Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął do tłómaczenia mego Mnicha i Araba. Skibicki pisze do Revue Encyclopédique o moich poezjach, i tam będą umieszczone dwa Lemaitra tłómaczenia... Sienkiewicz (Karol) dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Bł. z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzej poezye moje przysłał, bo je chce na angielski język tłómaczyć. Widzisz, kochano matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze, i pewny jestem że wszyscy moi tłómacze lepiej niż ja wyjdą. Miło mi wreszcie, że to Sienkiewicz tłómaczyć będzie — i mimowolnie przypominałem sobie Mikulskiego, który mi radził niegdyś poezyi zaniechać, mówiąc że Sienkiewicz daleko większym odemnie był poetą, a przecież tego błahego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykołę kiedyś oczy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłómaczone moje poezye.“*)

*) Nie od rzeczy może będzie już w tém miejscu nadmienić, że oprócz przekładu na język francuski Bogarodzicy i Araba, dokonanego przez Lemaitra, żadno z tłómaczeń tu zapowiedzianych do skutku nie przyszło. Skończyło się to więc na niedoszłych projektach z jednej strony — a na płonnych nadziejach z drugiej. — Przekład Lemaitra wyszedł 1833 r. w Revue, i także w osobnej odbitce.

Przytoczone ustępy wystarczą, ażeby czytelnik powziął wyobrażenie o stopniu błęgiego upojenia, jakiem odurzały poetę — przed ogłoszeniem jeszcze poezyi — ryczałtowe pochwały ze strony osób bezpośrednio go otaczających, osobiście jemu życzliwych, zresztą olśnionych nowowschodzącą gwiazdą jego poetyckiej sławy. Cieszył on się téj sławie swojej, jak dziecko cacku, za którym dawno, za którym długo gonilo, a teraz ma je już tak blisko przed sobą, że dość wyciągnąć rękę, ażeby je pochwycić. Było to jedyne pragnienie jego na ziemi, jedyna namiętność, powiedziałbym: jedyna sprawa, która go przywiązywała do świata. Dla téj marnéj sławy potomnej wszystkiego się wyrzekał. Teraz zdawało mu się — po raz pierwszy w życiu, w życiu tak jeszcze młodem, że ją posiadał nareszcie. Przebacmyż mu, że go tu zdobyjemy na rojeniach, które tezną taką dozą miłości własnej i dumy. Coby to było, gdyby się te rojenia były ziściły od razu!...

Były jednak chwile, gdzie się Juliusz w tém wysokim rozumieniu o sobie i cokolwiek miarkował; gdzie mu na myśl przychodziło, że ani na uwielbieniach ludzkich, ani też na własnych o sobie samym mniemaniach tak bardzo nie należy polegać. Opowiada w tymże samym liście matce np. następujące zdarzenie.

„Byłem na mszy żałobnej, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za duszę zmarłego ojca. Celebrował X. Praniewicz, Polak ze Żmudzi, który aż po Ameryce wałęsał się i od 5 lat w Paryżu usługę ołtarzową pełni, wielki oryginał! Potem ksiądz zaprosił nas na śniadanie. Ksiądz jest poetą — pisze — drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze — i te nam śpiewał przy fortepianie. Nic dziwniejszego, jak ta melodia! Najwięcej mi się podobala strofa, w której ksiądz Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom marszałek francuski
Narodowi temu wierny,
Z mojemim szedł na kraj pruski
Przez Sasy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki otrzymaliśmy po egzemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Ksiądz sądzi, iż jest wielkim poetą. Pochwały nasze utwierdziły go w tém mniemaniu. Była to jednak scena dla mnie na-

uczająca, aby mniej ufać miłości własnej — mniej pochwa-
łom cudzym — scena bardzo potrzebna; bo czy uwierzycie,
że dowiedziawszy się o śmierci Göthego, pomyślałem sobie,
iż Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie wydającego
poezye zrobił miejsce na świecie?... Matko moja, widzisz
jak szczerze piszę ten dziennik — piszę nawet głupie moje
marzenia“... itd.

Wreszcie nadeszła chwila (było to d. 12 kwietnia 1832 r.),
gdzie leżały już przed nim gotowe obydwie tomy „Poezyi Ju-
liusza Słowackiego“ i gdzie matce przesyła radosne do-
niesienie:

„Mam poezye moje! I pierwszy dzień ich wyjścia był
dla mnie źródłem niewysłowionych przyjemności. Matko mo-
ja, cóż Ty, cóż wy wszyscy o waszym Julku powiecie?
Matko moja, zdaje mi się, że Ciebie te poezye nie zmar-
twią — chyba zasmucisz się tymi kilku błędami drukar-
skimi, których Twój szalony Julek uniknąć nie mógł. Zwła-
szcza pod koniec Żmii błyszczą te omyłki strasznym bla-
skiem. — Dziś obaczyłem u Pinnard regestr ludzi sławnych,
zawarty w biografii Contemporains, a pod literą S. taki
porządek: Skrzyński Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki
Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki
Jędrzej itd. Widzicie, że w dobrém jestem towarzystwie.
Ucieszyło mnie to bardzo. Jestto najślawniejsza biografia.
Ciekawy jestem, co o mnie piszą — będę się starał dostać
jój. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim za-
cząłem drukować moje poezye; a stąd niewiem, z czego mnie
tam sławnym zrobili?... Posyłam Wam exemplarze z pod-
pisami. Nie wielu osobom posyłam [było takich exemplarzy
13], a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować,
aby te osoby, które odemnie dzieło otrzymają, wiedziały,
że ja je szczególniejszemu szanuję i kocham.... A Tobie, kocha-
na Mamo, jakimże sposobem mógłbym dać poznać, że Cie-
bie jeszcze z pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam?
Czy Ty nie odgadniesz, Matko, co czułem podpisując dla
Ciebie exemplarz?... Na drugi dzień po wyjściu dzieł,
Oleszczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu por-
tret mój zrobić pozwolił. Jak wyjdzie, przysłę go Wam.
Wiesz, kochana mamo, że tyle tu mam uwielbienia od mo-
ich rodaków, że mię już krytyki nie nie obchodzą. Martwię
się tylko błędami druku; ale spodziewam się, że będę mógł
prędko drugą edycją wydać i te błędy zginać“...

W tym sensie list ten nieco się jeszcze przedłuża; nakoniec
kończy go Juliusz temi słowami:

„Bądźcie zdrowi i szczęśliwi — ja jestem szczęśliwy.
I gdyby nawet 2000 franków, wydane na druk dzieła, nie
wróciły się, to powiem, że nie drogo szczęście kupił.“

To wydawanie dzieł, te różne zajęcia, jakie z tego wynika-
ły w dalszych następstwach, wyczerpywały i czas i całą myśl
młodego poety do tego stopnia, że wszelkie inne względy zupeł-
nie im ustępowały miejsca na pierwszym planie. Znajomość z pan-
ną Korą, tyle zrazu obiecująca, zesła z czasem do rzędu rzeczy
ubocznych, obojętnych. Minał miesiąc cały i więcej, odszedł list
jeden i drugi, i ani słówkiem nie donosił w nich matce, co się
dzieje z panną Korą. Ale matka była zaciekawiona — skłaniała
się ku przypuszczeniu, że milczenie właśnie dowodzi, iż uczucie
żyje i wzrasta... w końcu wręcz zainterpellowała jedynaka
swojego, jak ta rzecz jest? Na interpellacyą otrzymała odpowiedź
taką (d. 4 lipca 1832):

„Milczenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zako-
chał. Nie! Wszystko, jak było, wiernie opiszę, choć może
śmiesznym się wam wydaję. Przez grzeczność kiedyś powie-
działem pannie Korze, że ją kocham. Ona mi się także
przyznała, że mię kocha — a wtedy zapytałem ją, co zro-
bi, jak ja ją kochać przestanę? Odpowiedziała mi, że się
otruje, albo że się utopi; a z téj odpowiedzi widać, że się
urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem
dowieść jój, że się ani zabije ani utopi, chociaż ją kochać
przestanę. I zacząłem kaprysić i przyprowadzałem ją do
gniewu; dawałem uczuć, że jeszcze dziecko — słowem mści-
łem się na nią za wszystko, co kiedykolwiek od wietrznicy,
jak mówi B. Zaleski, ucierpiałem. Nie wiem, z jakiej przy-
czyny, ale wpadła w gorączkę — w gorączce miała delirium, a
z tego siostry musiały się tajemnicy jój serca dobać. Widząc,
że nadto zły byłem w mojem postępowaniu, postanowiłem
aby mnie zapomniała. Powiedziałem jój to, i przez miesiąc
nie poszedłem do nich. Pozaprzestój niedzieli przechodząc
przez aleję Tuilleries ogrodu, wśród tłumu wylegantowa-
nych dam ujrzałem znów pannę Korę z siostrami. Ukło-
niłem się z daleka i przeszedłem. Ale pani Barateau, także
jój siostra, posłała swego kuzyna, żeby mię szukał i przy-
prowadził. Wróciłem więc do miejsca, gdzie damy siedzia-
ły — z bardzo wesołą twarzą; siadłem przy nich na krzesło —

gadałem przez godzinę — panna Kora czerwieniła się i blada. Potem damy wstały — musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała, z którego to mostu la duchesse de Guiche rzuciła się w Sekwanę. Uczulem, że to zapytanie było delikatnym przypomnieniem mojej niestałości i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która kiedyś знаła księżniczkę de Guiche, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie — siadam przy nich czasem na kwadrans... Ale dość o tym, już i tak czuję, że się Wy ze mnie śmiać będziecie.“

W dalszych listach nieraz jeszcze napotykają się dorywcze wzmianki o tym stósunku. Wynika z nich, że Słowacki był w tym domu potem znowu często, i siadywał pomiędzy panienkami nie kwadrans, ale nieraz długie godziny.

„Bawi mnie otwartość Kory — pisał krótko potem w jednym liście — wszystko mi gada jak pacierz.“

Albo w innym miejscu:

„Smutno mi — ale co robić? jutro pójdę do Kory. Może kiedy mi zacnie patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy; choć dalibóg, nie kocham jęj...“

I bez tego zapewnienia okazuje się jasno, że o miłości prawdziwej nie mogło być mowy co do jego osoby. Być może, że gdyby mu Kora przy własnościach, jakie miała, była zaimponowała czémś wyższém, niepospolitém, a choćby wreszcie i samą tylko niewzajemnością: byłaby może wzięła znajomość ich inny obrot. Bo młody nasz autor zajmował się wprawdzie łatwo i bardzo lubił wiedzieć o tym, że sprawił na kim wrażenie; ale ażeby się u niego odezwało i serce, do tego potrzeba było silnego wzruszenia wyobraźni, a tę rozbudzały tylko twarde, uporeczywe i niepokonane trudności, które bodły dumę. Takimto sposobem wzrosło u niego przywiązanie ku Ludwice, choć odpłacane niewzajemnością, do rozmiarów może nie takich, jak je wystawia w Godzinie Myśli, ale zawsze niepospolitych. Pod tymiż warunkami byłaby może trwalsze sprawiła wrażenie i ta 15letnia dziewczynka o hiszpańskich rysach twarzy przy naiwności francuskiej. Ale Kora zbyt skwapliwie przyznała się do uczuć, jakie w niej

wzbudził. A to wystarczyło, ażeby wspomnieniom pierwszej miłości zapewnić i nadać wyłączne miejsce w wyobraźni Juliusza.

To też właśnie do tegoż listu, w którym w taki sposób mówił o Korze, dołączył Słowacki z powodu ogłoszenia dzieł swoich i bilet do Ludwici Ś. Przerwał nim kilkoletnie milczenie, jakie trwało pomiędzy nimi jeszcze od czasu wyjazdu z Litwy. Matce zaś przesłał takie zlecenie:

„Mamo moja, choćbyś miała dwa exemplarze,*¹⁾ to jeden poślij Ludwici — koniecznie! koniecznie!... List ten odeślij, ale tak, żeby pewnie doszedł i żeby go przeczytała... O gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się...“

Przez cały ciąg czasu, gdzie się to wszystko działo, Adama Mickiewicza nie było w Paryżu. Autor Walenroda bawił naten czas w Dreźnie, następnie przez tygodni kilka w Poznańskim; a potem... po zajęciu przez Rosyan Warszawy, znowu wrócił do Drezna. Tu osładzał sobie owe chwile bolesne towarzystwem Odyńca i Stefana Garczyńskiego, do którego się szczególniej przywiązał. W miesiącu czerwcu czy lipcu roku 1832 opuścił wreszcie stolicę saską i przyłączył się dobrowolnie do tego zastępu wygnańców, którzy w nieprzerwanym szeregu, różnemi drogami przez Niemcy ciągnęli coraz dalej na zachód. Z końcem lipca stanął w Paryżu.

W listach Słowackiego dawniejszych, datujących z pierwszych miesięcy jego pobytu we Francji, znachodzą się nieraz wzmianki, że nie znalazł i że nie znajduje ciągle tych osób około siebie, którychby sobie najwięcej życzył. Kogo mianowicie przez to rozumiał, tego nigdy nie powiada. Ale imię Mickiewicza prawie zawsze tam bezpośrednio potem następuje wspomniane, z dołączeniem doniesienia, gdzie właśnie wtedy przebywał. Godzi się tedy ze wszech miar wnosić, że z Adamem to głównie pragnął spotkać się gdzie na czas trwalszy Słowacki, i że zatem nie miał wtedy jeszcze żadnych uprzedzeń przeciwko jego osobie. Przytacza

^{*)} Mówi o tych exemplarzach dzieł swoich, których był kilkaście wyprawił dla rozdania pomiędzy znajomymi.

czasem wiersz, wyraz, myśl jaką, wyjętą z dzieł Adama, i to tonem, który dowodzi, że go za potęgę poetycką uznawał. Ale po upływie kilku miesięcy, już w stolicy Francji spędzonych, urosła wziętość Juliusza. Nazwano go na publicznym rodaków i Francuzów zebraniu — największym poetą polskim. Pojawiły się dwa tomy jego Poezyi. Pierwsze wrażenie, jakie te poezye na emigracyjnej czytelników masie sprawiły, było dla autora bardzo pochlebne. Nie dziw zatem, że po tym wszystkiem nie był to już zupełnie tensam Juliusz, który za przybyciem swém do Paryża skarżył się na to w listach, że nie zastał tam Mickiewicza. Owoż więc spełniły się teraz owe jego niezbyt dawne jeszcze życzenia: miał Adama wreszcie w Paryżu! Jakiż się zawięzuje pomiędzy nimi stosunek?

W liście z d. 30 lipca tyle tylko o tym matce sucho i niewasowo donosił:

„Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża. Ale nie pójdę pierwszy do niego. Jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze.“

W tydzień potem zapisywał sobie w dzienniku, co następuje:

„Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego kroku do poznania się; a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć. Starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie. Mickiewicz improwizował — ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie“ [a zatem pierwszy krok zbliżenia zrobiony był według tego świadectwa przez Mickiewicza!] „i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... przypomniałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim.*) Śmiał się z przypo-

*) Zdarzenie, do którego się ta wzmianka odnosi, było następujące. Wiadomo, że w pierwszych czasach pojawienia się romantyzmu w naszej poezji, do najżarliwszych przeciwników tego kierunku należał Śniadecki, profesor astronomii i wysłużony rektor akademii wileńskiej. W skutek rzetelnych i wielkich zasług położonych przez niego w poprzednich czasach, było znaczenie tego męża i naówczas jeszcze w akademii takie, jak żadnego drugiego profesora. Jego zdania nadawały niejako ton i kierunek zachowania się względem tej

mnienia. Potem przypomniał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał... Kiedyśmy zabrnęli w kom-

kwesty i innym profesorom. Zaczęło poszło, że jak młodzież uniwersytecka garnęła się bez wyjątku pod sztandary nowych pojęć w tej walce literackiej: tak znowu profesorowie, a mianowicie starsi, stali uporeczywie po stronie klasyków. Otóż wśród dość naprzężonych stosunków między jedną stroną a drugą, pojawił się r. 1822 pierwszy tomik Poezyi Adama Mickiewicza. Zawierał głównie ballady, oprócz ballad także kilka poezyi ulotnych, a między niemi i wiersz zatytułowany *Romantyczność*, w którym poeta wręcz rzucił rękawicę kierunkowi reprezentowanemu przez Śniadeckiego, i nawet jego osobę dość wyraźnie pod figurą mędrca ze szkiełkiem w osnowę rzeczy wprowadził. Zdarzyło się, że właśnie po odczytaniu tego tomiku Śniadecki nieukontentowany i cały pod wrażeniem niesmaku rzeczy, których piękności nie pojmował, odwiedził kolegę swego Dra Becu, który jak wiadomo był ojczym Juliusza. I zastaje u niego przypadkowo liczniejsze towarzystwo, a między innymi także i Mickiewicza! Cóż robi? Udaje, że go nie spostrzegł; że nie wie wcale, iż on tutaj obecny. I zaczyna mówić o niedorzeczności i śmieszności poezyi, których tom właśnie ręk jego doszedł — w sposób nie tylko sarkastyczny, ale i w najwyższym stopniu upokarzający dla autora, a to tym bardziej, że i gospodarz domu, rozochocony tym niby nieporozumieniem, dopomagał Śniadeckiemu w tym niewczesnym zapędzie, wyzywając go do coraz dalszych uszczypliwości. Mickiewicz milczał. Był on wtedy jeszcze w towarzystwie osób starszych nieśmiały, i znajdował się nadto o tyle w położeniu arcyfałszywym, że miał przed sobą samą hierarchię w zawodzie nauczycielskim, do którego i sam wtedy jako profesor szkół kowieńskich należał. Oprócz tego był on z różnych przyczyn i osobiście zawisły od tej starszyny; nie śmiał zatem wręcz wystąpić w własnej obronie. Milczał więc: i tak skończyło się owym razem na jego tylko upokorzeniu. Ale im tego nie zapomniał! Wziął ten objaw literackiego antagonizmu ze strony Śniadeckiego i gospodarza domu za coś więcej, bo za jeden z licznych dowodów usposobienia ich nieprzyjaźnie zwróconego przeciwko rozbudzeniu ducha w ogóle w gronie litewskiej młodzieży. Że się w tym mylił, tego mógłby nam dowiedzieć sam żywot Śniadeckiego w całości wzięty — żywot poważny i do samego zgonu bez skazy. Ale w sporach ówczesnych grały namiętności i rozdrażnienia. Życzliwego pobłażania ani wyrozumienia nie było ni z jednej strony ni z drugiej. — Takie więc wrażenie wyniósł ze sobą Adam z owego wieczoru. I zachował je długo w pamięci, i nie darował. W trzeciej części *Dziadów* objawił sąd swój o ludziach owego obozu niemiło-

plementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poe-
teę, jeden z Polaków stojący za mną i podchmielony za-
pewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny — i temi
słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę... Podczas obia-
du Cezary Pl. biegał i zapraszał nas na wieczór artystów
do siebie. Był to wieczór z mężczyzn samych złożony. Chopin
sławny fortepianista grał nam... gadaliśmy różne poezye,
słowem że dobrze nam zszedł wieczór... Wielu było Wo-
łyńianów — wiele wypiliśmy szampana. Wieczór ten był
naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści
francuscy. Na takich wieczorach muzycy najpierw grają,
malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzy-
stają z twarzy przytomnych sawantek — wojażerowie opo-
wiadają swoje podróże — uczeni swoje odkrycia, itd....
W kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór,
ale jak zwykle z długich przygotowań nie się nie klei, tak
też na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10 do 2
w nocy. Pod koniec jednak Chopin upił się i prześlizne
rzeczy improwizował na fortepianie...”

Przy podobnych sposobnościach widywali się zatem obydwaj
poeci. Znajomość ich byłaby się może powoli zamieniła w zaży-
łość coraz ściślejszą, tém bardziej, że nie było i bez literackich
stosunków, które ich ze sobą utrzymywały w jakimkolwiek zwią-
ku. Założone zostało w łonie emigracyi Towarzystwo Literackie.
Prezesem tego towarzystwa był Mickiewicz. Miał sobie do pomo-
cy przydanych kilku radców towarzystwa. Jednym z nich był
Juliusz Słowacki w skutek wyboru kolegów. A więc były stałe
pewne dni takie, gdzie się obydwaj schodzili i gdzieby się ko-
niecznie byli powinni zrozumieć i zbliżyć do siebie. A przecież —
pomimo tego wszystkiego — do zbliżenia między nimi nie przy-
szło! Nieprzebytą tamą pomiędzy nimi, na długie czasy, stanęła
pogłoska przyniesiona przez niewiem kogo skwapliwie Słowackie-
mu o Mickiewiczu, jakoby on w gronie swoich przyjaciół miał być
zganię poezye jego. Pisał Juliusz o tém do matki (pod datą d.
3 września 1832), jak następuje:

siernie, i przynajmniej co do niektórych pomiędzy nimi niesprawie-
dliwie. Lecz to miało nastąpić dopiero później. W czasie, kiedy roz-
mawiał z nim o tém Słowacki, tej części Dziadów jeszcze nie było.

„Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickie-
wicz o moich dwu tomikach... powiedział, że moja poe-
zya jest śliczna.... że jest to gmach piękną ar-
chitekturą stawiany — jak wzniosły kościół...
ale w kościele Boga nie ma!.. Prawda że śliczne i
poetyczne zdanie? podobne do jego sonetu pod tytułem Re-
zygnacya!“...

Od tego czasu już się Juliuszowi nie w Mickiewiczu nie po-
dobało. Razily go wszystkie właściwości jego indywidualizmu, tak
te, które dotyczyły powierzchowności, jak i wewnętrzne. Z po-
wodu pewnego wieczoru u XX. Czartoryskich, donosił na przykład
takie szczegóły (w liście z d. 4 października):

„Na wieczorze był i Mickiewicz. Nie możecie sobie
wystawić, jak po liderlichosku wygląda — z pomiętym od
koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym! Zbliżywszy się
do mnie, powiedział: jeżeli teraz co porodzę, to będzie coś
zapewne o oku dziecięcia, które dziś widziałem. Na oku
tém jest napis *Napoleon Empereur* — i to oko ciągle tkwi
w mojej pamięci. — Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego
imaginacya tak tém okiem, zapewne udaném, a może szklan-
ném, dla wyludzenia pieniędzy wsadzoném, zapaliła. Wo-
lałbym, żeby pisał o dziecku ze złotymi zębami... Strasznie
mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie...”

Niemniej ciekawa jest wzmianka, rzucona w liście o miesiąc
późniejszym (z d. 9 listopada):

„W tych dniach wychodzi z pod pras panien Pinnard
tom czwarty Mickiewicza, zawierający trzecią część Dzia-
dów. Jeszcze jęj nie znam. Ale Mickiewicz bardzo już
ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle *Migia* na plac wy-
prowadza — uniewinnia Papieża, nawet bullę! Słowem, że
mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba...”

Że zdanie o tém ostygnięciu Mickiewicza w poezyi nie ze
wszystkiem było prawdziwe, a mówiąc wręcz i otwarcie, że było
fałszywe nawet: o tém przekona czytelnika sama uwaga, że
były to czasy, gdzie Adam pracował nad największém swém
dziełem, nad Panem Tadeuszem! Ale pozorniej prawdy mogło je-
dnak być nieco w owém spostrzeżeniu Juliusza. Weźmy na przy-
kład list Mickiewicza do Odyńca z dnia 8 grudnia 1832 r. a
zatem około tychże czasów pisany,* a znajdziemy w nim nieje-

*) Listy te ogłoszono w warszawskiej Gazecie Codzienniej
1860, i także w Czasie 1860, Nr. 165 i nast.

dno, co za komentarz posłużyłoby mogło do powyższego sądu o jego naówczas niepoetyczności. Mówi w nim Adam o sobie na przykład jak następuje:

„Piszę teraz poema szlacheckie, w rodzaju Herman i Dorothea (Göthego); już ukropilem tysiąc wierszy. Podobą się bardzo szlachcie tutejszej. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot z wiadomej tobie przyczyny, tyle kłopotów korekty (około trzeciej części Dziadów, i Ksiąg Narodu), i prócz tego tyle różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić.“

A w miesiąc później pisał jeszcze tak;

„Ja tu żyję niemile wśród żywiołów obcych. Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą — doktrynery mają za waryata. Wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołążni... Paryż tak obrzydziłem, że ledwie już mogę wytrzymać“ itd. (Mick. do Odyńca — Paryż 28 stycznia 1833).

Był zatem Mickiewicz w owych czasach rzeczywiście na wskrós skwaszony i zgorzkniały. I jeżeli się to jego usposobienie — jak jest prawdopodobnem — dawało czuć całemu jego otoczeniu, to szczególniej raziło oczywiście naszego poetę. Ten bowiem ani sam już wtedy sympatycznie na Adama nie spoglądał, mając osobiste swoje żale do niego, ani też nie był i przez niego sympatycznie widziany. Kierunek bowiem ówczesnej autorskiej czynności Słowackiego nie podobał się Mickiewiczowi. Był tedy pomiędzy nimi mniej więcej tensam stosunek, co w pierwszych czasach między Schillerem a Göthem, kiedy ten ostatni powrócił z podróży włoskiej i żył cały w przypomnieniach owiej harmonijnej, niczém niezamąconej, posagowo spokojnej klasyczności starożytnych arcydzieł, jakich się tam napatrzył, — a tu mu przyniesiono z wielką wrzawą uwielbienia Ardinghello Heinszego, Zbójców Schillera i inne początkowe utwory tego poety właśnie co tylko wydane. Aż mrowie przeszło Göthego na ten zgrzyt bolesnych, żywotnych, genialnie wypowiedzianych — ale zawsze dyssonanc! Poznanie się jego z Schillerem odbyło się bardzo oziębłe. I wiele czasu upłynęło, nim się ostatecznie zbliżyli do siebie i pojęli i polubili. Otóż mutatis mutandis — podobny

zachodził stosunek i teraz pomiędzy obydwoma poetami naszymi. Zrozumieć się oni nie mogli. Każdy z nich szedł inną drogą.

Ażeby się o tém przekonać, że w samej rzeczy szedł już wtedy każdy z nich drogą odmienną, trzeba nam o tém nieco szczegółowiej pomówić. O Mickiewiczu wszelako rozwódzić się tu nie będziem. Czego on żądał i pragnął, jak pojmował wtedy zadanie swoje, emigracyi i narodu naszego: to każdemu z czytelników moich byćby powinno wiadomém. A ktoby mniej jasne miał o tém wyobrażenie, niechże weźmie do ręki jego Księgi Narodu i Pielgrzymstwa, a znajdzie w nich całe wyznanie wiary tak politycznej jak społecznej tego genialnego poety. Pismo to powstało właśnie w r. 1832, a zatem słusznie uważane być może za zwierciadło i że tak powiem, za manifest jego ówczesnych przekonań. — Juliusz Słowacki nie miał wtedy jeszcze, ile mi się zdaje, tak jasno wytkniętych kierunków przed sobą. I wiek jego nie był jeszcze po temu i cała natura jego więcej była jakaś nierzezywista, irracjonalna. Mickiewicz przy całej swój podniosłości nieskończenie przewyższał go realizmem. Mickiewicz szukał wszędzie żywiołów pozytywnych, dodatnich; szukał pewnika, dogmatu: — Słowacki marzył, poetyzował... Pierwszy wiedział zawsze, do czego dążył i co zamierzał: — drugi łatwiej byłby podobno z tego zdał sprawę, czego nie chciał; sformułować zaś dobitnie żądań i pragnień swoich dodatnio: — tego w żadnej porze życia swojego, a tém mniej wtedy nie byłby pono potrafił. Stémwysztukiem instynktowo miał i on jednak swoje kierunki przed sobą. Szedł pewną drogą i w owym już czasie; i jakkolwiek nie łatwą jest rzeczą oznaczyć, w jaką stronę pęd jego natchnień się wtedy najprzeważniej skłaniał, niepodobieństwem to jednak nie jest. Inaczéj tego wszelako dokonać nie zdołamy, jak jedynie przez szczegółowy rozbiór jego dwutomowej ówczesnej publikacyi. Sądzimy przeto, że nie nadużyjemy cierpliwości czytelnika, jeżeli w następnym rozdziale przystąpimy do tego krytyczno-estetycznego zajęcia i na czas jakiś przerwiemy opowiadanie o dalszych kolejach jego żywota.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jęj stósunek do literatur zachodnich — jęj główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacyi. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w r. 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe, — rozbiór Maryi Stuart.

Podajmy trudne zadanie. Sądy o dziełach Słowackiego są do tęg pory nieustalone. Są tacy, którzy się nad niemi entuzjazmują i radziby je položyli w literaturze na pierwszym miejscu. Ale też nie brak i na myślących inaczej. Ci je odkładają po przeczytaniu bez szczególnego wrażenia, a często z pewnym niesmakiem. Tak jest dzisiaj, tak było od pierwszej chwili ich ogłoszenia. Przytoczyliśmy powyżej z listów autora kilka ustępów, z których widno, ile dowodów uznania odbierał on od podobnie myślących za to z bogacenie poezyi polskiej swemi świeżo wydanemi dziełami. Zanosilo się zrazu, wedle własnych poety świadectw, na różne przekłady i krytyczne onych rozbiory. A przecież pomimo tego, w dalszém kole czytelników ani w emigracyi ani w kraju — nie sprawily wielkiego wrażenia te pierwsze tomy Słowackiego Poezyi. W ogóle przeszły one pośród głębokiego milczenia. Nie wiemy o żadnej takiej w pismach tamtego czasu recenzji, o której by warto było pamiętać i dzisiaj jeszcze. Utwierdza nas w tęg i sam poeta, kiedy później — na czele przedmowy do tomu III — gorzkimi słowy skarżył się na tęg obojętność ogółu: „Nie zachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam

tom trzeci w tęg otchłań milczącą, która pierwsze tomy połknęła.“ — Nieukontentowany z powodu, że do pierwszych tomów wkradło się kilka pomyłek druku, wspomniał był poeta w jednym z ówczesnych listów, że ma nadzieję poprawić takowe w drugiej edycyi. Przypuszczał więc, że potrzeba tęg da się uczuć niezadługo. I to go także zawiodło. Do powtórnegó dzieł tych wydania nie przyszło wcale za życia autora, pomimo że się sprzedawały później nawet za cenę znacznie zniżoną...

Jestże to wszystko okolicznością, któraby bezwarunkowo świadczyła przeciw artystycznęj wartości pierwszych jego utworów? Mniemanie takie — zdaje mi się — byłoby mylném. Ale trudno jednak nie wyprowadzić stąd wniosku, że poezya Słowackiego śnać nie odpowiedziała ówczesnej czy potrzebie czy też smakowi narodu. Musiał być więc między jego poezją a tęg wszystkiem, co literatura nasza wydała poprzednio, jakiś rozstęp, jakiś brak związku a raczég ciągu, dla którego się to nowe jęj z bogacenie nie wydawało zbyt ważnég.

Dla wyjaśnienia tęg rzeczy, uważam tu za potrzebne rzucić kilka uwag, które się będą może niejednemu wydawały zboczaniem od właściwego przedmiotu. Sądzę jednak, że mi czytelnik zboczenie takie wybaczy przez wzgląd na ważność rzeczy, o której chodzi. Chodzi bowiem o poszukanie sobie w naszych sądach o Słowackim takiego punktu wyjścia, któryby był i sprawiedliwym względem niego i dalekim od tęg znowu pobrażliwości, któraby uwłaczała innym naszym pisarzom.

Uważam za pożądane, ażebyśmy jak najdokładniej uprzymnili tu sobie, jakieto czasy pierwszy występ Słowackiego jako pisarza poprzedzily i jakichto zastał on na niwie swojej rychlejszych pracowników.

Poprzedzilo go owo dziesięciolecie (1820 do 1830), które tak świetnie rozpoczęło epokę naszég nowég, naszég narodowég poezyi. Epoka ta płynie jeszcze i za dni naszych, chociaż wnosząc ze wszelkich oznak zdaje się, że prawdziwa płodność i wielkość tego literatury okresu już przemineła. Czasy jęg wypełnily się — o ile to poezyi, a nie prozy dotyczy, już z rokiem 1848. Boć późniejsi, młodsi pisarze — to już tylko Epigonowie starszych...

W ciągu rzeczonoego dziesięciolecia przyłączył się do pozostałego z dawniejszych jeszcze czasów Niemcewicza nasamprzód— długo przedtém zapoznawany Kaźmierz z Królówki. Potém zajaśniał w całej pełni blasku umiłowany od wszystkich Adam. A za nim odezwał się od stepów ukraińskich ów „słowiczek“ poezyi polskiej, Bohdan Zaleski. A potem nadszedł smętny Malczeski; a niebawem w jego ślady ponury, groźny, ale pociągającej energii — Goszczyński... Równocześnie z nimi zajęli pod przeważne panowanie swoje — na długo — dzielnicę poezyi przez tamtych wcale nietkniętą dwaj równie znakomici pisarze, Korzeniowski i Alexander Fredro. Ci siedmiu, zdaniem mojem, stali przez rzeczonych lat dziesięć na czele ruchu w zakresie poetyckiego działu literatury. Niektórzy z nich przeszli prędko i szli samotnie: był takim na przykład niezapomniany po zgonie, choć mało znany za życia, autor Maryi. Inni działali otoczeni całą drużyną duchów pokrewnych, chociaż niższych talentem. Około Mickiewicza gromadzili się Odyniec i Zan i Chodźko Alexander i Korsak. Nieco opodał stał skłaniający się więcéj ku Brodzińskiemu Witwicki,—a jeszcze dalej Tymon Zaborowski, Gosławski, Górecki itd. itd.

Równocześnie niemal poczęte i bez przerwy dalej trwające działanie tylu naraz znakomitych talentów z bogaciło poezją naszą niejednym takim utworem, że każdy z nich byłby na się przez długi czas ściągtał uwagę wyłączną, gdyby się nie był musiał dzielić rozgłosem z tylu innymi utworami pierwszego rzędu, przybywającymi rok rocznie do skarbów literatury.

W roku 1820 pojawił się Wiesław. W 1821 odegrano w Warszawie pierwszą komedią Fredry, Geldhaba. W 1822 wyszły Ballady Mickiewicza. Dumy Zaleskiego także przypadają na owe lata, choć w całym zbiorze pojawiły się znacznie później. W 1823 ukazała się Grażyna i pierwsze części Dziadów. W 1825 Sonety Mickiewicza, Marya Malczeskiego, Odyńca zbiorek poezyi; wreszcie pierwszy nasz romans historyczny, Jan z Tęczyna przez Niemcewicza. W 1826 pierwsze dramatyczne utwory Korzeniowskiego; Pojata Bernatowicza; pierwsze dwa tomy Komedyi Fredry. W 1827 przybył

Zamek Kaniowski Goszczyńskiego. W 1828 Konrad Wallenrod. W 1830 Mnich Korzeniowskiego; trzeci tom komedyi Fredry; T. Zaborowskiego Dumy Podolskie; nakoniec wdzięczne Witwickiego Pieśni Sielskie i Biblijne.

Taki jest poczet dzieł pierwszój dani w dziejach odrodzonój naszej poezyi. Te są imiona i czyny bezpośrednich Słowackiego poprzedników. Dalsza kolój obejmuje już prace i tych co tylko wspomnianych, i świeżych znowu sił poetyckich, które wystąpiły na scenę dopiero po wypadkach r. 1831. Pierwszym co do czasu był w szeregu tych nowoprzybyłych, tych młodszych, właśnie nasz poeta, Juliusz Słowacki. Inne znakomitości pierwszego rzędu, a téjże generacyi — to zwrócony tęskném okiem w przeszłość narodu Wincenty Pol (od r. 1833), wyjątkowo przedłużający trwanie tego okresu aż do dni naszych; a dalej zgasły przedwcześnie i dlatego mniejszój sławy Stefan Garczyński (także od 1833); nakoniec prorocy, pod kolizejskim krzyżem natchnienia szukający wieszcz Irydyona i Komedyi Niebo-skiej (1834).

Szereg prawdziwych mistrzów słowa nie kończy się oczywiście z Krasińskim. Zajaśniała i po nim jeszcze niejedna gwiazda na niebie poezyi polskiej. Lecz mówić o nich nie należy już do naszego przedmiotu. Nam chodzi o porównanie poezyi naszej tak zwanój romantycznój przed rokiem 1831, ze stanowiskiem i artystycznym sposobem Słowackiego w owymże czasie. Powiedzmy więc choć w kilku słowach, co stanowi owój poezyi odrębne znamię i zasługę około sławy narodu.

Jedném z głównych następstw wystąpienia Mickiewicza i innych jemu współczesnych było podniesienie poetyckiej literatury polskiej na wysokość europejskiego znaczenia. Od tegoto dopiero czasu weszła poezya nasza znowu w bezpośrednie zatknięcie z tradycjami postronnych literatur, zajmujących odpowiednie wiekowi stanowisko. Pisarze nasi dawniejsi z małym wyjątkiem byli więcéj naśladowcami, i to wzorów, które i same słabo, nawet koszlawo już tylko odtwarzały starożytny klasycyzm. Świat starożytny zbyt się już był odsunął; studia nad nim w przeszłym wieku, mianowicie we Francyi, zeszyły do nicości zapomnianej pra-

wie nauki. Najzagorzalsi niby wielbiciiele mistrzów rzymskich i greckich nie mieli trafnego wyobrażenia o istotnych warunkach wielkości tych niegdyś niedościgłych potęg artyzmu. Pomimo nieustającej gadaniny o konieczności trzymania się we wszystkim przekazanych przez starożytność przepisów — literatura francuska nigdy nie zbliżyła się do tych wzorów choćby tyle tylko, ile się u nas w XVI wieku zbliżyć do niej potrafił Kochanowski. Śmiech wzbudza patrzeć na lękliwość i zarozumiałość tych dworaków wersalskich, kiedy na usprawiedliwienie swoich małodusznych nowostek odwołują się ciągle to do Arystotelesa, to do Horacego lub Quintyliana, to wreszcie do tragików greckich, których dzieła znane im były chyba tylko z urywków, z przekładów lichych, a najczęściej zaledwie pewnie z powieści. Literatura poetycka Francuzów była więc właściwie tylko karykaturą klasycyzmu; stanowiła począwszy mianowicie od połowy przeszłego wieku, w obszarze nowoczesnej europejskiej poezji, jakiś zacofany, wyjątkowy zaścianek; i nie byłaby mogła ani na chwilę nosić nazwy wielkiej literatury, gdyby nie była własnością narodu, który pod innym względem nadawał ton całemu społeczeństwu i imponował.

Mimo to wszystko — kierunek téjto właśnie literatury wytykał więc drogi naszym pisarzom z epoki księstwa warszawskiego i poprzedzających ją czasów stanisławowskich, którzy po większej części na téj roli naśladowców i cudzego powodzenia administratorów poprzestawali. Nie ściagam tego, co tu mówię, oczywiście do Krasickiego, który zatrzyma w piśmiennictwie na zawsze niepoślednie znaczenie; ale Krasicki góruje tylko albo dowcipem albo rozumem; nigdy uczuciem i wyobraźnią. Inni jego współcześni, lubo czasem nie bez znamion wyższej poetyckiej zdolności, wystarczali — że tak powiem, na miejscowe i tylko tymczasowe potrzeby. Naród własny nucił ich piosnki: dalszy świat i wtedy i potem mało kiedy co o nich słyszał. Nie miano bo też u nas wtedy jeszcze żadnych do szerszej sławy uroszczeń i chętnie poprzestawano na chlubię, że się komu zdarzyło napisać coś takiego, co żywo przypominało jakiego zawołanego rymotwórcę z za Renu, albo w razie szczęśliwszym jaką tiradę z umianej wtedy przez wszystkich literatów naszych na pamięć Eneidy...

Od roku 1820 począwszy, wszystko się to zmieniło. Poeci nasi młodszy, dostrajając — pod artystycznym względem — lutni swoich na wysokość tonu, jakim brzmiała wtedy prawdziwa poezja w krajach postronnych, zaczęli czerpać natchnień z własnej krynicy narodu. Po raz pierwszy w mowie polskiej odżyły wtedy postaci dawno minionych wieków, wskrzeszone z całą świeżością narodowej prawdy i siły; pieśń gminna — ta skromna, ale wiekuiście zielona bluszczu gałązka, wiążąca dzień dzisiejszy z epoką pierwszych pokładów rodzimjej cywilizacji, rozwinęła się w poemat i wyśpiewała niejedną z tajemnic sztuki, o których się dawniej nie marzyło poetom; wrące uczucia piersi własnej teraz dopiero znalazły wyraz rymujący i z stanem duszy poety i z wyjątkowem położeniem narodu. Pękły skrzepłe skorupy bezdusznej konwencyjności — natura wzięła górę nad sztuką — retoryzm ustąpił miejsca sile połączonej z prostotą — sentymentalną czułość zastąpiła rzewność i lzy gorące: po raz pierwszy od czasu Kochanowskiego stała się pieśń polska znowu prawdziwem zwierciadłem doli społecznej, i dyktowały ją idee w narodzie naszym wykolysane i będące dzisiaj pokarmem, wiarą, przyszłością naszą...

Właśnie z tego powodu zajęła poezja polska względem współczesnej europejskiej stanowisko nietylko równiej między równymi, ale co większa: okazała się jej najistotniejszym dośpiwem i niejako uzupełnieniem. Jestto jakby ton w akordzie niezbędny dla dokonania jego harmonii — ton trzeci, ostatni...

Pierwszorządne potęgi poetyckie w dawniejszych epokach pojawiały się prawie zawsze z osobna. Społeczeństwa całe, wieki całe składały się na wydanie mistrza, któryby uwagę więcej niż swego tylko narodu zwrócił na siebie. W trzynastym wieku Dante, w czternastym Petrarca, na początku dopiero szesnastego Ariosto. O pół wieku później słynęli trzej prawie równocześni mistrzowie, lecz każdy z innego był narodu: Kamoens Portugalczyk, Tasso Włoch, Kochanowski Polak. Zajaśniał w kilkadziesiąt lat po nich Szekspir — to był Anglik. Na przestrzeń siedemnastego wieku przypadają Calderon i Milton — każdy znowu z innego końca świata. Potem nastalo w literaturze powszechnej długie milczenie, pozornie tylko przerywane płonną gędźbą dwora-

czych, małodusznych, szkolnie udresowanych rymotwórców. — Od połowy dopiero ośmnastego wieku daje się widzieć jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Poezya prawdziwa odżyła. Powstał cały zastęp poetów, rówieśnych i coraz młodszych, którzy się do jég chóru jeden po drugim łączyli. Najprzód widzimy ich w Niemczech: Klopstock, Lessing, Herder, Wieland, Bürger, Göthe i Schiller. Ci siedmiu, otoczeni całą družyną mniejszych talentów, zapełniają wiek ośmnasty i podnoszą w kraju swoim sztukę na coraz wyższe szczeble potęgi. A kiedy w r. 1805 zabrakło Niemcom Schillera, Göthe zaś już się więcej niż poezją, zajmować zaczął teoryami światła i metamorfozy roślin: odezwał się od gór szkockich głos nowy, powszechną na się zwracający uwagę, godny tamtych antecedeny i z natchnienia i z całego kierunku. I tutaj znowu działało całe grono współczesnych, przodowali mu zaś ci trzej europejskiego rozgłosu, wielcy poeci: Walterscot (od roku 1805), Tomasz Moore (od 1806), Byron (od 1808). To był więc drugi ton w akordzie nowoczesnej europejskiej poezyi. Między 1824 (zgon Byrona) a 1830 (ostatnie prace Walterscota) dogasa i w angielskiej literaturze głębsze natchnienie. Lecz płonie ono już świętym ogniem gdzie indziej: — Brodziński, Mickiewicz i ci wszyscy, którzy ich otaczali, dzierżyli w rękach swoich już lutnie.

W chwilach, kiedy to piszę, zamiera zdaje mi się już i ten ton trzeci. A nie słyhać niestety nigdzie w świecie, żeby się ten akord dalej rozwijał. Na wierszokletach i rymotwórcach nie zabraknie w żadnym języku. Będzie sobie rzempoliła muzyczka, bez której obejść się już ludkowie nie mogą. Ale co się tyczy prawdziwych poetów, to się zdaje, że na długie czasy w bieżącej dziejów epoce zamknięta została złota ich księga. W rachubach zatopiły się dni obecne, społeczeństwa tegoczesne pozbyły się nawet biernej zdolności rozumienia wielkich idei. Turkot fabryk przegłusza wszystko na świecie, a posunięta do cynizmu poziomość terażniejszych instynktów wybornie rymuje z rytmem tego turkotu. Kto wie, czy ów zbieg tylu naraz pierwszorzędných zdolności, w literaturach ostatniego stulecia, nie był oznaką jakiego przesilenia w duchu społeczeństw? Może się poezya rozstawiała

z rzeczywistością życia na dłuższe czasy, i właśnie przeto, jak ta lampa zgasnąć mająca, chciała na pożegnanie zabłysnąć jaśniejszym światłem...

W skutek takiego właśnie, jakieśmy go w powyższym określili, stosunku między literaturą naszą a powszechną, poezya polska — mimo całej swojej skądinąd odrębności — okazuje się, zwłaszcza też w pierwszych czasach, w pewnej zawisłości od tradycyi celniejszych mistrzów postronnych. Dla téj teżto właśnie przyczyny nazywała się ona wtedy romantyzmem. Sama nie wiedząc, jak przychodziła do téj nazwy, składała ona mimowolnie przez to jakby świadectwo swojej solidarności z angielską i niemiecką poezją, które u nas w owych czasach uważano za romantyczne. Okoliczność ta nie dowodzi jednak niczego przeciw oryginalności naszego piśmiennictwa. Oryginalność bezwarunkowa w ogóle może być tylko przymiotem albo literatur tak niepiśmiennych i że powiem samorodnych, jak naprzykład ludowe pieśniarstwo serbskie z czasu walk narodowych z Turkami, albo też takiej wyjątkowej literatury, jak starożytna grecka. Tamte nie jeszcze nie wiedzą o sztuce dalszego świata. Grecka zaś będąc w dziejach naszej cywilizacyi pierwszą artystyczną literaturą, musiała się z konieczności i sama z siebie i samodzielnie rozwijać. Ale o żadnym z późniejszych a większego znaczenia piśmiennictw europejskich tego już powiedzieć nie można; gdyż każde z nich mniej lub więcej posilkowało się zasobami poprzednich. Podobnie też więc i nasi poeci brali z zewnątrz i popęd i pierwszy kierunek w swoim że się tak wyrażę uzdolnieniu techniczném; czerpali z studyów obcych wzorów świadomość artystycznych wymagań itp. Po za te zewnętrzne względy nie posuwa się jednak u nich to ich pokrewieństwo z obcymi pisarzami. Nie sięga ono prawie nigdy aż do istotnej dzieł osnowy, która nie tylko brana jest zawsze z obrębu rzeczy ojczystych, ale nawet tonem, barwą i dążnością odpowiadała jak najwierniej powszechnemu nastrojowi ducha narodowego, jakim ten nastrój był wtedy. Prace naszych poetów sąto prawie zawsze dzieła tchnące jakąś błogą, serdeczną i miłościwą pogodą ducha. Ton pieśni polskich wprawdzie jest przeważnie smętny i łzawy; mimo to jednak widać tu wszędzie

silną wiarę w opiekę Opatrzności nad światem — w grunt natury ludzkiej ostatecznie szlachetny — w prędkiej czy później zapewniony tryumf idei dodatnich nad potęgami fałszu i złego, przeczące im i czasowo tłumiącemi ich panowanie nad światem. To też zwątpienie, rozpacz, bunt ducha, przekleństwa odtrącające, te tak przeważne znamiona poezji nowoczesnej angielskiej, równie wtedy były nam obce, jak metafizyczna mglistość, właściwa jednemu z pisarzy niemieckich, i ta skłonność do gubienia się w nieznurtowanej zadumie. Nasze ideały mają zawsze coś realnego — wydobywamy je z pod serca naszego, cierpimy za nie; a po nad wszystkiem unosi się religijna miłość Ojczyzny, głębiej i czyszej pojęcia, niż w którejkolwiek innej literaturze. —

Na takięto czasy, wśród takięj w literaturze dążności i po tych zdarzeniach stanowiących jęj odrodzenie — przypadło więc wystąpienie Słowackiego jako autora dwutomowej jego publikacji z r. 1832. Nim przystąpię do szczegółowego przeglądu rzeczy w tychże tomach zawartych, uważam za potrzebne rzucić najprzód i o nich kilka ogólnych spostrzeżeń. Określenie to stanowiska Słowackiego wobec innych pisarzy wyjaśni nam najdokładniej, dlaczego te pierwsze dzieła jego nie zostały tak przez naród przyjęte, jak się tego autor spodziewał.

Zacznijmy mówić o tém, poczynając od dobrej strony. — Znamieniem znakomitej jego i pierwszorzędnej zdolności, choć nie rozwiniętej jeszcze zupełnie, jest w tych dziełach przedewszystkiem zewnętrzna forma. Mimo tak młodego wieku poety — język, styl, wiersz, koloryt, obrazowanie i co tylko stanowi zewnętrzną szatę poezji, dosięgło już tutaj takiego wydoskonalenia, że pod tym względem nie ustępował początkujący ten pisarz żadnemu z ówczesnych poetów naszych. — Niemniej świadczy o rzetelnych zaletach już tych młodocianych jego utworów ta okoliczność, że takowe na dłuższej z nimi znajomości nie tracą. Roboty miernych talentów zwykle najwięcej się podobają przy pierwszém czytaniu. Biorąc je po raz drugi do ręki, ogarnia czytelnika nuda — i niepodobna już wtedy pojąć, że się to mogło za pierwszym razem podobać. Z pismami Słowackiego ma się rzecz po większej części

przeciwnie. Im się dłużej nad niemi zastanawiasz, im je częściej odczytujesz, tém więcej w nich wykrywasz niezaprzeczonych zalet. Zalety te są w znacznej mierze na pierwsze spojrzenie jakby niewidzialne dla czytelnika. Zdaje ci się, jakby one dopiero zwolna z dzieła występowały i odsłaniały ci się w miarę zajęcia, z jakim na nie spoglądasz. Najwięcej jednakże to w pracach Słowackiego podnieść należy, że je owiewa jakiś urok tonu, jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, który się zresztą usuwa z pod analizy. Nie jestto myśl głęboka, nie jestto owa wieszcza mądrość i intuicyjne znanstwo serca ludzkiego, nie jestto wreszcie ani też siła woli męskiej, skłaniająca do podziwu w twórcach mistrzów pierwszego rzędu. Z tego wszystkiego mało znajdziesz w dziełach, które mamy przed sobą. Ale uderza cię w nich natomiast jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spojrzenia.*) Jestto zdaniem mojem, właśnie

*) Nie potrafię rzeczy tej lepiej wyrazić, jak przez porównanie. Bawiąc w roku 1864 w Rzymie, często zachodziłem do bazyliki św. Pawła, podźwigniętej z perzyny, w jaką ją obrócił pożar w r. 1823, a będącej właśnie obecnie na dokończeniu. Pomijając zewnętrzną świątyni tej powierzchowność, która się stósować musiała do pierwotnej struktury i z powodu wielkiej prostoty oczekiwań dzisiejszych nie zaspakaja, całe jęj wnętrze — jestto najwspanialszy pomnik wszystkich sztuk pięknych w połączeniu, na jaki się tylko zdobyć mógł w najwyższym wysiłku swoim wiek obecny. Nie wiedzieć, co tam więcej podziwiać, czy bogactwa materiału, czy olejne obrazy, mozaiki i freski pierwszych mistrzów tegoczesnych, czy rzeźby, czy las kolumn dźwigających ciężar sklepienia, czy zmyślność, z jaką ściany kościoła wyłożono płytami marmurowemi najrozmaitszych, a zawsze najwyszukańszych gatunków. Bazylika ta ma pięć naw. Nawa środkowa otrzymuje światło z góry z przepysznych okien o malowanych szybach. Nawy poboczne poprzestają jeszcze na szybach tymczasowych ze szkła białego. Otóż właśnie z tego powodu szczególny mię tam zawsze uderzał kontrast. Chociaż już i w pobocznych nawach bazyliki każdy szczegół, ile wykończony z całym wytworem, zmusza każdego do podziwiania tyłu w jednym miejscu nagromadzonych arcydzieł: — to kiedy się jednak dojdzie aż do nawy środkowej, wtedy piękność tak całości, jak pojedynczych przedmiotów przybiera rzeczywiście jakiś urok nieopisany! Światło lejące się tęczami z różnobarwnych okien tej nawy, idealizuje nieskończenie tę część kościoła. Wszystko zdaje się być owiane jakimś tchnieniem błogięm dla oka i dla ducha.

strona talentu Słowackiego, która go najwybitniej odróżnia od wszystkich innych naszych poetów, która stanowi najistotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia nawet wobec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze. Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezji rozlanéj po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jéj przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota, gdzie ucho najczulsze nie słyzy, jak tylko rytm powszedniego toku wydarzeń: Słowacki tam umie dopatrzeć i dosłuchać się jakby ostatnich westchnień tęsknych téj melodyi, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zupełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też za dotknięciem jego ręki przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny. Nie tyle jeszcze przekonywają o tém autorskie jego utwory, ile listy, tak zresztą od niechcienia pisane, że co tylko po imieniu nazwie, co tylko wedle sposobu swego opowie, na czém tylko spocznie okiem: wszystko to przyobleka się w barwy, w kształty, w tony, o jakich drugim, na tosamo codzien patrzącym ani się marzy. Owoż więc, co nazywam spojrzeniem na świat — nie z woli, nie przez sztukę, lecz z bezpośredniej natury poetyczném, w ściślejszém słowa tego znaczeniu. —

Lecz właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w cudownych światłach poezji przyprawił poetę naszego o stratę zdolności pojmowania rzetelnych świata tego stósunków w ich warun-

Szczegóły spływając w téj toni kolorów w jakąś ogromną jedność, tworząc harmonią miękką, falistą, krągłą, która dziwnie odbija od naw pobocznych, jeżeli się pod wpływem właśnie tego wrażenia, rzuci teraz okiem w ich wnętrze. Podziwiane co tylko tychże piękności i najwyższe sztuki wysiłki zdają się być teraz jakby z innego świata; sprawiają wrażenie, jakby je mroziło jakieś zimno północy. Wszystko się zdaje surowém, ostrém, twardém, istniejącém z osobna i tylko dla siebie. Owożto kontrast sposobów oświetlenia! W pobocznych nawach — to jeszcze koloryt zwyczajnej, powszedniej rzeczywistości; a tam — to koloryt poezji, atmosfera nadziemską, stworzona sztuką. Do tegoto więc rodzaju oświetlenia w malarstwie ja przyrównywał to coś, co w poezji tak często właściwém jest Słowackiemu.

kach rzeczywistych. Jest on na podobieństwo owych wieszczów mitycznej starożytności, którym bogowie w zamian za lutnię do rąk podaną i za poetyckie jasnovidzenie, odjęli widzenie przyrodzone i zamknęli oczy na wszystko, co ich zewnątrz otaczało. Słowacki nie miał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością. Zrażała go ona, bo mu nie była piękna; oburzała go, bo nie była mu zrozumiałą. Stanowisko jego względem warunków, w jakich żyć ludziom wypadło, ponieważ je sobie sami tak a nieinaczej stósownie do natury swéj ustanowili, było najzupełniej ujemném, wszystkiego odmawiającém, zaprzeczającém. Nie przyznając im uprawnień do bytu, uważając je za bezwarunkową negacyą tego, co być ma, w konsekwencji też upatrywał we wszystkiém, co ten normalny porządek świata naszego wstrząsa, zakłóca i targa, eo ipso za piękność, za poezją, słowem za przedmiot godny współczucia poety. Nie zdając sobie sprawy ani z pobudek ani też z godeł, w imieniu których jedynie wolno jest w danéj chwili wyzywać do walki ten ład normalny, na zbudowanie którego składały się pokolenia, narody, wieki całe trudu, cierpień i ofiar, poświęcał pióro swoje najczęściej i najchętniej takimto właśnie walkom rozpaczonym, bez względu czy je wszczynają siły do tego upoważnione, czy też raczej grzeszna, zbłąkana tylko niemoc duchowa, w złudne przyodziana pozory bohaterstwa i poświęcenia. I oto właśnie, w czém się pomylił, w czém się rozminął nie tylko z duchem poprzedniej poezji naszej, ale i z instynktem lepszej części społeczeństwa narodowego.

Nie tylko w téj młodzieńczej życia jego epoce, ale i później dążność ta, choć potem nieco złagodzona, nieraz się przebija w jego pismach. Nawet kiedy pracował nad *Królem-Duchem*, ostatniém swoim dziełem, widzimy go stojącego twardo przy takim przekonaniu. Oto je w tym poemacie wręcz wypowiada w następujących wierszach, które tém chętniej tu przytaczam, że nie mogły one znaleźć pomieszczenia w drukowanym kontextcie tego utworu z powodu, iż były rzucone luźnie gdzieś na brzegu jednéj z kart manuskryptu.

„Ujrzałem wtenczas straszną tajemnicę,

Że duchy wszystkie lecą tam, gdzie boje,

Gdzie się trzaskają serca i przyłbice;

A z miejsc, gdzie ducha sen ma łożę swoje,

Uchodzą: dziwna w pośmiertnych różnica

Z tymi, co wieczne tu marzą pokoje

I chcieliby mieć świat opasły, zdrowy —

Piekielni, z których drwi anioł globowy!

„O! fałszu, ludziom z ciała niewiadomy,

Tęsknoto, królów spokojnych płaczącą!

Wiedź, że ten lepszy, co na krew łakomy

Zda się jak orzeł, lud o lud roztrąca“... it.d.

Nie podlega wątpliwości, że w tych strofach jest wiele prawdy. Spokój, sen ducha, nieczynność — to martwość; bój, ruch, prąd naprzód — to przyrodzone prawo duchowe. Ale gdyby to zdanie Słowackiego postawić w jego sposobie na czele wszelkich prawd innych i zrobić zeń regulatora postępów dla wszystkich ludzi: w co by się to wtedy zamieniła ta ziemia nasza i życie na nią?

Ale to jeszcze nie wszystko. Na tém tle wyobrażeń, stanowiących u Słowackiego przez cały jego zawód to co nazywamy pospolicie filozofią poety, daje się widzieć w młodzieńczych jego latach jeszcze jedna doktryna, a dzieła jego z roku 1832 są prawie wszystkie właśnie wyrazem takowej. Słowacki przypuszczał dwie niejako natury ludzkie. Zwyczajny ogół — mniejsza o to, czy z głów koronowanych, czy z nędzarzy złożony — to gawiedź, to „tłum“. Po za tym tłumem zdarzają się, wprawdzie rzadko i wyjątkowo, ludzie całém niebem różni od zwyczajnych kreatur ludzkich. Są to wedle poety duchy wyższe, jakby przez przypadek tylko i nieporozumienie przysłane na ten nasz padół. Czy to są istoty dobroczynne dla rodzaju ludzkiego? Czy oni wytykają tu bliźnim swoim lepsze drogi żywota? Czy zostawiają po sobie w czynach, w śladach lepiej przepędzonego życia, wdzięczną pamięć po sobie? — Bynajmniej! Nasz autor pojmuje tę ich wyższość, tę ich demoniczną wielkość w zupełnie przeciwny sposób. Są to duchy, z którymi on wprawdzie sympatyzuje całém sercem i aż za nadto, które jednakże mimo tego i same są najnieszcze-

śliwsze i dla drugich złowrogie. Między warunkami ich szczęścia, a tém co świat zwyczajny poczytuje sobie za szczęście, nie ma żadnej wspólności. Co ludzi cieszy, dla nich jest niczém; co ludzi zaprzęta i zaspakaja, ich nudzi; a czego oni pragną, to przy tych okolicznościach, jakie są, wcale nie może być osiągniętem na ziemi. Są to więc otchłanie uczuć gorejących, góry woli trawiącej się w sobie, są to tytany: ale postawione po za wszelkim stósunkiem ze światem i z tém, co na nim jest. Wielkości takie nazwałaby matematyka nieobliczonemi, niewymiernemi wielkościami (irrationales, incommensurabiles). Ich życie między resztą rodu ludzkiego — jestto zdaniem autora, jedno pasmo cierpień, zawodów, jęków, krzywd, zbrodni, przekleństw i wszelkiego rodzaju rozdzźwięków. Jest jakby jakiś wiszący nad ich głowami fatalizm, który wszelkić ich styczności z ludźmi taki zawsze nadaje obrot, że oni sami celu swego nie osięgając, niweczą wszystkie warunki spokoju i szczęścia drugich. To też marzą oni ciągle o samobójstwie, narzekają na przesyt życia, celu żadnego przed oczyma nie mają, nic ich nie wiąże do świata, gardzą ludźmi, nienawidzą wszystkiego, na czém świat stoi: i narobiwszy zamętu i klęsk na całej drodze swego żywota, przeklinani, przeklinając, kończą marnie, jako niby ofiary przewrotności świata i zwyczajnej natury ludzkiej. — Do tego typu odnieść należy i Araba i Mnicha i Mindowę i Bieleckiego i Żmiję i Botwela w Maryi Stuart. Tak rozmilowany był nasz autor w ideałach tego rodzaju, że ciągle więc jednego człowieka w dziełach swoich wprowadza, pod zmienioném tylko zawsze nazwiskiem! Wielka musiała być w nim wtedy gorycz dla ludzi, kiedy ten temat mizantropii i zwątpienia nie ustępował mu z oczu!

Oczywista rzecz, że tego rodzaju doktryna, pozbawiona wszelkiej podstawy, nie mogła trafić do przekonania powszechnego, kiedy się ukazały te pierwsze tomy Poezyi Słowackiego. Ogół nie mógł wcale rozumieć, o co autorowi chodzi? Dzieła poprzednich poetów były im zrozumiałe, bo tełnęły miłością ku ludziom. Społeczeństwo polskie jest z natury dobroduszne, optymistyczne. Nie raz ono aż zbyt daleko się posuwa, spodziewając się wszystkiego, co najlepsze; wierząc w dobrą wolę wszystkich; kochając

to co swoje, co ludzkie — nawet z błędami! W tém się więc aż do owego czasu dążność poezji, która pragnęła podnieść ludzi, ale ich wzgardą nie odtrącała, z usposobieniem społeczności naszej spotykała na jednej drodze. Punkt wyjścia Słowackiego wcale nie był z takich przypuszczeń. Miłość ludzi, jakimi są stworzeni, nie należała wcale do jego przymiotów. Stawiał jako ideały, jako bohaterzy w swoich dziełach takie natury, które (choćby indirecte) dowodzić miały, jakie to życie jest nędzne, a my sami jacy maluczcy i podli! Choćby to była i prawda, — to i jakież skutek być może takich dowodzeń? Uderzać na błędy, na głupstwa ludzkie... rozumiem. Ale cóż pomoże utyskiwać nad naturą człowieka? My tego nie zmienimy! Wyrzekać na to — jestto to samo, jak kiedyby kto wyrzekał, że w styczniu jest bardzo zimno, a w lecie znowu gorąco. — I społeczeństwo nasze wie o tém, że bywają pomiędzy ludźmi natury wyjątkowe, że się zdarzają czasem duchy potęgi i zdolności większej, aniżeli zwyczajna. Ale wystawiamy sobie stósunek onych do reszty ludzi zupełnie inaczej. Prawdziwie wielki człowiek — to chluba wieku, to największy dar boży, jakiego dostępują narody, to dobroczyńca społeczności, która go posiada.

Przejdźmy teraz do szczegółów i rozpatrzmy się bliżej w tém wszystkim, co w sobie mieściły tomy wydane roku 1832. Nasamprzód wypada oznaczyć kolej rzeczy w nich objętych, nie podług tego jak je autor uporządkował w wydaniu, gdyż to nie dowodzi niczego, ale podług czasu, w którym nad każdym dziełem pracował. Miałem przed sobą podręczny Słowackiego egzemplarz obu tomów. Są w nim zapisane ołówkiem własną jego ręką notki dające o tém wiadomość, kiedy i gdzie co było pisane. Można zatem z autentyczną pewnością ustanowić porządek chronologiczny utworów, o których mowa; był on następujący:

Hugo był pisany w Warszawie, 1829 roku, w sierpniu.

Mindowe — także w Warszawie, tegoż roku, w listopadzie. Praca nad nim ukończona była w jednym miesiącu.

Mnich przypada na luty 1830 roku — w Warszawie.

Bielecki na lipiec tegoż roku — tamże.

Marya Stuart zajęła, równie jak *Mindowe*, jeden miesiąc

czasu. Była pisana w Warszawie w roku 1830, od 17 września do 18 października.

Arab powstał w listopadzie 1830, tamże.

Zmija był płodem różnych czasów. Pieśń pierwsza rzucona była także jeszcze w Warszawie, w miesiącu lutym 1831, a zatem krótko przed wyjazdem za granicę. Druga pieśń przybyła w Dreźnie, w lipcu 1831. Trzecia w Paryżu, w wrześniu. Czwarta tamże, w październiku. A zatem zapelnia poemat ten prawie cały rok 1831, przy pracy nad nim ciągle przerywanej już to przez zdarzenia tego roku, odwodzące uwagę autora w inne strony, już przez same zmiany pobytu, niemniej przyczyniające się do roztargnienia.

Do Skibickiego wiersz powstał dopiero w Paryżu w lutym 1832.

Nie mam zamiaru wchodzić z równą szczegółowością w rozbiór wszystkich tych poezji. Niektóre z nich nie wytrzymują zgola krytyki i nie ma się co nad niemi rozwodzić. Tak na przykład myślę, że i najzagorzalsi wielbiciele Słowackiego zgodzą się na to, że najrychlejsza między wyliczonemi powyżej jego rzeczami wypadła nader słabo. Ani przez inwencją, ani przez wykonanie poemat ten nie sprawia wrażenia na czytelniku. Charakter *Hugona*, głównej osoby, tak dorywczo i ołówkowo tylko rzucony, że ani sądu o nim ani współczucia dla niego mieć niepodobna. Wszystko zaś psuje do reszty ten brak prawdopodobieństwa, rażący przy każdym kroku. Jestto zatem tylko próba młodzieńcza z rodzaju tych, któreśmy ogłosili na początku pierwszego tomu dzieł Słowackiego pozgonnych.

Przejdźmy do *Mindowy*. — Przedewszystkiém najwłaściwszą będzie powtórzyć, co o téj sztuce sam autor rozumiał wtedy, kiedy oddawał ją do druku. — „Niech mi wolno będzie wyznać, (mówi on w notach dodanych na końcu sztuki), że sam czuję najlepiej wszystkie niedostateczności dramatu *Mindowe*, a części przynajmniej błędów starałem się w *Maryi Stuart* uniknąć. Mamże jeszcze z szerszą otwartością postąpić? mamże wyznać, że *Mir łowe* jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych,

napisany przed trzema laty, kiedy autor miał lat —. Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona, i możeby słusznie jakie z pism peryodycznych powiedziało, iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniej w przypisach o przywileje małoletnich upominam się.*) I tak: Mindowe powinien był w tece dziecinną pozostać. Wiecznieby w niej pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu, i do całego aktu trzeciego“....

Że to, co tu mówi Słowacki, było jego przekonaniem rzeczywistym, a bynajmniej nie pochodziło z jakiegóż udanej skromności, którato skłania niekiedy autorów do spowiadania się przed czytelnikiem z tych lub owych uchybień częściowych, aby krytyka tym pewniej pochwaliła całość ich dzieła: o tém świadczy i ta jeszcze okoliczność, że się w tym samym sensie o tej sztuce wyraził i poufnie w liście do matki. Zdaje się, że musiała ona coś zganić w układzie tego dramatu. Na to jej tedy odpowiedział poeta słowem krótkim ale dobitnym: — „Tragedya Mindowe wiem że bardzo słaba — oprócz kilku scen.“ (Z listu z d. 30 lipca 1832 r.)

Na tym wyroku i mybyśmy mogli najzupełniej poprzestać. Miejsce pojedynczych wyższym nacechowanych talentem nie brak wprowadzić tej sztuce, wrażenia odpowiedniego jednakże całość nie sprawia. Co samo już świadczy albo o jakimś niefortunnym założeniu całego pomysłu, albo o jakiegóż wadliwości w jego przeprowadzeniu, albo o obojgu. Wadliwe przeprowadzenie rzeczy — jest to innemi słowy pewien niezwiązek pojedynczych części, choćby z osobna najpiękniejszych, pomiędzy sobą i w stosunku do całości. Że dzieło niniejsze zarzutom pod tym względem podlega, tego nie ma co dowodzić. Sam autor to już przyznał. Za to nie wiem, czyby się był zgodził — w owej chwili przynajmniej — na to, coby powiedzieć należało o głównym myśle tego dramatu.

Z nazwą tragedyi wiąże się zawsze wysokie wymagania.

*) Miał lat wtedy właśnie 20. A zatem prawie tyle, ile ich miał Schiller, kiedy pisał pierwszą swoją tragedya, *die Rätuber*. Zresztą wzmianka, że to był najmłodszy z płodów wtedy wydanych, o tyle jest niedokładna, że Hugo napisanie jego poprzedził.

Zapewne ażeby tego uniknąć, nazwał poeta obecny swój utwor skromniejszem mianem obrazu historycznego. Nie na wiele mu się to jednak przydało. Najprzód bowiem, jeżeli czém nie jest Mindowe, to właśnie obrazem wieku. Do tego musiałby był Słowacki podejmować zupełnie inne studia. A potem, jak nadać nazwy tragedyi takiemu utworowi, który nią nie jest, nie czyni go jeszcze tragedya: tak też odwrotnie zatytułowanie sztuki jakiej poematem dramatycznym, obrazem historycznym itp. nie przeszkadza jej bynajmniej być tragiczną kreacją, jeżeli tylko ma po temu wewnętrzne i prawdziwe warunki. Rzecz się ma podobnie i w tym razie. Mindowe nie może być inaczey przedmiotem krytycznych uwag, jak tylko właśnie jako tragedia, do rodzaju której najwięcej się zbliża.

Powiedzmyż, co jest, co ma być tragicznym w obecnym dziele? — W ogólności otrzymuje każdy utwor znamię tragiczne albo przez odpowiedni tok zdarzeń, stanowiących to co pospolicie nazywają bajką dramatu, albo przez charakter działających w nim osób. Zazwyczaj jedno nie może być bez drugiego, bo gdzie jest pierwsze, tam się znajdzie samo z siebie i drugie; jednakże bywa zazwyczaj pewna po tej albo po owej stronie przewaga. Stosując to do Mindowy, zdawać się wprowadzić może na pierwszy rzut oka, że poeta oparł się tu głównie na przedmiotowej stronie osnowy; że wyrazem i przeprowadzeniem tej idei, która kierowała jego wyobraźnią kiedy obmyślał układ dzieła, chciał mieć mniej więcej następujący przebieg wydarzeń:

Mindowe porzucił wiarę ojców. Z pobudek politycznych, dla zaspokojenia dumy swojej, dla powiększenia granic państwa, wdał się w związki z Krzyżakami, przyjął koronę królewską, a z nią (wprawdzie obłudnie i tylko na pozór) i chrześcijaństwo. Naród oburzył się nad taką wzgardą bogów ojczystych. Stał się przeciw wiarołomcy. Własna matka rzuciła na głowę jego przekleństwo. Na nic się nie przydało, że potem Mindowe odrzucił maskę przybraną, do pogaństwa powrócił i Krzyżaków zdradził. Przekleństwo matki musiało się dopełnić. Zerwany węzeł wierności narodowej nie mógł być powetowany. Mindowe ginie, a z nim i całe potomstwo jego. Na jego tronie zasiada Trojnat, wierny religii narodu.

Po głębszém zastanowieniu jednak upada przypuszczenie, żeby z tego punktu widzenia dała się wskazać główna waga tój sztuki.

Najprzód bowiem bezpośredni cios, spadający na głowę króla, nie pochodzi ze strony zbuntowanego ludu, ale od Dowmunta. Dowmunt mści się za krzywdę osobistą, a nie z religijnych powodów. Co większa — ów Trojnat, który ostatecznie obejmuje rządy nad Litwą po strąceniu Mindowy, nie ma co do głównej rzeczy żadnej nad tymże wyższości. Nie jest on typem dążeń przeciwstawionych roli, jaką stryj jego odegrał. Chociaż bowiem jest poganinem i być nim nie przestaje, to i on jednak osiąga tron książęcy także nie inaczej, jak tylko przy pomocy Krzyżaków: jest z nimi sprzymierzony, przyrzeka, „że się nie będzie nigdy wdierał do pruskiej dzielnicy“, że „usługę Krzyżaków w wiecznej zachowa pamięci“. Nic się zatem przez jego na tron wstąpienie na Litwie nie zmieniło. Tak przed katastrofą, jak po katastrofie — białe habity z czarnym krzyżem na piersiach z równym wpływem występują na scenie przy każdej sposobności.

A zatem okazuje się, że tragiczność tój sztuki nie może polegać na akcji. Tok zdarzeń nie zawiera w sobie żadnej idei tragicznej. Szukajmyż przeto, czego nam trzeba, gdzieindziej — w charakterach.

Charakterów w tój sztuce jest kilka z pewną siłą i konsekwencyą rzuconych. Plastyczna, marmurowa postać Rognedy jest jak z jednego odlewu. Posagowy to pomnik macierzyńskiej miłości na tle szorstkiego wieku i nieogrzanój uczuciem chrześcijańskiem dzikości. Lecz to osobistość stawiona w tój tragedyi na drugim planie. — Wybornym typem starolitewskój siły jest także Lutuwer. Mistrzowska scena jego skonania (w akcie czwartym) jestto jeden z najszcześniejszych ustępów w całym dramacie i nie pozostawia nic do życzenia. Ale i z Lutuwerem tylko się mimochodem zapoznajemy i spotykamy go zaledwie trzy razy w całym przebiegu sztuki. — Z wielkim wdziękiem rozpoczęta rola nieszczęśliwój Aldony zrazu obiecuje wiele; od połowy IIIgo aktu jednak i ta postać przestaje zajmować widza, spadłszy na poziom prostój kopii szekspirowskiej Ofelii. — Heidenrich, Wojsielko, Mindowe — są to typy jednego stępla, ale

Mindowe przerasta ich wszystkich perfekcyą w swoim rodzaju i zarzuca cieniem cały obraz dramatu. W rękę Mindowy zbiegają się wszystkie nici rozbiegłych zdarzeń. On nimi kieruje, on je wszystkie porusza. Jego wola, jego czyny, jego cierpienia — oto punkt, około którego się wszystko gromadzi.

Rozbierzmyż teraz rolę, jaką autor dał odegrać bohaterowi sztuki. Przyznając z góry, że takowa ma w sobie wszelkie tragiczności pozory, starajmy się wyrozumieć, czy te pozory nie są złudne; czy w charakterze Mindowy daje się dostrzec coś takiego, coby jego działanie w tym kierunku jak się ono rozwija, upoważniało i dawało mu prawo do walki, jaką jest całe człowieka tego życie?

Tragiczność roli Mindowy nie jest wynikiem jego położenia, jego stósunku do świata, wśród którego żyje. Ona wynika z jego własnej natury, ona jest w nim i tylko w nim samym. Jestto człowiek, jakby na to zrodzony, ażeby nie poszanować niczyjego prawa na świecie, ażeby zdeptać wszystko, co dla drugich mile i drogie, ażeby uważać za igraszkę rąk swoich wszystko, co go tylko otacza — i piętrzyć zbrodnie na zbrodniach — i wiedzieć że to źle — i boleć nad tém i cierpieć, — a jednak nie móc czy też nie chcieć zejść z tój drogi fatalnej.

Czy tacy ludzie zdarzają się na świecie? Bywają pono niekiedy — dzięki Bogu, że bardzo rzadko! W utworach poetyckich można się częściej z nimi spotykać. Dzieła Byrona przedewszystkiem w nie obfitują. Byron też dopiero jest właściwie ojcem podobnych typów w poezyi jako natur upoważnionych do bytu.

Sąto niby półbogi w porównaniu z zwyczajną małością ludzką. Ale ta ich półboskość nie sięga po za własne rozumienie o sobie, a w najlepszym razie nie sięga po za pewną, błyszczącą jak szych, wspaniałość słów, uczuć i pragnień, których jedynym źródłem bezdenna egoistyczna duma. Sąto zatem olbrzymy w zachceniach, a w działaniu prawdziwe karły! Burzyciele szczęścia ludzkiego za życia, a w godzinie zgonu szatany. Zdaje im się, że cały ich zawód na ziemi byłato jedna nieustająca krzywda,

jakićj doznawali od ludzi: podczas gdy w rzeczy samej onito byli dręczycielami drugih.

Czy Słowacki widział swego Mindowę w takiem świetle przed sobą? Czy wiedział o tém, że jego bohater nie jest niczém więcej, jak demonem upadłym? Otóż właśnie w tém cały obłęd poety, że tego nie wiedział; że owszem rozumiał, iż w nim przeciwstawia zwyczajnej naturze ludzkiej osobistość doskonalszej organizacyi, właśnie przeto upoważnioną do zakłócania szczęściem wszystkich i każdego na ziemi...

Zresztą gdyby się można zgodzić na wprowadzenie postaci, jakem ją tutaj określił, w zakres dzieła osnutego na najdawniejszych dziejach Litwy pogańskiej: — przyznać trzeba ku pochvale poety, że ją i z konsekwencją przeprowadził i nieraz umiał uwydatnić tę abstrakcyjną wielkość, jaka niewątpliwie jest jednym z przymiotów podobnych demonicznych osobistości.

Dążność ta otrzymała w dziele obecném tyle nawet po nad wszelkim innym względem przewagi, że czytelnik nieraz — mimo woli i mimo wiedzy — sympatyzuje z jego bohaterem! Słyszac dumne, niekiedy prawdziwą potęgą tchnące odzywiania się jego, skargi jego zaprawione dojmującą goryczą, rozkazy jego wydawane głosem, przed którym wszystko się korzy, — zapominamy niemal o czynach, na któreśmy własném okiem patrzeli, o czynach zadających kłam owę wyniosłości, owę poezyi wyrazów.

Jeżeli przykład Mindowe (w akcie I) przemawia do Krzyżaków:

„Kiedy nie będę królem, będę księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił.
I teraz nadto drogo tytuł króla kupił,
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to co myślę.
Ci wolno nie gadają, których jarzmo gniece.
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?
Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe?“

Albo kiedy się (w akcie II) skarży na posępne przeznaczenie swoje:

„Sam więc jestem, sam jestem! Walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekle wargi,
Wędzidłem krwawóm ścigać dzikie ludu hordy —
To moje życie... usta nie wydadzą skargi...
Nie wiedzą, że ja cierpię“...

Albo kiedy przewidując bliską zagładę, obsaczony zbuntowanym narodem (w akcie V) mówi do Rognedy:

„Matko, czujesz? — przez okna téj gotyckiej sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie...
O Litwo moja, syn twój na ciebie się żali!
Zdradzasz go“...

Albo wreszcie, kiedy (w akcie IV) żegna się ze swoim zamkiem:

„O zamku, co przetrwałeś długie wieków burze,
Ciebie naprzód powita jutro słońce jasne,
Ja ciebie żegnam... Zamku! na wysokości górze,
Byłeś ty gniazdem orla, orzeł ciebie wsławił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać
I nieraz cię krwią ofiar niewinnych zakrwawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?“

Któżby nie słuchał słów takich z pewnem współczuciem i nie rozumiał, że ma głębszą naturę przed sobą? A tymczasem złóż, oblicz, oceń całe pasmo jego działania — rozważ, co ten bohater w jaśniejszych chwilach sam o sobie i to bez najmniejszej mówi przesady, — na przykład w pierwszej scenie aktu IIIgo.

„I któż się odważy

Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpacz
I zbrodni?

Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmasał —
(pokazując sztylet)

Patrzaj, tą krwią wypisane

Wszystkie są moje czyny na téj rdzawej stali...
Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza

Lud podły, ciemny, dziki czołga się pode mną.
 Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
 Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
 Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie
 Uchyła korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
 Choć wołałby przy piersiach czuć węza pierścienie,
 Niż ten krzyż nienawistny... Któż mi to przebaczy?"
 Jeżeli tak: to jakże jemu mówić do ojczyzny z wyrzutem:
 „O Litwo moja! syn twój na ciebie się zali,
 Zdradzasz go“.

W inném miejscu (w akcie Vtym) powiada o sobie:
 „Bezbożny — zbrojca — tyran — obłudnik — morderca.
 Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie:
 Jam wszystkie spełnił — zimno! Znużony po zbrodniach
 Głębiej teraz spać będę i w grobowe cienie
 Przejdę, przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
 Ach matko, ciężkie, ciężkie było moje życie!
 Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko.
 Nikt mnie nie kochał“!...

Ta skarga: nikt mnie nie kochał! nie jestże to istne szaleństwo w ustach takiego człowieka?

Owoż — przeprowadzenie zawodu takiej demonicznej natury, takiej że powiem irracyonalnej wielkości ducha, powołanej do czynu w rozległym zakresie działania władcy narodu — zdaje mi się że było artystycznym zamiarem autora Mindowy. Zadanie wielkie, zadanie godne znakomitego poety. Ale trzeba sobie było zdać z tego sprawę, czy się kreśli wizerunek demona, czy ideału. — Nie chodzi wprawdzie o to, ażeby bohaterami dramatów były same idealne postaci. I ujemne żywioły mogą niekiedy nosić na sobie znamiona wielkości. Poezya złego nie wyklucza z swego obszaru. Bohaterem szekspirowej tragedii Ryszard IIIci jest niemal szatan wcielony. Ale Szekspir wiedział o tém, że to bicz boży, na to tylko tutaj przysłany, żeby wyprzątnąć plac z nieprzydatnych do niczego rumowisk. Nie wzbudzał w widzach dla niego ani współczucia ani uwielbienia. Nicóż moralna nie jest tam zatem bynajmniej osłonięta wszystkimi urokami poezji, aż

do złudnego przybrania pozorów tego, czém nie jest, i przemienienia się w przedmiot zachwyty poety. U Słowackiego zaś w tém dziele ma się rzecz właśnie przeciwnie.

Pomiędzy utworzeniem Mindowy a dokonaniem **Maryi Stuart** upłynęło trzy kwartaly czasu, zapelnionego innemi robotami poetyckimi. Bierzemy jednakże pod rozbiór już w tém miejscu ten późniejszy utwór Juliusza, ponieważ je forma dramatyczna do siebie zbliża; a dalej ponieważ chcielibyśmy pod bezpośredniem wrażeniem uwag rzuconych co do Mindowy, ocenić — sprawdzić niejako te słowa poety w domówieniu do rzeczonoego dzieła powiedziane: „Sam czuję najlepiej wszystkie niedostateczności Mindowy, a części przynajmniej błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć.“

W rzeczy samej przyznać to pocie należy, że drugie jego dzieło sceniczne z wielu miar od tamtego jest wyższe. Już sam początek jego wzbudza wielkie oczekiwanie. Zawiazanie intrygi zręczne. Nakreślenie charakterów zdaje się być szczęśliwe, wykonane ręką pewną i wprawną. Wstępne sceny przemawiają doraźnie do wyobraźni i coraz więcej obudzają zajęcia. Cały akt pierwszy, równie jak drugi, prowadzone są w sposób chlubnie świadczący, że się talent poety przez ten czas rozmógł, dojrzał, spotężniał. Uchybień, jakie wytknąć należało Mindowie, nie znajdujemy tu ani śladu. Co krok miejsca silne, porywające, prześliczne pomyslane, wyrażone najcudniejszym wierszem, jakim kiedykolwiek pisano po polsku. Już pewność czytelnika ogarnia, że ma przed sobą utwór pierwszego rzędu, jedną z pereł dramatycznej poezji naszej. Wtém — rozpoczyna się akt III., a w nim coś się akcja zaczyna wikłać — ogniwo łańcucha zdarzeń, dotąd prowadzonego tak dzielnie, pęka — charakterzy owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza dojrzeć aż w samo ich wnętrze — coś się w nich paczy, zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały — współczucie widza chwieje się... lecz nie uprzedzajmy sądu czytelnika naszego. Zaczniemy raczej rozbiór, od czego go rozpo-

cząć należy, od wyjaśnienia głównej intencji autora, od zdania sobie sprawy z roli pierwszorzędnej w dramacie, z charakteru Maryi.

Jestto młoda, żywych uczuć, luźnych zasad i wątlęj woli kobieta, stawiona ironią losu na tronie narodu, z którym oprócz prawa do dziedzicznej nad nim władzy, żadna ją wspólność nie łączy. Obyczajami zbliżona do Francyi, gdzie jęj upłynęły najrańsze lata młodości; sercem najściślej złączona z Rzymem, którego religijną zwierzchność uznaje; gorących katolickich przekonań — objęła rządy nad krajem, który się od jednności kościoła oderwał, uporczywie obstaje przy nowych wyobrażeniach, w posępny rygorze swego purytanizmu spoziera z oburzeniem i wzdargą na tę miętkość obyczajów zamorskich, co ton nadają na dworze Maryi Stuart. Pospółstwo stolicy w zapędzie fanatycznym nie tylko lży publicznie wyznanie swojej monarchini, ale i czynnie znieważa przybytek „papistycznego“ jęj nabożeństwa. Jeden z sekciarzy, przywódca ludu, posuwa się i dalej jeszcze. Oto namawia już gawiedź do stanowczego wypowiedzenia jęj posłuszeństwa nawet jako panującej, do otwartego buntu. „Zburzcie, zburzcie to gniazdo, woła wskazując na jęj pałac królewski, a odlećą kruki!“ — A wyższe stany? Wyższe stany patrzą na to wszystko obojętnie. Nie widać w nich żadnego współczucia dla znieważonej. Czują mniej więcej to samo, co pospółstwo; tylko że miarkują uczucia swoje rozsądkiem i jeszcze trzymają się w karbach uległości pozornej.

Ale poeta nie poprzestał na odsłonienu tej tylko jednej trudności w zawodzie swęj bohaterki. Droga Maryi nie z tej tylko przyczyny prowadzi po nad krawędzią przepaści, że ją widzimy w przedmiotowej kolizyi, gruntującej się na okolicznościach politycznych, zewnętrznych, na okolicznościach, których ona nie wywołała. Jest jeszcze inny szkopuł, o który się rozbić może łódka jęj spokoju i bezpieczeństwa, a tym szkopułem jest jęj własna osobistość. Tamte trudności dotyczą jęj tylko jako królowej; te jęj dotyczą jako kobiety.

Marya jest młodą, dobrą, a nadewszystko — ona jest piękną! Wywiera urok i pociąg jakiś nieopisany na wszystkich, któ-

rzy bliższy, którzy częstszy przystęp do niej znajdują. W tej mierze jest jakaś jakby fatalność przywiązana do jęj osoby. Wprawdzie ogół narodu nie podlega tej sile jęj niewieściego uroku. Przesady, sekciarstwo, niechęci z jednej, a brak ufności z drugiej strony utrzymują zbyt wielki przedział między krajem a tronem. To też mało ma przyjaciół królowa szkocka. Ale kto się liczy do jęj otoczenia, do jęj przyjaciół — rycerze jęj orszaku — dworzanie wierni, którym serce jęj lepiej jest znane, ci wszyscy pod wpływem jęj czarującej osobistości muszą się żegnać z spokojem ducha! Marya zapala miłość, na kogo tylko z nich spojrzy.

Wszakżeż nawet najmłodszy w całym ich gronie, paź królowej — niedorósłe pacholę i prawie dziecko jeszcze — rozmarzony tym słodkiem upojeniem, jakiego w jęj otoczeniu doznaje, z uniesieniem, w bezwarunkowem oddaniu całego swego jestestwa na usługi swęj pani, takimi oto słowy maluje uczucia, jakie ona w nim rozbudziła:

„Czy ja kocham królowę? Jakież dam dowody?
Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jęj stopach, — nieraz na kolana
Spadnie mi róża napół uwiędła z jęj czoła;
Nieraz jęj twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz splonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonęj kornie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!“...

Z takich samych uczuć, tylko w namietniejszy sposób, mógłby się spowiadać i Rizzio, nadworny lutnista królowej, i nie jeden inny jeszcze, gdyby — byli tyle naiwni, co ów paź młody, i nie woleli tego, co czują, tego co sobie roją, do czasu zamykać w sercu.

Wprawdzie za urojenia drugich nikt odpowiadać nie może. Ale na Maryą spada jednakże część winy za te jaskrawe uwielbienia jęj powierników. Niekoniecznie to bowiem mimo jęj wiedzy i mimo jęj chęci zapalają się te płomienie. Marya jest już

z natury zalotna. Nienadaremnie też pierwszą życia wiosnę spędziła nad brzegami Sekwany.

„Niedawno w kraju Franków na królewskim dworze
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana.
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie.“

Na kwiatkach tedy, na skrzydłach motylka, jak sen uludny, lekko uleciała jej przeszłość. Za przybyciem do Szkocyi skończyły się te dni jasne. Widzi się tu przyjmowaną oziębłą, samotną i opuszczoną przez naród; czuje, wie nawet o tém, że jest podejrzewaną i niemal znienawidzoną. Témcie miliej, tém wdzięczniej przyjmuje hołdy od téj szczupłej liczby przyjaciół, jaka ją jeszcze otacza. A chociaż w tym lub owym odgaduje uczucia żywsze i śmielsze i gorętsze, niżby może należało: bawi się niemi, cieszy się niemi, bo to jej próżności pochwlebia, bo tkliwe jej serce nie chciałoby odtrącającem słowem nikomu jego rozkosznych marzeń przerywać — a wreszcie, wszakże to już jest wszystko „co jej rozjaśnia tę pustynię ciemną,“ do której przyrównywa smutny swój zawód na ziemi!

Z tego zachowania wynikają oczywiście następstwa, które szkodzą jej sławie i bynajmniej nie przyczyniają się do umocnienia jej stanowiska na tronie. Świat wie o tém, że stosunek między królową a mężem jej Henrykiem Darnley, jest od pewnego czasu bardzo jakoś oziębły. Powszechnie mniemanie oskarża ją o miłości z dorodnym Włochem, z poetycznym harfiarzem nadwornym, z Rizziem. Mniemanie to podziela także i tytularny król Szkocyi, małżonek Maryi Stuart. Co większa, i Rizzio nawet — sam rozmiłowany w królowej nad miarę — bynajmniej nie jest daleki od uwierzenia temu, że doprawdy osoba jego jest dla królowej nieobojętną. Na karb tego, co sobie roi, poczyną też on sobie z panami i dostojnikami królestwa z takim zuchwalstwem, w sposób jak dla przybyleca i człowieka w jego podrzędnym położeniu tak niestosowny, że tém bardziej jeszcze samochcąc utrudnia pani swojej wszelkie porozumienie z narodem. Marya Stuart je-

dnakże i tego wszystkiego za nic sobie nie waży. Poczytując się za niewinną, nie poczuwając się do tego, o co ją posądzają, śmiało wyzywa opinią ludzką.

Wprawdzie przychodzi jej na myśl, że mogą czasem szkodzić nawet i same pozory, że „czyste zwierciadło skazić może i lekkie tchnienie“. Ale duma monarsza co prędzej ją napowrót sprowadza na tę pochyłość, po której idzie, gdyż —

„Ktoż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie!

Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie“!

Co najwięcej jednakże w całym tym stosunku jest niebezpiecznym, to że serce Maryi nie jest zajęte żadnym żywszym, trwalszym, rzetelniejszym uczuciem, a koniecznie zdaje się potrzebować głębszego zajęcia. Jej mąż, Henryk Darnley, nie jest człowiekiem, któryby potrzebom tego serca wystarczał, któryby je osobą swoją zapełnił. Niedołężna to natura! Ograniczony, słaby, lękliwy — namyśla się w nieskończoność nad wszystkiem. Rozbiera po tysiąc razy swoje nędzne położenie, swój upokarzający stosunek względem kraju, względem żony, względem jej zalotników. Szemrze pokątnie na jej postępowanie, zazdrości jej władzy królewskiej, którą tylko tytularnie z nią dzieli. I w téjsamej chwili drży na samą myśl, że się może królowa obraziła o co na niego! Przyjaciele jego chcieliby w nim rozbudzić jakieś poczucie godności. Nik, blazen jego nadworny i towarzysz nieodstępny (o którym powiedzmy tu choć nawiasowo, że jestto może najwdzięczniejsza rola w całym dramacie i najgłębsza natura ze wszystkich figur w nim działających), Nik smaga go nielitościwie dojmującymi szyderstwami. Popychają wszyscy nieboraka to w tę stronę, to w ową. Rozdmuchują w nim iskrę zemsty. On też nieraz zapala się okrutnie — przyznaje im wszelką słusność — grozi wszystkim zapalczywie... ale czemu im grozi? — oto że się wreszcie już postanowił, nad położeniem końca temu wszystkiemu — namyśleć!

Taka chwiejna kreatura, taka bezwarunkowa nicość męszczyzny nie była oczywiście stworzona na męża Maryi Stuart. Jeżeli Henryk znaczył coś kiedy w jej oczach, to te czasy dawno minęły. Zgoda i porozumienie małżeńskie spadły między nimi do

pustej formy. Darnley rzadko się też pokazuje na pokojach królewskich. Trawi czas najwięcej z blaznem swoim, w wiejskiem ustroniu. A w sercu Maryi — próżnia niczem nie zapełniona!

W tym stanie rzeczy potrafił zbliżyć się do boku królowej człowiek, którego niepospolita, zagadkowa istota od razu zapala jej wyobraźnię. Jest on obecnie także rycerzem w jej orszaku; nazwisko jego Botwel. Postać zadumana — ponura — smutna, o bladej twarzy. Trawią i dręczą go od dawna pragnienia jakiegś nieokreślonej wielkości, pragnienia przechodzące wszelki zakres rzeczy do osiągnięcia podobnych. Jeden z tych typów bajrońskich, nigdy niezadowolonych z niczego, którym się przeto snuje ciągle myśl zabójstwa po głowie. — Oto jakimi słowy sam Botwel zapoznaje nas z sobą:

„Na wybladłej twarzy

Gorzki uśmiech i wzgarda: — nie patrz, co jest we mnie.

Któż się we wnętrzu grobu zaglądać odważy?

Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jestto sytość życia;

Gorące serce wrzało we mnie od powicia,

Teraz jestem znużony, zimny — umrzeć muszę“ ...

Z tą tedy tajemniczą naturą, z tym duchem kolosalnych zapędów, ale jakby napiętnowanym cechą potępienia na czole, spotyka się na drodze życia swobodna, bezpieczna, zalotna żona Darnleja. I to spotkanie stawia ją znienacka, niebawem w położeniu, z którego się bezkarnie wycofać — graniczy niemal z niepodobieństwem. Aż dotąd postępowanie królowej szkockiej mogło być w wielu względach niebaczone, mogło upoważniać do krzywdzących podejrzeń, mogło w oczach rygoryzmu jej purytańskich poddanych być i nagannem: — w własnem wszelako sumieniu nie miała ona sobie dotąd do zarzucenia żadnej przewiny. Igrała wprawdzie z uczuciami, które być nie powinny igraszką; bawiła się miłością, którą tylko w drugich wzbudzała; szła po śliskiej, stromiej ścieżce, lecz ani przypuszczała, że ta ścieżka może prowadzić i ku przepaści. Naraz spostrzega, że się zapędziła za daleko. Widzi się w pętach uczucia, które z uśmiechem na twarzy tylekroć wyzywała bezkarnie. Czuć zaczyna całą wagę, całą potęgę tej siły, której się nierozmyślnie poddała. Sumienie wła-

sne przemawia do niej z goryczą, że to, co dotąd nazywała tylko swych nieprzyjaciół potwarzą, może niezadługo i sama o sobie za drugimi powtórzy.

Wrącym pędem toczy się odtąd ten prawdziwie tragiczny przebój pomiędzy wzrastającą coraz bujniej w sercu Maryi miłością i demoniczną potęgą, którą na niej posępny Botwel wywie-ra, a słabym oporem reflexyi i sumienia, jaki zdolna stawiać obydwoim. Do tragicznego obrotu rzeczy przyczyniają się i uboczne okoliczności, przypadkowe zdarzenia, następstwa nieprzewidzianych, obojętnych założeń dawniejszej daty. Takto zwykle się objawia w zawikłanych sprawach ludzkich ironia losu. Pod wpływem tego wszystkiego wynikają z nawiązanego ogniwa pierwszej przewiny coraz nowe, coraz fatalniejsze, coraz wręcz występniejsze wypadki, aż wreszcie przychodzi do świadomego i umyślnie zamierzonego morderstwa, wykonanego na własnym mężu, i do wystawienia się na ostatnią wzgardę i ohydę narodu. W objęciach zbrodniczego kochanka, przed którego tajemniczą istotą w końcu i sama się wzdryga, obarczona żalem i wyrzutami sumienia, w ostatniej scenie widzi się Marya zmuszoną zstąpić z stopni tronu swojego, w rychłej ucieczce szukać ocalenia przed sprawiedliwą pomstą własnych poddanych. Ustępuje tedy z granic ojczyzny. Razem z Botwelem — znienawidzonym, idzie powierzyć się niepewnym losom tułactwa między obcymi. A ostateczny kres jej zawodu — smutna dola ofiary, na śmierć z ręki kata wskazanę, wśród ciemnych murów angielskiego więzienia — odsłania jej się jak wizya — w dalekiej perspektywie, na tle obrazu, który przed oczyma jej ducha niewidoma ręka roztacza. To katastrofa i rozwiązanie dramatu.

Tyle miałem do powiedzenia o głównym zamiarze, jaki autor dzieła swemu podłożył. Takem pojął charakter bohaterki tego dramatu.

Ramy obrazu Słowackiego są zatem jak widzimy, dość szczupłe. Nie zamierzał on, jak Schiller w swojej tragedji tegoż tytułu, wciągnąć w zakres dzieła swojego całego historyzmu danęj epoki. W głębi zdarzeń na pierwszym stawionych planie, nie odsłania żadnych przebojów dziejowych ogólniejszego znaczenia,

których związek z zabiegami ludzi dramatu podnosiłby bohaterkę i tych co ją otaczają, na wysokość prawdziwie historycznych postaci. Nie chciał korzystać nawet z owęj kolizji polityczno-dziejowej, ukazanej w głębi sceny w sposób tyle obiecujący na samym początku sztuki, z kolizji mówię między narodem a panującą z powodu sprzecznych religijnych przekonań. I zaniedbał zupełnie wyprowadzić z tej sceny następstw, któreby w jakiegokolwiek mierze wpływały na tok dramatu w dalszej jego osnowie. Zgromadził natomiast całe światło obrazu właściwie na jednej tylko postaci. Spoczął wzrokiem swoim na niepospolitych rysach jęj indywidualnej natury, na nadzwyczajnych kolejach jęj życia, uważanego z ogólnie ludzkiego stanowiska. I tak stawil przed sobą zadanie, które mimo że sprowadza koronowaną osobistość dziejową na poziom prywatnej niemal niewiasty, tyle jednak ma stron w wysokim stopniu zając jeszcze mogących wyobraźnię każdego, tyle warunków prawdziwej dramatyczności, że krytyka patrząca, jak sprawiedliwie, tego tylko, co dać autor zamierzył, a nie czegoby sobie kto może życzył, nie ma pod tym względem nic do zarzucenia pocie.*)

Nawet więc jeszcze ośmieliłbym się powiedzieć na korzyść pomysłu służącego tu za główne założenie dramatu. Wspomniałem już wyżej o tragedii Schillera, osnutęj na tym samym ustępie dziejów szkocko-angielskich. Daleki wprawdzie jestem od rozumienia, żeby arcydzieło to niemieckiego tragika nie miało być jako skończony utwór sztuki, wzięty w całym swoim ogóle, nieporównanie wyższem od obecnej sztuki Juliusza. Gdyby atoli chodziło o porównanie ze sobą samych tylko bohaterek w jednym utworze a drugim, to zdaje mi się, że porównanie takowe wypadłoby pod artystycznym względem ostatecznie na korzyść takiej Maryi Stuart, jak ją poeta polski w dziele swoim wprowadza.

*) To jedno chyba możnaby tu nadmienić, że niewłaściwie nazwał autor dzieło swoje, pomimo tak ścieśnionego zakresu, historycznym dramatem. Historycznym nie jest on wcale, chociaż zna i historia ludzi, którzy w nim występują. On jest tylko psychologicznym obrazem serca ludzkiego i jego namiętności. Ale mniejsza o tytuł!

Heroína Schillera jest nierównie mniej dramatyczna. Bardzo mało, właściwie nic wcale nie przyczynia się ona osobą swoją do tej gorzkiej doli, jakiej doznaje. Jęj cierpienia, jęj smutny koniec, nie sąto wyniki winy, którąby była zaciągnęła sama; sąto wszystko raczej, jak wiadomo, następstwa okoliczności od niej niezawisłych. O tyle zawód jęj tedy jest tylko bierny. Cierpi — jako słaba ofiara obcej przemocy; upada — niewinnie.

Warunkiem prawdziwej tragiczności w losach człowieka jest nieodzownie pewien własny i umyślny współudział jego w powodach, które na posępny obrot jego doli wpłynęły. W klasycznej tragedii greckiej mogło odgrywać przeważną rolę przeznaczenie, fatalizm. Zgodne to było z ówczesnemi wyobrażeniami o warunkach szczęścia i nieszczęścia ziemskiego. Nam nowoczesnym wszelako pojęcia takie nie wystarczają. W nas wrażeń prawdziwie tragicznych nie wzbudza widok samej tylko bierności cierpienia. Nam trzeba i czegoś więcej — własnej współwiny tego, który cierpienia te znosi.

Genjuszowi tak potężnemu jak Schiller, nie mogły oczywiście nie być wiadome i najgłębsze tajemnice sztuki, której był mistrzem. Znał on dokładnie warunki tragicznych założeń i rozporządzał samowładnie sposobami sprawiania za pomocą dzieł poetyckich, wrażeń, o jakie nam tutaj chodzi. To też bierność roli zbyt idealnej Maryi Stuart w jego utworze, była tylko skutkiem nieuniknionym samego wyboru rzeczy, samego przedmiotu dzieła. Ograniczył się bowiem Schiller do samych ostatnich chwil zawodu swęj bohaterki. Kreśląc ujmujący jęj obraz na tle posępnem angielskiego więzienia, czuł on i sam najdokładniej pewien brak samodzielnego ruchu, brak, że tak powiem inicjatywy dramatycznej w jęj roli, jaki z tego nieuchronnie wynikał. Lecz umiał go zakryć poniekąd, a nawet sowiec go wynagrodził innym sposobem. Wprowadził bowiem w dzieło swojem Maryą nie tyle jako charakter przerastający zwyczajny poziom niewieści pod względem ogólnie ludzkim, ale jako postać historyczną, stawioną na piedestalu jęj dziejowego znaczenia, z wszystkimi znamionami wieku i kraju, na tle których ją zapamiętała historia. Wprowadził ją jako typ pewnych uroszczeń dynastycznych, pewnych prze-

konań religijnych, których samo pojawienie się w jej osobie na ziemi angielskiej, chociaż było przypadkowe i bez żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, już tu zostało poczytanem za wyzwanie do boju, i ściaga na się nieuchronnie odwet ze strony interesów miejscowych, tamtym ideom przeciwstawionych. Tak więc bohaterka Schillera, jako katoliczka, jako prawa dziedziczka tronu Tudorów, której się lękać osobiście musi Elżbieta, a z nią i każdy jej poddany, jeżeli jest zwolennikiem panującego kościoła, — jako przedstawicielka pewnych gość przywiązanych mimo jej woli do jej imienia, występuje w tragedji przecie wyzywająco i niejako zaczepnie. I z tego punktu widzenia uważana, odzyskuje poniekąd to pełne znaczenie dramatyczne, na jakim jej zbywa jako osobistości indywidualnej, jako kobiecie, która zakończyła już z światem i nie zamierza mięszać niczyjego spokoju.

Słowacki wybrał sobie inną chwilę życia Maryi Stuart. Rozwinął w ramach swego obrazu właśnie pierwszą połowę jej pełnego przygód zawodu. Ukazał jej wizerunek z całym urokiem niewieściem, jakim właśnie w owych czasach tyle jaśniała; z ową dumą monarszą, która później dopiero miała doznać upokorzenia; z pędem temperamentu niezłamanego żadnymi jeszcze ciosami losu, pod wrącym skwarem namiętności, jakie się właśnie dopiero rozbudzały w jej sercu. Rola tak pomyślana łączy w sobie wszelkie warunki świetnego powodzenia na scenie. Postępki i przeboje, uczucia i koleje, jakie bohaterka jego popelnia, stacza, przechodzi — są tu wypływem jej własnej inicjatywy. Odpowiedzialność za wszystko spada jedynie na nią. Źródło wszystkiego, co czyni, i wszystkiego, co cierpi, jest w niej samój.

Równocześnie z powyższem uznaniem artystycznych zalet wyboru, poczuwać się musi jednakże krytyka i do obowiązku postawienia zapytania: Czy z materiału takich czynów i takich cierpień daje się stworzyć dzieło, któreby równie zadość czyniło i etycznemu także zadaniu dramatu, ile jest pewnem teatralnych efektów? Czy przygody indywidualne takiej osobistości, jak Marya Stuart w owiej życia epoce, są zdolne przyjąć na się to znamie głębszej intencji, tę idealną barwę prawej poezji, do znajdowania której w dramatycznych kreacjach

już nas przyzwyczaili wielcy mistrzowie dawniejsi na tém polu literatury? — Nie śmiałyjm żadną miarą rzeczy powyższem zapytaniem objętej zaprzeczyć bezwarunkowo. Rozumiem raczej, że co do tego względu zależało wszystko już tylko od talentu, a raczej od zręczności poety w ciągu pracy nad szczegółowem wykonaniem utworu. Mianowicie stanowiła tu o rzeczy całej owa czujna baczność artysty i psychologa, ku temu najusilniej zwrócona, ażeby każdy krok na tej przepadzistej pochyłości ku zbrodni był czy to odpowiedniami zająściami poprzedniami, czy wyjątkowym stanem duszy działającego należycie i dostatecznie uzasadniony. Często-kroć się i najjaskrawszy występki okaże jako tylko tragiczna, nieuchronna konieczność chwili, jeżeli go stawisz na tle okoliczności, które towarzyszyły jego spełnieniu. W ogóle przed trybunałem poezji łatwiej jest zdać rachunek z przewinień, jak przed wszelkimi sądami świata. Prawdziwe są słowa Byrona:

„Bywają zbrodnie, z których rdzę ohydny

Zdejmuje chwila — bywają pokusy

I nieuchronne i takie potężne,

Ze z nimi boju naturze nie wszczynać.*)

Tymto sposobem może więc nie byłoby niepodobieństwem zrehabilitować w dramacie imię kobiety, nie najlepiej zapisane w historii. Wydatne, usilne, z przyciskiem dokonane odsłonięcie w jej charakterze gruntu, nie mającego w stanowczy sposób żadnej spółki z poziomą i powszednią pospolitością kału ziemskiego i — co jeszcze ważniejsza — nieustanne a konsekwentne utrzymywanie w widzach przez cały przebieg dramatu wiary w onę lepszą cząstkę jej serca — potrafiłoby zdaje mi się doprowadzić do tego, iżby słuchacze — nawet w obec jej przestępstw stanowczego potępienia godnych skądinąd, byli raczej przejęci współczuciem litościwem i tą czią wielkiemu przynależną nieszczęściu, aniżeli zimnym wstrętem oburzenia i zgrozy.

Ale temu zadaniu poeta nasz, zdaniem mojem, nie sprostał. W ogóle uwaga jego nierównie mniej była zwrócona na potrzebę pokonania trudności wynikających z etycznych wymagań dramatu,

*) Byrona Werner, Akt II, scena 2.

jak na osiąganie silnych poetyckich efektów. I ta to właśnie okoliczność odebrała utworowi jego ów wdzięk muzyki rzewnie przemawiającej do serca, owę wspaniałość obrazu, pod którego barwami czujemy przytomność jakiejś wielkiej idei, słowem ono znamie wyższej kreacyi, jakiego brak podobnośmy wszyscy uczuli, kiedyśmy mieli przed niezbyt dawnym czasem sposobność widzenia Maryi Stuart odegranej na scenie. *)

Czuję w wysokim stopniu i pociąg i potrzebę nawet poparcia tego, co tu powiedziałem ogólnie, dowodami opartymi na szczegółowych takich ustępach dzieła, gdzie pod wspomnianym względem kompozytca Maryi Stuart zdaje mi się być niedostateczna. Odsuwam jednak od siebie pokuszenie, jakiego w tej mierze doznaję, a to z przyczyny, że przewiduję, iż wywody podobne, jeżeliby być miały wyczerpujące, powiększyłyby za nadto objętość tego dzieła i — co gorsza, nadałyby mu mimowolnie jakąś cechę polemiczną, którą, ile tylko być może, chciałbym usunąć z uwag dotyczących pisarza, którego nie ma już pomiędzy nami. W własnym interesie poety niechaj mi tedy będzie wolno tę przynajmniej dołączyć tu tylko jeszcze uwagę, że niedostatki, jakie upatruję w praktycznym przeprowadzeniu tak tego dramatu, jak i wielu innych młodzieńczych dzieł Słowackiego, nie tyle mi się widzą skutkiem jakiegoś niedopatrzienia, jakiś, jeślibym miał nazwać rzecz po własnym imieniu, niezdolności technicznej, ile raczej wynikiem odrębnego sposobu artystycznego, i prawiebym powiedział — maniery, jaka mu w pierwszych latach jego zawodu była właściwa i stanowiła wtedy jedno z najwybitniejszych znamion jego oryginalności.

Jeżeli który z pisarzy naszych, to właśnie Juliusz uważany być może zdaniem mojem za szczególnego wyobraźciela romantyzmu w poezyi. Romantyzm — jestto jeden z owych wyrazów, o których znaczeniu można mówić bardzo długo i powiedzieć bardzo wiele, a jednak nie wyczerpnąć wszystkiego. Na to jednak zgodzi się każdy podobno, że przywiązane są do jego istoty i pewne odrębności co do ducha i pewne właściwości co do formy.

*) Była dana na scenie lwowskiej dwa razy w ciągu roku 1862.

Pomijając zupełnem milezieniem tamte, a mając w obecnej chwili tylko te ostatnie na oku, przynajmy sobie, że romantyzm formy — wprawdzie nie z istoty rzeczy, lecz bardzo często w skutku, de facto, wychodzi na to samo, co genialny kaprys, co niezawisłość najzupełniejsza od wszystkiego, co pozytywne, co jakimukolwiek rozważeniu podlegające, co przez techniczne wymagania kompozycji warunkowane.

Poeta holdujący przesadnie temu kierunkowi sztuki, w ciągu pracy około szczegółów dzieła rozpoczętego poczyną sobie wedle najswobodniejszego widzi mi się swojego; i rzucając jeden rys tak, drugi owak, ma zwykle swoje przyczyny, dlaczego w taki właśnie je sposób rzucił. Lecz to są tylko jego przyczyny. Zdarza się czasem, że nie ma i żadnych przyczyn; ale mu coś majaczy, jakby je miał; i to nieokreślone, jemu samemu niedościgłe poczucie wystarcza, aby kierowało już jego ręką. Jeżeli go wspomaga w pracy prawdziwe natchnienie i wielki talent, to poczucie owo go nie zawiedzie. W przeciwnym razie — zawiedzie go niezawodnie i to na bezdroża dziwactwa, na trzęsawiska marzycielstwa, na jakich tak często na początku tego stulecia widywano owych to poetów niemieckich kuszących się rywalizować z sławą Göthego i Schillera, których w literaturze tej znają pod imieniem romantyków i którzy — powiedzieć można — zdyskredytowali to godło.

Com tu powiedział w ogóle, nie zamierzam tego oczywiście stosować literalnie do poety, już w pierwszych latach czynności swojej pisarskiej tak znakomitego, jak nasz Słowacki. Miał wszelako i on pewne swoje nawyczki, którychlibym się nie wahał kłaść głównie na karb źle zrozumianego romantyzmu. Jego odrębny sposób rozwijania osnowy poetyckiej zależał — pod względem technicznego artysty — na tem, że więcej on zawsze tylko na trącał i napomykał, nawiezywał i urywał, jednem więc słowem, szkicował i fragmentyzował, aniżeli żeby miał być wszystkie przejścia kreacyi swojej wykonywać szczegółowo, w równej mierze i w nieprzerwanym ciągu.

Cała sztuka jego (w dziełach przypadających na pierwsze lata zawodu, o tych bowiem tu jedynie mówię), polega na tem:

rzucić pełnemi garściami światła na stanowcze tylko momenta, a resztę zostawić w cieniu, jeżeli nie zupełnie po za ramami obrazu. Sprawiać wielkie wrażenia sporadyczne — oto główny cel jego tworzenia. Czegoby zaś całości niedostawało, niech sobie tam tego czytelnik własnym przemysłem dopełni! —

Byli, trafiają się może jeszcze, wielcy i godni europejskiej sławy artyści dramatyczni — tak aktorzy, jak i śpiewacy sceniczni, którzy początkowe sceny sztuk i w ogóle wszystkie obojętniejsze ustępy oddawali zazwyczaj z umyślnem jakimś zaniedbaniem i bezbarwnością, ażeby za to w chwilach rozstrzygających błysnąć niespodziewanie całą świetnością talentu i samym kontrastem wrażeń najpotężniej olśnić publiczność. Owoż w podobny zupełnie sposób występują i w dziełach naszego poety szczegóły wykończone tém jaskrawiej na widok, im mniej są podniesione pośledniejsze partye utworu. Te świetne chwile w jego kreacjach sprawiają wrażenie jakoby grup rzeźbiarskich, plastycznem dłutem ciosanych; ale zato przestrzenie pomiędzy jedną taką grupą a drugą traktowane są od niechcienia, często lekkomyślnie, co się zowie, byle zbyć. Owoż — gdyby to zaniedbywanie się, gdyby to homeryczne w miejscach niektórych zasypianie odnosiło się do wiersza, do języka, do innych tym podobnych zewnętrzności poetyckich: — nie byłoby nic zgola do powiedzenia przeciwko przyswojeniu sobie takowego sposobu. Ale najgorsza w tém, że się ono — nawet w rodzaju poezji tak realizmem przesiąklęj, jak dramat, u Juliusza właśnie do zupełnie czego innego ściąga. Albowiem wiersz autora Maryi Stuart jest owszem w każdej części dzieła mistrzowski, język jego zawsze się iskrzy brylantami najczystszej wody! Natomiast niedbałość epizodyczna, o jakiej mowa, dotyczy u niego samejże rzeczy, obmyślenia osnowy, dotyczy samej kompozycji, wiązań budowy, częstokroć samychże fundamentów. I to jest właśnie fatalna strona téj manieri, wielce powabnej skądinąd. Cóż bowiem z tego, że stanowcze chwile i wydatniejsze ustępy w większym dziele poetyckiem będą w sobie oddane z całą świetnością geniuszu? Jeżeli tych chwil walnych powody, jeżeli tych ustępów potężnych wiązanie polega na jakichś kruchych, wątych i że tak powiem, uproszonych tylko premisach,

a krytycznej próby nie wytrzymuje: w takim razie i to wszystko, co na tém oparte, zawisło jakby w powietrzu i nie może wywieść prawdziwie głębokiego wrażenia. Uderza i podoba się w pierwszej chwili: po dłuższém zastanowieniu nie zaspakaja.

Tak na przykład piękną jest niezaprzeczenie scena VI aktu trzeciego w Maryi Stuart, scena, gdzie się Rizzio po raz ostatni żegna z królową i gdzie zostaje zamordowanym. Jeżeli jednak zważymy, że Rizzio miał wedle rozkazu Maryi wyjechać niezwłocznie i jeszcze téj nocy, i że były bardzo ważne powody, ażeby jak najrychlej odjechał, i że też już stało na tém (w ostatniej scenie aktu II), że się już więcej nie pokaże na jój pokojach: — to prawdziwie nie wiedzieć, jakiej okoliczności przypisać to widzenie się jego jeszcze z królową? W pewnej recenzji uczyniono uwagę, że się Marya w Włochu kochała i że dlatego więc jako dawnego kochanka, przyjmuje go jeszcze u siebie, ażeby się z nim pożegnać. Ale przypuszczenie takie nie ma żadnej podstawy. Świat wprawdzie posądzal królowę o te miłostki. W rzeczy samej nie było ich jednak między nimi. Bo czyż w takim razie mogłaby ona mówić w monologu (w scenie VII aktu II):

„Wszak z dawna mnie obarcza czarne podejrzenie,
Myślą, że kocham Rizzia“...

Czyżby wreszcie, w takim razie, mogła się była ostatnia scena aktu II odbyć takim tonem pomiędzy nimi, jak jest skreślona w dramacie? A zatem niepodobna jest wymyśleć sobie żadnego dostatecznego powodu, dlaczego Rizzio po tém wszystkiem, co zaszło, otrzymuje to wezwanie do Maryi, zwłaszcza że tegoż samego czasu ma się przecież pojawić w jój komnacie i Botwel, także przywołany tam przez nią. Cóż więc jest? Oto poeta musiał wprowadzić owego wieczora czy nocy Włocha do pokoiów królowej, gdyż u stóp to jój miał być Rizzio koniecznie zamordowany. Lecz zupełnie zaniedbał uzasadnić téj jego niespodziewanej bytności o téj porze w tém miejscu; i cierpi na tém budowa sztuki. —

Weźmy inny przykład. — Kiedy po zamordowaniu już Rizzia i po oddaleniu się jego zabójców, Marya omdlała odzyskuje przy-

tomność i spostrzega przybyłego tymczasem do jej komnaty Botwela: wtedy rzuca się rozpaczliwie sama w jego objęcia —

„O niech teraz te światła, te pochodnie zgasną!

Żeby mój wstyd ukryły... Kocham cię Botwelu!

Nie jest to czas ukrywać i tać uczucia,

Rzucam się na twoje łono, już jestem zgubiona“!

To zwierzenie, które wśród takich okoliczności, tak bez ogródki czyni Marya Stuart kochankowi swojemu, zdaje się być oparte na głębokiej znajomości serca ludzkiego. I gdyby tak się rzeczy miały, jak je sobie Botwel tłumaczy:

.... „W dobrą trafiłem godzinę.

Wielki trzeba było czekać na takie wyznanie,

A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie“....

zwierzenie to byłoby rzeczywiście, jak tam ktoś o tym powiedział: „psychicznie uzasadnione!“ Byłaby to wielka exkuza dla bohaterki dramatu, że upada; i wielka zasługa poety, że tej sprawie taki dał obrot. Lecz to zwierzenie się królowej, jako i samo przybycie Botwela o tej porze w to miejsce, nie jest bynajmniej przypadkowe. Wszakże on już poprzednio przez pазia królowej został tu zawezwany na tę godzinę, na jej wyraźny rozkaz! (Obacz scenę II w akcie III.) Dalej Marya Stuart nie teraz dopiero rzuca się w tę przepaść, w jaką się miała dla niej obrócić ta miłość ku Botwelowi, bo już w scenie poprzedniej (w scenie VII aktu II.) widzieliśmy ją, co się zowie, przygotowaną i zdecydowaną do tego kroku.

„O teraz przybądź do mnie! przybądź tu Botwelu!

Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia —

Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy,“ i t. d.

A zatem, nie jest to bynajmniej następstwem okropnej dopiero chwili ową i „rozpaczy“ i „obłąkania,“ że się rzuca Marya sama w jego objęcia. Choćby bowiem te okropności wszystkie i nie były zaszyły, choćby był Rizzio jeszcze przy życiu: to byłoby się stało i wtedy nawet to samo. Bo i cóż byłaby powiedziała królowa Botwelowi przybywającemu do niej w nocnej porze i na jej własny rozkaz? — Podobno mniej więcej to samo, co i teraz z jej ust usłyszał! —

Albo cały ten pomysł (w akcie V.) z ową lampą płonąca przed ołtarzem, której Botwel koniecznie uparł się użyć do podpalenia prochów pod Henrykiem Darnlejem, ażeby go wysadzić w powietrze — Marya Stuart wzdyga się na taką myśl świętokradzką. Czyni, co tylko może, ażeby nie dopuścić do tego. Cała scena dotycząca tej chwili jest pełna wielkich wrażeń tragicznych. Jeżeli jednak rozważymy, że wszystek ten opór czyniony jest przez kobietę, która przed chwilą męża swego już własną ręką intencyjnie zamordowała, (boć wiedziała ona o tym, że trucizną zabójczą, a nie napój usypiający leje w czarę podaną mu do wypicia, skoro konwulsyjnie drżała jej ręka w chwili, kiedy ją do niej wlewała; skoro powiedziała wyrazy:

„Przepraszam, jakby leżał w śmiertelnej pościeli!

Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,

U stóp moich klęczący błaga przebaczenia“ i t. d.

jeżeli mówię rozważymy, że taki potwór kobiecy, jakim jest już Marya Stuart po ową piekielną scenie w wiejskim domku męzowskim, wzbrania się teraz pozwolić lampy do podpalenia miny, gdyż to jest lampa święcona: — to wygląda to wszystko, jakby na puste tylko jakieś ceregiele! Tragiczność wrażeń na myśl taką ulatuje, a natomiast zostaje tylko niesmak i tym większy wstręt do osoby, której wyobrażenia okazują się tak anormalnie pomieszane....

Owoż w takich to niedokładnościach kompozycji upatruję ostateczną i najgłówniejszą przyczynę, dlaczego Marya Stuart zaspakajając w tyłu najświetniejszych ustępach w tak wysokim stopniu wymagania artystyczne, nie czyni jednak zadość etycznym dzieła poetyckiego warunkom. Jeżeli w którym dziele, to w tej właśnie tragedii uderza to ogólne spostrzeżenie co do natury całego sposobu, właściwego Słowackiemu w początkowych latach jego poetyckiej czynności, że bez porównania więcej jego jest rzeczą porywać, zadziwiać i zapalać wyobraźnię swego czytelnika czy widza, aniżeli umieć zająć myśl jego i prowadzić ją krok za krokiem, jak służebnicę woli swojej — do celu, o który chodzi.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętej w poprzedzającym rozdziale. Nicco o powieści poetyckiej jako nowej formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Byronizm i jego ślady w poezyi polskiej.

Reszta ówczesnych utworów Słowackiego, Jan Bielecki, Mnich, Arab, Żmija — wszystko to ujęte jest w formę tak zwaną powieści poetyckiej. Jestto ściśle biorąc, mieszany rodzaj poezyi, w tym kształcie prawie zupełnie nieznanym przed wystąpieniem na początku tego wieku najcelniejszych poetów angielskich. Za głównego twórcę tej formy uważać można najwłaściwiej Byrona, który w tymto sposobie wykonał najznakomitsze swoje i najwięcej europejskiego rozgłosu sprawujące utwory. Za tym przykładem rozeszła się wziętość powieści poetyckiej niebawem na wszystkie literatury postronne. Poeci polscy także ją przyswoili sobie niebawem. Obok Mickiewicza Grażyny, była Marya Malczeskiego pierwszym w literaturze naszej stanowczym przykładem tego rodzaju poezyi i służyć może za jeden z najdoskonalszych wzorów kiedykolwiek wykonanych w tym kształcie. Przeważa w nim oczywiście pierwiastek opowiadawczy i opisowy; to też przynależy forma rzeczona głównie dziedzinie Epiki. W gruncie rzeczy atoli poemat, o jakim mówimy, mało ma wspólności z naturą owych plastycznych, szerokim korytem zwolna a majestatycznie się toczących kreacyi, jakich przykłady najwydatniejsze znajdujemy w rozległych epopejach starożytności, a przedewszystkiem w Iliadzie i Odyssei. Powieść poetyczna kipi spadzistym łożyskiem, na spienionych falach, ujętych w wąskie ko-

ryto. Nie rozlewając się bynajmniej, jak tamte, na cały obszar przedmiotowego życia danej epoki, nie przywiązując żadnej wagi do wydatnego w rzeźbiarski sposób postaciowania szczegółów: pędzi ona co prędzej naprzód w ślady za jednym tylko punktem, a tym punktem — osoba samego bohatera.

Na pozór wiele w tém wszystkiém podobieństwa do toku, do rytmu dramatycznych kreacyi. Ale bo też jest w tém wszystkiém i coś więcej, jak pozór. Jak się w dramacie przed oczyma naszymi zlewa zewnętrzność zdarzenia i wewnętrzność uczucia (namiętność) w genezę czynu, w akcyę:—tak i w skład tej nowej, tej romantycznej formy epizmu wchodzi już cały zespół artystycznych potęg liryki. Uczucia osobiste poety, jego smętność, żal, nienawiść, jego zwątpiałość i rozpaczenie, jego zapal ożywczy, i miłość i ogień namiętny, słowem — co tylko wre na dnie własnego jego serca — wszystko to znajduje tu wyraz bezpośredni i wplata się jak idealny duchowy wątek w materyjalną ośnowę przedmiotu pieśni.

Utwor taki sprawia na słuchacza wrażenie, jak kiedyby kto spoglądał na ruch przesuwających się widzeń wywołanych do życia czarodziejskim pędzlem malarza, przy odgłosie jakiejś napowietrznej muzyki, która ten świat kolorów owiewa tonami i uzupełnia.

To zespolenie dwóch odrębnych żywiołów poezyi tém więcej jest wdzięczne i dla poety dogodne, że dozwala jego natchnieniu najzupełniejszej swobody. Wolno mu tu, kiedy zechce, spocząć na pewnym ustępie z całóm rozmiłowaniem w szczegółach flamandzkiego malarza; wolno mu znowu dawać się porwać pędowi, w którym całe partye obrazu zbywane być muszą kilkoma ogólnymi rysami. Wolno mu snować wątek powieści, jak kolój rzeczy wymaga; wolno mu zwickać go nagle, urwać, rzucić zasłonę zagadki na najciekawsze ustępy, i zwracając wyobraźnię słuchacza ku innym ogniom tego łańcucha zdarzeń, wprowadzać inne widoki, ażeby — niezadługo i te znowu porzucić. Słowem: im więcej różnaitości, swobody i subiektywizmu autora w rzeczach tego rodzaju: tém też więcej zwykłe wrażenia.

Talentowi Juliusza z samój natury rzeczy odpowiadał naj-

właściwiej ten rodzaj pracy. Próby zastosowania tej metody do utworów dramatycznych nie zawsze były na miejscu. Natomiast w poematach, o których rzecz obecnie, znalazł on się że tak powiem, na własnym gruncie. To też bodaj które pomiędzy rychlejszemi jego dziełami tak od razu trafiło do powszechnego czytających smaku, jak **Jan Bielecki**, którego utworzenie przypada właśnie na tę przestrzeń czasu pośrednią, jaka była pomiędzy napisaniem *Mindowy* a *Maryi Stuart*. — Lesław Łukaszewicz, autor znanego *Rysu dziejów piśmiennictwa polskiego*, jak wiadomo, nie był wielkim krytykiem; ale tém pewniej zato znajdujemy w zdaniach jego o dziełach autorskich odgłos wyobrażeń, jakie powszechnie popłacały naówczas pomiędzy czytających ogółem. Owoż w edycji dziełka swego ogłoszonej we dwa lata po śmierci poety (w edycji z r. 1851), mówi on o Bieleckim w takich wyrazach: „We wszystkiem, co muza Słowackiego wyśpiewała, znajdziesz ustępy piękne, a całość zawsze niesmaczną. Po polspiecie dziwaczy. Tylko powieść Jan Bielecki udała mu się.“ — Tosamo niemal donosił o tej powieści matce i sam poeta, a to zaraz po pierwszym dzieł tych wyjściu z pod prasy.

„Początek Jana Bieleckiego jest nie do rzeczy.“) Jednak Bielecki jest najwięcej chwalony przez wielką liczbę, której takiej cichej poezji potrzeba“....

Równocześnie zdaje się ze słów powyższych i to zatem jeszcze wynikać, jakoby autor sam tak wielkiej wagi do tego swego utworu nie przywiązywał. Że przynajmniej stawiał *Żmiję* i *Maryą Stuart* o wiele wyżej: to nie podlega wątpliwości żadnej.

Przedmiot poematu wzięty jest w części z kronik, w części

*) Rzeczywiście wstęp do Bieleckiego jest niestósowny i bez żadnego związku z całością. Ale bo też jest to ustęp później dopiero doczepiony. Boć poemat sam pisany był jeszcze r. 1830 w Warszawie, a wstęp jest daty o rok cały późniejszy. We wstępie są już zużytkowane wrażenia, jakich doznał autor 1831 r. w Londynie, kiedy zwiedzał Westminster, z czego też potem zdawał w takisam sposób sprawę matce listownie. Takie przystawki późniejszej daty zazwyczaj się nie udają.

z ustnej tradycji, przywiązanej do głównych miejsc zdarzenia, a mianowicie do Brzeżan (w Galicyi wschodniej).

Współczesny zdarzeniu temu Bielski w *Kronice Polskiej* tyle o Bieleckim zapisał, że kiedy w r. 1589 Tatarzy w wielkiej liczbie na Podole i Ruś wtargnęli, plądrując z niezmierną szkodą dla okolicznych mieszkańców: zaszło z nimi kilka potyczek, między którymi bitwa pod Baworowem była jedną ze znaczniejszych. Bitwy tej wprawdzie pohańcy nie wygrali, owszem od tej dopiero chwili „jęli ustępować“. Ustępowali wszelako z niemałą ilością zabranego w niewolę ludu i szlachty. Z tych niektórzy złożywszy okup niemały, wyszli na wolność po niedługim czasie. „A Korycińskiego — są słowa dziejopisa — Bielecki mając z nim z dawna przyjaźń, darmo puścił. Był ten Bielecki Polak Lublinianin herbu Janina, jedno się poturczył i przyjechał z Turek do Polski za króla Stefana, i tu chciał mieszkać; jedno że przecie swój wiary złą odstąpić nie chciał. Król Stefan chcąc go najwięcej do poselstwa zatrzymać, żeto umiał język tatarski i turecki, naznaaczył mu był opatrzenie pewne na Podolu; ale król dał, a panowie wzięli. O co rozgniewawszy się Bielecki, zbiegł do Tatar i Tatary na ojczyznę swą nawiodł.“ —

Lakoniczne wyrażenie Bielskiego: król dał, a panowie wzięli, uzupełnia cokolwiek podanie brzeżańskie. Przechowała się w niem pamięć, że jeden z rodu, którego własnością niegdyś były Brzeżany, z rodu Sieniawskich, wioskę Bieleckiego gdzieś położoną w sąsiedztwie najechał, dworek szlachezca wraz z chatami włóścian puścił w perzynę, a na ostatek całe to miejsce plugiem kazał zaorać i w puste pole zamienić.

Taki więc był surowy materiał poematu. Zdarzenie to przedstawiało różne strony, na których mogła być spocząć wyobrażenia poety. I tak, najbliższe może, co się tu nasuwało jako wdzięczny temat do obrobienia — byłato ta zagadkowa postać poturczonego Polaka na tle zygmunto-wskiej epoki! Widzieliśmy za dni naszych kilka przykładów podobnej zamiany krzyża na księżyc, a pocziwój nazwy polskiej na jakiegoś beja lub paszę. Ale to były mawne polityczne — komedye, dowodzące nibyto wielkiej dyplomacyi i miłości ojczyzny u tych, co się na owe awantury puścili.

Szczęście im tam Boże na tej drodze! Jeżeli jeszcze dziś myśla, że nie popełnili wielkiej niedorzeczności, tém lepiej dla nich. W wyjątkowym naszym położeniu dzisiejszem wszystko to jednak daje się, jeśli nie chwalić, to przynajmniej rozumieć. Ale wtedy! W czasach tak normalnych, takiej głębokiej wiary, w czasach gdzie sobie z religii jeszcze żartów robić nie pozwalano — było wypadek dziwnie nierymujący ze wszystkiem, na czem tylko ta rzeczpospolita stała. Jakichże to chyba nadzwyczajnych potrzeba było kolei losu, żeby się była mogła wyrobić taka osobistość, jak owa przez historyka odmalowana! Szlachcic polski — poturczony — wrócił do kraju — otrzymał od króla opatrzenie, jest wolny i niezawisły — i mimo tego nie chce czy nie może „złej wiary swojej odstąpić.“ Ileż w tém wszystkiem zagadek! Ile domysłów się tu nastęrcza względem przeszłości Bieleckiego, względem jego związków z drugą ojczyzną, względem jego własnej indywidualności, czego wszystkiego historia wcale nie odsłoniła. Była wtedy w młodszym gronie poetów naszych w ogóle wielka skłonność do obrabiania przedmiotów orientalnych. Sam Słowacki hołdował tej skłonności. Otóż nastęrczała się tu jedyna w swoim rodzaju sposobność uczynienia zadość temu pochopowi przejętemu od Byrona i Moora, nie rozmiijając się przeto z rzeczywistą tradycją i narodową i nawet historyczną.

Albo rzaćmy okiem na inną stronę téjże tradycyi. Autor, któryby był obdarzony pewnym zmysłem dziejowym, któryby dla natchnienia swego szukał podstaw więcej przedmiotowych, byłby się tu uczeplił tych słów kronikarza: Król dał, a panowie wzięli, i byłby podniósł głównie ów fałsz odwieczny w stosunku możnowładców dawniej Polski do braci młodziej, do szlachty, która choć z prawa we wszystkiem niby równa magnatom, była w rzeczy samej jednak ciągle przez nich traktowana z odtrącającem lekceważeniem. Z tego fałszu wynikły u nas wszystkie kłeski publiczne. Wszechwładność panów taka, jak była w dawniej Polsce, nie byłaby mogła mieć miejsca, gdyby prawa im przynależne a prawa niższej szlachty były rozgraniczone. Rozgraniczenia tego nie dopominali się możnowładcy, bo zagarniając przy każdej sposobności dla siebie wszystko, co się zwało wolnością

szlachty, więcęć posiadali mocy, niżby im takowej była dać mogła najdalej choćby posunięta forma rządu oligarchiczna. Rozgraniczenia tego nie zażądała i szlachta, bo jej miliej było znosić i nadużycia, a chlubić się dogmatem że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, aniżeli przyznać, że ta równość — to tylko urojenie, i poprzestać na czemś skromniejszym. Ani tedy od jednych, ani od drugich nie wychodziła inicjatywa do ustanowienia stosunku, któryby kładł wreszcie koniec temu systematycznemu przechytrzeniu się obu stanów. Zamęt pojęć, jaki w tej mierze panował, zakończył się dla całego państwa — jego upadkiem, a nim jeszcze do tego przyszło, sprowadzał na osoby pojedyncze w ciągu wieków bardzo często katastrofy równie jaskrawe, chociaż się takowe skrupiały tylko na nich samych i ich rodzinach. Przykładów takich dzieje dostarczają podostatkiem. Owoż i w tym razie z danego materiału dawała się wysnuć kreacya szerszych rozmiarów, rdzennie trafiająca w samo serce naszych instytucji i obyczajów, w której żyłyby i kipiały namiętności, może najdalej posunięte i najwięcej też tradycyjne ze wszystkich, jakie tylko były znane dawnemu społeczeństwu naszemu.

Słowacki, wierny stanowisku, jakie zajął w poezji, szukający wszędzie ideału wedle swego punktu widzenia, pochwycił rzecz z innej zupełnie strony. Jego fantazja zajęła się tu tylko widokiem walki jednego ze wszystkimi, widokiem krzywdy, jakiej doznaje od świata szlachetny, niewinny, słabszy... W całym szeregu ogniów, stanowiących łańcuch zdarzeń, jakie sobie wysnuć można z podania o Brzeżanach i o Bieleckim, pocie naszemu najpoetyczniejszym się zdawał — nie tyle jeszcze ów pęd namiętny, stromą drogą prowadzący człowieka do zbrodni, byleby tylko się zemścić: ile ów nadmiar cierpień, dojmujących po zemście, już dokonanej a w taki sposób. Owoż to położenie tragiczne człowieka, który nawet po splaceniu swęj krzywdy widzi się pod stopami tryumfującej przemocy; ten żal do świata, że go tenże zmusił do czynów, których on sam nie może sobie przebaczyć; to osamotnienie na świecie istoty, dla której ani za życia nie ma nigdzie miejsca pomiędzy ludźmi, ani nawet po śmierci nie będzie kawałka ziemi na mogiłę — to były motywa w całym oném wydarzeniu dziejo-

wém, dla których zwrócił Słowacki na przedmiot ten uwagę. One też jedynie wprowadza w ramy obrazu, wykluczając historyzm i wszystko inne, jako przybory obojętnej treści.

„Co było w kraju? nie skreślę do razu.

Jeden cień tylko maluję obrazu“...

Oczywiście wypadło właśnie z tego powodu niejeden szczegół, ze strony surowego materiału podany, przekształcić inaczej, aby początki i powody katastrofy odpowiadały założeniu. Rozstępnie między opowieścią poety a podaniem polega głównie na tém, że podanie ukazuje w Bieleckim renegata już od pierwszej chwili jego powrotu do kraju; w poemacie zaś był on wprawdzie kiedyś za młodu w niewoli tureckiej, ale wrócił z niej niesturczony. Dopiero później krzywda, jakiej od magnata doznaje, rzuca go na drogi zdrady kraju i wiary. — Wszystkie te premissa zresztą zbywa autor jak najkrócej. Jestto dla niego tylko rusztowanie do budowy, której ostateczne odsłonięcie przypada na drugą dopiero połowę poematu. Ze słów urywkowych dowiadujemy się tedy w początkowych pieśniach tyle jedynie o tém, że działo się to za panowania króla Stefana. W brzeżańskim zamku żył możny, dumny starosta — mieszkanie jego przepychem nie ustępowało w niczem grodowi królów. Ale na czołe magnata od niejakiego czasu zawiśła chmura jakaś posępna. Jakaś skryta troska dręczyła go tajemnie, pomimo skarbów i włości i tłumu sług i tej szaty złocistej, w której jaśniał. Od tygodnia poczęły się do zamku jego nieustające zjazdy... W komnatach jego gościnność i uprzejmość i bielsiady huczne. Znikła z groźnego możnowładcy oblicza zwyczajna duma. Otworzył na oścież serce dla okolicznej szlachty i karmi ją i poi i schlebia chodopacholkom. Pozwala się rozlegać po domu swoim swobodnie hucznemu gości swoich gwarowi. Po tygodniu takowej uprzejmości wypływa wreszcie oliwa na wierzch.

„Hej! szlachta znacie Bieleckiego Jana? —

Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,

A dziś się z pany w jednym stawie rzedzie,

Jak król udzielny w darowanej grzędzie...

A kiedy zamki wałę się pod gromem:

On podparł domu wałę się ściany

I tak spokojnie między niemi żyje

I tak szczęśliwy, że nad jego domem

Co wiosny bocian nowe gniazdo wije....

Z dalszej mowy wynika, że ten więc szlachcic podły, jak się starosta o Bieleckim wyraża, miał z nim jakąś zwadę i wytoczył sprawę przed króla.

„I jam był winien, winien był Sieniawski!! —

I oko w oko przed króla obliczem

Widziałem wroga!.. Nie próżno przychodził:

Król go pochwalił, zachęcił, nagrodił;

Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczem!...“

Przy łaskawej pomocy życzliwej braci, która właśnie spija wino starosty, znajdują się jeszcze jednak sposoby powetowania tej krzywdy...

„O! dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda

Jękiem i dymem, iskrami płomieni!...

Bracia — noc widna! niedaleka jazda!

Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;

Nim wróci, niech mi Pan Bóg dopomoże,

Dom zrzuć, spalę, grunt domu zaorzę“...

Temu wezwaniu okazuje się zgromadzona szlachta powolną:

„Miodem i winem i uczą zagrzaną

Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem —

Już most zwodowy pod kopyty dzwoni“.

W drugiej pieśni przenosi nas autor w wnętrze kościoła. Rzecz się dzieje w Brzeżanach. Dla dopełnienia obrzędu ślubnego, staje tu przed ołtarzem Bielecki, Anna i cały orszak weselny: tymczasem dom pana młodego — w niedalekiej odległości od Brzeżan — prawie wyludniony z mieszkańców, nie ma nikogo, coby go bronił przed tą hałastą, niosącą mu zniszczenie. Ta napaść nie wchodzi tu w ramy obrazu. Jesteśmy świadkami tylko sceny ślubnej, która zresztą, równie jak poprzednie ustępy, zbyta jest ogólnymi tylko rysami. Tak młodożeniec, jak panna młoda — sąto jeszcze tylko typy powszechne. Do wnętrza ich serc nie zazieramy. Co tu o nich słyszymy, ściaga się więc do ich powierzchowności, do ich ubioru, do orszaku, który im towarzyszy. Nawet ich uczucia są tylko zwyczajnym w razach podobnych

nastrojem duszy. Gdyby nie te kilka szczegółów, które urywkowo w poprzedzającej pieśni rzucił był o Bieleckim starosta, to bohater poematu byłby dla nas człowiekiem zupełnie nieznanym, chociaż go w tym ustępie mamy tak blisko przed sobą. — Podobnie urywkowo opowiedziane jest i przybycie młodożenców do domu Bieleckiego. Domu tego już nie znajdują. W miejscu, gdzie przed kilku jeszcze dniami był dwór i wioska, znajdują tylko rolę świeżą zaoraną i głuchosć. Cała ta więc sytuacja znowuż naznaczona tylko kilku rysami. Zdaje się, jakby poeta słów żałował dla wszystkiego, co go dopiero prowadzi do właściwego tematu. Nawet burza uczuć, obudzonych w bohaterze poematu tą dojmującą krzywdą, zbyta jest cała w tych kilku wierszach:

„Patrzą, nie wierzą... Sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrывa,
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...

— „Anno,“ rzekł, „Anno wracaj! nie mam domu!

Nie wróćę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniósę sromu.

Już mnie domowe szczęście nie omami:

Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa,

W twojem objęciu zalałbym się łzami.

Ja nie mam domu!...“ Zadrżał i spał konia,

I jak wiatr szybko poleciał przez błonia“.

I oto już wszystko, co o tém mówi poeta.

Odtąd Bielecki zupełnie znika ze sceny. Przez niemały czasu przeciąg ani wieści, co się z nim dzieje. Żona po nim już przywdziała żalobę... Gdy wtém nagle zapowiada się znowu bliska jego w stronach owych obecność przez owo tajemnicze zlecenie przysłane Annie, ażeby się i ona także znalazła na balu maskowym, który wyprawia w zamku swoim starosta.

Na tymto balu — w przedostatniej pieśni — przychodzi dopiero do takich zdarzeń, że ów aż dotąd dla nas prawie nieznanomy staje się naprawdę najwydatniejszą postacią poematu. Tu

dopiero odsłania się w nim typ tego demonizmu, téj dzielności pchniętej na przepaściste szlaki zaguby, o której wizerunek jedynie chodziło autorowi. — Jakich przejść w usposobieniu duszy trzeba było, ażeby z normalnego człowieka przedzierzgnąć się w podobnego demona, tego poemat nie odsłania. Ani słowa nawet o tém, co się zewnątrznie działo z Bieleckim od chwili, gdzieś go stracili z oczu. Ale wynagradza nas za to poeta gotowym widokiem tego, czém on jest teraz, kiedy znowu staje przed nami. Cała postać Bieleckiego tak jest zmieniona, że za pierwszym spojrzeniem własna żona go nie poznaje. Podobne przestoczenie zaszło i w zewnętrznych jego stosunkach. Pokazuje się bowiem, że aby wyrzucić zemstę na magnacie, który go skrzywdził, człowiek ten wyparł się wiary, ojczyzny i przeszedł na stronę najzaciętszych jój nieprzyjaciół. Zbratawszy się z Tatarami,

„Czoła złocistym przysłonił turbanem
I wiarę złotym księżycem naznaczył.“

Po takim czynie, jako wódz ordy pohańców, naprowadził na Polskę zagon tatarski. Nie wahał się splawić we krwi tysiąca chat i dworków, których mieszkańcy nie zawinili mu w niczem, byleby tylko zawisł ten piorun zagłady i po nad zamkiem starosty. I owoż woli jego dzieje się zadość. Znienacka, kiedy się w grodzie brzeżańskim sproszeni goście bawią w najlepsze, zalały tłumy najeźdców wszystkie sienie i komnaty zamkowe. Bielecki

„Leci na czele i służbę pomija,

Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,

Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija!

Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady

Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,

Światła zadrżały, zgasły, tylko blady

Świecił się promień lamp w alabastrowe

Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara

I wyjście mnogą wartą zabezpiecza....

Pan Brzeżan z mieczem stał w obec Tatara.

Błysnęły szabli obrazy święcone,

I padł starosta na twarde granity. —

Zaśmiał się Tatar... śmiechem obudzone

Zabrzmiąło echo — był to jęk kobiety“...

Aż dotąd zdrada i mściwość wiodły Bieleckiego do celu jakby po drodze różami tylko usłanej. Dosięgnął pragnień swoich nakoniec. Widzi dumę, która zniszczyła całe szczęście jego na ziemi, powaloną u stóp swoich i skarconą strasznie. Nie będzie już ten magnat nikogo krzywdził na świecie! I pierwszy haust z podanego do ust zemsty puharu zdawał się słodki. Ale słodycze takich upojenń prędko się przemieniają w truciznę. Na najwyższym zenicie swoim Bielecki słyzy jęk, jak echo złowieszcze czynu, którego się dopuścił. Ten jęk przyzywa go do świadomości — powiada mu, co uczynił. Ten jęk najdroższój mu na ziemi istoty staje się dla niego hasłem cierpień stokroć dotkliwszych, aniżeli krzywdy, które aż dotąd od drugich znosił. Własne sumienie się w nim odzywa i mówi mu, że taka zemsta — to sromota, to dopiero ze wszystkich upokorzeń — największe! Teraz dopiero ów wróg jego, nibyto zwyciężony, rzucił go pod stopy swoje — na wieki! Dotąd miał on do czynienia z nim jednym tylko: od téj chwili obraca się przeciwko niemu cała ojczyzna, kościół, rodzina własna. Komu tylko miła cześć prawa, komu tylko święte, co jest świętością, gardzi nim i odtrąca od siebie. Jest wymazany z liczby synów ziemi, co go zrodziła. Ze społeczności kościoła wyrzuca go kłątwa biskupia. Rozbudza się w winowajcy bolesna, niczém nie zagłuszona świadomość zbrodniarza, wywołańca. A mimo tego, nie przestał on jednak należeć sercem do tych wszystkich, którzy go odtrącają — gdyż żyć po za ich sferą nie może!

Cała ostatnia część poematu, zawierająca w sobie ten obraz cierpień człowieka odepchniętego bezlitośnie przez całe społeczeństwo, wykonana jest z taką siłą uczucia, z taką głęboką prawdą poezji, że śmiało ją stawiać można na równi z celniejszymi pięknościami naszej literatury. Szczególnie zaś podnosi wartość rzeczowego ustępu idealna postać Anny, z dziwnym urokiem stawiona na samym przedzie obrazu w pieśni ostatniej. Jestto niejako kontrast serca, przeciwstawionego bezdusznosci instytucji, zdolnych tylko potępiać bezwarunkowo. W osobie Anny wcielił poeta całe współczucie i że tak powiem, solidarność swoją z tym poe-

pnym ideałem, jaki sobie w postaci Bieleckiego wymarzył. Anna bynajmniej nie tai tego przed sobą, że czyny jej męża są wobec ludzi i Boga występne wielce i grzeszne. Z jękiem rozpacz, mdlejąca, ujrzała go idącego po téj drodze zbrodniczej. Ale ta kobieta ma serce! Przyznając zbrodnię, umie ona wniknąć i w pobudki takowej. Odgaduje konieczność, która jej męża skłoniła do powzięcia takiego postanowienia. Lituje się nad nim i w jego upadku, jako go miłowała za dni szczęśliwszych. Słowem: Anna rozumie Jana. To też porzuca bez wahania i dom rodzicielski i kraj ojczysty, byle tylko nie opuścić opuszczonego przez wszystkich. I towarzyszy mu wiernie przez całą jego wędrówkę aż do samej godziny zgonu. A kiedy mu świat na ostatek i grobu nawet w nielitości swojej odmawia, onato słabemi dłońmi swojemi grzebie dla niego mogiłę. I czując wśród téj ostatniej posługi, siły coraz bardziej mdlejące, nadaremnie do drzwi cerkiewnych potwarzając stukanie, ażeby Bóg się zmiłował, kiedy ludzie nie mają dla niej litości: niknie biedna z wysilenia nad grobem — niedokopany! Gaśnie w niemiej boleści zwolna, „jako w Bogu tonące modły — jako daleki śpiew“, i usypia przy zwłokach męża — na wieki...

Najpiękniejszy ten ustęp na samym końcu powieści — miała to być ze strony poezji niejako rehabilitacja człowieka, którego twardy porządek ziemski potępił nazwiskiem zdrajcy, a nad którym anioł boży w postaci kobiety owój — zapłakał. I te łyzy czyste miłości i zlitowania tak zaważyły na szali onego żywota, do połowy złożonego z przestępstw, a do drugiej połowy z cierpień, że i my potomni sympatyzujemy ostatecznie z bohaterem téj staropolskiej tradycji.

Jeżeli jednak z nim sympatyzujemy, to tylko pod następującym zastrzeżeniem. Widzę się tu zmuszonym przypomnieć, co się już wyżej powiedziało w ogóle o formie powieści poetyckiej, że wielką w niej odgrywa rolę owa urywkowość i epizodyczność, pozwalająca autorowi dobrą część swego zadania co krok pozostawiać własnemu domysłowi czytającego. Owoż i w tym razie od czytelnika to jedynie zależy, zapęlić sobie własną wyobraźnią tę przerwę, jaka przypada na środek poematu, kiedy to Bieleckiego

po zniszczeniu jego wioski z oczu tracimy, aż do powtórnego jego wystąpienia na scenę, w roli przywódcy Tatarów. Doznana ze strony starosty obelga i krzywda, a przy niej i оголоcenie z całego mienia, jak są opowiedziane przez autora, mogły wprowadzić i musiały zrodzić w sercu szlachcica namiętne pragnienie zemsty. Jednakże dalekie to wszystko jeszcze jest od jaskrawości pobudek, jakieby zajść musiały, zanimby się człowiek w położeniu Bieleckiego ówczesnym puścił na takie drogi zapamiętałej żądy odwetu! Wyprzeć się wiary ojców swoich i nie tylko zapomnieć o ojczyźnie, ale ją jeszcze splawić w powodzi krwi niewinnej — to są rzeczy, o które się nie tak łatwo pokusić. Łatwiej to wszystko pomyśleć i zamierzyć, aniżeli wykonać. Prędzej się kto odważy na wszelką inną zbrodnię, choćby największą, choćby najprzeciwniejszą naturze ludzkiej, niżeli na to. Doprowadzenie rzeczy takiej do końca jest wynikiem długiego pasma planów i środków i obmyślonych sposobów, które potrzebują dla siebie i czasu długiego, zanim zrodzą ostateczny swój owoc. Owoż właśnie z tego powodu szal namiętny, któryby pchnął kogoś na razie ku stronie takiego postanowienia, sto razy tymczasem by się ulotnił i ostygł, zanimby dzieło doszło do skutku.

Jeżeli zatem patrzymy na Bieleckiego i w tej jeszcze chwili jego zawodu z pewną wiarą w prawdę poezji: to chyba już jedynie dlatego, ponieważ wychodzimy z przypuszczenia, iż nie zależało na tym autorowi, żeby przedepać, że tak powiem, krok za krokiem tę całą przestrzeń, jaka człowieka dzieli od normalnego usposobienia aż do najwyższej burzy wszelkich żywiołów w jego jestestwie. Wyobrażamy sobie na przykład, że się Bielecki poprzednio w inny sposób i niejednokrotnie kuśił o dokonanie zemsty; że wszystkie jego usiłowania wywarcia jej w granicach, że tak powiem, względnie godziwych, były wobec przemocy, wobec przezorności magnata nadaremne; przypuszczamy, że tymczasem mogła i niejedna nowa obraza zajść ze strony tryumfującego możnowładcy, która serce szlachcica już i bez tego zranione, tym zapamiętałym bolem porwała... Słowem poddajemy się wrażeniu, jakbyśmy słyszeli z ust poety, że on tę całą skalę pośrednich pobudek, zażegających coraz silniej, wiodących coraz nie-

uchronniej człowieka do ostateczności, otwiera dla naszej wyobraźni, ale zakrywa dla oczu naszych, i że im ukazuje wtedy dopiero znowu swego człowieka, kiedy ten stanął już na samym szczycie tego szalu i opętania, które jak ogień piekący pozbawia go odpowiedzialności za wszystko, co przedsięwzię w tym stanie...

Rzecz o **Mnichu i Arabie** zbędziemy krótko. Sąto utwory już z tego powodu mniej znaczenia mające, że były tylko odbiciem wrażeń wzbudzonych obcym natchnieniem. Rozczytywanie dzieł poetów angielskich a mianowicie Moora i Byrona, których fantazja lubiła się zasilac zasobami wschodniego świata, poddało Słowackiemu myśl przeniesienia i swoich także ideałów na tło stosunków orientalnych, chociaż ich wtedy nie znał jeszcze inaczej, jak tylko z książek. Utworzenie obu poematów było podzielone pracą nad innemi rzeczami. Mnich powstał przed Bieleckim, zaraz po ukończeniu *Mindowy*. A Arab należy do płodów najpóźniejszych w obu tych tomach, gdyż tylko *Żmija* jest jeszcze późniejszej daty. Rzecz dziwna, że wartość tych dwóch orientalnych powieści, nieskończenie nierówna, ma się w odwrotnym właśnie stosunku do czasów, w których jedno i drugie powstało. Arab, pomimo wybornego wiersza i wszystkiego, coby rzec można na pochwałę o jego zewnętrznej formie, jestto prawdziwy lapsus ingenii; podczas gdy Mnich, pominawszy pewne nieprawdopodobieństwa w szczegółach, poniekąd wytrzymuje krytykę.

Głównym tematem jest i tutaj odstępstwo wiary i tradycji ojczyźnej. Szczególna rzecz, że ta właśnie materya tak często zaprzatała wtedy wyobraźnię młodego poety. Między siedmiu jego pracami objętymi w obu tych tomach, cztery obracają się właśnie około tego motywu. *Mindowe* zmienia religią z rachuby i nieszczęrze. Bielecki z konieczności. *Żmija* udaje chrześcijanina z powodu przypadkowych okoliczności. Jeden tylko Mnich zostaje apostatą z całą wiarą, że dokonywa zmiany na lepsze, i czyni to z wolnej woli. Są zatem, jak widzimy, pewne odcienie w szczegółowym przeprowadzeniu tej myśli; ale grunt rzeczy jest zawsze jeden i

następstwa czynu tesame. Prowadzi to zawsze do osamotnienia jednostki na tle całej reszty sobie podobnych i do nieuchronnej walki z ogółem, ani zdolnym zrozumieć pobudek tej apostazy, ani też skłonny do przebaczenia takowej. Ta kolizja była tedy ciągłym przedmiotem rozmyślań Słowackiego przed rokiem 1831...

Poeta stawia przed nami zakonnika jakiegoś w klasztorze na górze Synai, zdającego spowiedź z całego życia, spowiedź ostatnią, gdyż wątek życia tego człowieka właśnie się kończy. Młodość jego, pełna świetności, nie taki zapowiadała mu koniec. Syn zwierzchnika jednego z najdzielniejszych pokoleń arabskich, przywoził i sam za młodu nieraz w napadach na karawany.

„Niegdyś na czele pokolenia ludu

Ściagałem w piaskach z płócien miasta błędne“.

Nie chodziło mu przy tém bynajmniej o zdobycz, o pomnażanie skarbów dziedzicznych. Szukał niebezpieczeństw, bo gardził spokojem życia. Walki miały dla niego urok, bez względu na to, jaki ich skutek. Przygody, trudy, niewieczasy były potrzebą jego ducha.

„Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,
Pogardy okiem patrzałem na nędzę“...

„Marzyła dusza!... Ileż razy w spieki
Ściagałem w stepach znikome obrazy“...

Gdy więc tak często bez celu zapędzał się ten młody Arab w stepy bezludne, zdawało mu się raz za razem, jakby słyszał jakieś przeciągłe a melodyjne tony, które mu z daleka wiatr zachodni przynosił.

„Wypuszczam konia i gonię za śpiewem;
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła —
Coraz doganiam wyraźniejsze tony,
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.“

Prześliczne jest miejsce, gdzie dziki ten syn pustyni opisuje pierwsze wrażenie, jakiego doznał za wniknięciem do chrześcijańskiej świątynicy:

„Wchodzę — stanąłem przy ciemnym filarze,
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jej czole złoty liść rozkwita,
A pod jej stopą skała marmurowa.
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkłe malowany,
A potem w dymie kadzidel zblakany,
W mglistych błękitach utworzył anioła.
Nie znałem wówczas sztuki malowidła,
Widziałem tylko, że anioł nade mną
Roztaczał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzył w duszę moją ciemną“....

Wrażenia te tak silnie wstrząsnęły duszą Araba, że porzucił wiarę ojców i został chrześcijaninem.

„Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty? —
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!
Dni moje gorzkie zatruiły zgryzoty:
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,
Sam ojciec przeklął: — „Idź wyrodne dziecię!
Idź w świat! i zostań sam jeden na świecie“....

Ta klątwa ojca spełniła się dosłownie. Młody renegat, odepchnięty i nienawistnie prześladowany przez swoich, ziścił nawet sam owo straszne przekleństwo. Zaczepiony przez brata, zabił go, nie wiedząc w chwili czynu, komu śmiertelną ranę zadaje. Napadnięty potem przez ojca, uszedł wprawdzie przed jego gniewem i przywdziawszy habit zakonny, zagrzebał się w owym samotnym klasztorze. Lecz i tam dosięgła go fatalna siła przekleństwa. Przy odpieraniu napadu jakiegoś tłuszczy Arabów, którzy w nocy, znie-nacka, uderzyli na klasztor, żeby go złupić, jegoto oręż powalił trupem herszta owego tłumu. Klasztor został ocalony, ale się okazało, że tym hersztem — był jego ojciec...

Tak więc (nie przeczę, że wielkim kosztem podobieństwa do

prawdy!) jego własna ręka spełniła w całej grozie owę klątwę ojcowską.

„I pokolenie płacze po swym królu;
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczoł matka, gdy w wymarłym ulu
Siedzi posępna nad córek grobami,
I sama szuka grobowego cienia.“

Mógłby teraz zażywać spokoju, kiedy wyginęli już wszyscy, którzy mu go zamęcali, gdyby... nie własne jego serce! Onoto zaczyna się teraz domagać praw swoich, których zaspokoić nie nie potrafi na ziemi. Świat nowy, w który przeszedł, murem opasany klasztornym, nie odpowiada jego pragnieniom, nie czyni zadość jego ideałom, i nie może być jego światem! Takie życie, to śmierć przed zgonem, to martwość! Pod kapturem zakonnym

„Myśl moja wyschła, jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę“...

Nawet pacierze tych ludzi, których już widzi w myśli snujących się około trumny, w której go zamkną, gdy umrze: — martwe to modły, zimna to boleść!

..... „Niosą kir, kobierce
I światła w rękach i zakryte czoła;
Modlą się za mnie — lecz nawet pozoru
Nie ma boleści!... Zimne mnicha serce
I modły zimne jak mury klasztoru!“

Domierza tedy życia w chrześcijańskim klasztorze, ale widzi się w nim jakby wygnańcem z innego świata, jakby obcym pośród obcych. A tamten świat, do którego myślą powraca „choć iza jego, pamięć przodków plami:“ już się także odsunął od niego przepaścią nieprzebytą na wieki! Ani więc tu, ani tam — nigdzie — nie ma dla niego miejsca! Żył samotnie — umiera z uczuciem opuszczonego przez wszystkich, z wiedzą, że i za grobem nie znajdzie swojej sfery. Żałuje przeszłości, którą zmarnował, rozpacza o przyszłości, której nie zasłużył. Ostatnia jego wola zaleca, aby mu wykopano gdzie na samotnych stepach grobowiec, wśród jakiejś kwietnej oazy, gdzie może drzewa czulsze będą, niżeli serca ludzkie.

Drugi poemat, zatytułowany **Arab**, uważam za poroniony plód excentrycznej... mizantropii raczej, aniżeli fantazyi. Słowacki tak się wżył w ten świat ideałów ujemnych, iż mu się zdawało, że dość uderzyć w ten ton nieustającej zwady z całym rodem człowieczym, żeby zagrać melodią, żeby stworzyć poemat. Przesuwa tu przed oczyma naszymi wicherzącego, jak uragan stepowy, nie człowieka, ale demona jakiegoś, którego przeszłość zgola niewiadoma, a témsamém i powody całej jego wściekłości zwróconej przeciwko ludziom. Nie znam żadnego dzieła, nietylko Słowackiego, ale w całej literaturze, naszej i postronnych, w którejby treść całej owej wtedy przez niego wyznawanej doktryny była wypowiedziana tak wręcz i bez żadnej ogródki, jak właśnie w tym poemacie. Jestto najlepsza satyra, jaką dla zdyskredytowania stanowiska takowego tylko było można napisać. Sądzi się sama i nie ma potrzeby dłużej się nad tą rzeczą rozwodzić.

Przystępuję do ostatniego z utworów, które zamierzyłem zebrać w tym rozdziale, do **Żmii**; i zdaje mi się że się nie rozminę z przekonaniem ludzi mających zdrowe zdanie o tego rodzaju rzeczach, jeżeli powiem, że ten oryentalno-ukraińsko-historyczno-fantastyczny poemat o sześciu pieśniach nie tylko z wyższego, to jest etycznego punktu widzenia, ale nawet i pod względem artystycznym uważać trzeba za pracę, która się zupełnie nie udała autorowi. Pozostawia ona przy czytaniu niesmak jakiś wielce niemiły, którego powody zdaje mi się, nie polegają jedynie na zbyt rażących nieprawdopodobieństwach, jakie się tu spotykają, ale jeszcze i na czémś więcej. Autor sądził o tém wszykiem inaczej. Nazwał utwór ten romansem poetycznym z podań ukraińskich i zamieścił go na samém czele tomu pierwszego w przekonaniu, że to jest najdoskonalsze dzieło jego ze wszystkich, które wtedy ogłaszał. Oto, co w téj mierze pisał do matki, która jak się zdaje musiała być w ogóle zrobić jakąś mniej korzystną uwagę o budowie niektórych jego utworów.

„Zdanie Mamy jest zupełnie słuszne; ale przeczuwam, że postrzegany przez Mamę brak w całościach jest skutkiem

rozpierzchłych pieśni Żmii. Muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym, że Żmija zdaniem mojem i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najslawniejszych naszych krytyków (?) powiedział o mnie przeczytawszy Żmiję, że cały naród ożył w pieśni; że tam, gdzie inni z murów cegielki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat; widać więc, że postępuję i kształcę się“. (dnia 30 lipca 1832 z Paryża).

Ta wzmianka o zdaniu owego „najslawniejszego z krytyków“ dostarcza tylko jednego przykładu więcej na to, że jeżeli w innych literaturach krytyka jest wielką dźwignią i dla powodzenia pisarzy i do kierowania smakiem czytającego ogółu: — u nas rzecz się ma wcale przeciwnie. Tak zwani krytycy nasi — z małym wyjątkiem, począwszy od pierwszych czasów, gdzie się zjawili — uczynili wszystko, żeby kiedyś powiedziała o nich ta karta dziejów literatury, która tę sprawę podniesie, że gdyby autorowie i zdrowa część społeczeństwa byli poszli za nimi: byłoby się wreszcie skończyło na tém, że u nas czarne byłoby białem, rozumne niedorzecznem, chorobliwe szczytnem, oklepiane jedynie uprawnionem i t. d. Dałaby się z tego tekstu napisać bardzo ciekawa monografia i warto, żeby się kiedy kto zajął tym przedmiotem. Bajka Krasickiego o Młynarzu, synu jego i ośle mogłaby tu służyć za ilustracją do każdej karty; i wyszłyby na wierzch rezultaty zabawne i ciekawe, choć niekoniecznie pochlebne, a tém mniej budujące... Co się tyczy autora Żmii, śnać go łudziła albo ta okoliczność, że było to najmłodsze dziecko jego ducha, albo mu też może to pochlebiało, że cała osnowa tego poematu była jego własnej inwencji. W notach dodanych na końcu poematu wyraźnie zwraca też autor na to uwagę, że „romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem imaginacji.“ Z dalszych słów wynika, że wszystko, co przejął gotowego z podań przeszłości do ułożenia sobie tak rozległego przedmiotu, ograniczało się do następujących bardzo mało ważnych punktów oparcia. Jest gdzieś na Ukrainie wał ogromny, nazywany przez lud wałem Żmii; ten zaś zdaniem niektórych miał być jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporozża... Wiadomą dalej

jest rzeczą, że Kozacy na łodziach swoich, które nazywali czajkami, podejmowali nieraz dalekie wyprawy morskie, i czasem zapędzali się aż pod mury samego Carogrodu. Oprócz tego jest znowu wzmianka w którymś pamiętniku polskim, że razu pewnego został jakiś Basza turecki wzięty w niewolę przez Kozaków i był trzymany na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet... Nakoniec opowiada Beauplan w znanym swoim opisie Ukrainy sposób, w jaki Kozacy i Tatarzy polować byli zwykli na sumaka. Tenże pisarz wspomina też o jakichś ruinach zamku, wzniesionego niegdyś wysoko po nad wodą na jednej z wysp dniewprowych. I oto już wszystko, z czego samemu dopiero wypadło autorowi dosnuć sobie reszty osnowy dla zapelnienia poematu o sześciu pieśniach. Nie bywszy zresztą sam nigdy ani w okolicach nad Dnieprem, ani też w krajach tureckich, któreto światy obydwa służą tu na przemian za scenę zdarzeń, zmuszony był puścić wodze fantazyi i ledwie się tedy owędy wiadomościami z drugiej ręki zasilął, jakich mu dostarczali Beauplan, Grądzki, Zaleski, Goszczyński, a głównie poeci angielscy, malujący orientalne stósunki.

Powyższe okoliczności oczywiście nie mogły być po temu, żeby dzieło tak założone rozległe, wypadło tak korzystnie, jak się tego można było spodziewać już po autorze Maryi Stuart i Bieleckiego. Z téjto głównie przyczyny koloryt Żmii jakoś zanadto jest mglisty, wątpliwy. Sfera tego poematu zanadto jest fantastyczna, jak na poemat tradycyjny w rodzaju na przykład Zamku Kaniowskiego; a zanadto ma znowu barwy historyczno-miejscowej, jak na utwor czystej fantazyi w sposobie Aryosta. Jest to tak dalece i jedno i drugie zarazem, że ostatecznie czyni wrażenie rzeczy, o której się mówi, że jest ni to, ni owo...

Ale te wszystkie niewłaściwości nie byłyby mogły Żmii — przy talencie poety — tak stanowczo zaszkodzić, gdyby nie inna pomyłka, na którą warto zwrócić uwagę. Żeby rzeczy nie przedłużać, pomijam milczeniem gwałtowne naciągnięcia i nieprawdopodobieństwa, na które dzieło to laboruje w wysokim stopniu, a które zbyt są rażące, żeby potrzeba było je wykazywać. Nie powiem ani słowa o chorobliwości figury odgrywającej tu główną ro-

lę, bo musiałbym chyba tylko powtórzyć, com w ogóle o ludziach Słowackiego powiedział. Zato podnoszę uchybienie, którego się autor tylko w samym Żmii dopuścił, a które zdaniem mojem główną jest tego przyczyną, że utwór ten w czytaniu męczy i nuży. Uchybienie to upatruję w posunięciu po za wszelkie granice miary rozstrzeleniu pojedynczych ustępów Żmii. Niepodobieństwem jest dla czytelnika, aż do środka pieśni piątą (a zatem przedostatnią), ogarnąć tu okiem wiązania łączącego poszczególne zdarzenia i epizody w całość. — Skądinąd podnosi to wprawdzie artyzm dzieł poetyckich, jeżeli miesza się do ich składu i cokolwiek nieprzeniknionej na razie tajemniczości. Wyłożenie wszystkiego od razu jakby na dłoni — z rozmazującą najmniejsze drobnostki expozycją, spospolitowałoby tylko ośnowę poematu. Taka zupełna ewidencja może być tylko zaletą prozy, a nie poezji. Ale autor nasz przesadził tu w dobrych chęciach, i posunął ubieganie się o tę kunsztowną nieprzeniknioną w budowie Żmii do tego stopnia, że zamiast czytelnika zaciekać temi ciąglemi zagadkami, które mu poddaje, raczej go czyni wreszcie obojętnym na wszystko.

W pierwszej pieśni maluje w obszernych ramach łowy na sumaka. Ponieważ wcale się nie domyślamy, jaki te łowy związek mieć mogą z głównym założeniem powieści, czytamy je z roztargnieniem, życząc sobie co prędzej końca. Następuje pieśń druga, a w niej wprowadzenie nowej zupełnie postaci, Xeni. I tu znowu ani sposób dorozumieć się, co ta epizoda ma za związek z łowami, i co ona znaczy w całości poematu? Dociekamy, kto jest ta Xenia? Przypominamy sobie, żeśmy coś podobnego już i gdzieindziej widzieli — w Zamku Kaniowskim. Natrętna kochanka Nebaby nawet imieniem się nie różni od zagadkowej postaci w tej części „Żmii“. Ale Słowacki daje domysłom naszym inny obrot, wkładając w sam środek tego epizodu długą „Powieść kozacką“ o Rusalce w sposobie dumek Zaleskiego. Tym ustępem najmityczniejszej ośnowy najzupełniej zbija nas z tropu, na któryśmy już wpadali. To też przeczytaliśmy całą część drugą dzieła i znowu nie rozumiemy nic! W nadziei, że nam zagadkę wyjaśnią dalsze karty, przystępujemy do pieśni trzeciej. Ale tu zastępuje nam drogę znowu inny obraz, obraz zbrojnej wyprawy

czajek kozackich na morze Czarne. Czujemy się tu wprawdzie już na gruncie głównych wypadków; ale się wychyla znowu inny przedmiot nadaremnych dociekań naszych, Zulema. Wprowadza ją poeta tak tajemniczo, że się osłonią być zdaje całemi warstwami mgły nieprzejrzaną. W pieśni czwartej przychodzi na pełnym morzu do boju między czajkami Żmii a jakimś okrętem tureckim. Selim, syn baszy i dowódcy tego okrętu, ginie w tej walce, sam basza pierzcha. Leczą ten Selim? kto ten basza? jakie znaczenie tej potyczki na morzu? czy było to tylko zajście przypadkowe, czy też ma bliższy związek z główną ośnową? — I to wszystko — jeszcze zagadka! I w piątą nawet pieśń cała pierwsza połowa ma znowu wszelkie pozory ustępu nienależącego do rzeczy. Chodzi tu o wzięcie w niewolę jakiegoś baszy anatolijskiego, które też i przychodzi z wielkim trudem do skutku. Dopiero wreszcie od środka tej części Żmii, naraz zaczyna się wyjaśniać, że te wszystkie pasma rozpieczę, które w pojedynczych pieśniach nużyły i niecierpliwiły uwagę, tworzą całość jednolitą i dopełniają się wzajem. Łowy na sumaka — Xenia ze swoim dziecięciem — powód istotny wyprawy na miasta muzułmańskie — zapalczywa walka z Selimem — szalona nienawiść ku baszy, którego Żmija nareszcie pochwytuje w niewolę — zagadkowa osobistość Zulemy itd. wszystko to nagle staje się teraz zrozumiałem, usprawiedliwionem, dodałbym że się staje i pięknem, gdyby było rzeczą ludzką, przeistoczyć naturę wrażeń — już odebranych. Ale wrażenia odebrane należą do przeszłości, a ta stęgła jest i nie działać wstecz na nią nie może. To też przez to zanadto późne odkrycie nader sztucznego węzła powieści mało się zmienia na lepsze ostateczny sąd czytelnika o dziele, które już jest przeczytanem i w ciągu czytania nie bardzo zajmowało.

Stanęliśmy u kresu. Znamy teraz już ducha tych pierwszych prac Słowackiego, na mocy szczegółowego tychże rozbioru, i pojmujemy wszyscy podobno, ileto prawdy było w owych słowach Mickiewicza, że poezja tego młodego wieszczu — to gmach, sta-

wiany piękną architekturą jak wzniosły kościół, tylko że w kościele tym Boga nie ma. Zdanie to na razie oburzyło Juliusza. Bo też prawdopodobnie nie rozumiał on jeszcze wtedy, co mu właściwie Adam zarzucał. Słowa te na pierwszy rzut oka wydają na zarzut bezbożności. Do bezbożności Słowacki ani w życiu własnym, ani w pismach swoich się nie poczuwał. Lecz Mickiewicz miał też zupełnie co innego na myśli i wyrzekł to, co rozumiał, w formie przenośni, a nie w dosłownym sensie. Nie wytykał on tu braku religii, ale brak rzeczy, która tęmsamém jest w poezji, czém jest obecność bóstwa w kościele; wytykał brak tego, co stanowi cel wszelkiej sztuki, a tém jest: wiara w lepszą część człowieka i w możność doskonalenia się jego tak jako jednostki, jako i w zbiorowości. Skeptycyzm społeczny zabija wszelkie popędy działania, a tęmsamém znosi i podstawę saméjże poezji, téj najpotężniejszój dźwigni z materyalizmu ku ideałom.

W kilka lat potem i samemu autorowi Żmii otworzyły się oczy na ten brak w początkowych jego kreacyach. Już w trzy lata po ogłoszeniu takowych, przyznał się matce, że „zniechędził swoje pierwsze utwory i że czuje potrzebę, aby coś jasnego napelniało jego karty, aby więcej lez było w słowach... A pod koniec życia jeszcze surowiej o nich sądził. „Wstyd mi — mówił natenczas — wielu melancholii byrońskich. Strach, aby one nie zaraziły innych.“

W saméj rzeczy, byłoby tylko jakaś naleciałość skądinąd, której się w młodszym latach wielki ten talent poddawał. Byronizm — pojmowany i przesadnie i jednostronnie — oto, co przyjął Słowacki nie tylko za regulatora w pracach swoich autorskich, ale poniekąd nawet i w życiu. I w życiu swoim, zwłaszcza za młodu, był on w wyobrażeniach i sądach, w nałogach i imaginacyjnych cierpieniach swoich, co się zowie bajronistą. Było w tém z razu coś sztucznego; lecz wzrósł młody nasz poeta i dojrzewał pod wpływem tego kierunku tak konsekwentnie i systematycznie, że mu się to bajronizowanie wreszcie przemieniło w drugą naturę.

Ale bo też młodość Juliusza przypadła właśnie na czasy najgłośniejszój sławy i największój w świecie umysłowym przewagi te-

go genialnego człowieka. Wygórowanie przewagi téj poczyną się od roku 1824, roku śmierci Byrona. Wprawdzie był Byron już i za życia przedmiotem powszechnego podziwu. I wielbicieli jego i antagoniści (a było ich pomiędzy Anglikami niemało), w tém jedném się między sobą zgadzali, że był to geniusz pierwszego rzędu. Stémwszystkiém aż do r. 1824 wyjątkowe, niezwykajne, częstokroć gorszące okoliczności jego życia rzucały cień niekorzystny na wszystko, co tylko wychodziło z pod jego ręki. Oskarżano go o rzeczy, które popełnił i których nie popełnił. Do niekorzystnych o nim pogłosek, które miały po sobie słusność, doczepiło się — nie powiem drugie tyle, ale nieobliczone mnóstwo baśni i potwarzy ohydnych, wyległych w bujnej wyobraźni jego nieprzyjaciół lub też tych bezmyślnych plotkarzy, którzy choć go nie widzieli na oczy, umieli jednak rozpowiadać o nim, jakby go znali najlepiej. Z tak mętnych źródeł wyrobiła się o nim z czasem opinia — w Anglii i po za Anglią — najbałamutniejsza w świecie. I na mocy téj opinii nie tylko ryczałtem potępiono życie jego prywatne, ale potępiano i cały zawód jego jako pisarza. Dzieła Byrona miały rzeczywiście więcej związku z osobistością autora, aniżeli by to powiedzieć można o jakimkolwiek innym pisarzu. Rzadko tylko i wyjątkowo podejmował on przedmioty, któreby nie potraçały o zdarzenia rzeczywiste, których był świadkiem, uczestnikiem lub sprawcą. Dodajmy do tego, że wszystko co pisał, lubił otaczać umyślnie jakąś tajemniczością. Przy takich okolicznościach ani się było można spodziewać spokojnego i bezstronnego sądzenia jego utworów. Chcąc je rozumieć, trzeba było znać wewnętrzne dzieje poety, a te zaledwie najbliższym przyjaciółom Byrona były wiadome. Liczba takowych była bardzo mała, wreszcie nikt ich natenczas nie słuchał. To też nawet najżyczliwsi, pod wpływem obiegujących po całej Europie plotek, dziwnie sobie tłómaczyli jego kreacje. Przypomnijmy sobie tylko na przykład, co Göthe w szczególny sposób rozpowiada o znaczeniu Manfreda, w rozprawce pisanéj w kilka lat po ogłoszeniu tego dramatu, ale jeszcze za życia autora! Jeżeli więc tak niepodległy, tak bystry i życzliwie dla Byrona usposobiony umysł nie był zdolny ani przeniknąć prawdy, ani też w jéj czystém świetle spo-

glądać na jego twory: cóż dopiero za wyobrażenie mogła mieć o nich cała massa zwyczajnych czytelników?

Dopiero tedy po śmierci jego nastąpiło, czego się zresztą i sam Byron spodziewał. Znajdują się w pamiętniku jego te słowa: — „Sprawiedliwość będzie mi wymierzona wtedy dopiero, kiedy ta moja ręka, która to pisze, będzie tak zimna, jak serca, które życie moje zatruty.“ — Począł się teraz objawiać nagły a stanowczy zwrot wyobrażeń, w kierunku ku zupełnej rehabilitacji zmarłego, ku apoteozie nawet, choć do takowej znowu nie było dostatecznych powodów. Zwykle to zjawisko w kolejach sądów ludzkich, zawsze skłonnych do przeskoku z jednej ostateczności w drugą... Zmiękły serca surowe na samą wieść o zgonie wieszczu. Zgon ten zbyt wczesny, w 37 roku życia, w porze najwyższej siły jego geniuszu — zgon idealny i prawie bohaterski, na klasycznej ziemi Hellady, w chwili jęj wybijania się z pod barbarzyńskiego jarzma na niepodległość, wśród usiłowań, które odepchnięty od własnej ojezyny Byron nie tylko majątkiem własnym sownie wspierał, lecz i pieśnią natchnioną to wywoływał, to unieśmiertelniał — zgon ten mówię pod tyłu względami chlubny i nadzwyczajny rozbroił zaciętość wszystkich. Teraz dopiero — odezwali się wielbicieli poety. Z dokumentami w ręku przemówili przyjaciele zmarłego. Pojawiły się równocześnie biografie, pamiętniki, wspomnienia, listy, rozmowy i tym podobne pisma dotyczące Byrona. Odparto fałsze, uchylono potwarze, odsłonięto zalety i piękną stronę zgasłego życia. Stał się rzetelny wizerunek poety — wizerunek poetyczny nad miarę, uwieńczony aureolą cierpień i krzywd, w znacznej części niezasłużenie doznanych — w moralnym względzie daleki wprawdzie od ideału i ze wszystkimi znamionami krewkości ludzkiej, ale dlatego nie gorszy od tysiąca innych, którym pomimo tego przecie nikt nie zamacał pokoju. W miarę takiej rehabilitacji osoby autora, zaczęto odtąd w świetle rzetelnej prawdy i o czynach jego poetyckich sądzić inaczej, i to pod względem ich moralnego znaczenia; artystycznej potęgi bowiem nie odmawiano dziełom jego i przedtém.

Gdy się to wszystko działo w ojezynie poety, wzięła i dalsza Europa z zajęciem żywszém na nowo dzieła Byrona do ręki.

Były one jęj już znane w pewnej części i dawniej z sporadycznych przekładów francuskich i niemieckich, z których najrychlejsze przypadają na czasy przed rokiem jeszcze 1820. Ale właściwie teraz dopiero zaczęto na wyścigi na najrozmaitsze języki tłómaczyć wszystko, co tylko pochodziło z pióra Byrona. Nie było w Europie literatury, na którejby obliczu w latach owych nie pojawił się już mniej, już więcej wydatny odbłask natchnień tego poety.

Temu powszechnemu prądowi nie mogła się oprzeć i nasza literatura. Wpływ Byronizmu w Polsce, przed rokiem 1830 i przez kilka jeszcze lat potem, był w samej rzeczy większy może, niż się to dzisiaj niejednemu wydaje. Zestawienie przekładów dzieł Byrona na polskie nie daje wprawdzie ani o czasie, ani o stopniu tego wpływu dokładnego wyobrażenia. Gdybyśmy bowiem z nich o tém mieli brać miarę, to wypadłoby wnosić, że przewaga bajronizmu zaczęła panować u nas na dobre dopiero około r. 1833; albowiem najlepsi nasi tłómacze tego poety wtedy dopiero wystąpili.*) Tymczasem wniosek taki byłby zupełnie mylny.

*) Notuję tu najcelniejszych:

Julian Korsak (Więzień Czylłonu 1830, Lara 1833). Adam Mickiewicz (Giaur 1834). A. E. Odyniec (Korsarz 1834, Narzeczona z Abydos 1838, Niebo i Ziemia 1841, Mazepa 1843). Franciszek Morawski (Więzień Czylłonu 1841, Manfred, Mazepa, Oblężenie Koryntu, Paryżyna 1853). Józef Paszkowski (Manfred, Kaim 1842). Antoni Zawadzki (Werner, Żale Tassa, Narzeczona z Abydos, Wyspa 1846). Antoni Czajkowski (Beppo, około tegoż czasu; Don Juan, w rękopisie). W. hr. Baworowski (Childe Harold 1856, Don Juan 1863). Michał Budzyński (Childe Harold 1857, Proroctwo Dantego 1858). Adam Pajgert (Wyspa 1859). Michał Chodźko (Manfred 1860).

Pierwsi nasi przekładacze Byrona, Bruno hr. Kiciński (Korsarz, Oblężenie Koryntu 1820) i Władysław Ostrowski (Dziwica z Abydos 1821, Giaur 1830), nie mieli sił po temu, żeby dziś jeszcze można było kłaść jakiś prycisk na ich przekładach. Pierwszy, to jest Kiciński, tłómaczył zresztą tylko z francuskiego, a nie z oryginału — Przed rokiem także jeszcze 1830 spolszczył niektóre pieśni Byrona prze cudnym wierszem Mickiewicz (Pożegnanie Childe Harolda — Sen — Eutanazyja). Lecz to są rzeczy krótszej objętości.

Oprócz tych wszystkich co tylko wymienionych, było jeszcze po r. 1834 kilku innych mniej zasłużonych tłómaczów polskich Byrona,

Od czasu bowiem pojawienia się *Pieśni Janusza*, *Komedyi Nieboskiej* i *Pana Tadeusza*, a zatem właśnie od r. 1833 i 34 poezja nasza zaczęła brać taki obrot, że bajronizowanie, jeżeli się kiedy wynurzyło na nowo, to należało już w każdym razie do zjawisk wyjątkowych i mniej też cenionych w piśmiennictwie. Tém bardziej zato zajmował ten kierunek umysły między 1824 a 1833. O czém ażeby się przekonać, nie dość jest dopatrywać posępnych barw bajronowskich na tle takich kreacyi pierwszego rzędu, jak na przykład *Zamek Kaniowski* albo *Marya*; lecz trzeba spojrzeć na plody poetów i rymotwórców pomniejszych. Naśladownictwo tych pisarzy przesadne, a wreszcie entuzjazm bezwarunkowy dla dzieł Byrona i dla wszystkiego, co tylko tchnęło tym duchem, musiał w gronie młodszej mianowicie generacyi przechodzić wtedy wszelkie granice, skoro jeden z ludzi naszych najwytrawniejszych a zarazem najwyrozumialszych, Brodziński, widział się zmuszonym w tym przedmiocie głos zabierać po kilka razy, przestrzegając w cierpki sposób przed niebezpieczeństwem grożącym z tej strony literaturze. Brodziński zaprawdę nie należał do liczby przeciwników nowego zwrotu poezyi. Owszem, onto był, który się głównie przyczynił do nadania jój takowego kierunku. Z samój zasady byłto zatem w owój kwestyi sędzia bezstronny. A jednak w rozprawach jego krytycznych z czasu przed r. 1830 znajdujemy częste wycieczki przeciw tej manii ogarniającej umysły.

Oto, co na przykład pisał był o tém w rozprawie *O Exaltacyi i Entuzjazmie*:

„Byron pędzłem najwięcej poetycznym zaciera wszelką poezję tego i przyszłego świata. W nieśmiertelności i nieskończoności samę tylko nicosć pokazuje i chciałby, żeby człowiek do niczego nie przywiązany, niczemu nie ufający, wkoło boleścią i ni-

Wyczerpującą o nich wszystkich wiadomość znaleźć można w dobrym artykule bibliograficznym przez K. Estreichera zamieszczonym w *Rozmaitościach Lwowskich* r. 1859, Nr. 17 i 18.

Dzięki usiłowaniam wymienionych pisarzy, posiadamy obecnie całego już niemal Byrona przełożonego na polskie. Nie znalazły tłómacza dotąd tylko jeszcze następujące (większe) utwory: *Marino Faliero*, *Dwaj Foskarowie* i *Sardanapal*. —

cością zagrożony, sam w sobie piekło wzniecił i w niem się strawił. Nie *Wirgiliusz*, jak *Dantemu*, nie *Muza*, jak wszystkim poetom, ale zły duch otwiera mu, równie jak jego *Kaimowi*, i serca ludzkie i światy nadziemskie, kryjąc we wszystkiem rządzącego Boga. Nadto, umiał on słabościom ludzkim nadać nie tylko powab, ale i pewny pozor wyższości, której źródłem i celem jest tylko namiętność w sobie ograniczająca człowieka i kłóca go z sobą samym....

„Czuje, na jak wiele się waże, mówi dalej Brodziński, czytając podobne uwagi o geniuszach tak słusznie wslawionych. Przecież zważając na pochop do naśladowania poetów, którzy tak oddzielném byli zjawiskiem, godzi się w sprawie prawdziwej poezyi przemówić. Byron sam tylko mógł być takim, jakim był poeta. Próżno każdy usiłuje trafić jego drogą do celu. Od niego poczęli młodzi poeci gwałcić swoje pogodne uczucia, nosić w sercu sami nie wiedzą jakie tajemnice, i gorzko marzyć i szukać tego, co właśnie w pełniści mają. Niknie w nich poetyczna naiwność; wiosnę życia szpecą nienaturalnie, liściem jesiennym od zarazy pożółkłym. Miasto tkliwego udziału ze światem, który ich nęci do siebie, kłóca się z nim; wyszukują starannie, ażeby tęsknić do czegoś, rozbierają swoje uczucia, jak bohaterowie sceny francuskiej swe położenia i w sprzeczności z własną naturą chcą znaleźć poezję“...

Za te słowa o Byronie gromił później Brodzińskiego Mickiewicz z katedry w Collège de France.*) I rzeczywiście zdaje się być na pozór wiele przesady w tych sądach Brodzińskiego o duchu lorda-poety. Wszelako krytyk nasz nie polemizował też z nim samym, ale z jego naśladowcami, o których śmiało powiedzieć można, że więcej w utworach ich bajronizmu, aniżeli w samym Byronie. U tego bowiem zawsze jest takt artystyczny i pewna miara we wszystkiém. Są zawsze okoliczności, które demoniczność postaci jego albo łagodzą, albo przynajmniej tłómaczą; które pozwalają jój się pojawiać, lecz że tak powiem w formie koncesyi. Bajroniści przeciwnie przyjęli wszystkie desperacye

*) Obacz Kurs roku IIgo, lekeya 29.

bajrońskie za watek uprawniony sam przez się, za materyał gotowy — za rudę czystego złota, którą tylko topić i przelewać w posagi. I dlatego też miał rozważny autor Wiesława zupełną słuszość, kiedy wypowiadał przekonanie, że naśladowanie tego poety może być dla nas daleko więcej szkodliwem, niż wszelkie inne naśladownictwo. Jeżeli zaś co samym skutkiem usprawiedliwiło te Brodzińskiego obawy, to właśnie rola w jakiej wystąpił na początku swego zawodu oto nasz młody poeta! Bajronizm jestto klucz jedyny, za pomocą którego zrozumieć można, jak człowiek genialny, tylu nadzwyczajnymi warunkami usposobiony na prawdziwego wieszczę narodu, mógł się przez czas tak długi zaprzętać ideałami, które były po za wszelką wspólnością z gruntem naszego poczucia narodowego. Czy zwrócimy uwagę naszą na ogólne idee podłożone dziełom, któreśmy co tylko przebiegli, jako pomysły zasadnicze, czy też na ludzi w nich działających: w jednym i drugim razie wniosek nasz nie będzie inny, jak tylko że te wszystkie typy były odbiciem (dodajmy mocno skrzywionem!) tradycyi byrońskich.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu *Lambro*. *Smutne doniesienia z domu*. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. *Dziady*. Nagły wyjazd z Paryża. P. Lenormand i podróż do Genewy.

Ogłoszone poezye stanowiły przez kilka miesięcy po ich wydaniu główny przedmiot, na który była zwrócona uwaga autora. W listach swoich z owego czasu często do tego punktu powraca, jużto udzielając matce wiadomości o tém, co o dziełach jego emigracya sądziła, już odpowiadając na uwagi, jakie o nich przysyłała mu rodzina jego z Krzemieńca. Były bo też i szczególne przyczyny, dla których pragnął, aby to pierwsze jego wystąpienie dobrze było przyjęte. Miał on już wtedy w tece materyału nowego dosyć na zapełnienie trzeciego tomu. Poemat *Lambro* już był ukończony w r. 1832 (i to w pierwszych miesiącach). Chodziło więc znowu o fundusze na pokrycie dalszych kosztów nakładu, a miała ich dostarczyć dopiero sprzedaż dwóch tomów wydanych, z którą jednak nie wiodło się tak pomyślnie księgarzom, jak się z razu autor spodziewał. Dlatego też ogłoszenie trzeciego tomu wypadło odłożyć na czas późniejszy...

Pomiędzy listami, jakie z powodu dzieł ogłoszonych poeta nasz od różnych osób odbierał, doręczono mu i słów kilka z Wilna — od Ludwiki Ś. Przypominam, że posłał jej był w lipcu jeszcze egzemplarz dzieł swoich w darze, a przytém i list, z powodu którego równocześnie pisał do matki: „O! gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się... Otóż nad spodziewanie jego, po trzech miesiącach — z początkiem października — podziękowanie za pamięć od Ludwiki nadeszło.

„Ile z listu sądzić mogę, Ludwisia nie gniewa się za pamięć moję; owszem gniewa się, że za mało pamięci o nię w książkach. Oto są słowa z jęj listu: — „Milo mi było w mojęj cichęj samotności przebiegać te odcienie myśli i uczuć znajomęj mi duszy. W tych tworach poetę tylko widać — chował się człowiek — nieraz się jednak człowiek zdradził, a ja go poznałam... Żadnej już nie czytam książki; ale poezye Pana jak przyjaciela dawnego, nie jak książki przyjął, i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć będę na ziemi.““ (Z listu z d. 8 Grudnia 1832 r.).

Na to spostrzeżenie, że się w utworach jego poetyckich ukrywał człowiek, rzucił autor taką uwagę:

„Spodzielam się, że jak wydrukuję Lambro, to mnie nie będzie obwiniać, że się kryję z mojemi uczuciami. Myślę tylko nad tēm, że trudno go będzie tam przesłać, bo Lambro straszny“...

Zresztą ówczesne życie Słowackiego w Paryżu nie nabierało wcale w oczach jego powabów. Znajomość z rodziną p. Pinnard była utrzymywana, ale jakoś od niechcienia. Z samą panną Korą to zrywał, to zawięzywał znowu; lecz stósunek ten nie obiecywał długiej przyszłości — mimo jęj przywiązania do niego. To też wyobrażenia jego łatwo zajmowała się innemi wrażeniami, przy lada sposobności — zawsze przelotnie i zawsze w taki sposób, że serce jego w tēm wszystkiē wcale nie brało udziału. Więcej ono było przystępne dla uczuć przyjaźni, choć i w tym względzie nie było ono otwarte dla byle kogo. Z pomiędzy małej liczby osób, które wtedy w bliższych zostawały stósunkach z poetą naszym, był może jeden tylko, o którym powiedzieć można, że go łączyła ze Słowackim prawdziwa przyjaźń. Był to człowiek cierpiący, schorzały, nierokujący długiego życia; nazywał się Zienkowicz. Do niego to ściągają się, co tu przytaczam z jednego z listów pisanych w owym roku do matki:

„Odebrałem znów list z Wersalu. Wspominam o nim dlatego, że słowa napisane na końcu, „twój do śmierci“, przez człowieka, który wie sam, że jest jęj tak bliskim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie. Skąd ten człowiek mógł zawrzeć w dwóch słowach tyle poezji! ... O godzinie 11 z rana wyjechałem do Wersalu, który leży o dwie nasze mile od Paryża. Zienkowicz wyszedł na moje

spotkanie, ale w drodze ominął się ze mną. Przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu, lecz wkrótce nadszedł. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie. Za domem ma niewielki ogródek, zarosły trochę dzikimi chwastami i opuszczony, ale bardzo miły dla mnie, bo właśnie pisząc moje pamiętniki dzieciństwa (Godzinę Myśli), tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie dzień jeden musiałem przepędzić w cichym wiejskim domu. Ogród pięknym mi się wydawał — było tam kilka winogrodów rozpiętych na murze, — morel owocem okryty — kilka kwitnących róż — gruszki pachnące — i naokoło mur szary, a w kącie ławka z drzewa i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi co dnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże blade i już osypujące się z liści. Na tęg ławce usiedliśmy, i często przerywając rozmowę, zastanawiałem się słuchając tęg wiejskięj ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą; nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko — blade — i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. — O piątęj godzinie siedliśmy z nim do domowego obiadu. Jak zwykle u chłopców, było dobre wino, porter angielski, a wtenczas rozmowa zaczęła się welselza. Do stołu posługiwała nam córka gospodyni 13letnia dziewczyna, bardzo do Hersylki (przyrodnięj siostry Juliusza) podobna. Stawałem w jęg obronie, ile razy mój towarzysz, jak zwykle, cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia w potrawach popełnione, bo często widział, że nie dopełnili jęgo rozkazów, gdy chciał aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę zmieszana wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachnący różowy groszek zatknięty w jęg pelerynce. Wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukicie poznałem groszek, który zniknął z jęg pelerynki, bo wszystkie inne może umyślnie przez nią były zerwane ciemniejszego koloru. Udaając, że tego nie spostrzegłem, powiedziałem do nięj: ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem. Uśmiechnęła się — zarumieniała i odpowiedziała, pokazując na bukiet: il est là, oh! vous le reconnaissez bien. — Bardzo mi się podobała ta delikatna scena, i bądź pewną moja Mamo, że żadnēm słowem nie zniszczyłem jęg uroku. Potēm Zienkowicz sporządził litewski kalisz, taki jakęśmy w Wilnie pijali. Było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna i grzanki, słowem było wszystko, co tylko się mogło w wazie pomieścić... a tak był dobry, że się nawet mojęj dziewczynie podobał... Po obiedzie poszliśmy do kró-

lewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę — i patrzała długo: — odwróciłem się jeszcze z daleka — uśmiechnąłem się i lekko schyliłem głowę. Chodziliśmy długo po parku — i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami, tak że nań patrzeć można było. O godzinie 9tej wsiadłem do dyliżansu i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem — jeżeli chce Mama wiedzieć o czym — to o dziewczynce. I wkrótce ujrzałem coraz gęściejsze latarnie — potem elizejskie pola — a potem ogłuszył mnie huk miasta. O godzinie 11tej wysiadłem na oświetlonej gazem ulicy Rivoli. — Wracając do domu, ujrzałem w jednej bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarzy dojrzeć nie można było. W obu rękach trzymał kapelusz, ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Wrzuciłem mu do kapelusza pieniądz miedziany, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzając się nędzy postać. Stał nieporuszony — milczał. Wstyd mi było myśli krzywdzającej starca — wróciłem się i rzuciłem do kapelusza pieniądz srebrny: — milczał... To milczenie tak mnie zastanowiło, że gdybym miał pieniądz złoty przy sobie, wróciłbym.... i chciałbym być, żeby jeszcze raz milczał.... Kochana Mamo! nie czytaj nikomu tego listu, bo mnie wezmą za głupca, że będąc w Paryżu, piszę o dziewczynce, co mi dała groszek, i o żebraku, który milcząc przyjął jałmużnę“... (dnia 30 lipca 1832).

Oprócz Zienkowicza miał Słowacki w owych czasach w Paryżu drugiego jeszcze towarzysza, z którym się świadczył i codziennie widywał. Był nim wspomniany już wyżej Michał Skibicki, tensam, któremu przypisane są Arab i Mnich wraz z wierszem umieszczonym na czele tych utworów. Oprócz tych dwóch, nie ma w listach śladu, żeby był wtedy w emigracji kto inny jeszcze bliższy serca Juliusza. Jest wzmianka (w miesiącu lipcu r. 1832) o przybyciu do Paryża Bohdana Zaleskiego, ale obojętna.

„Spotkałem dziś rano Boh. Zaleskiego; zaszedł mi drogę i poznał z daleka, choć bardzośmy się mało znali przed tém.“

Jest zapisek o Stefanie Witwickim, że także przyłączył się do grona żyjących na wygnaniu, ale z dodatkiem bynaj-

mniej nie świadczącym o wielkiej życzliwości. Jest słów kilka o Lelewelu, lecz niekorzystnych:

„Człowiek z kutasami u bótów (tak Sł. zwykle Lelewela w tej korespondencji nazywał) jak antreprenier w kłopotach, traci szacunek u ludzi, bo się ciągle intrygą zajmuje i w tutejszej babilońskiej wieży pomieszał języki. Smutno tu patrzeć na to, co się tu dzieje“... (list z dnia 9 listopada 1832).

Jest notatka o pani Hofmanowej, ale także sucha, jeżeli nie uszczypliwa.

„Jest tu panna niegdyś Tańska i pisze, jak słyhać, opisanie Paryża dla dzieci — może to być bardzo ładne. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda — literatura kobieca, garbata trochę — literatura kłótniwa trochę, paszkwilowa — a została się tylko u siebie literatura klasyczna czyli niema“...

To też w strony ojezyste, do grona rodziny, w przyszłość, która go kiedyś ze swymi miała połączyć, najbardziej się lubił przynosić myślą Słowacki z tego gwaru i wiru krzyżujących się stosunków, jakie tworzyła ówczesna emigracja. Miłość matki i przywiązanie rodziny miały go wynagrodzić za wszystko.

„Gdyby ludzie o wszystkiem nie zapominali — pisał d. 9 listopada 1832 — ty matko i mój ojciec zostawilibyście mi na świecie wielu przyjaciół. Ja... nie powinienem mieć syna, bo nawet dla siebie jednego przyjaciela znaleźć nie mogę — cóżbym mu więc zostawił?“ —

Nadzieja, że odzyska kiedyś miejsce stracone przy rodzinnym stole i że znajdzie wszystkich i wszystko na dawnym miejscu — ta nadzieja najwięcej w nim podtrzymywała otuchę. Nie raz i obojętny przedmiot w Paryżu nasuwał mu na myśl to jego ulubione marzenie. Oto na przykład pisał raz jednego coś matce o wybornych brzoskwiniach francuskich, i to mu przypominało, że niegdyś o nich w Wilnie i Jan Śniadecki z pochwałami wspominał.

„Kiedyś i ja na starość z Wami zasięde do stołu, jak Jan — z siwym włosom i z białemi najeżonemi brwiami. Wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach“...

Nadzieje jego atoli zamierały jedna po drugiej — za dotknięciem o twardą rzeczywistość. Listy nadsyłane mu z kraju

często były zwiastunami bolesnych zdarzeń. Wyczytywał w nich to o tym, to o owym z pomiędzy dobrych znajomych, przyjaciół, nieraz i krewnych, że go skrzydła płynącego czasu zmiotły do grobu. Prawie równocześnie doniesiono mu właśnie w ciągu owych miesięcy o śmierci Alexandry, przyrodniej jego siostry w Wilnie za mąż wydanej, i o jego wuju Janie Januszewskim, że powodem długiego niepowrotu jego w r. 1831 z obozu powstańców podolskich nie była, jak zrazu przypuszczano, niewola, lecz zgon w jednej z potyczek. Po rozstrzygnięciu w taki sposób długiej niepewności o losie męża, wdowa po nim pozostała (Julia) z drobnym dziecięciem (Stasiem) ściągnęła także do Krzemieńca z Wierchówki, w której aż dotąd mieszkali. Cała tedy reszta rodziny zgarnęła się w jedno miejsce, obsiadła jedno ognisko.

„Jak Wam teraz dobrze być musi (pisał w liście z d. 3 września) tak wszystkim razem w waszym spokojnym Krzemieńcu! Wystawiam sobie Wasze koło domowe, i Melankę małą, kręcącą się koło smutnego Stasia. Jak Wam teraz dobrze być musi! Ale jak mi okropnie myśleć, że kiedyś, powróciwszy do was, nie zastanę tylu osób. A tak często marzyłem, jakto ja kiedyś będę w domu Olesi, jak będę z Julką odwiedzał podrosłe Julinki. Nie możecie sobie wystawić, jak to jest trudno oddalonemu o mil kilkaset pomyśleć sobie, że to wszystko snem nie jest — Wilno bez Olesi! Wierchówka bez Julki!...”

W miesiąc później otrzymał doniesienie, że i téj Melanki, którą sobie wystawiał kręcącą się w familijném kółku w Krzemieńcu, nie ma już w domu rodziców! Była to jego siostra cioteczna, córka drugiego jego wuja, Teofila Januszewskiego; dziewczyna przez całą rodzinę, a szczególnie przez naszego poetę bardzo umiłowana. W żadnym prawie liście on téj małej nie pomijał milczeniem; lubił się przypominać jęj dziecięcej pamięci i zawsze zapytywał, co tam porabia? Z Drezna jeszcze (1831) list jeden pisząc, żartobliwie jęj obiecywał, że jak powróci do Krzemieńca, będzie ją uczył po niemiecku, „bo ładny to w ustach dam język.“ A teraz mu doniesiono, że to dzieciątko zgasło...

Wyjmuje kilka ustępów z listu pisanego pod bezpośredniem wrażeniem chwili (d. 4 października 1832):

„Wczoraj rano o godzinie 9tej położyłem się, aby zasnąć. Zaledwo zamykałem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi — list od Was — senny siadłem do czytania — list ten spadł ciężarem na rozigrane i drżące prawie zmysły... O! bo też nigdy nie podobnego nie czytałem, jak ten list Mamy. W nim taka ogromna poezya smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do nięj się nawet nie zbliżył. Matko moja! tyle w liście twoim prawdziwój boleści — tak wiernęj, że płakałem, czytałem — i znów płakałem. Potem na kawałku papieru leżącym na stoliku napisałem trzy nagrobki i posyłam je — nie przemienione.

Nagrobków, o których tu mowa, żądano od niego w liście. Jeden miał być dla Melanki, drugi dla Olesi, a trzeci dla Jana Januszewskiego.

„Gdybym ja był szczęśliwszym (pisze dalej, zwracając mowę do rodziców umarłęj), tobym Wam może przywiązał dzieci zastąpił. Ale ja złym jestem kaznodzieją szczęścia. Te dni mną całym zatrzęsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami i czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią, poetyczną, exaltowaną rozkosz... Darujcie mi — bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobny do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka!...”

.....„I znów na wasz list spojrzałem — i wiersz napisany przez kochanego Dziadunia zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje, jak jakiś anioł-duch z tamtego już na wpół świata wyglądający, który wśród płaczących zawsze jedno i znane mi napisał słowa: „Ja ciebie mój kochany wnuku pozdrawiam i powodzenia życzę.“ Ta jedno-tonność słów robi te słowa tak uroczystymi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga... Więc Dziaduniu kochany, klękam przed Tobą i przyrzekam Ci, że wnuk twój będzie umiał kiedyś, jak twój syn starszy, dług wypłacić, którego Ty dla starości wypłacić nie mogłeś... I Ty, kochana Babuniu, nie wstydź się wnuka wierszoklety, bo on oprócz wierszy ma jeszcze do rozrządzenia życie — a może Bóg mu pozwoli skończyć, jak skonał —

.....„Mamo kochana, czuję jak Tobie teraz smutno! List Twój Mamo zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem. List ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że jeżeli miałem jaką poezję w sercu, to ją od Ciebie wzięłem. Zwłaszcza to wyrażenie: „Mama powtarza,

niech się dzieje wola Boga; ja zaś wspomniawszy na ciebie, niezdolna do wyrzeczenia słów tych“ itd. jest ogromnym obrazem Matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa — i Bogu nawet, jeżeliby miał syna jęć zabić, broni. Te słowa miłości i przywiązania Twego do mnie, z duszy wyrwane, słowami moimi zapłacone być nie mogą, lecz całym życiem“...

Ale przejdźmy od tych smutnych rzeczy do więcej obojętnych, do potocznych szczegółów w Słowackiego korespondencji.

„Żebyście Wy wiedzieli — pisał do krewnych dnia 9 listopada 1832 — jak ten świat nudny! Zupełnie inny, niż nam się wydaje. Zwłaszcza Paryż — jestto prawdziwe więzienie dla człowieka bez wielu pieniędzy. Bo w inném miasteczku, a nawet mieście, cudzoziemiec wchodzi zaraz do dobrych towarzystw. Tutaj zamknięte są domy. Trzeba mieć kabriolet własny, żeby się otworzyły. Zwłaszcza teraz noblesa wyniosła się prawie z Paryża — la bourgeoisie, ta brylantowa poczwara, która zajęła jęć miejsce, nie przypuszcza do siebie, tylko bogatych. Chcąc zainteresować jaką damę, trzeba po angielsku gadać — udawać Anglika, bo widzą, że Polacy nie mają pieniędzy. Udawać zaś Anglika, jestto udawać głupca i oryginała, bo takimi są Angliey. W jednym tylko względzie Paryż mi się lepszym wydał, niż o nim marzyłem. Gdy bowiem do nas kto z Paryża przyjedzie, zaraz ma jakiś dziwny śpiczasty kapelusz, jakiś frak wywrócony, itd. W Paryżu zaś przeciwnie; nie widziałem tu elegantów tak jak u nas z półkniętym kijem — z nakrochmalonym halsztuchem. Wszyscy skromnie i zgrabnie ubrani. Ubierać się zaś można, jak się komu podoba. Śmiałoby tu wyszedł na ulicę w dziadowskiej lisiurce, którą niegdyś jak syn marnotrawny dziadkowi zarwałem. Widziałem tu nieraz ludzi trochę podstarzałych na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w błękitnym jasno wutowanym szlafroku, na frak zamiast płaszcza wdzianym. — Jeżeli chcecie sobie Julka wystawić, chodzi on w dni mnięć zimne w długim aż po kostki ciemno ceglastym surducie krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy; w dni zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowém futrem, które mam od kochanej Mamy; a w dni ciepłe, w czarnym tużurku krótkim“...

Podobne wzmianki nawet o garderobie zdarza się nieraz czytać i przy innych sposobnościach w jego korespondencji. Słowacki

nie był elegantem z profesyi i nie przywiązywał do odzieży zbyt wielkiego znaczenia. Ale była inna przyczyna, dla której nie tylko lubił uważać na swoją powierzchowność, ale i chwalić się przed matką, że o tych drobnostkach nie zapomina. Oto chodziło mu o pewną rehabilitacyą całego rodzaju poetów, oskarżanych zazwyczaj o zaniedbywanie się; a przyczyniało się może do tego i trochę opozycyi z powodu znanego antagonizmu...

„Zostawszy raz poetą — chcę ujść powszechnę nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały — i nie chcę, aby mnie tak jak Mickiewicza, do domu gry (?) nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę...“ (list z d. 30 lipca 1832).

Pomimo ciągłych wyrzekań na Paryż, na Francuzów i na Emigracyą, z którą rad nierad musiał się stykać — za nadejściem jesieni 1832 Słowacki z konieczności godził się i na dalszy pobyt w tém mieście. Żeby nie ziębnąć w pokoiku swoim przez zimę, kazał go urządzić zawczasu więcęć na sposób polski.

„Dzisiaj zabezpieczyłem się od zimna — pisał dnia 9 listop. 1832. Kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał, — a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moję uwagę.“

Plany zajęć i rozrywek na całą zimę także już były zrobione. Przy pracach, które mu same płynęły z duszy, spróbował wtedy po raz drugi roboty, która mu miała dostarczyć środków do ogłoszenia IIIgo tomu Poezyi.

„W tym miesiącu byłem sześć razy na tragediach francuskich... dla poznania się lepiej z Francuzami terazniejszymi i z grą aktórek; albowiem pod sekretem powiem Ci Mamo, że piszę tragedya dla jednego z tutejszych teatrów; nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą i zechcą wystawić, i czy zechcą zapłacić...“)

*) Między papierami po śmierci poety przez rodzinę jego przywiezionymi do kraju, rzeczywiście znaleziono dwa małe urywki z francuskiego dramatu pisanego jego ręką, a poprawianego gdzieś indziej inném piśmem, zapewne przez jakiego rodowitego Francuza. Urywki te są z końca sztuki: jeden z czwartego, drugi z piątego aktu (Musiała ona zatem stanowić kiedys całość skończoną). Była pisana prozą,

Ażeby się uzdolnić do jak najpomysłniejszego dokonania innych utworów, które obmyślał, żądał w tymże liście od matki niektórych książek polskich.

„Jeślibyś mogła, kochana Mamo, to mi przez jadącą siostrę Michała (Skibickiego) przyslij dzieła Jana Kochanowskiego, które masz w swojej szafce; a jeżeli można, to dostaniecie także przekładu Jerozolimy przez Piotra, bo mi tu te dwa dzieła dla języka bardzo są potrzebne. Teraz albowiem nie mam, jak tylko Trembeckiego; i uważam, że mój styl twardnieje nieznacznie“...

Wreszcie donosił rodzinie i o zabawach, jakich sobie w ciągu tej zimy dla urozmaicenia czasu pozwalać postanowił: kiedy wtém nagle zaszło zdarzenie, które te wszystkie jego projekta pokrzyżowało stanowczo.

Niepomału zdziwić się matka musiała, kiedy wyczytała w liście Juliusza już w miesiąc później doniesienie następujące.

„Kochana Mamo! pobyt mój w stolicy nachyla się już do końca. Za dni kilkanaście wyjeżdżam do Genewy. Potrzeba zmusza mnie do wyjazdu, więc i dobrze, że mnie przynajmniej w poetyczniejsze krainy posyła. Wiele miałbym pisać o tym miesiącu, ale nie wiem, jakimi słowy... (Z listu z d. 8 grudnia 1832).

Jaka potrzeba zmuszała go do wyjazdu z Paryża, z tego się matce nie tłómaczył. Przytoczył natomiast wiele różnych powodów, mających niby usprawiedliwić to nagle jego postanowienie.

„Przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd, będę ciągle zwiedzał teatru, bo mi się zdaje, że do Paryża nie prędko, a może i nigdy nie powrócę. Bo tu przykro — drogo — niespokojnie. Między nami ciągle zwady — a w tych zwadach wykrywają się tak puste głowy, że aż to obraża dumę narodową. A potem, będąc w Genewie, między Paryżem a Florencją, któżby do Paryża wracał? Pisałem już, że interes zmusza mnie

miła za treść sprawę Beatryczy Cenci, którą później opracował Słowacki wierszem po polsku. Ale ośnowa polskiego dramatu zupełnie odstępuje od pomysłu, wedle którego, ile wnosić można, rzecz ta była przeprowadzona w sztuce francuskiej. — Urywki rzeczzone zbyt mi się zdały mało znaczące, żeby je zamieszczać w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych.

do wyjazdu. Ale zapewne z własnej woli w Genewie zostaną na mieszkanie i wiele sobie obiecują przyjemności, i listy moje może ciekawsze będą, jak Wam donoszę o mieszkaniu Russa, Woltera, a nadewszystko jak pielgrzymkę na Mamy intencją odprowię i zwiedzę Coppet, gdzie pani Staël mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad jeziorem genewskim w jakim wiejskim domku — i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowemi, bo ja stworzony jestem do życia mniszego, spokojnego, i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność — ale nudną, przerywaną hukami powozów, rozmową nudnych znajomych. Więc mnie nie obwiniaj Matko, że cichszej samotności szukać będę“...

I w drugim liście potem pisany, już datowanym z Genewy (z d. 30 grudnia 1832) nie wypowiadał się Juliusz, co mu tak zaciężyło na sercu. Rzucił tylko nawiasem wzmiankę o ostatnich chwilach pobytu swego w Paryżu, która tém bardziej mogła każdego zaciekawić:

„Powie Ci jeszcze, moja Mamo, że mnie w jednym zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażeby zostawiał. Ale już było zapóźno, przygotowania do podróży już były porobione“...

Dopiero po upływie całego niemal roku dowiedzieli się krewni rzetelnej przyczyny, która Słowackiego wypędziła z Paryża. Świadczy ona może o zbyt daleko posuniętej drażliwości u niego; rozważywszy jednak wszystko, przyznać należy, że w jego położeniu trudno było inaczej sobie postąpić. Rzecz tak się miała.

Pod sam koniec roku 1832, w miesiącu listopadzie czy grudniu, wyszło w Paryżu dzieło, o którego mającém niebawem nastąpić ogłoszeniu donosił już poprzednio matce swojej Słowacki. Pojawiła się Dziadów Część trzecia. W jednej scenie tego utworu występuje, jak wiadomo, figura, której tam dano ogólną nazwę Doktora. Zajmuje ona jedno z przedniejszych miejsc na całym planie obrazu, ale jest wystawiona w takim świetle, że odpowiedzialność za te wszystkie bezprawia, jakie się działy w Wilnie w latach 1823 i 1824, spada na nią w znacznej części i to z tém większą sromotą, że jestto rodak i członek ciała uniwersyteckiego, którego więc obowiązkiem było zasłaniać od gwałtów

młodzież niewinnie prześladowaną; a on tymczasem działa w poemacie Mickiewicza jako intrygant podlegający jeszcze podejrliwości Nowosilcowa tak przeciw młodzieży jak profesorom, i nie wstydzi się być jego nadskakującym pochlebcą, a nawet denuncyantem wręcz oskarżającym profesora historii Lelewela i kuratora uniwersytetu księcia Czartoryskiego o spiski przeciw rządowi w gronie uczniów utrzymywane.

Mickiewicz wprawdzie nie nazwał w *Dziadach* po imieniu tego doktora. I stądto może też poszło, że stawiając go jako figurę typową, z wyobraźni wziętą, a nie z rzeczywistości, pozwolił sobie nie tylko intrygi z historycznymi zdarzeniami rzeczywiście związek mające na karb jego położyć, ale dodał do nich jeszcze i kilka rysów dokończonych, (na przykład owo zajście nie-ludzkie z X. Piotrem itp.) które same jedne wystarczałyby najzupełniej na to, żeby każdego potępić na całą wieczność...

Wiedział oczywiście każdy, kto tylko z zajściami czasu owe go jakkolwiek był obeznany (a któż ich w emigracji nie znał natenczas?), że tą figurą bezimienną był profesor medycyny w uniwersytecie wileńskim Dr. Becu, rzeczywiście od piorunu w roku 1824 zabity, jak to i w *Dziadach* jest przedstawione.

Czy oskarżenie podobne ojczyżna Słowackiego było uzasadnione i sprawiedliwe?

Nam późniejszym, oddalonym od czasu i miejsca zdarzeń, w obec takiej powagi jak autor *Dziadów* — trudno zaiste zaprzeczyć temu dzisiaj stanowczo. Sądzę atoli, że był to w każdym razie jeden z tych smutnych przykładów, w jakie pierwsze lata po upadku powstania 1831 roku szczególnie były obfite, przykładów mówię ryczałtowego piętnowania ludzi nieraz niewinnych znamieniem odstępstwa, zdrady i Bóg wie jakich przekroczeń. Chociażby nie żyli jeszcze ludzie, co pamiętają te czasy, a którzy, o ile mi się mówić z nimi zdarzyło, po większej części zgadzają się na to, że się tym krokiem względem profesora Becu dopuścił Mickiewicz grubiej przesady: to już samo porównanie rzeczy, jak jest dana w *Dziadach*, ze znanym pisemkiem Lelewela „Nowosilcow w Wilnie,“ okazuje, że musiał być Mickiewicz, kiedy

układał tę scenę, w dziwnym jakimś rozdrażnieniu. Wychodząc z tego punktu widzenia, można i trzeba wprawdzie wierzyć, że wypowiadał autor *Dziadów* to co pisał, w najgłębszym przekonaniu i w najlepszych zamiarach, i że się czuł podniesionym na wysokość, z której giną przed okiem drobne względy na pojedyncze osoby, w obec zamiaru podniesienia pewnej idei; pomimo tego wszystkiego zaprzeczyć tego jednak nie można, że przedstawienie jego scen wileńskich z r. 1823 więcej było poetyczne, niż zgodne z prawdą, a sądy o osobach niektórych w wysokim stopniu polegały na uprzedzeniu.

Leleweł był naocznym świadkiem, a nawet jednym z głównych aktorów całego tego dramatu. Był on nadto osobistym przeciwnikiem stronnictwa w uniwersytecie wileńskim, po którego stronie stał Becu. Co większa, i Leleweł miał przekonanie, że profesor ten czynnie się i umyślnie przyczynił do oddalenia jego z katedry wraz z niektórymi innymi jeszcze profesorami. Nie było tedy powodu, ażeby winę profesora Becu Leleweł zmniejszał, i widać też po całym sposobie, jakim rzeczy te opisuje, że mu bynajmniej na tem nie zależało, ażeby go od zarzutu oczyścić. Przeciwnie! sądzi on o nim z uprzedzeniem; o zachowaniu się jego opowiada namiętnie. I cóż mu więc takiego zarzuca? Jestże najmniejsze podobieństwo pomiędzy winą, jaką mu przypisuje historyk, a ową rolę, w jakiej go wystawił w dziele swoim poeta? Bynajmniej! podobieństwa, stósunku nawet między jednym przedstawieniem a drugim nie ma żadnego...

Wprawdzie grube są i Lelewela zarzuty przeciw niektórym profesorom, a między nimi i przeciw Doktorowi Becu. Stém-wszystkiém, kto tylko całe przedstawienie rzeczy w wspomnioném dziełku Lelewela przejdzie z uwagą i rozwagą bezstronną: niepodobna żeby nie widział, że grzeszyła niewątpliwie jedna strona, ale grzeszyła i druga. Tu podejrliwość — tam zaciekłość, tu brak umiarkowania i taktu w postępowaniu, a tam przebieganie znowu miarki w sądach o dążności i postępach przeciwnego obozu: — takieto były na nieszczęście w ówczesnej inteligencji litewskiej przymioty, od których wymówić nie można ani ednych ni drugich.

Starsi nie pojmowali w ówczesnych okolicznościach inną drogi ku lepszemu, ku upragnionej przyszłości: jak drogę jawną, pewną, bezpieczną — drogę opartą na podwalinach danego stanu rzeczy — wśród pracy powolnej wprawdzie i niejasnej, ale trwałym skutkiem wynagradzającej za trudy. W podziemne knowania żadnej wzbudzić w sobie nie mogli wiary. Lękali się entuzjazmu, którego kierunek ginał w mistycznych jakichś sferach extazy, a doniosłość przekraczała wszelkie granice rzeczy prawdopodobnych, a nawet możliwych.

Dla młodszych profesorów i dla całej uniwersyteckiej młodzieży mało wtedy miało uroku, co nie nosiło piętna tajemniczości i nie wiało wonią zakazanego owocu. Niepokonana moc jakaś parla całą tę generację ku robotom, o których ostatecznych następstwach bodaj który z nich samych miał wtedy jasne wyobrażenie. Oda do młodości była ich pieśnią. Gorąca wiara w to, czego wszyscy pragnęli, przy wzgardliwym odrzucaniu na bok wszystkiego, co wyglądało na kalkul — to była modła postępowania tego zastępu.

W owych czasach nazywano to wszystko romantyzmem. Ale wiedziano już wtedy dobrze, że się w tej nazwie ukrywało coś więcej, jak same kwestye dotyczące poezyi lub estetyki...

Takie były dwa stronnictwa w łonie społeczeństwa naszego, których głównym ogniskiem był w owym czasie uniwersytet wileński. — Stronnictwo gorętsze zwyciężyło. Jego hasła wzięły z czasem na całą rozległość kraju zupełną przewagę nad instynktami przeciwniej partyi. Co tylko szczytnego posiadamy w literaturze — zawdzięczamy niewątpliwie popędowi i świetnej inicjatywie, jaka była dana z tej strony. I po za literaturą nawet — wszystkie pierwszorzędne sprawy nasze publiczne od owego czasu poczynszy, były prowadzone kierunkiem, jaki narodowi wytknęło i ciągle potem wytykało przekonanie tychto zwolenników peryodycznie obudzać się mającego w społeczeństwie naszym zapału i wiary w cudowność polityczną. Łatwo tedy było Mickiewiczowi — w uczuciu odniesionego tryumfu... wprawdzie tryumfu nie pod murami Warszawy, ale tylko w zakresie myśli i niedalęj jak

między swymi — łatwo mu było w roku 1832 na owych pokonanych, prześcigniętych, już w mgłę zapomnienia ginących przeciwników niegdyś swego zastępu rzucać gromy wzgardy i potępienia! Ale dziś — kiedy dalszy przebieg romantyzmu owego w polityce leży już przed nami doprowadzony do ostatecznych kresów, i owoce jego dojrzałe jak na dłoni widne są wszystkim: — dziś zdaje mi się, ani sam nawet Mickiewicz ani Lelewel nie śmieliby już w podobny sposób jak dawniej sądzić o ludziach owej epoki...

Czas wreszcie powiedzieć to sobie, że może ci starzy i niaby zaeofani antagoniści Lelewelowskiej partyi w uniwersytecie wileńskim nie byli wcale ani tacy obskuranci, ani tacy obojętni dla kraju, za jakich ich okrzyknięto wśród walki! Mieli oni rozum i kochali ojczyznę równie dobrze, jak drudzy! A że się nie mogli z młodszymi godzić na sposoby, jakimi by jej służyć: — za to winować ich nie należy.

Za to winować by można tylko znękanie, ciężkie i ciągle jeszcze chore społeczeństwo nasze, na którym się ci młodszy przerachowali potężnie, a które ludzie przeciwnego tamtym obozu znać dobrze znali. Wedle tego, jakim je znali, miarkowali oni swoje postępowanie. Ich przekonaniem było: wprzód ogół narodowy odrodzić, a potem — przyszłości to pozostawić, co tamci czynić chcieli od razu, jakby wszystkie okoliczności już były przygotowane do tego.

Ale wróćmy do rzeczy. Samo się rozumie, że co tu mówię o profesorach wileńskich umiarkowańszych dążności, rozumie o ogólnym kierunku tychże postępowania, a nie o pojedynczych krokach bez taktu, jakich się niejeden i między nimi pod uciskiem prześladowania dopuścił czasem. Zupełnie zaś tego, co powiedziałem, nie ściagam do takich zaprzańców i nikczemników, jak na przykład Pelikan, późniejszy rektor uniwersytetu, który zajmował zgola odrębne stanowisko...

Co się tyczy doktora Becu, sam Lelewel w jednym miejscu broszury swojej, w nocie dodanej niżej textu na dole, a zatem, jak jest prawdopodobna, dopisaną później, kiedy już był ochłonał z pierwszej niechęci przeciwko niemu, sam Lelewel przyznaje, że byli

koledzy, którzy rzeczono profesora dla osobistych uraz „zamierzali złośliwie zgubić;“ że nie brakło nawet i na takich uczniach uniwersytetu, co dawniej w domu jego bywali, a potem dostawszy się do kozy, „płatali wesoło i nieszkodliwie“ (?) profesora w sprawę, za którą zostali uwięzieni. A więc i jego stanowisko było zachwiane. I jemu groziło niebezpieczeństwo. Broniąc się z konieczności przeciw złośliwości jednych, a lekkomyślności drugich, może nie trafiał zawsze na sposoby najstósowniejsze; może powodując się zbyt osobistym rozdrażnieniem i żalem, postąpił sobie w czém niezupełnie, jak należało; lecz trzebaż było zaraz rzucić bezwarunkowego potępienia kamieniem na człowieka, który w pracowitym zawodzie swoim całe życie przeżył bez skazy, dopędzał późnego wieku wśród czci powszechnej i miał, jak to sam Lelewel wzmiankuje, i przedtém i w ciągu owego śledztwa najściślejszą przyjaźń z Janem Śniadeckim?! Ta jedna okoliczność, ta jedna rękojmia, ta jedna data o przyjaźni ze Śniadeckim już zdaniem mojem wystarcza, żeby mu nie przypisywać winy, o jaką go może wtedy w Wilnie posadzano chwilowo. Charakter tak nieposzlakowany, wzrok tak bystry, znajomość pobudek ludzkich taka wytrawna, a nadewszystko owa surowość zasad, która Śniadeckiego przez cały ciąg życia jego jako osobistość tyle podnosi po nad innych ludzi tych generacyi, nie byłaby mu pewnie dozwoliła żyć w poufałym stósunku z kolegą, któryby stał na jednej linii z intrygantami, jak Pelikan albo ta inna hołota, która się obławiała w zyski i rosła w honory przy owój sposobności...

Wspominana tu Lelewela broszura, w sposobie pamiątnika traktująca o owych czasach i stósunkach wileńskich, obchodzi nas tu bliżej z inną jeszcze przyczyną. Została ona ogłoszona drukiem po raz pierwszy w Warszawie w ciągu listopadowego powstania, w pierwszych miesiącach roku 1831. Zważywszy, że w niejto właśnie ojczym Juliusza w takiem świetle jest przedstawiony; dalej, że wyjazd Słowackiego z Warszawy już w marcu tegoż roku nastąpił nagle, tajemniczo, bez dostatecznych powodów takich, z którychby się było można wytłómaczyć przed matką; dodając do tego i to nareszcie, że we wszystkich listach

swoich Słowacki odtąd nie wspomina nigdy o Lelewelu inaczej, jak tylko w wyrazach świadczących o namiętnej niechęci i z gryzącem szyderstwem: — zdaje się być rzeczą więcej niż prawdopodobną, że tej jego jakby ucieczki z Warszawy — bez planu, w świat obcy, byle daleko, w ciągu wojny z niejakiem jeszcze powodzeniem trwającej — nie mogło być co innego powodem, jak właśnie owa broszura! Dla mnie przynajmniej jest to wniosek, o którego trafności wcale nie wątpię. Niepodobieństwem było dla Słowackiego oddychać dłużej atmosferą miasta, które zdawało mu się, że patrzyło na bezkarną zniewagę imienia, które jego matka nosiła. Nie śmiał jój wyznać, że dlatego wyjeżdża z kraju, ponieważ jeden z mężów składających rząd najwyższy w stolicy, człowiek w dniach owych może najpopularniejszy w narodzie, którego przeto trudno było niepokoić wtedy o rzeczy czysto prywatne... dopuścił się takiej krzywdy względem dobrej sławy jój męża. Dlatego to wtedy wolał osłonić milczeniem, co go właściwie wypędziło z Warszawy. Dlatego też i w późniejszych listach tak się o tém mimowolnie nieraz wyrażał, że tylko za pomocą takiego téj zagadki wytłómaczenia można i wyjazd i dziwne o jój pobudkach napomknięcia i niechęć ku Lelewelowi w korespondencyi jego zrozumieć.*)

Jeżeli go zaś już ta publikacya Lelewela tak boleśnie wtedy dotknęła: témci bardziej uczuć musiał teraz tę nową krzywdę, jaką rodzinie jego wyrządził w Dziadach Mickiewicz. Nie przeto tylko, że tu mniemana wina jego ojczyma dosięgała rozmiarów prawdziwie monstrualnych. Lecz wszakże to było dzieło, które czytane być miało i odczytywane przez wszystkich! To był poemat — to był Mickiewicza poemat!... Pamiętniczek Lelewela, szorstkim stylem pisany, mógł ugrzęznąć w rękach samych tylko uczonych, samych historyków z zawodu; ani z rzeczy ani z formy nie mógł sobie obiecywać nieśmiertelności. Dziady były dziełem poety, na którego zwrócone były oczy każdego, kto tylko język polski rozumiał. Broszury Lelewela nie znała matka Juliusza i nigdy

*) Obacz miejsca odnoszące się do całej téj sprawy na stronie 24 i 25, 40 i 135 niniejszego dzieła.

się o jój exystencji nie dowiedziała, jak o tém wnosić można na pewne z milczenia o tém dziełku w listach do niej pisanych. Lecz możnaż było przypuszczać, żeby i Dziady rąk jój dojść nigdy nie miały? Leleweł wreszcie, w czasie kiedy drukował swoje książeczkę, był zupełnie obojętnym człowiekiem dla Słowackiego. Ani wiek, ani stósunki, ani zawód nie zbliżał ich obydwóch do siebie. Inaczej rzecz się miała z Mickiewiczem. Jeżeli już nie dla innych powodów, to przez sam wzgląd na obecność Juliusza na emigracji w Paryżu, przez wzgląd na to, że to brat jego młodszyszy po lutni, że z nim koleguje w przełożeniu nad Towarzystwem Literackim — już dla tych mówię przyczyn nie godziło się Mickiewiczowi obierać sobie właśnie jego ojczyzna za ofiarne go kozła, któryby dźwigał cały ogrom wzgardy poety dla wszystkich samolubów i zaprzańców, jacy tylko byli i kiedykolwiek być mogli...

To też łatwo sobie wystawić, co się po przeczytaniu téj książki dziać musiało w duszy naszego poety tyle zawsze drażliwego, a tak serdecznie przywiązanego do Matki... Oto, co jój pisał w rok dopiero po wyjeździe swoim z Paryża, kiedy ona wiedziała już skądinąd o wszystkiém:

„Więc wiecie o Adamie! Och! teraz dopiero powiem, ile mię kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy! Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała (Skibickiego) przyjaciela mego, aby mi pomocy swojej użyczył. Przyszedł Michał wieczorem, i różnemi radami odwiódł mnie od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dlaczego do Genewy wyjechałem — i teraz nie uwierzycie, ile męki cierpieć, ile kroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie usłyszeć. Nienawidzę go!... Wyjątek z mojej przedmowy*) on obciął i umieścił w piemku, ale tak obciął, że mu dał całkiem inne znaczenie — pozor jakiejś uszczypliwości. A przedmowa moja jest raczej mojem usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił. Onto bowiem o dziełach literackich w piemku pi-

*) Mówi o przedmowie do IIIgo tomu Poezyi, obejmującego Lambro. O utworze tym, który wyszedł w początku roku 1833, będziemy niżej mówili osobno.

sał. — Nie mi nie pozostaje, jak okryć Ciebie Matko moja, promieniami takiej sławy, aby Cię inne ludzi pociski dojść nie mogły. I muszę tego dokonać — Bóg mię sam natchnął — bo rozwinął w myśli mojej wielkie dzieło.*) Część pierwszą za kilka dni posyłam do druku i teraz przepisuję. Wierz mi Matko droga, że się nie zaślepiam, żem to dzieło osądził po napisaniu obcego człowieka rozważa... i drukuję bezimiennie. Będzie to równiejsza walka z Adamem“... (Z listu rokiem później pisanego z Genewy d. 30 listopada 1833).

— Kiedy już zapadło niecofnięte postanowienie przeniesienia się do Szwajcaryi, rozpoczęto przygotowania do bezzwłocznej podróży. Wśród najrozmaitszych zajęć, jak to bywa na wyjeździe, przyszła do głowy myśl Słowackiemu odwiedzić jeszcze sławną wówczas wróżkę paryską, pannę Lenormand. Było to w samą wilią Bożego - Narodzenia.

„Dwoma dniami przed wyjazdem Michał rano wchodzi do mnie i pośród rozmowy wspomina coś o sławnej pannie Lenormand. Musisz ją Mama znać z reputacyi, bo ona niegdyś Cesarzowi wróżyła. — Ułożyliśmy natychmiast projekt iść do panny Lenormand. Szczęściem wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała; dom zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: „Librairie de Mlle Lenormand.“ Wchodzimy do sieni, wita nas stara duguenna pytając, czy przyszlśmy na konsultacyą. Odpowiadamy, że tak, i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umeblowanego, w którym całe ściany okryte obrazami rozmaitych cudów przyrodzenia i wśród tych malowideł wisi ogromny portret samej wróżki, w aksamitnej czarnej sukni, ze złotą u dołu frenzlą i w zamyślonéj postaci odmalowany. Kilka osób przybyłych przed nami czekało na kabałę, słyhać było w drugim pokoju ciągle mruczenie czarownicy. Wpuściła nas nareszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę: Jest to baba stara, lat ma ze 60, otyła, niska, z garbem na plecach, ubrana w szarą sukni, na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier aksamitny ogromny czarny beret, jak męska czapka; rysy twarzy ma zupełnie polskie, trochę ciocię P. przypomina. Siadła na krześle z poręczami,

*) Stósuje się to do Kordyana, który był napisany w rok po wyjściu Dziadów, w Genewie.

przy biurku z wytartém suknem, na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitej wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. — Zapytana, odpowiadała, że ceny wróżby są rozmaite, od 6 aż do 60 franków. Prosiłszy o sześciu-frankową przyszłość. A więc przyznacie sami, że ludziom, co po 6 franków płać za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć. Zadała mi pierwszemu następujące pytanie: „w którym miesiącu rodziłem się?“ — „w Auguście;“ „którego dnia?“ — „23;“ „Jaka pierwsza litera imienia?“ — „J.;“ „pierwsza litera kraju?“ — „P.“ „Jaki kolor najwięcej lubię w ubiorze?“ — „czarny.“ „Jakie zwierzę najwięcej lubię?“ — „psa.“ „Jakiego zwierzęcia najbardziej niecierpię?“ — „pajaka.“ „Jaki kwiat najbardziej lubię?“ — „rózę.“ Na tém zakończyła, i wzięwszy talia kart zwyczajnych, ułożyła z nich długi szereg, dwie zawsze karty odrzucając. Potém wzięła ogromne karty, z dziwnymi wizerunkami, i kazała mi z nich wybrać jedenaście lewą ręką, inne zaś odrzuciła. Potém z trzeciej, równie ogromnej talii kazała mi wybrać 23 karty; z wybranych ułożyła ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć, jak excytarz jednym głosem i niezmiernie prędko. Wróżby zupełnie pospolite; między innemi powiedziała, że będę się dwa razy kochać; że rozpoczynam podróż, której mi rozpoczynać nie radzi aż do odebrania pewnych wiadomości; że dopiero w dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie moim wiadomości; że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował; że między 27mym a 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele dla mnie zajdzie wypadków. Oto są wszystkie prawie przepowiednie; ostatnia tylko dosyć interesująca. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż; a ponieważ jęć mówił, że kocha konia, wróżyła mu, że się na polu walki odznaczy. — Tumani baba i niczém zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacjentów.*) — Po tak przepędzonej godzinie wyszliśmy z Micha-

*) Ażeby zaspokoić czytelnika ciekawość i powiedzieć mu o wypadku tych przepowiedni, póki pamięta jeszcze o wróżbie; nadmieniam, że jednak w tym pojedynczym razie niekoniecznie „baba tumaniła!“ Niejedno się z jęć zapowiedzi spełniło rzeczywiście. I tak, co się tyczy dwukrotnego zakochania — okazało się niżej, że w tém było wiele prawdy, chociaż nie trzeba brać rzeczy w zbyt ścisłym sensie. Obietnica szczęścia i czasu obfitego w wypadki między 27 a 28 rokiem życia, ściągnęła się wprawdzie do skromniejszych nieco rozmiarów, bo tylko do podróży do Włoch i na Wschód, odbytych

łem do ogrodu Luxembourg. Gadaliśmy długo drwiąc z siebie nawzajem, a potém mimowolnie wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: „Wiesz, szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków, może by nam co więcej powiedziała.“ Odpowiedziałem śmiechem na te jego słowa, malowały one doskonale łatwowierność człowieka, zdradzały go aż do głębi serca. Ale ja także wyznać muszę i jemu to wyznałem, że także przez czas zamyślenia na tę samą myśl wpadłem.“ (List z dnia 30go grudnia 1832 z Genewy).

W wilią wyjazdu pożegnało grono bliższych znajomych Słowackiego obiadem na cześć jego wyprawionym przez któregoś z przyjaciół. A nazajutrz, dnia 26 grudnia, w samo więc drugie święto Bożego Narodzenia, o godzinie 7mej wieczorem wsiadł do dyliżansu.

„Przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mnie czekało, stali wokoło, gadając ze mną przez okna ka-

w r. 1836—37. Stémwszystkiem, chociaż nie były to czasy bardzo szczęśliwe, to były one jednak jeszcze stósunkowo najszczęśliwsze w całym życiu poety od chwili wyjazdu jego na emigracyę, a nawet i najobfitsze w wypadki, a przynajmniej w przygody. A co ze wszystkiego najdziwniejsza, to że trafiły właśnie na wiek jego oznaczony!

Byronowi, kiedy jeszcze był chłopcem, wróżyła także wieszczka jakaś, nazwiskiem Msr. Williams. Przepowiedziała mu, że rok wieku dwudziesty siódmy i trzydziesty siódmy będzie dla niego niebezpiecznym. „Jedno się rzeczywiście spełniło,“ pisał Byron w swoich pamiętnikach, stósując rzecz do swego ożenienia, które przypadło właśnie na rok jego 27my. „Nie zapomnę nigdy 2go stycznia 1815. Było mi, jak gdyby podpisywali mój wyrok śmierci. Lady Byron (młoda panna) była jedyną spokojną osobą w całym towarzystwie. Książd wymówił nazwisko moje fałszywie; matka narzeczonej wrzeszczała; ja drżałem jak osowy listek, dawałem odpowiedzi niedorzeczne i nazwałem żonę po ślubie Miss Millbank (nazwisko panińskie)“... Tak tę rzecz opisywał Byron w kilka lat po owym ślubie złowieszczym, który zatruł mu całe życie goryczą. Nie upłynęło wiele czasu i okazało się, że i druga przepowiednia owę wróżki miała się spełnić. Mając właśnie lat 36 i kilka miesięcy, poeta zakończył życie.

Więc wierzyć przepowiedniom? — Nie zawsze! Ale zdarzają się czasem rzeczy na ziemi i na niebie, o których się nie śniło naszym filozofom... Byron w nie wierzył, Walter Scott także, i Rousseau, i Göthe, i Napoleon — i wiele innych wielkich ludzi!

rety... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika (Zienkowicza), który się wywlekl z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu. Widzę go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojej, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę. Ruszył dyliżans, to ogromne zwierzę, nadziane różno-narodowym tłumem, i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potem przez pont Neuf, a potem przez ulice, na których nigdy nie byłem, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu. I tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy nie mogąc rozerwać niczém mojej uwagi, przebiegłem myślą mój pobyt w tém mieście — i nic nie znalazłem przyjemnego — żadnego wspomnienia, prócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezyi.“

A znajomość z panną Korą? — Nie ma o nią wzmianki w tém rozmyślaniu poety o najbliższej swojej przeszłości. Pożegnanie się ich obojga było, zdaje się, z jego strony obojętne; dla niej było bardzo bolesne.

„Powie ci Mamo, że mnie kilka osób w Paryżu żałowało, mówi Juliusz w inném miejscu tegosamego listu. Kora płakała i z drugiego pokoju było słychać łkanie; a kiedy wyszła do salonu, czerwone miała tak oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przedemną, że ma mocny katar mózgowy, nad czém bardzo ubolewałem.“

Ale wróćmy do przerwane go opisu podróży.

„Przejeżdżałem przez ładną Francją — ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dyliżansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą. Zacząłem ich naśladować i często po całej mili uchodziłem. Co dziwniejsza jeszcze, że w towarzystwie naszym znajdował się jeden sławny szybko-biegacz, który się w Paryżu popisywał i któremu dotrzymywałem kroku. — Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszem wędrowkami i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jedną górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą; murawa była cała szronem obsuta, futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedziłem z daleka dyliżans i stanąłem sam jeden, a widząc naokoło skały, waszemi imionami próbowałem ich echa... Jechałem przez Tonnerre-Dole; wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie piątej z rana, przyjechaliśmy do St. Laurent, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi

tęj góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie się budy zabrało, bo było już nas tylko czterech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem Szwajcarem w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzecie spakowano rzeczy i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz — śnieg dawno niewidziany — tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz jechać na południe sankami! — O 7miej zaczynało się rozjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tém ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi, jak srebrna koryta. Słońce oświecało ten zimny i zamazły obraz. — W oberży samotnej na górze Jura jedliśmy obiad, a po obiedzie pokrzepieni, zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dosyć wam powiedzieć, że prędkim klusem jechaliśmy z tej góry godzinę, i porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak że spojrzawszy na otaczający naokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wmówić w siebie, żeby o tej porze na szczycie góry słońce świeciło. Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Jechałem koło Ferney; widziałem z daleka zamek Woltera i kościółek, który Bogu postawił. — Ferney mniej na mnie zrobiło wrażenia, niż sama droga. Przez 12 godzin widząc śniegi wokoło, o was marzyłem, marzyłem o dawném dzieciństwie, o dniach przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wystawić nie potrafię. — O półtoręj mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o 5tej wieczór wjechaliśmy do miasta. Teraz patrzcie na początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w tej mieścinie przepędziłem.“

Początek listu był taki:

„Nie masz smutniejszej dla mnie chwili, jak ta, w której przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5tej wieczór przyjechałem do Genewy, wniósłem się do hotelu pod Wielkim Orłem i nie mogąc po nocy włożyć się po nieznanem mieście, kazałem sobie do pokoiku przynieść herbaty i przy ogniu kominka marzę i piszę list ten do kochanej Mamy.“ (Wszystko z listu datowanego z Genewy dnia 30 grudnia 1832).

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Rok 1833. — Pensjonat na przedmieściu genewskim i jego gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stósunki i znajomości. Wrażenie francuskiej recenzyi jego Poezyi. Teatr genewski. — Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teraz z Słowackim — rodzina Uwarow — Potopow — hrabina Seidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem.

Zaraz nazajutrz po przyjeździe do Genewy znalazł tam Słowacki kilku ze swoich dawnych znajomych, i ci mu dopomogli w wynalezieniu mieszkania. W ich towarzystwie i wśród stósunków genewskich wcale przyjemnych, po niewielu już dniach, owe przykre uczucia, jakich doznawał w pierwszej chwili za przybyciem do tego miasta, ustąpiły miejsca usposobieniu nie tylko znośnemu, ale nawet bez porównania swobodniejszemu, aniżeli w Paryżu.

„Genewa jest niezmiernie drogą — pisał dnia 5 stycznia 1833, w dalszym ciągu listu, z któregośmy dali ustępów kilka w poprzedzającym rozdziale — i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy mieszkają w tak nazwanych pensjonatach. Pochodziwszy trochę, znalazłem bardzo piękny pensyon w wiejskim domu o kilkadziesiąt kroków od miasta położonym (aux Paquis Nr. 10 pod Genewą). Kosztuje mnie na miesiąc 130 franków, bez opału. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinią. Gospodyni pensyonu nazywa się Mme. Patteg. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego

lub Kosielskiego, powiedzcie im, że zaraz na wstępie pytała mi się panna Patteg, czy ich znam; i odtąd ciągle mi o nich gada. Oni kiedyś mieszkali u tej samej pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę: ale wtenczas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

„Muszę Wam opisać pensyon Genewski. A naprzód dom, w którym się mieści, potem gospodarstwa moich portrety skreślę — potem opiszę mój pokój — a potem moich towarzyszy. Dom leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiej stronie Genewy. Bo Genewa mniejsza jest prawie od Kamieńca, tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest mała, kiedy pomimo największej drogocności mieszkań, liczy tylko 24,000 mieszkańców. Otoż dom, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie za miastem, wysoki na trzy piętra, szary z zielonemi okienicami. W ogrodzie najwięcej jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro Genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów z okien nie widać. — Pani Patteg — jestto stara kobieta, przyjemnej twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuję, że gdybym kiedy zachorował, w jej domu nie byłbym jak obcy. Córka jej, panna Eglantyna Patteg, wszystkiem w domu się trudni. Jest to panna mająca około lat 30 — ładną być dawniej musiała — teraz pokazują się w niej wady starej panny. Stémwszystkiem bardzo przyjemna w konwersacyi, i dobrze gada o swoich znajomych. Czułe wspomina Groch. i Kosiel., z uśmiechem mówi o Ilkiewicz, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakeśmy go widzieli, — bo wystawiła mi go panna Patteg jako nadzwyczaj wesołego i milego w towarzystwie. — Przybywszy na pensyon, zastałem w nim familią francuską — starego pana z żoną i synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali — jeden mi tylko więc został towarzysz — jestto Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonaryuszów powiększa się nieskończenie w lecie. Wtenczas mnóstwo przyjeżdża Anglików, często ładne przybywają Angielki — a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt — bawią się — wieczorami pływają po jeziorze i późno przy księżycu wracają do domu. — Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski — z obiciem w kraty zielono karmazynowe — biurko czeczotkowe — ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak siędę, to mnie nie widać — i krzesła i sto-

łek i piec okrągły — okna, jak zwyczajnie w Szwajcaryi, z małemi szybami — a przed oknami świerki — sosnę — dąb stary — wiele krzewów — murawę teraz nawet zieloną — i kłab z róż. Okna moje są obrócone na wschód, będę więc miał w lecie słońce — i w ładny poranek otworzę sobie okna i będę miał zapach róż — zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz Mamo, jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mnie w około otacza. Zdaże mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają, jakobym był za pieniądze, i to mi jest bardzo przyjemnie. —

„W pensjonacie tym wstają wszyscy o 9tej rano — o 10tej schodzą się do wielkiej sali na śniadanie, złożone z jajek miękko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie te dwa napitki przyprowadzają tu doskonale — ale kawa w mieście jest niegodziwa. Potem rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściej do miasta, do salonu lektury — odwiedzam moich znajomych — i znów o 4tej schodzimy się na obiad. Ile razy jem obiad smaczno zgotowany. — dziękuję Bogu, że się od paryskich trakterów wyzwolił — i czuję, że mi to daleko lepiej na zdrowiu. Po obiedzie często ktoś z dam genewskich do pani Patteg przychodzi z wizytą — i tak pozawczoraj wieczór przepełdziłem na rozmowie z panną Liną, jest to ładna z czarnymi oczyma Szwajcarka — a we czwartek mam pójść do jej rodziców na wieczór. O 9tej godzinie pijemy herbatę — i potem przy kominku ciągnie się rozmowa, po której każdy do swego pokoju odchodzi.“

W ciągu następnych tygodni i miesięcy przywykał Słowacki coraz więcej do miejsca swego nowego zamieszkania, i do ludzi, którzy go otaczali. Ujrzał się tu bez wielkiego zachodu pośród nader ożywionych stósunków towarzyskich, na brak których często w Paryżu narzekał. Oto, co swoim Krzemieńczanom o tém wszystkiem opowiadał (w liście z dnia 10 lutego 1833 r.):

„Co do mojego teraźniejszego położenia, bardzo miłe życie prowadzę. Mieszkam u ludzi, którzy kazali mi Mamie napisać, że mnie bardzo kochają i starają się to samo dla mnie uczynić, co chcą aby dla ich oddalonego syna czyniono. Stara dama, pani Patteg, ciągle mnie się pyta o moje chęci — gusta; wszystkiemu chce dogodzić — nad zdrowiem mojem czuwa — słowem, mogę Wam zaręczyć, że bardzo godna i uczciwa osoba. Jęj córka, panna Eglan-

tyna, bardzo mnie także lubi — stara się bawić — w kilku domach mnie zapoznała, a w domach tych przyjmują mnie ze znaczną atencją i rozróżniają od innych. Winien jestem pannie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na kasyno i bywam na niem często dosyć. Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki jak śnieg, mieszają się w kołach walca z zamyślonemi Angielkami, których tu jest najwięcej. Tańczą tylko kontredanse, walce i galopady. Zaproszony byłem także na kilka balów przez nieznaną osobę — dziwny to wcale zwyczaj! Byłem na jednym z nich i z trudnością wyszedłem przeczuć prawie gospodynią, której się trzeba było uklonić. Na takich balach tańczą mazura, i to mi największą sprawia przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi — z rana po śniadaniu wychodzę z panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj w lutym chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł — niebo błękitne — a na horyzoncie wysoko wznosi się Mont-blanc śnieżny — lekko jak chmura skreślony — czasem wiankiem białej chmury okryty. Wyrysuję Wam kiedyś i przysię widok domu, w którym mieszkam, wzięty z ogrodu. Chodząc tak z rana, często pannie Eglantynie opowiadam różne przypadki mojego życia i zbieramy fiołki, które się już pokazują. Kilka dni temu pani Patteg umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła — kilka było dam ładnych. Bawilem towarzystwo jak mogłem, nauczyłem mazura — z trudnością przypomniałem sobie z dziesiątek figur — i bardzo były panny kontente. Potem ustawiłem wszystkie do angleza, i znów im różne nasze figle pokazywałem. Wkręciłem wszystkie w długiego gąsiora i tak się rozhasałem, że im wszystkie tańce pokazał aż do kozaka. W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek, wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy i napępiały puste serce“...

„Miałem jeszcze jedną wielką przyjemność. Jednego wieczora przyszła do nas pani Morin. Jestto żona jednego z pierwszych doktorów — bywam u nich — ona sama Włoszka — trochę sawantka, ale w miarę — ma ładną córkę, która się nazywa Lina — i sama śpiewa przesłicznie metodą włoską. Otóż pani Morin przyszła do nas wieczorem i wśród konwersacyi powiedziała mi z uśmiechem: „Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuskich czytał długi i pochlebny artykuł o poezjach Juliusza Słowackiego. Czy Pan znasz tego poetę? Udałem, że mnie ten

artykuł mało obchodzi; ale nazajutrz z bijącym sercem pobiegłem do Société de lecture, gdzie znajdują się wszystkie dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezji w *Revue Européenne*.) Bardzo pochlebnie mówią: zaczynają od wyjścia na świat Bogarodzicy — dają tłumaczenie tego hymnu — potem mówią o Żmii z pochwałami — potem przytoczony jest w tłumaczeniu wyjątek wiersza do Skibickiego — rozbiór dość obszerny tragedji, z cytacyami — pochwała śmierci blazna i charakteru jego w Maryi Stuart. Nakoniec tłumaczenie całego Araba wcale niezłe. Jest wszędzie trochę ocukrowanej krytyki — ale jest i to, że mam lat 22 i że rzuciłem podstawy wielkiej literackiej sławy. — Widziałem potem w Société de lecture czytających artykuł o mnie — widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blisko niego stałem — a to mnie nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w gabinecie czytających samego poważnego pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbiorem moich poezji siedział. Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać — i wiedzieć, co ja za jeden?*

„Właśnie rok temu, jak drukowałem w Paryżu poezję. Pobyt w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu — zupełnie inne obrazy i bardzo odcieniami wydatne zostawił w mojej pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie, i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy; bo dom, w którym mieszkam, latem napęnia się mnóstwem wojażerów. Bardzo to będzie korzystnie dla mnie, że nie wychodząc z domu, będę się w różnych towarzystwach ocierał. Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mnie w salonie w dobrém świetle wystawia. Pomaga mi w tém rodzaj małej sławy, która rzuca jakiś urok na moje rozmowy, a przynajmniej ludzi dobrze o mnie uprzedza i często tłumaczy milczenie moje, które zgubiłoby w opinii innych. I sam nie czując się w potrzebie ciągłego gadania, gadam więcej, bo nie doświadczam żadnego przymusu“.

O samém mieście Genewie takich udzielał spostrzeżeń:

„Teatr tutejszy jest szkaradny, albowiem wiele jest metodystów w arystokracji, którzy teatr za zakazaną i zgu-

*) Zdaje się, że tento artykuł wyszedł potem i w osobnej broszurce, wydanej r. 1833 w Paryżu p. t. *Notice sur les poésies de Jules Stowacki*, podpisaną przez p. Lemaître.

bną uważają zabawę. Obyczaje genewskie zadziwiają. Nigdzie nie ma mniej intryg — ale wiele jest plotek, jak zwyczajnie w małym mieście. Zwyczaj tu jest, że panny same chodzą po ulicach; zwyczaj także, że przed pobraniem się młodzi ludzie kochają się po lat 10. Słowem, wiek tu złośliwy trwa dotąd, i z tego względu miasto dziwne ma postać moralną. Arystokracja tutejsza złożona z kupców i zegarmistrzów — nudna bardzo i płaska. Oto macie w kilku słowach rys Genewy.“ (List z dnia 10 lutego 1833, z Genewy).

Lubo oddalony znaczną przestrzenią od miejsca dawniejszego swego pobytu, wiedział Juliusz jednak, co się dzieje w Paryżu, odbierając mnóstwo listów od znajomych tamtejszych; i porównując stan rzeczy tam, a około siebie, powtarzał bardzo często: „lepiej mi jest w Genewie, niż w Paryżu“....

W listach paryskich donoszono mu nieraz o osobach, które go szczególnie interesowały, o Zienkowiczu, o panie Korze, o Mickiewiczu i t. d. Wiadomości o Zienkowiczu były coraz smutniejsze, wreszcie przysłano mu doniesienie o jego zgonie.

„Pisałem wam o moim wyjeździe — o moim chorym przyjacielu.... Okropną odebrałem wiadomość — w kilka dni po moim wyjeździe mocno zasłabł — był bez nadziei — siedział nieruchomy na łóżku i ciągle powtarzał: „nie ma Julka“ — a wymawiając te słowa płakał. Kilku znajomych ciągle go pilnowało — kilkoma dniami przed śmiercią odebrał mój list — a list był wesół, szalony prawie, bo nie wiedziałem, że się tak źle miał. Czytano mu ten list — płakał. Dnia 18 w nocy o 10 godzinie wszyscy go opuścili i został tylko służący. W pół godziny potem chory otworzył oczy — westchnął trzy razy i skonał. Pochowano go na cmentarzu *père la Chaise*, gdzie tyle razy całe ranki przepędzałem.... Matko moja, pomódl się za tego, który kochał do śmierci twojego syna i któremu twój syn nie w zamian nie dał, tylko łzę po śmierci“. (z Genewy dnia 10 lutego 1833).

O panie Korze pisano mu z Paryża, że go zawsze wspomina, — rumieniąc się, kiedy go kto inny wspomina. — „Druk mego *Lambra* — mówił z tego powodu Juliusz do matki w tym samym liście — przypomni jej, jak niegdyś drukując poezję chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny.

Będzie jej trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie jej przed oczyma“....

To jest ostatnia wzmianka o pannie Pinnard w korespondencji Juliusza.

Nie długo potem, w początkach marca (1833), zaczął się rzeczywiście druk tomu III Poezyi. Korektę mu arkuszami z Paryża przysyłano. W maju było już dzieło gotowe i w rękach publiczności. Są zamieszczone w tym tomie: poemat w dwóch pieśniach p. t. Lambro, i następujące krótsze utwory: Hymn do Bogarodzicy — Kulik — Pieśń legionu litewskiego (te trzy rzeczy ogłoszone już były podczas listopadowego powstania w Warszawie) — Duma o Wacławie Rzewuskim — Paryż — i Godzina Myśli.

Dla tego jednego poematu — pisał autor o Godzinie Myśli“ do matki — chciałbym, abyście tom III czytali kiedyś. Jestto poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo. Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki! Śmieję się ze mnie, ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzeć nie może“... (z listu z dnia 15 marca 1833).

Na czele tego tomu Poezyi położył autor Przedmowę, w której się skarży na obojętność, z jaką przyjęto dawniejsze jego publikacje. Między innemi rzeczami są w niej i następujące ustępy:

„Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszej, kiedy umieszczona w Dzienniku Warszawskim oda, duma lub ballada, nadawała imię poecie. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest, znajome nadający imię; nadto pisma czasowe dziennie zamglonymi niemczyzną okresami rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiej — szczęśliwy, kto ją zrozumiał, szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianej wierzył. Dziś dziennikarze owi, twórcy literackich królów, milczą...“

.... „Szczanuję szkołę religijną, ową wieczerzę pańską polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu: — sądzę bowiem, że wypływa z przekonania; że nie jest sztucznie natchnięta słowami Fry-

deryka Schlegla, który w katolickiej religii źródło jedyne poezyi upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku itd.“

Z powodu onęj przedmowy pisał później — po wyjściu już dzieła — do matki, jak następuje:

.... „Od dni 20 wyszedł na świat tom IIIci moich poezyi... Przedmowa krótka i gryząca trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednym z małych piśemek, ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo — ale nie wiem, jak u Was sądzić będą ludzie. O ten tom bardziej jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze. Napiszcie mi, jeżeli o nim co usłyszycie. Jeżeli tak dalej płodną będzie moja imaginacya, jeżeli co roku zaczęłyby tomy nowe drukować, to wkrótce w waszej małej szafce będziecie mi musieli poświęcić całą jedną полицę — a po mojej śmierci ten, co mię poznać zechce, będzie musiał miesiąc cały ze mną obcować. Takie są teraz sny moje“... (z listu pisanego w czerwcu 1833).

Cały zajęty planami coraz nowych utworów, czuł na wygnaniu swoim dotkliwie brak sposobności zasilania się ożywcem źródłem literatury ojczystej, zwłaszcza dawniejszej. Dzieła Kochanowskich, o które w Paryżu jeszcze prosił, nie nadchodziły. Nie ma prawie listu, w którymby o nich nalegliwie nie przypominał. Oprócz tych dwóch Zygmuntowczyków, żądał jeszcze i Obrazu wieku panowania Zygmunta III przez Siarczyńskiego.

„To dzieło wielkim byłoby dla mnie skarbem! Ta mała biblioteka polska wiecznie mi będzie towarzyszyć, i będę bogatszym od wszystkich moich kolegów. Co Ci tylko Mammo wpadnie w ręce ze starych kronik, które się czasem po rękach Żydów walają, to mi przyslij.“ (list z d. 15 marca 1833).

Wśród tych rozmyślań o swojej przyszłej sławie i o drogach, któreby go do niej zawiodły, wśród pracy nad pierwszemi scenami nowego dzieła (Kordyana?), której zwykle ranki poświęcał, nie stronił w owych czasach Juliusz i od zabaw towarzyskich. A było do nich wiele sposobności w domu pani Patteg. Dawano amatorskie przedstawienia komedii — tańczono na wieczorkach wiele.

„Czy wierzycie — pisał w tymże liście do krewnych — że ja tu pierwszy animuję towarzystwo? Kiedy tańczę, młodzież ściga mnie oczyma i zgodnie mi pierwszego miejsca ustępuje. Na ostatnim wieczorze zdziwiłem ją walcem tańczonym tak, jak u nas tańczy wojsko, to jest uderzając ostrogami. Ja zaczynam mazura, ja prowadzę kotyliona i pokazuję nowe figury, jakoto: z szalem, z czterema królami kartowymi i t. p. Często gram do tańca na fortepianie — i potem panna Patteg opowiada mi, co o mnie damy gadają — i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czém Wy z trudnością wierzyć możecie. Widzieliście mnie bowiem dzieckiem nudném, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym. Nie odraża ich to jednak odemnie, bo moje położenie oddalone od Was i od kraju usprawiedliwia tygodniowe spliny.“

Kiedy nie było tańców, siadano do zielonego stolika i bawiono się grą w karty.

„Wiecie jak najczęściej przepędzam wieczory? Oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do pani Lebrun podobna, z żywszą trochę imaginacją. Otóż ta dama — pani Patteg — ja — i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona. Gram doskonale w bostona — i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo. Bo pamiętam, jak niegdyś jako dziecko leżąc na sofie w Mianowskiego jeszcze mieszkaniu, widziałem mego ojca, Rustema, Bogatkę przy zielonym stoliku, i mówiono mi, że grają w bostona — że do Słowackiego przyszli na bostona.*) Gra ta nie jest tak nudną, jak mi ją wystawiano — owszem, daleko łatwiejsza od wista i ma tysiąc rozmaitości.“

Przy takiem zachowywaniu się, przy takiej łatwości w potoczném towarzyskiem pożyciu — nie dziw, że Słowackiego w cichym domku owym na przedmieściu Genewy wszyscy lubili. A szczególnie zdaje się, że go lubiła coraz więcej panna Eglantyna Patteg.

„Dobrze z nią żyjemy (pisał w liście z dnia 15 marca) — zwierza mi się ze wszystkiego i mówi, że żadnej ze swych przyjaciółek tegoby, co mnie, nie wypowiadała.“

W miesiąc później uskarżał się gorzko poeta, że mu matka pozwoliła tak długo czekać na swój odpis.

*) Mianowski i Rustem byli koledzy starego Słowackiego, profesorowie wileńscy.

„Dwa miesiące, a raczej cały miesiąc drugi tortury moralne wycierpiałem. Co dnia czekałem posłańca z pocztą od godziny 11 do 2, a od drugiej godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mnie porywała. Dopiero kładąc się spać, myślałem znowu o godzinach nadchodzącej pocztą, i tak było przez cały miesiąc... Kochana Eglantyna cieszyła mię, jak mogła. Często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając pocztmistrza... Często widząc go mijającego dom, biegła za nim lękając się, aby nie zapomniął był wstąpić. Nie uwierzysz Mamo, jakito jest mój stróż anioł ta Eglantyna. Ale teraz nie ma jój tutaj, wyjechała do starej i chorj ciotki w Lionie i dopiero za dni czternaście wróci.“ (d. 24 kwietnia 1833).

Przez te dni czternaście starała się sama pani Patteg, matka Eglantyny, rozweselać rozmową smutnego swego lokatora. Ale jój wysilenia, ażeby go rozerwać, nudziły Juliusza. Natomiast była inna osoba, która lepiej знаła tajemnicę, jak mu skrócić chwile przemijające zanadto zwolna. Było jój imię Eliza. Oto, co o nią pisał (d. 26 kwietnia):

„Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się tobie Mamo, dla widzenia jednej miłej osobki, która mi wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla przyjemności — gdybym sobie mógł każdej chwili powiedzieć: jeżeli zechcę, to Mamę za dwa miesiące zobaczę, wtenczas obecne życie wydawałoby mi się bardzo przyjemne. Panny nie opuszczają mię. Dawniej Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach po ogrodzie — dziś, gdy jój nie ma, stokroć ładniejsza od niej panienka odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczegoż nas odwiedza?... zapewne nie dla widzenia starej pani Patteg... A zresztą, sądz sobie Mamo, jak chcesz, — ale prawdziwie zdaje mi się, że glina, z której mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien... Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienka, jestto osobka mała, bardzo podobna do Kazimiry Niepokojczyckiej — ma czarne oczy pełne iskier, wiele dowcipu i miłości w mówieniu, wiele prostoty i ma lat około 24, (więc właśnie tyle, co i nasz poeta liczył ich sobie natenczas. Eglantyna miała niestety lat wtedy już około 30). Dawniej bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach, wtenczas podobała mi się bardzo — i ubierałem ją zawsze, gdy wychodziła; a dlatego ją ubierałem, że podobał mi się jój

kapelusz... Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych z czarnej lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się *calèche*, koczki... i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz panny Elizy, choć do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką i spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżej róży rozkwitłej na oknie gotyckim; więc dlatego ubierałem ją, gdy z wieczorów odjeżdżała. Matka jej jest wdową i ma córkę przy sobie i syna ładnego w Paryżu. Życie jej matki teraz jest bardzo piękne. Gdy widzi gdzie dom jaki osierocony śmiercią... dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściej z córką przepędza wieczory — u starych — u chorych. Eliza musiała się nauczyć bostona — aby grywać w takich domach ze starcami i z nieszczęśliwymi; dlatego twarz jej nosi wyraz dobroci i spokojności. Często chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margerytki. Raz gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jej dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niej: więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów, wróciwszy do domu, ułożyłem je naśladując Twój gust Mamo w układaniu bukietów, a potem w ogrodzie zerwałem dwie margerytki małe — i w środek ogromnego bukietu włożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie — ale od pani Patteg. Nie zawiodłem się, przypomnienie się było skutecznym — przyszła z Mamą wieczorem — i mówiła mi, że złą była na margerytki naszego ogrodu, które jej nieprzychylny dały wyrok. Widzisz Mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. Ja zawsze mnóstwo mam po niej słów cichych, łagodnych, smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mnie kocha; bo mówiła mi, że była smutną przez 4 dni, a ja nie pytałem, dlaczego. Gdy chciałem wiedzieć, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10 i czytałam. Jaką książkę? zapytałem. — Nowy Testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę... i mówiła dalej: dziś rano obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesoło przychodziły myśli, i przeczułam, że dzień ten będzie szczęśliwy. W tym dniu odebrała bukiet — i chodziliśmy po ogrodzie. Dobra dziewczynka! Nie wiem, czy Ciebie takie detale interesują; ale te detale są całą rozmaitością mego życia; bardziej mnie zajmują, niż mój tom IIIci, który za 8 dni wyjdzie z druku."

Byłoby słowo, którego zaledwo się spodziewać było można z ust Słowackiego, tyle zawsze zajętego swojemi pracami poetyckimi. To też matka to przeczytawszy, pewnie co więcej tam sobie pomyślała o Elizie, jak tylko: „dobra dziewczynka!”

A trzeba właśnie było, że mu w dniach owych pisała, czyby nie było dobrze, gdyby sobie którą z tych panien, z którymi miał tyle sposobności przestawać, upatrzył na towarzyszkę życia i złagodził choć takim związkiem cierpkość samotności tulacza? Tak praktyczne widoki nie przypadały jednak do myśli poetyzującego młodzieńca.

„Ty mi Matko piszesz o ożenieniu?” — odrzekł jej na to w tym samym liście, gdzie właśnie tyle o Elizie donosił. „Nie chciałbym niszczyć twoich marzeń — a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę. Dosyć, że nim jestem dla Ciebie...”

„Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności. Po takich mowach ludzi często myślę z goryczą, że jest tytuł, którzy z małym talentem utrzymują całe rodziny — zasłaniają je od niedostatku; a ja jestem jak niepotrzebne ziele! Jestem nawet ciężarem dla ciebie Mamo moja!... Przebac mi, że taką drogę obrałem, ale wrócić nie mogę...”

„Wierzę w przyszłe życie, bo to niepodobna, żeby Bóg Ciebie nie nagrodził za to, że Ci dał takiego syna! Jedna stara dama, przeczytawszy artykuł o mnie w *Revue Européenne*, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach nareszcie napisała: *heureuse votre mère!* Ona także jest matką. Więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy nieco słowa mego sumienia, które mi powiada, że Ty jesteś nieszczęśliwą przezemnie.”

Wracając do projektów, jakie sobie matka układała, do projektów ożenienia Juliusza, te już dlatego były więcej niż trudne do doprowadzenia do skutku, ponieważ uczucia jego, choćby obudzone w sposób wiele obiecujący, zbyt rychło zawsze urywały się jakoś.

O Elizie na przykład nie ma już ani jednej wzmianki w dalszej korespondencji!

Byłoby rzeczywiście prawdą to, co pisał był niedawno przedtem o sobie:

„O kochani moi! smutno mi, smutno czasem — i często — bo się już przerabiam na obywatela świata! Już się ani do miejsc, ani do osób, z którymi żyję, nie przywiązuję tak silnie, jak w dzieciństwie — i to jest jedną z wad jakiej nabywa serce tułacza“... (d. 30 grudnia 1832).

...„Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci — kto jak liść uwiedły padnie u stóp drzewa, na którym wyrósł!“ (z listu z d. 22 września 1833 r.)

Byłóż, powtarzam, w samą rzecz to tułaczę jego życie przyczyną, że się serdecznie nie był zdolny do nikogo przywiązać? Czy też może przeszkadzał temu ów obraz w pamięci jego niezatarte wyryty... obraz, który mimo wszelkiej dumy i na przekór najsilniejszym postanowieniom, ażeby zapomnieć o nim, ciągle mu się odnawiał przed oczyma?

„Kochana Mamo (pisał w czerwcu 1833), czy Ludwisia S. wyjeżdża do Odesy? Spytaj ją, czy o przyrzeczeniu swoim pamięta.“) Spodziewam się, że mój tom IIIci pogodzi ją trochę ze mną.“ —

Pośród zajęć, rozrywek i melancholijnych rozpamiętywań, któreśmy opisali powyżej, minęła tedy pocie naszemu pierwsza zima w Szwajcaryi i nadeszły upragnione miesiące wiosny. Zakwitły wonne bzy w ogrodzie Eglantyny — w parę tygodni później horyzont domku jej matki zamknięty drzewami okrył się tysiącem róż — nadeszło lato. Z początkiem każdego lata pensjonat pani Patteg zwykł był napępniać się mnóstwem różnych podróży. Przygotowany na to Słowacki, cieszył się już naprzód ową różnorodnością, jaką to w dom wprowadzi. Posłuchajmyż opowiadań jego, rozrzuconych po całej korespondencji owego roku, o współmieszkańcach, których miał w ciągu lata 1833.

„W domie, w którym mieszkam, mijają się różne cienie, jak w czarnoksiężskiej latarni. Najprzód z jaskółkami przyleciał pewien Anglo-Szkot — niezmiernie cichy i nabożny — młody i dziecinny... Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowej łące. Jak mi to boleśnie przypominało moje dzieciństwo — Mickuny, Wilejkę — lasy sosnowe i jeszcze coś —. To dziwnie, że

*) Prosił ją z Paryża jeszcze Juliusz o przysłanie sobie portretu, który mu też ona nadesłać obiecała, lecz później.

już teraz nie mogę łowić motylów! Anglik ten po 2 tygodniach pobytu z nami wyjechał do Lozanny“...

„Dom po odejździe Anglika został pustym przez czas niejaki — wtém jednego poranku zwała się, jak lawina, ogromna familia rosyjska, pani Uwaroff, córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia, — teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmiernie grzeczni dla siebie. Pani Uwaroff sama już jest w dosyć podeszłym wieku, żywa i krzycząca — córka najstarsza dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włochy mało się odbiły na jej imaginacyi — została nieociosaną statua. Ma sztambuchy, w których włoscy artyści stosując się do jej gustu, wszystko jaskrawymi kolorami malowali. Śpiewa, robiąc zawsze 3 omyłki w ary każdej — nigdy mniej, ani więcej. W notach ma mnóstwo polskich terazniejszych śpiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójda za powrotem. — Młodsza jej siostra żywa i piękna, jeszcze dziecko. — Synek mały w czerwonej huzarze haftowanej złotem bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciół syna karzeł lat ma 40, łokieć i ćwierć wysokości, twarz pomarszczoną, ale głowę nie nazbyt wielką; uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniej gniewliwym. — Przy dzieciach guwerner — ze wszystkiego do Szantyra mierzącego pola w Jaszunach podobny. Przy pannach guwernatka, dwie panny służebne i służący. — Oto jest cała familia wojażerów — zdaje mi się, że dostatecznie odmalowana. Całe 3 piętra domu rozlegają się od ich krzyku; mówią różnymi językami i nieraz mi się zdaje, że jestem w Babilońskiej wieży. — Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karła. Doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną; przy herbacie — wyciągnął z kieszeni małą chusteczkę do nosa i ocierał łzy, które mu mimowolnie płynęły. Okropnie było myśleć, że on wracając do kraju, nie znajdzie osoby, któraby go może jedna tylko nie z urąganiem przyjęła. Została mu wprawdzie siostra, która w Petersburgu lekcyne na fortepianie daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swego pokoju, gdzie śpi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za ręce. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia wstając z rana — i odchodząc wieczór, zawsze zbliża się do mnie i biorąc rękę moją w dwie swoje małe rączki, ścisną z całej siły“ — (list z czerwca 1833 r.).

Familia ta rosyjska czas tylko krótki zabawiła w Genewie. Po ich odjeździe tyle jeszcze Słowacki donosił o nich matce:

... „Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowej. Zdażę mi się nawet, że te osoby mnie dosyć polubiły; bo po odjeździe w listach, pisanych do pani Patteg, dały mi długie dowody pamięci. A panna Alexandra (starsza córka) odjeżdżając, zostawiła mi rysunek przez siebie zrobiony domu wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron.“

Kiedy jeszcze mieszkali ci Rosyanie w owym domku genewskim, urządzali różne wycieczki w okolice. W wyprawach tych towarzyszył im czasem i Słowacki.

„Jeden z tych spacerów najprzyjemniejszy był na górze otaczającej jedną stronę Genewy — góry, z których mniejsza równa waszej zamkowej górze.... Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapkę i tak przyjechaliśmy aż do stóp Salève. Tam wszyscy wsiedliśmy na osły, — moje zwierzątko największe i najmocniejsze prowadziło cały orszak, orszak wesoly, śmiejący się, błyszczący różnymi kolorami sukien damskich. Na górze czekało nas wiejskie śniadanie — na długim stole z desek — pod gruszkami i jabłoniemi. Potem oczy nasze rzuciliśmy na ogromną dolinę, po której płynie kręty Rodan — jezioro — w końcu jeziora najeżona dachami Genewa i kilkanaście innych miasteczek — łąki — drzewa — słowem widok ogromny — rozległy — prawdziwie prześliczny! Po górach snuło się mnóstwo dzieci, ubranych fantastycznie w pióra, z chorągiewkami i muzyką. Były to dzieci Szwajcarów, bawiące się w Niedzielę, jak przystoi na potomków Tella. Uformowani w dwa oddziały, snuli się po wawozach, strzelali z pistoletów — podobni niegdyś do Julka Achillesa w zbroi.... Kilka razy pływaliśmy w czolnach na jeziorze. Majtek, który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona, i dlatego często z nim wchodziłem w rozmowę. Stary wioślarz dotąd o niczem nie gada, tylko o angielskim poecie — zdaje mu się, że jakaś część sławy przy nim została, przy długim obcowaniu z lordem.... Między innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o lujdora, kto z nich prędzej na drugi brzeg jeziora dopłynie. Nie dziw, że mię Lord wyprzedził, powiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czołno i służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do gardła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało. Po-

wiada dalej, że przegrawszy zakład, oddał Byronowi lujdora, który się długo wzbraniał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawą nogę, nie większą od jego dłoni. Bardzo czasem wielką przyjemność znajduję w rozmowach majtka, — i patrzę na wielkich ludzi z tej samej strony, z jakiej się na nich lud zapatruje.

„Patrząc co dnia na szczyt góry Mont-Blanc, przychodzi mi często na myśl Malczeski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że nawet głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont-Blanc, znalazłem na ostatniej karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia imię Malczeskiego, ale skaleczone tak, że gdybym skądinąd o jego wędrówce na tę górę nie wiedział, tobym się był o tożsamości osoby nie domyślił. Nie wiem, dlaczego — ale myśl o Malczeskim została głęboko w moich dumaniach utkwiona; zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, — ale burza jeszcze mię nie złamała. Wiesz Matko, że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzeć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa — że przyjdzie na mnie nędza — że mię duma moja zabije: to prawdziwie, że mię okropność takiego losu przeraża.“ (z listu z dnia 15 lipca 1833).

W chwili kiedy to pisał, już familii Uwarow w domu pani Patteg nie było. Zmieniły się dekoracye w następujących miesiącach, a raczej wystąpiły na scenę inne osoby, grające jak się wyraża poeta, razem z nim tragi-komedya życia.

Najprzód przybyła po nich znowuż rodzina Rosyan i na długo w miejscu osiadła.

Była to, jak u nas nazywają, pocziwa szlachta.

„Wdowa Potopof, ładna jeszcze kobieta, choć ma w Rosyi córkę dorosłą — bardzo dobrego serca, łagodna jak anioł i prosto-duszna. Kuzynka jój, panna Aneta, zupełnie ze wzrostu i twarzy do Maryi Kukulnikówny podobna — także bardzo dobra i prosta. Kuzyn obu tych dam, pan Szaszin — brzydki z twarzy — ale szczery i otwarty — nie mówi po francusku, tylko po rosyjsku. Z temi osobami jestem, jak można najlepiej. Kuzynowi gadam, co mi przez głowę przejdzie — z panią Potopof także często po rosyjsku rozprawiam. — Obok mego pokoju ma mieszkanie

la Comtesse Seidwitz, lat 65 — z wszelką grzecznością dla dam to piszę, — trochę uróżowana — co dnia w innej sukni — wygorsowana — krzyż dworu wiedeńskiego zawieszony na ogromnej kokardzie nosi przy boku, — za nią zawsze lokaj Niemiec z dwoma poduszkami, które kładzie gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Stémwszystkiem jestto bardzo dobra osoba — wesoła — przyuczona u dworu do grzeczności — każdemu ma coś powiedzieć; bardzo lubi kalambury — wozi ze sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy, — a oprócz służącego ma służącą Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wielkimi pokusami — a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda — i cały dzień śpiewa nieuczonym lecz łagodnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda! Ta pani la Comtesse siedzi przy mnie u stołu, ciągle mam z nią konwersacyą, ciągle wyciąga szklanke, do której wina nalewam, a baba cukru nasypuje, a ja znów trochę wody dolewam — i jestem podobnym do Ganimeda. — Z drugiej strony mego pokoju mieszka Anglik — oryginał — łysy, z ogromnym nosem, trochę głuchy, ograniczony i całą sławę swoją ufundował na dobrém graniu w wista, i choć tu po 5 sous punkt gramy, on jakby o wielkie sumy chodziło, łaje, jeżeli który z grających słowo przemówi. Wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku ubrany. — Oto są osoby, które ze mną zajmują pierwsze piętro domu. Dół jest zajęty salonami i pokojem jadalnym; na drugim piętrze mieszkają gospodynie — dwie Angielki, matka z córką. Córka trochę do Julki Michalskiej podobna — naiwna, żywa jak dziecko; matka ładna jeszcze, tak że za siostrę córki mogłaby uchodzić. Przyjechały ładną kareta, z dwoma służącymi, widać że bogate — nazywają się Donnelan — jadą na zimę do Włoch. Nakoniec mieszka z nami Anglik Hamilton, ładny chłopiec, wysoki, zawsze pięknie ubrany, mało mówiący z powagą i przymusem — oto jest nasze towarzystwo. (z listu z dnia 23 sierpnia 1833).

Nie było to jednak jeszcze całe towarzystwo Juliusza. Przybyła bowiem później nieco jeszcze jedna para do domu pani Patteg — jakiś pan Wolf z żoną, duchowny anglikański, wysłany z Anglii, ażeby ludzi na metodystów nawracał. Ten dowiedziawszy się, że Słowacki jest autorem, przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbywał, a do niego się przyczepiał; posta-

nowił sobie bowiem wykierować koniecznie i jego także na metodystę protestanckiego.

„O gdybyście widzieli — pisał o nim w liście z d. 22 września 1833 — jego tłustą, okrągłą postać — przy chudej żonie — jego uśmiech jezuicki.... Gdybyście widzieli, jak przy stole z jezuicką miną spożywa pokarmy: śmiali byście się, jak ci się śmieją, którzy z boku na nas patrzą.“

Z tém później głównie z Anglików złożoném towarzystwem odbywał Juliusz także niekiedy wspólne wycieczki w dalsze okolice Genewy. Jeden z nich szczegółowo opisał.

„Przeplłynęliśmy jezioro i na drugiej stronie widzieliśmy dom, w którym mieszkał niegdyś Byron bawiąc w Genewie. Dom ten teraz zamieszkały przez kogo innego, oddalony o 3 wiorsty od miasta — dom mały, murowany i wcale pospolity. Nie wchodziliśmy do środka — dziedziniec nadzwyczaj smutny, otoczony stajniami — z drugiej strony ogród na schodzącej do jeziora płaszczyźnie. Wioska, w której mieszkał, nazywa się Cologny.“ Wracaliśmy po jeziorze przy świetle księżyca. Nie możecie sobie wystawić, co za przepyszne jezioro przy księżycu... z jednej i z drugiej strony błękitniejące brzegi mgliste — a w końcu jeziora migające światła i rzędy oświeconych okien — to Genewa! Z czwartej strony brzegów nie widać przy świetle księżyca. — Taki spacer byłby zachwycającym z miłemi osobami. Ale wy sobie nie możecie wystawić, co to są Anglicy i Angielki! Jest trzech Anglików w naszym domu — żaden z nich nawet jednej myśli swojej w głowie nie ma. Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem — wcale nie sentymentalne — i nigdy jeszcze z Anglikami nie było w naszym domu interesującej rozmowy“....

Tak mówił o tém w liście z dnia 22 września. A w miesiąc później, kiedy już wszystko w różne strony porozjeżdżało się z owego ustronnego zacisza na przedmieściu Genewy, znalazło się w jego doniesieniach jednak wspomnienie zupełnie innym to-

*) Pobyt Byrona w tych miejscach nie był długi. Mieszkał on tu tylko w ciągu lata 1816, porzuciwszy Anglię i co tylko rozwiódłszy się z żoną. Następnie, w końcu roku tego, przeniósł się do Włoch. W tymto domku powstał więc Sen — Wzięcie Chilonu — IIIcia pieśń Childe Harolda i pierwsze pomysły Manfreda.

nem wypowiedziane o jednej z osób należących do narodu, który tak niekorzystnie wtedy osądzał.

„Pusty dom nasz — a dla mnie pustynią się zdaje od czasu wyjazdu młodej Angielki, która tu mieszkała, przez drzwi tylko oddalona odemnie, i z którą po całych dniach szaleliśmy. Prawdziwie, że dziwnie, jak wiele dotąd we mnie dziecinnego, a czasem jak wiele splinu.“ (dnia 27 października 1833).

W ciągu jeszcze pełnego lata, w miesiącu sierpniu, kiedy całe towarzystwo owo ożywiało jeszcze dom pani Patteg, miał Słowacki przyjemną scenę, którą opowiadał matce ze wszystkimi szczegółami. Wizytator szkólek miejscowych uprosił gospodynią domu, ażeby mu pozwoliła ogrodu swego na wyprawienie dzieciom festynu.

„Porobiono więc w ogrodzie wielkie przygotowania; jakoto zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszono były cacka dla dzieci — pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki — pozastawiano stoły: i do tak urządzonego ogrodu o godzinie pierwszej weszły dzieci ordynkiem z bębнами wojskowymi na czele i niosąc mnóstwo chorągiewek. Nie uwierzysz Mamo, jaki to ładny widok 400 dzieci ładnie ubranych, ubogich, bogatych — z jaką wesołością wchodzili do ogrodu, jak mrówki rozsypali się po trawie, potem znów około chorągiewek zasiedli. Pani Potopoff, która zоставiła w Rosyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając czy którego podobnego nie znajdzie — i lzy miała w oczach. Ja także — nie wiem dlaczego, oczy miałem lez pełne i coś mię dusiło w gardle. Prawdziwie że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecinnego oddzieliła... Podczas gier — cała nasza kompania domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypominałem sobie Czackiego — przypominałem sobie własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając okłaski na examinach — i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12 letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas; wzięłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojej ojczyzny — zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy i dałem mu ładny medal mój, prosząc ażeby sobie kiedyś będąc starszym, przypomniał tę

chwilę. Wiecie, że podczas tej sceny wielu przytomnych lzy miało w oczach. Mały chłopczyk ścisnął mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Eglantyna mi potem mówiła, że chciałaby mię w tej chwili uściskać. — Droga Mamo, są czasem chwile, w których myślę, że Tybyś była ze mnie kontenta.... (z listu z d. 23 sierpnia 1833).

Podobnie rzewnych, ale i miłych zarazem uczuć doznał Słowacki w tymże samym miesiącu przy innej jeszcze sposobności. Były to jego urodziny — dzień sierpnia 23ci: w dniu owym rozpoczynał 25 rok życia. W wilią dnia tego doręczono mu list z Krzemieńca, „który choć smutny, był mu najmilszym wiązaniem.“ Nazajutrz po odebraniu listu, w sam dzień urodzin, obudził się o godzinie 7mej i spostrzegł rękę, która naprzód odchyliwszy firanki, rzuciła na jego łóżko bukiet kwiatów. Zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny, pomyślał sobie.

„Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużej, choć zazwyczaj do 10, to jest do śniadania łóżko zalegam; ale pomyślałem sobie, że miliej mi będzie, pierwsze dwie godziny tego dnia Tobie Mamo poświęcić — i oto piszę do Ciebie.“

Kiedy tak pisał, bukiet dany mu na wiązanie stał przed nim — w głębi jednej róży w bukiecie spał sobie spokojnie zielony żuk. „Zdaje mi się — są słowa Juliusza — że on ma teraz los podobny do mnie — który spoczywam cicho w głębi pięknego szwajcarskiego ogrodu“... Potem zszedł na śniadanie i zastał pannę Eglantynę samą, która go zniewoliła, aby przyjął od niej złotą obrączkę.

„Obrączka ta otwiera się — i we środku napis: 23 Aout 1833. — To dziwnie, że tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem — a tego miesiąca zapytywany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę, z pierścieniem niegdyś od babuni darowanym, na jednym palcu noszę.“

W dalszym opisie donosi o powinszowaniach ze strony niektórych Polaków w Genewie bawiących, o obiedzie, na którym pito jego i matki jego zdrowie, i o wieczorku, na którym tańczono do 11 w nocy. —

Zwróćmy teraz uwagę naszą na autorską czynność poety — na tle towarzyskich stósunków, któreśmy właśnie poznali. Zajmo-

wały fantazją jego przez ciąg całego tego roku pierwsze pomysły do dzieła, którym, ile wnieść można, był wydany później poemat pod tytułem *Kordyan*. Już w marcu (1833) donosił matce, że ranki poświęca pracy nad jakimś nowym utworem. W lipcu wspominał o nim w sposób, że wątpić nie można, iż miał na myśli to właśnie dzieło. Za nadejściem jednak lata, przesuwające się przez dom, w którym mieszkał, coraz nowe osoby sprawiały mu tyle roztargnienia, że w tym wirze i zamęcie niepodobna mu było przedłużać pracy. Rzucił tedy pióro, z uśmiechem nieco szyderczym zwrócił oczy badawcze na oryginalne te typy, z którymi pod jednym dachem się mieścił — i doznając już to przyjemności w towarzystwie z tylu żywiołów różnych złożonym, już moralnego znużenia, bawił się — nudził — marzył — wygrywał na fortepianie — czytał bardzo wiele; ale nie pisał nic. W ogóle nie czuł w sobie żadnego do poważnej pracy przez całe te miesiące popędu.

„Napada mię czasami chęć czynniejszego życia,“ — takimi słowy opisywał usposobienie swoje w korespondencji z czerwca i lipca — „marzę o różnych projektach; ale wszystko to na próżno.... Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora — i myślę o Was. Czasem jestem tak odrętwiały, że potrzebowałbym, aby mię pszczoły Twojej Mamo pasieki pokąsały. — Smutno mi, smutno!“...

Z nadchodzącą jesienią — i cisza w domu z powodu powoli rozjeżdżających się gości i wrodzona właściwość, że o tej porze właśnie zazwyczaj nawiedzała go jakaś konieczność poetyckiego tworzenia — wszystko to zaczęło składać się na to, że owe pierwsze zarysy dzieła, jeszcze na wiosnę rzucone, nabierały w jego wyobraźni coraz więcej ciała i kształtów.

„Tę zimy zamysłem pisać i pisać — mówił o sobie w liście z d. 22 września: — jestem jak góra w połogu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacja we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami — przepelnia — wy-lewa — i znów jestem jak Turek (przez pół roku), po wytrzeźwieniu się z opium, zupełnie zimny i prozaiczny.“

W październiku donosił:

„Anglicy i Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napelniały — z przyjściem jesieni unio-

ły się jak jaskółki na południe. W towarzystwie samych tylko gospodyń domu możebym się nudził szalenie, gdyby nie kraina marzeń i urojeń, która silniej niż kiedykolwiek oddzieliła mię od świata. Piszę wielkie dzieło — napisałem już 1300 wierszy; ale to jest jeszcze niczem w porównaniu do całej budowy“... (z listu z d. 27go października 1833).

W końcu listopada mógł już zdać sprawę z dalszego postępu pracy:

„Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 2,200 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie straconą dla dobra Ojczyzny mojej. Przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko... Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki Ojca i Twoje kilka wyrazów, Mamo, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemianę i znajduję, że *Treny* są niezrównanej piękności. Uwagi Ojca mego po większej części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczesowy klasyczny, a raczej francuski trochę obłąkał. — W teraźniejszej poezji Brodziński się najwięcej do Kochanowskiego zbliża — ale jest od niego niższy o trzy wieki. Oprócz tych dzieł nic więcej teraz nie czytam, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się *Kordyan*. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka znalazłem“... (z listu z dnia 30 listopada 1833).

Z samą skwapliwością przepisywania widać, ile zależało autorowi na jak najrychlejszém w świat wyprawieniu tej książki. Temu życzeniu stawały znowu w drodze zwykle trudności z powodu braku funduszy nakładowych. Za poprzednio wydane tomy kosztą zwracały się z wolna, bardzo późno i jak to mówią, tylko kapaniną, a pewnej części takowych nawet pozbawiała go nierzetelność osób do rozprzedaży użytych albo księgarzy, na których też często wyrzeka.

„Ci, którzy je wyprzedają, tacy są hołysze, że mi przychody moje kręcą — i długo zatajają. Słowem przekonuję się, że księgarze — jestto najgorsza klasa. Wszyscy do Zawadzkiego podobni“... (list z d. 23 sierpnia 1833).

Dało się jednak jakoś wszystko załatwić. W miesiącu styczniu czy lutym następnego roku pojawił się w Paryżu poemat, bez żadnej przedmowy i bez wyrażenia imienia autora, pod ty-

tułem: Kordyan, Część pierwsza Trylogii — Spisek koronacyjny. Paryż 1834. 12^o str. 159.

Autor dziełem tęp zamierzał rzucić rękawicę Mickiewiczowi, pójść w zapasy ze sławą jego: dlatego też wydał je beziemiennie. „Będzie tak równiejsza walka z Adamem,” wyrzekł przy wiadomój nam już sposobności do matki. Stawiał Kordyana wyżej nad wszystkie swoje aż potąd ogłoszone utwory. Obiecywał mu wielkie powodzenie: „Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką,” — pisał mając przed sobą pierwsze arkusze druku do korekty sobie przysłane (d. 3go stycznia 1834). I miał przekonanie, że „osadził to dzieło swoje po napisaniu obcego człowieka rozwagą.“

Nim się dalej zapuścim w rozpowiadaniu o kolejach życia poety, zatrzymajmy się na tęp miejscu i pomówmy nieco o tęp jego świeżo wydanej publikacyi, jako też o utworach, które zapelniają wydany przed nią tom III. Przedsiewzięliśmy sobie bowiem iść w ślady nie tylko za ruchem zdarzeń w życiu jego zewnętrznym, ale i dopatrywać rozwoju wewnętrznego w nim siły, której miarą były dzieła z kolei wydawane.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tęp polega, ażeby obrabiać materye brane jedynie ze sfery własnej? — Rozbiór

Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza
i o Garczyńskiego Wacławie.

W wydany w roku 1833 tomie trzecim Poezyi Słowackiego zajmuje główne miejsce „powieść poetyczna“ w dwóch pieśniach nazwana Lambro. Rzecz wzięta jest z historyi nowogreckiej, z drugiej połowy zeszłego wieku. Lambro był dowódcą Greków, którzy namówieni przez jedno z wielkich mocarstw północnych do zrobienia powstania, zostali następnie pozostawieni sobie samym i niesumiennie zdradzeni w chwili stanowczej. Powstanie naturalnie upadło. Przypłacili je strumieniami krwi wytoczonej najdzielniejsi synowie tego ujarzmionego narodu.

Podjąwszy jako przedmiot do dzieła zdarzenie wzięte z dziejów postronnych, poeta rozminął się z praktyką przestrzeganą i wtedy i dziś jeszcze w literaturze naszej. To też w przedmowie usprawiedliwia to zboczenie swoje z drogi utartej. — „Myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków; wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którym trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata... Lambro jest to człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jestto wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czém być mogli, o których nieznajomi mówią, że nie byli niczém“...

Powyższe zdanie Słowackiego o warunkach narodowości w po-

ezyi nie przypadło do przekonania pisarzy zajmujących się w latach owych krytyką. Jeden z najdzielniejszych pomiędzy nimi, mający po sobie powagi tém więcej jeszcze przez to, że był zarazem i sam znakomitym poetą—Goszczyński, zupełnie się inaczej na rzecz tę zapatrywał. On żądał koniecznie, aby w poezyi polskiej nawet przedmiot był swój i własny. To też mówiąc o Słowackim, pogardliwie prawie wyraził się o Lambrze: — „Nad dziełami obcej osnowy, jak Lambro, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi.“ *)

Mnie się zdaje, że słuszność tak stanowczo jest po stronie Słowackiego, że nie ma nawet potrzeby tego dopiero dowodzić. Wprawdzie teoria Goszczyńskiego utrzymuje się dotychczas w praktyce. Zacieśniliśmy więc może, aniżeli by należało, horyzont poezyi naszej. Przy obecnych stosunkach nie jestto wprawdzie bez pewnych ubocznych korzyści. Ale prędzej czy później przyjdzie chwila, gdzie się to jednak będzie musiało zmienić. W każdym razie godzi się być mniemania, że użyłoby to niwę pięknej literatury naszej, gdybyśmy czasem pomnażali jej plony zasobami czerpanymi z przeszłości przynajmniej innych rodów słowiańskich. Może nas dzisiaj odstrasza od podobnych zetknięć pusta mara panslawizmu. Byłaby to bardzo nieuzasadniona obawa! Jeżeli już nie co innego, to ostatnie sceny Kordyana, o którym niebawem przyjdzie nam mówić, mogłyby stanąć za dowód, że bez narażenia się na niebezpieczeństwo obłądów panslawistycznych, można w tych dalszych światach słowiańskich znajdować nieraz przedmioty godne fantazyi Szekspira. Dzieje nasze są czyste, pod etycznym względem nieskończenie wyższe od przeszłości nie tylko innych słowiańskich plemion, ale i wielu dalszych europejskich społeczeństw; ale właśnie przeto ogólne ich znamię stanowi pewna że tak powiem, beznamietność. To też rzadko kiedy udaje się na tém tle wznieść dzieło większych rozmiarów, któreby samą treścią doraźnie działało na wyobraźnię i tchnęło grą tych pasy

*) Obacz bezimiennie ogłoszoną jego rozprawę „Nowa Epoka poezyi polskiej“ w Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności krakowskim, r. 1835.

gwałtownych, bez których pewne rodzaje poezyi nie mogą się obejść.

Poddając to napomknięcie nawiasowe pod rozwagę szczególnie naszych dramatycznych pisarzy, wracam do poematu, o którym mam zdanie moje powiedzieć. Podzielać najzupełniej z Goszczyńskim wstręt, który go powstrzymywał od zapuszczania się w uwagi nad Lambrem. I ja nie mam zamiaru rozpoczynać szczegółowej analizy tego utworu, któremu z mego stanowiska jednakże nie dlatego odmawiam wyższej wartości, że to „dzieło obcej osnowy“, lecz że wykonanie i całe przeprowadzenie obranego przedmiotu uważam za chybione pod każdym względem.

Czego chciał Słowacki, zabierając się do téj pracy? — Powiada on w przedmowie o swoim bohaterze, że „jestto człowiek będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań“. — Obaczmy, czy to prawda.

Rozebrawszy rzecz z pięknych rymów, wierszy, obrazów i tympodobnych przyborów poetyckich, którym nie zarzucić nie można, bo pod tym względem wykonał autor dzieło z całym przeպychem: ściągnijmy osnowę poematu do jaknajściślejszego streszczenia i okażmy w suchych słowach, jakito człowiek dostarczył tu rysów na skreślenie obrazu naszego wieku...

Bohaterem poematu jest młody wódz w jednym z tych licznych powstań, jakie poprzedziły wydobycie się ostateczne Grecyi z pod tureckiego jarzma. Miał on być już w którymś z poprzednich ruchów czynny udział; ale wtedy, skoro tylko przyszło do walnej bitwy, skończyło się wszystko dla téj sprawy jak najgorzej. Cały zastęp Greków wyginął. Lambro sam jeden tylko potrafił opuścić pobojuwisko przy życiu. Udał on się natenczas na emigracyą — „lecz nie samotny! znalazł się ktoś drugi, co przy nim giermka podjął się usługi“. (Byłato Ida, jego kochanka. Odpowiedzialność za ten pomysł niedorzeczny — musi rad nie rad przyjąć tym razem na siebie Byron, protoplasta całej famillii typów tego rodzaju). — W kilka lat później zaczęło się w Grecyi zanosić na nowy wybuch. Wystąpił w narodzie natchniony poeta Ryga i budził pieśnią swoją ducha z letargu; któregoś z mo-carstw popierało pomysł powstania: więc przyszło wreszcie do

pierwszych objawów jawnej walki między ludnością grecką a rządem. Na pierwszą wieść o tém wszystkim Lambro emigrant zjawił się w kraju! Powrócił z daleka z gotowem postanowieniem odegrania w tym ruchu zbrojnym, który się właśnie zaczął, roli naczelnego wodza. Ale zaczyna i to powstanie bardzo rychło doznawać niepowodzenia: pierwsze starcia Kleftów z Turkami wypadły nieszczęśliwie; co gorsza, ów wieszcz narodowy został ujęty w niewolę, i właśnie przygotowuje się scena straszna, gdzie go w skutek zapadłego wyroku mają stracić publicznie.

Właśnie w przededniu tej egzekucyi, schodzi się Lambro w umówionem miejscu z kochanką. (Ida od niejakiego czasu nie dzieliła już z nim wygnania, ale spędzała czas w kraju. Teraz, po długiem niewidzeniu, witają się tedy z sobą na nowo). Przy tej sposobności zapoznajemy się nieco lepiej z osobą bohatera powieści. Widzimy w nim rodzonego brata Mindowy, Botwela, Żmii itd. z różnicą chyba, bez jakiej nie znaleźć i dwóch listków na drzewie. Melancholia i sceptycyzm — oto znamiona choroby duszy tego człowieka. Na twarzy przyszłego zbawcy Grecyi „jakiś szatan mięsza“ rozpacz i śmiech szyderyczy i cierpienie; a na dobitkę, wyczytuje jeszcze na niej kochanka „ostatni stopień wszystkich nieszczęść... nuda!“ — Dalsza rozmowa odsłania, że Lambro został (już po oddaleniu się Idy od niego) korsarzem, nad czém oboje, i ona i on nawet także, ubolewają. Dawniej — mówi Lambro o sobie — byłem innym człowiekiem; ale mię nieszczęście zламаło! To też teraz szerzy on śmierć z obojętnością około siebie, jak daleko tylko działa okrętu jego sięgają, i z uśmiechem dziwnej radości patrzy nawet na konanie własnych majtków, którzy wiernie dzielą z nim wszystkie koleje losu...

Po tym obrazie Lambra, który pomimo wszystkich starań, jakie podjął autor, żeby go otoczyć urokiem pewnej wielkości, wzbudza jako człowiek odrazę, a jako przyszły zbawca narodu najwyższe niedowierzanie: — następuje epizod rzeczywiście oddany z niepospolitym talentem — jedyne miejsce w tym poemacie, które się może i które się musi każdemu kto je czyta podobać, opis wykonania wyroku na wskazanym na śmierć poecie. Postać giną-

cój na szubienicy ofiary oddana jest à bas-relief, niewiele tylko rysami; ale te kilka rysów staje za szczegółową opowieść o całym jego szlachetném życiu i daje wymowne, tryumfujące świadectwo tym ideałom, którym Ryga wszystko na ziemi poświęcił. — Nie podnosi za to bynajmniej w oczach naszych osobistości głównego bohatera czyn, jakiego Lambro dokonywa właśnie przy tejże egzekucyi, mszcząc się niby to za tę krew niesprawiedliwie przełaną. Jestto brawura — może wyborna, żeby dowieść kwalifikacyi na korsarza, ale nie wiele dobrego rokująca o rozumie wodza narodowego! Poeta opisywał to wszystko na nieszczęście w inném przekonaniu.

Po spaleniu w taki awanturniczy sposób tureckiego okrętu, czeka Lambro, co powie na to naród, i gotuje się do dalszego działania. Ale nim przyszło do tego, żeby się choć był dowiedział, jakie jest usposobienie ludności: — przytrafiło się na jego korsarskim statku, tejże nocy co nastąpiła po owym akcie brawury, zdarzenie, które położyło koniec i karyerze jego jako naczelnika sił zbrojnych powstania narodowego, i... poematowi. Zdarzenie to bardzo naturalne, choć dla czytelnika wcale niespodziewane! Okazuje się bowiem — w drugiej pieśni — że Lambro, oprócz innych przymiotów niekoniecznie potrzebnych wodzom naczelnym, posiadał jeszcze i ten najniepotrzebniejszy ze wszystkich, iż był nałogowym... amatorem opiatu. Poeta starał się tę smutną stronę swego bohatera ubarwić i osłonić, ile to tylko być mogło. Zamiast powiedzieć otwarcie, że się Lambro lubił zapijać, wyraża się tedy w tych poetycznych słowach:

„Że Lambro co dnia bleśzy o północy

Szaleje trucizn namiętne piciem

I życie mieni na sen gorączkowy.“

Tym razem — po tém co zaszło, tuż przed czynami, jakich się Ojczyzna ma prawo po nim spodziewać — czuje to Lambro, że mu jakoś nie wypada brać i tej nocy czary do ręki... Nadeszła północ: nasz człowiek trzyma się twardo! Łamie się z nałogiem, jak tylko może. Ale ludzie tego rodzaju daleko pochopniejsi bywają do walki z całym światem, niżeli ze sobą samymi! Siebie zwyciężyć nasamprzód, a potem dopiero zapróbować i z drugimi

tego samego: — téj zasady Słowacki w młodocianych robotach swoich nie zastosował nigdzie! Tak też miała się rzecz i z Lambrem. Długo on dumał błąd samotnie na pokładzie swego okrętu — patrzył w milczeniu na spokojną powierzchnię morza, oświeconą bladym światłem księżyca — bladł coraz bardziej i chwiał się: nagle upadł bez przytomności. Po jakiejś chwili wróciły siły — powstał: — ale teraz gromkim głosem zażądał swojej zwyczajnej czary! — Podano mu ją — wypił. Zbieg przypadkowy okoliczności sprawił tu nieco zamętu. Zamiast paza, który obsługiwał w razach takich naszego kapitana okrętu, weisnęła się tym razem była do niego przebrana za paza Ida: ona mu tedy podać musiała fatalną czarę owę, której zażądał. Kiedy ją nalewała, drżała jęj ręka i kilka kropel trucizny wpadło do czary więcej, niż należało. Więc nastąpiło, co musiało: otrul się bohater poematu. —

Powyższe streszczenie saméj osnowy Lambra uwalnia mnie od potrzeby rozwijania uwag i nad artystyczną i nad moralną wartością poematu. Zdaje mi się, że byłby to utworz wyborny, gdyby był wykonany w formie satyry, parodii, komedii dowcipnej i gryzącej, słowem czegoś z dążnością szyderczą. Chodzi tu wprawdzie o rzeczy zbyt poważne i wzniosłe, żeby się który z poetów polskich był mógł ośmielić na to. W naszej literaturze takie traktowanie podobnego przedmiotu byłoby niepodobieństwem. Ale gdyby taki Heine na przykład, dla którego nie było rzeczy, z którejby nie baraszkował, był się zabrał do tego: to jestem pewien, że nie potrzebowałby on w całej téj powieści niczego zmienić ani też dodać ni ująć, a byłby wystawił farsę, któraby stanowiła kamień węgielny dla jego autorskiej nieśmiertelności. Figura Lambra — to typ stworzony dla Heinego! Jako ideał — jestto zero, ladaco: — ale właśnie przeto, że będąc zerem, chce uchodzić za wielkiego człowieka, jestto niewyczerpany materiał dla komika i humorysty...

Na nieszczęście, podług założenia poety, miał to być człowiek, „będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań.“ Tak jest, niezawodnie! Usiłowania

naszego wieku są bezskuteczne, ale właśnie tylko dlatego, że tacy ludzie, jak Lambro, i w taki sam sposób, jak on, narzucają się społeczeństwu na przewodników, a ono daje im się prowadzić i wyzyskiwać! Nie przeczę tego zatem, że udało się tu Słowackiemu dać dość wierny wizerunek jednego z całej legii tych mniemanych bohaterów, którzy są prawdziwą plagą bieżącego stulecia! Zaszła przy tém jedna tylko mała pomyłka. Poeta stworzył karykaturę, a rozumiał, że stawia ideał! W przekonaniu, że rozciąga obraz poetycznej wielkości, starał on się bohatera swego uposażyć w wszelkie warunki zapewniające dla postępów jego współczucie i podziw czytelnika: gdy tymczasem odsłania się z pod tych sztucznych osłon wyobraźni autorskiej sama tylko niedza i zgnilość moralna jego człowieka, tém przykrzejsza dla oka, że występuje z olbrzymiemi uroszczeniami i z dumą, której nie zgola nie usprawiedliwia.

Razem z poematem Lambro zostawiamy po za sobą okres Słowackiego bajroński (a raczej pseudobajroński), i przechodzimy do naturalniejszych natchnień i do więcej przynajmniej samodzielnych kierunków w jego zawodzie. Bez symptomatów pewnej chorobliwości nie obyło się i w tém drugim stadium u niego; ale przynajmniej była to już chorobliwość, jakiej w owym czasie podlegali tysiące. Zbliżył się więc poeta nasz więcej do usposobienia ogółu. Pierwszym czynem na téj nowej drodze był Kordyan. Pod każdym względem możnaby go nazwać słupem granicznym pomiędzy pierwszą dobą poety a drugą.

Dziełem tém więcej Juliusz przekonał naród o swém niepopolitým uzdolnieniu poetyckim, aniżeli tém wszystkiém razem, co wydał poprzednio. Kordyan wyszedł bezimiennie. Nie od razu zdolano się domyśleć, kto jego autorem. Byli tacy, którzy w pierwszej chwili przypisywali go Mickiewiczowi.

„Mój śpiew ostatni — pisał autor Kordyana niebawem po jego ogłoszeniu do matki — jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jednym z pism po francusku wydawanych czyta-

łem o nim zdanie i rozbiór pochlebny—o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może; a ta przeciwna mi partya, są to nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam. Od tego bowiem sam pierwszy stronic zacząłem. Wielu jednakże w Paryżu przypisuje pieśń moję Adamowi. Oto wyjątek z listu do mnie pisanego: — „Byłem przytomny, jak Ogiński atakował Adama, i kiedy ten się wypierał, że nie jest autorem dzieła i że nie wie o niczem, Ogiński rzekł: to przynajmniej wiemy, że Pan chce to mieć tajemnicą.“ — W drugim liście (mówi dalej Słowacki) pisze mi jeden ze znajomych: — „Z Memla (?), dokąd exemplarze posłałem, piszą mi o Kordyanie z wielkiem uniesieniem — i biorą to za pracę Adama.“ — Z tych dwóch doniesień widać, że w wielu miejscach bezimiennie wydaną moję pracę przypisują innemu. Znajac uprzedzenia naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka“... (z listu z dnia 27 kwietnia 1834).

Do mniemania takiego przyczynić się mogło niejake podobieństwo w zewnętrznej formie pomiędzy Kordyanem a wydaną niedawno przedtém Częścią IIIcią Dziadów Mickiewicza. I jedno i drugie dzieło jest nieregularnym, niescenicznie ułożonym, lecz zato wielkiej lirycznej siły dramatem. Jest nawet pewne pokrewieństwo i w całym pomyśle. Na okoliczność tę atoli zbyt wiele przycisku kłaść nie należy; pokrewieństwo to bowiem wynikło z intencji, w jakiej Słowacki zabrał się do napisania Kordyana. Chciał on, jak to już wyżej okazałem, dziełem tém — rzuciwszy niejako rękawicę Mickiewiczowi, iść z nim o lepszą. Mickiewicz stworzył w postaci Konrada wizerunek najszlachetniejszych i zarazem do najwyższego stopnia siły i natchnienia podniesionych wysiłków właściwych generacji współczesnej. Bohater jego, póki jeszcze nosił imię Gustawa, wplątany był we wszystkie potoczne stosunki świata i doznał najdotkliwszych bólów, jakie tylko mogą zranić serce zwyczajnej jednostki w społeczeństwie. Przesiliwszy się w duchu, czyli jak to poeta wyraża: przetworzywszy się w Konrada, bohater Dziadów podniósł się po nad poziom tych wszystkich pragnień i zawodów osobistych i wyłącznie poświęcił życie ojczyźnie. Pragnie ją „dźwignąć i uszczęśliwić;“ lecz nim przystąpi do czynu, żąda od Boga... rządu dusz! Konrad czuje się nieśmiertelnym i jako Bóg sam wszechwładnym myślą własną, „której

ludzie mu nie dali“, „tą myślą, co niebiosom pioruny wydarła.“ Czuje się w sobie równym Bogu uczuciem, „co się samo w sobie chowa—jak wulkan, i tylko dymi niekiedy przez słowa.“ Ale temi dwiema dźwigniami, dopóki one w nim samym tylko zawarte, nie spodziewa on się ani przemóc ani podnieść odrętwiałego ciężaru martwój bryły, jaką mu się być wydaje w danych stosunkach cała massa narodu. I dlatego żąda od Boga potęgi, żąda bezpośredniej, nieograniczonej, choć niewidzialnej władzy nad duchami ludzkimi...

„Ja chcę władzy! daj mi ją lub wskaż do niej drogę!

Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,

Chcę wyrzucić na ludzkie dusze!“

Konrad chce nad bliźnimi władzy doraźnej, i to nie za pośrednictwem pieśni, ani wiedzy, ani siły zbrojnej, ani nawet cudów:

„Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie,

Rządzić, jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie:

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,

Spełnią, tém się uszczęśliwią,

A jeżeli się sprzeciwią,

Niechaj cierpią i przepadną!“

Ponieważ zaś tej potęgi nadludzkiej nie otrzymuje Konrad od Boga, wpada w szal rozpacz i zaczyna wątpić o dobrej woli stwórcy. Ośmiela się do bluźnierstwa:

„Kłamca, kto Ciebie nazwał miłością —

Ty jesteś tylko mądrością!“

To jest najwyższy zenit, do którego się wznosi bohater Dziadów, przynajmniej w wydanej części dzieła. Bóg nie zsyła na niego kary za tę pychę i za takie buntownicze wypowiedzenie posłuszeństwa niebiosom, albowiem płynie ona u niego z miłości kraju, z nieszczęścia... zresztą modlą się za nim anieli i dobrzy ludzie (matka zmarła Konrada, X. Piotr, Ewa). I pozwała Konradowi — po uznaniu korném oblędu — wyjść z tych walk ducha czystym, rozgrzeszonym i nawet przeznaczonym w przyszłości do wielkich rzeczy. Ale do spełnienia tych obietnic nie przychodzi w tej części dzieła, tak iż Adama ideał, jak tu jest

dany, ostatecznie nie wychodzi z po za sfery samych tylko zamiarów, pragnień i uczuć... I jeżeli walczy, to chyba z Bogiem walczy, a nie z temi potęgami ciemności, nie z temi monstrualnościami wieku, na powaleniu których właśnie zależy.

Otóż Słowacki podjął umyślnie w dziele swoim właśnie tę myśl w powyższy sposób wytoczoną przez Mickiewicza, ale zamierzył wykonać ją po swojemu i o tyle lepiej, że wprowadził bohatera swojego właśnie w ten zakres, w jakim Konrada nie widzimy, ta jest w zakres czynów. Punkt wyjścia zatem jeden jest u obydwóch poetów; ale ludzie ich różni i zawody ich różne. Słowacki nie mógł spodziewać się osiągnąć wyższości nad swoim współzawodnikiem ani potęgą natchnienia, ani artyzmem, ani wykonaniem szczegółów; bo to wszystko było tak niezrównanem u niego, że wszelka chętka do walki z nim na tém polu byłaby chyba lekkomyślnością. Słabszą stroną Dziadów jest ich ogólny pomysł — niejasno i niecało rzucony! To też w tém tylko mógł upatrywać Słowacki możność jakichkolwiek korzyści swoich nad nim, że zamierzył bohatera swego dalej doprowadzić w zawodzie podjętych usiłowań, aniżeli się w Dziadach Konrad na drodze swojej posunął. A zarzutu, że się przedmiotem zanadto zbliża do Mickiewicza, zarzutu tego się autor Kordyana nie mógł obawiać. Boć umyślnie i samowolnie i wręcz wyzywając Adama do walki, wytoczył ideę jego na nowo jakby przed sądy drugiej instancyi.

Skorośmy już wpadli na ten trop uwag dotyczących genezy obecnego utworu, niech mi wolno jeszcze będzie zwrócić uwagę na inne dzieło, które równie, a może nawet i więcej jeszcze wpłynęło na wyobrażenie poety w chwili, kiedy obmyślał układ Kordyana. Mówię o poemacie Stefana Garczyńskiego „Wacław i Dzieje.“ Kto tylko dwa te dzieła zechce porównać ze sobą, to niepodobno ażeby go nie miało uderzyć dziwne podobieństwo pomiędzy niemi. Wartość artystyczna Kordyana wprawdzie nie skończenie jest wyższa. Ale założenie, główny pomysł i zamiar artystyczny w obydwóch tych utworach jest niewątpliwie i oczywiście — jeden tylko. Charaktery wprawdzie głównych figur zna-

cznie się różnią. Wacław — to filozof, myśliciel; wrodzonym usposobieniem swoim więcej na Fausta albo na Hamleta zakrawa. Kordyan przeciwnie jest marzycielem namiętnym i entuzystą, — w pierwszej wiosnie życia podobny do Wertera, w dalszej młodości przypomina Manfreda; w głównej zaś akcji, w sile wieku (w IIIcim akcie) — nie wiem do kogo bym go porównał... Śnać jest on tu tylko Kordyanem, jest tém czém go mieć chciał poeta, typem samoistnym i własnym. Przy tak różnych charakterach atoli, zamiar i role obydwóch tych ludzi godzą w jedno i to samo. Niemniej szczegóły i postaci podrzędne tak się w obu poematach wzajemnie przypominają, że niepodobna, żeby się miały rzeczy te spotykać ze sobą zupełnie przypadkowo. Tak na przykład cała ta scena na czele Juliuszowego dramatu nazwana „Przygotowanie“ — to tylko bujne i fantastyczne rozwinięcie idei, która u Garczyńskiego wcielona jest w jedną osobę, w osobę „Nieznajomego.“ A ten spisek koronacyjny, służący i tu i tam za punkt centralny, za oś, około której toczy się wszystko! A ta piękna postać starca, jaśniejącego zapalem i srebrnym włosem tak wydatnie na tém tle ciemnym tajemnych obrad... Wszystko to są szczegóły, które — trudno przypuścić żeby miały być bez wszelkiej zawisłości wzajemnej.

Gdyby poemat Garczyńskiego wyszedł był później, aniżeli Kordyan, byłby to tylko plagiat, plagiat bardzo blady. Tak jednak nie było. Wacław jest dziełem rychlejszém. Czy go Słowacki znał, pracując nad swoim dramatem? — Mnie się zdaje, że go znać musiał.

Wacława Dzieje pisane były w Dreźnie, w ciągu roku 1832, a wyszły z druku w Paryżu r. 1833 w miesiącu czerwcu albo najpóźniej w początkach lipca.*) Kordyan zatrudniał myśl Słowackiego już w ciągu wiosny tegoż roku (1833). W środku lipca już był plan jego gotowy. Rzecz ostatecznie jednak spisana została dopiero w miesiącach jesiennych. Nie było tedy niemożności fizycznej, dla którejby mu nie miał być znany utwor wielkopolskie-

*) Wyrozumieć to można z dat listów Mickiewicza do Garczyńskiego pisanych w sprawie drukujących się właśnie jego poezyi.

go poety, przed ostatecznym dokonaniem Kordyana. Niemożność ta znika do reszty, jeżeli wspomnimy, że Stefan Garczyński przez ciąg tegosamego lata bawił w Szwajcaryi, a nawet spędził czas niejaki (miesiąc sierpień) w saméjże Genewie wraz z Mickiewiczem, który go tu (po raz ostatni przed jego śmiercią) widzieć przyjechał z Paryża. Czy się Juliusz przy téj sposobności zapoznał osobiście z Garczyńskim, tego nie wiem i wątpię, żeby było przyszło do tego. Bytność autora Dziadów w mieszkaniu Garczyńskiego nie mogła go do zabrania téj znajomości zachęcać. Zresztą Słowacki nie był pochopny do pierwszych wizyt, a Garczyński znowu był już natenczas bardzo cierpiący i zapewne także nowych znajomości nie szukał. Stémwszystkiem nie mogło być bez tego, żeby ta jego bytność w Genewie choćby za pośrednictwem trzecich osób nie była miała zwrócić uwagi Słowackiego na niego i na świeżo wydane jego poezye w Paryżu, których egzemplarze musiały się rozejść wtedy i pomiędzy Polakami bawiącymi w tém mieście. W kilka miesięcy po zgonie już Stefana Garczyńskiego (w liście z d. 3 stycznia 1834) donosił Juliusz matce o nim w następujących wyrazach:

„Ukazał się był na chwilę nowy talent poetyczny, Garczyński. Wydał dwa tomiki, w których było wiele pięknych rzeczy, a więcéj jeszcze nadziei; ale nie-szczęściem suchoty zniszczyły go — i umarł. Ciągłe wzdychał do Neapolu i miał nadzieję, że tam dojechawszy uzdrowi się; ale nieborak w drodze w Avinionie życie zakończył.“ —

To wspomnienie pobieżne, pisane właśnie nad korektą drugiego arkusza Kordyana, którego mu w ciągu druku dosyłało dla kontroli z Paryża — są to, zdaje mi się, słowa człowieka, który nie znał się osobiście z autorem i co o nim wiedział, to od trzecich osób (inaczej bowiem byłby ciekawych szczegółów niewątpliwie więcéj o nim udzielił); ale który niezawodnie czytał jego poezye. Jeżeli zaś znane mu były takowe w pierwszych dniach roku 1834: to dlaczegoż nie miałby ich był znać i jaki kwartał rychléj?

Nie przeto mówię o téj okoliczności, żebym chciał z tego punktu widzenia uwłaczać w czémkolwiek autorowi Kordyana.

Mimo to wszystko bowiem konkurencyi pod artystycznym względem z Wacławem to dzieło obawiać się żadną miarą nie potrzebuje. Lecz ciekawą zdaje mi się być rzeczą dochodzić, gdzie tylko na to pozwalają okoliczności, niewiadomych zazwyczaj wpływów, jakie towarzyszyły poczęciu dzieł poetyckich. Ileż światła rzucają na tę zagadkę geniuszu nieraz szczegóły wiadome o Szekspirze.

A krom tego jest jeszcze jedno, czego milczeniem tu pominąć nie można. Kiedy Mickiewicz, w Paryżu jeszcze, zajęty był właśnie drukiem poezyi Garczyńskiego, pisał on do niego z powodu Dziejów Wacława, co następuje:

„Niezawodnie pokazuje się, że więcéj przez twoję głowę przeszło myśli, niż przez moję, choć ja moje wiele lepiéj wyrobiłem. Ileż wierszy w Wacławie, nad którymi dumam jak nad drogami w Pompei, myśląc o kołach, które musiały w tył i w przód wyjechać, nim tę koleinę wygrzyzły! Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrości poetyckiej; ale mnie się zdaje, że gdyby Wacław był nie twoim utworem, to bym może zazdrościł autorowi: Teraz kocham go, jak gdyby wspólne dziecko. Możesz być pewny, że to dzieło zupełnie leży w teraźniejszym czasie i dziwnie odbija stan duszy wielu ludzi“...*)

Że się nie pomylił Mickiewicz, iż myśl dzieła tego leżała rzeczywiście w usposobieniu czasu: tego najwymowniejszym dowodem okoliczność, na którą zwracam właśnie uwagę. Widzimy bowiem, że w tym samym niemal czasie zajmował ten przedmiot wyobraźnię i naszego poety. W ciągu rozmyślań nad nim wpadła mu w ręce praca Garczyńskiego. Kreacya ta ożywiła jego imaginacyą i dorzuciła żywiołów palnych w ognisko, które już i bez tego gorzało. Kilka zarodów gotowych wniosła w ramy jego obrazu. Ale zarody te przybrały tu dziwną bujność, pod wrócem czuciem genialniejszego ducha. Co u Garczyńskiego jest tylko napomknięte, niedonoszone w wyobraźni, mgliste, niekiedy chorobliwe: to się ukazuje w utworze Słowackiego przynajmniej pod artystycznym względem rozwinięte do pełni i wykonane plastycznie.

*) List Mickiewicza do Garczyńskiego z Paryża dnia 12 stycznia 1833.

Nawet i po za obrębem względów na artyzm mała jest wartość Wacława w porównaniu z tém dziełem. Garczyński jeszcze w najlepsze bajronizuje, Słowacki właśnie się z pod wpływu tego otrząsa. Garczyńskiemu się bohater jego wydaje tytanem — ideałem skończonym... a kiedy nie wie, jak nieudolność jego usprawiedliwić, radzi sobie w taki sposób, że oto — urywa dzieło w pośrodku! Autor Kordyana podobny jest do niego w pierwszej połowie swego dramatu. W trzecim akcie... spostrzegł się i osądził swego człowieka.

Te kilka myśli ogólnych niechaj zastąpi to wszystko, co w dalszym rozbiórce Kordyana zdawać się może będzie nie dość dokładnem. Są okoliczności — łatwe do odgadnienia, które nie pozwalają na zupełnie swobodne traktowanie tego przedmiotu. Zresztą jest to tylko ułamek większej całości, do utworzenia której nie przyszło. Autor zapowiadał trzy takie dzieła, pomiędzy sobą związane węzłem trylogii. Trylogia ta, jak z prologu czyli „Przygotowania“ na czele umieszczonego wnosić trzeba, miała obejmować wypadki z przed r. 1830, z czasu samegoż powstania, i zapewne z dalszych lat potem. Kordyan stanowi tylko część pierwszą trylogii. Dalszych części nie ma. Materiał części trzeciej zdaje mi się, że wpłynął w głównych zarysach w utworzonego nieco później Anhellego. Środkowy dramat pozostał niezapełnioną próżnią. Jego osnowy nawet się domyślić nie można, chociaż surowy materiał jest każdemu wiadomy.

Jeżeliby się jednak godziło, odgadującym sposobem rzucić zarys ogólny myśli, na tle której ta obszerna budowa miała się wznieść: to napomknienia tu i owdzie spotykane w części pierwszej upoważniają przypuścić, co następuje:

Żyjemy w wieku materyalnym, karłowatym, upadłym, w wieku w którym się nic światodziejowego nie dokonywa w ludzkości. Jestto dzień wypoczynku stwórcy po pracy, dzień siódmy, szabat myśli bożej w tworzeniu dziejów powszechnych.

„Bóg przez sześć dni dziejowych stwarzał ziemskie ludy. W pierwszym dniu stworzył państwo modłące się Judy: To była ziemia — na nią wyrosły narody. —

W drugim dniu — porozlewał wschodnich ludów wody;
W trzecim — jak drzewa, greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce;
W piątym — wzleciały orłów rzymiańskich znamiona,
To były ptaki; — a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona —
W szóstym — człowieka zlepił Bóg: Napoleona!
Dziś dzień siódmy — Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył“...

Słowa te znajdujemy wyrzeczone w 6tój scenie aktu IIIgo, przez figurę fantastyczną, która tam ma nazwę „Doktora“, a którą oczywiście jest Szatan. Przybywa on do szpitala, ażeby i kusić Kordyana i naigrawać się z niego. Zdawaćby się wprawdzie mogło, że ponieważ szatan to mówi i to jeszcze w takim zamiarze: nie jest to przeto nic więcej, jak tylko prosty fałsz, sofizmat, przypuszczenie przewrotne, nie mające żadnej spółki z rzeczywistym pomysłem autora. Tak jednak nie jest. Poeci zwykli — jak wiadomo, dawać nieraz i demonom mimowolnie wypowiadać ukrytą prawdę. Są to zazwyczaj prawdy gorzkie dla ludzi, ale zawsze prawdy. Przypomnijmy sobie tylko Mefistofela w Fauscie. Ma się rzecz podobnie i w razie obecnym. Doktor Słowackiego rzuca wprawdzie w scenie tej wiele i zdań bałamutnych, bezwzględnie obłądnych. Ta jednakże myśl jego spływa doskonale z całym założeniem poematu, i jeżeli się różni od innych miejsc podobnych w „Kordyanie“, to chyba tylko tém, że rzecz jest tutaj wręcz wyrzeczona i nazwana po właściwem swym imieniu. Taki wypadek wynika też ostatecznie z całego przeprowadzenia dzieła, do tego stopnia że bez tego klucza zrozumienie celu jego wcale byłoby niepodobnem.

My na ostateczny sens tego dyktu piszemy się. Jest on niestety — de facto co się zowie prawdziwy! Ale zobaczmy, co idzie za tém.

Kiedy więc w myśl założenia poety ta siła twórcza, dodania, boża, która kieruje biegiem świata, obecnie wyjątkowo odpoczywa po pracy i nie tworzy nic: poczuwają się do tég większej czynności w wieku obecnym demoniczne potęgi. Pragnienie i

zabiegi tych potęg zawsze ku temu zmierzają, ażeby się niweczyło w samym zarodzie to wszystko, czego ludzkość pragnie i za szczęście swoje uważa. W tym też celu i teraz przystępują one do dzieła. Pierwszy ustęp Kordyana, nazwany Przygotowanie, odsłania właśnie te ich roboty. W samą chwilę poczęcia się wieku obecnie bieżącego, w nocy z dnia 31 grudnia 1799 na 1 stycznia 1800, zgromadzają się na ustroniu, w chacie niegdyś Twardowskiego, najprzedniejsze mocy szatańskie i przygotowują zapas kierowników narodowych na cały wiek dziewiętnasty:

..... „Dziś pierwszy dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy
Na całą rzekę stuletniego ciekłu.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każda rządu dziurę.“

Oczywiście wychodzą z tego kotła szatanów same osobistości zdaniem poety niedołężne, wsteczne, potrzeb wieku niepojmujące, jeżeli zgoła nie napiętnowane czém gorszym jeszcze. I tak nasamprzód otrzymuje tam sankcya na wielkiego człowieka XIX wieku — Chłopicki. Na dalszych kierowników wydarzeń, które mają nastąpić, przeznaczeni zostają: Czartoryski, Niemcewicz, Lelewel, nakoniec Krukowiecki. Obok nich jeszcze zostaje przygotowaną dla tém pewniejszej zguby narodu cała zgraja świetnych bohaterów salonu i brukotłuków („wymuskani rycerze-ospalcy“); niemniej i tłum niezliczony krzykaczy i intrygantów („co narodowej chwycą się mównicy — dyplomatycznych mowców plemię“)...

O takich siłach ma się tedy snuć odtąd wątek spraw, dotyczących żywotnej kwestyi jednego z głównie w stuleciu tém do działania powołanych narodów, aby się dokonało, co przepowiedziało piekło, że „wiek co przyjdzie, ucieszy szatany...“

W jaki sposób winy tych wszystkich ludzi, tak lekkomyślnie stawionych na jednej linii ze sobą, zamierzał autor w dziele swoim rozwinąć i udowodnić? — na wyrozumienie tego braknie nam wszelkiego punktu oparcia. Ich role przypadają prawie bez wyjątku dopiero na czasy, które miały być pomieszczone w ramach dalszych obrazów, składających tę trylogią. W Kordyanie — wyją-

wszy jednego Niemcewicza — kończy się wszystko na téj ryczałtowej kondemnacie rzuconej na nich w prologu bez żadnego tejże poparcia. Gdyby autor był poprzestał na twierdzeniu, że tak usiłowania Chłopickiego, jak X. Czartoryskiego i wreszcie Lelewela w r. 1831 były nadaremne; że kroki ich były nieodpowiednie celowi itd. nie mielibyśmy nic przeciwko temu do powiedzenia. Ale wystawiać w nich istoty, z piekieł przysłane na zatrącenie narodu: to cokolwiek gruba przesada. Gdyby która z osób nazwanych była autorem powstania; gdyby się byli okazali chciwymi władzy; gdyby ją byli przemocą lub podstępem sobie przywłaszczyli, odtrącając od steru innych, zdolniejszych; a po tém wszystkiém okazali niezdolność, złą wolę albo złą wiarę: — wtedy możnaby składać na nich odpowiedzialność za wszystko i godziłoby się pocie wprowadzać ich w dzieło swoim w taki sposób, jak to jest uczyniono w Kordyanie. Tak to jednakże nie było. Na tę genezę z kotła szatanów zasłużyli sobie zatem chyba zupełnie inni! Powziąć lekkomyślne postanowienie — wykonać je gorzej, niż nie-dorzecznie — rozdmuchać pożar — potem niewiedzieć, co z nim począć — w braku lepszej rady przyjść do ludzi, których ani wiek, ani stanowisko, ani wyobrażenia ani tradycje nie były potemu, żeby mogli uwierzyć w dzieło z którym nie mieli żadnej wspólności, i powiedzieć im na klęczkach i upominając, z prośbą i groźbą: teraz ty prowadzić musisz, bo ty masz zaufanie w narodzie, a my go nie mamy! — nareszcie po wszystkiemu winić ich i przeklinać za to, że się ta z góry i w zarodzie samym zwichnięta robota nie udała: — to wszystko dziać się może tylko w społeczeństwie tak zupełnie pozbawioném zmysłu politycznego, jak nasze!... Na obronę Słowackiego wprawdzie powiedzieć można, że takie wtedy były wyobrażenia o tém powszechnie. W takito sposób odbywały się sądy o rzeczach i o ludziach z r. 1831, przez kilka lat potem śród całej emigracyi, a nawet po większej części i w kraju. Łagodzi to niezawodnie zarzut zrobiony temu ustępowi Kordyana. Ale mylność założenia całego dzieła dlatego się nie naprawia.

Większej jeszcze niesprawiedliwości dopuścił się autor Kordyana przeciwko Niemcewiczowi, o którym dlatego tu z osobna

mówię, ponieważ jego jednego tylko wina jest w zupełności niby odsłonięta i przeprowadzona w dramacie. — Mówi o nim Słowacki w prologu w takich wyrazach że się wierzyć nie chce, żeby się to do Ursyna odnosić mogło:

... „Starzec, jak skowronek
Zastygły pod wspomnień bryłą
Na pół zastygłą, przegniłą —
Poeta — rycerz — starzec — nic,
Dziwięciu Feba sultanie
Eunuch“ itd.

Że nie kto inny jednak, jak ten mąż, pod tylu względami dobrze ojczyźnie zasłużony, jest tu rozumiany, to się dowodnie okazuje w czwartej scenie aktu IIIgo, gdzie mniemana jego zbrodnia jest skreślona śmiałym pędzlem i bez ogródki. Wystawiony tam jest Niemcewicz jako Prezes knowań (z r. 1829), które się odbywają w podziemiach kościoła św. Jana w Warszawie... Pomimo wyraźnego zamiaru poety, ażeby rola, jaką tam wypadło starcowi temu odegrać, wiekuście go potępiała: postać Ursyna występuje tam po nad tłumem zebranych zapaleńców tak czysto, tak posagowo i z taką szlachetnością, że nie można mu było wystawić piękniejszego pomnika, jak ową właśnie sceną Kordyana.

Ale wrażenie takie sprawia ten ustęp tylko w umysłach głębszych. Czytelnik nierozumny, z rzeczami najświeższych dziejów kraju źle obeznany, rzuca czytając to miejsce, na siwe włosy starca tesame gromy, jakie na niego myślał że rzuca poeta, kiedy je pisał. I byłże jaki, choćby też najmniejszy powód do tego wszystkiego? To już polega na czystym urojeniu! Nie widzę potrzeby rozwodzić się nad samym spiskiem koronacyjnym, który tu stanowi główny przedmiot. Byłto... pierwszy w nieskalanych jeszcze wtedy dziejach naszych, szalony — na szczęście nie czyn, lecz tylko czynu zamiar. Co o nim nasz autor włożył w usta Prezesowi sprzysiężonych, co u Garczyńskiego mówi przeciw tej robocie „Nieznajomy“, uważany przez tamtego poetę w skutek dziwnego pomieszania pojęć równie za wroga dobrej sprawy, jak nim jest u Słowackiego Niemcewicz: — wystarcza to zupełnie

do ocenienia i moralnej projektu tego wartości i nawet praktycznej jego pożyteczności w bezpośrednich i dalszych skutkach. Tego jednego wszelako milczeniem tu pominąć nie można, że choćby tam sobie zresztą każdy rozumiał o tych zamysłach z r. 1829, co mu się żywnie podoba: to w każdym razie wmieszany tu w nie został Niemcewicz — co się zowie, jak Piłat w credo. Nie miał on z niemi nic zgola do czynienia! Że plany te speliły na niczém, temu Niemcewicz nie winien! — jedynym tego powodem był brak energii i odwagi, kiedy nadeszła chwila działania, u samych autorów tego projektu.*)

Śmiało zatem powiedzieć można, że cała ta część Kordyana wypadła jak najfatalniej. Autor nie znał faktów, a pozwolił sobie, idąc za utartym przykładem drugich, rzucić (niby to *pro bono publico*!) potępienie na starca, który całe życie poświęcił dobru narodu, a w mniemanej owej zbrodni żadnego nie miał udziału. Ironia losu zrządziła, że spotkało to właśnie człowieka, który z taką gościnnością przyjmował niegdyś w Ursynowie młodego autora Mindowy. Postąpił więc sobie z nim Słowacki gorzej jeszcze, jak Mickiewicz w Dziadach z jego ojczymem. Mogli sobie obaj podać teraz ręce do zgody: krzywda nie powinna boleć takiego, który ją i sam drugim lekkomyślnie wyrządza. —

Rzuciliśmy ogólny zarys pomysłu, na którym zdaje się że miała stanąć cała budowa trylogii. Teraz powiedzmy zdanie nasze o części jej wykonanej, a mianowicie o samymże bohaterze utworu.

Na tle wieku, z góry potępionego za karłowatość i niejako wskazanego na to, żeby w dziejach minął bez wieści, stworzył poeta postać, która przerasta małość duchową ludzi tych generacji, i czuje nędzę takiego życia, i pragnie je czém wznioślejszém zappełnić, i rzuca się z jednego kierunku w drugi... ale klątwa wieku położyła znamię swoje i na tym duchu. Jestto natura głębsza, ale chora na duszy; jestto entuzysta, ale bez charakteru;

*) Bliższe szczegóły o tém wszystkiém podaje w dziele swoim Mochnacki.

jestto bohater, ale o słabych nerwach. Reszta tłumu — najszcześliwsza z tego kału, w którym brnie — nie żąda i nie chce od nikogo poświęceń. Ani rozumie, ani też nie popiera wysiłku podobnych ludzi. Tym—braknie znowu tej siły, przelania swego zapалу w ogół. Gore tedy cały ogień w ich własnem wnętrzu, gore płomieniem jaskrawym, ale racowym: to też nim jeszcze nadejdzie godzina — cała moc ducha i ciała u natur takich zwęgła się w popiół.

Kordyan Słowackiego łączy w sobie prawie wszystkie znamiona wielkości. Wzgarda życia, gotowość do ofiar, żądza sławy, dzielność i duma szlachetna — sąto niezawodnie warunki niezbędne człowiekowi mającemu pchnąć społeczeństwo nowymi tory. Pomimo tego wszystkiego, odsłonił w nim umyślnie i z całą świadomością poeta także i własności ujemne, niedostatki, dla których one zarody wyższości w duchu Kordyana nie dopełniają się do rozmiarów prawdziwej wielkości charakteru, na jaki się niby zanosi. W ogóle jest coś spaczonego, jest i coś z sobą sprzecznego w tym duchu. Szuka on pola szerokich działań i nie wzdryga się przed żadnymi trudnościami: a w każdej jednakże sprawie hamują go jakieś pęta, staje mu na przeszkodzie jakaś siła, której nie zwalczyć. Te pęta, ta siła jemu na przeszkodzie stojąca — one wynikają głównie z niego samego. I w tém też właśnie tragiczność jego zawodu.

Jedną z głównych takich ujemnych własności w charakterze Kordyana jest melancholia. Melancholia ma to wspólnego z refleksją, że jak jedna tak druga, jeśli przemożnie i wyłącznie opakuje człowieka, zabija w nim wszelką zdolność do ostatecznego działania. Hamlet Szekspira przez ciąg całego dramatu morduje się ze skrupułami bezdenną jakiejś refleksji, i przeto właśnie nie dochodzi wcale do powzięcia żadnego postanowienia. Podobnie ma się rzecz z melancholią. Komu się smutek wpije aż w samą rdzeń serca i zamieni w drugą u niego naturę: takiego człowieka dzielność duchowa jest jakby znurtowana. Każde silniejsze wstrząśnienie wystarczy, aby odsłonić niemoc na zewnątrz takiej wiecznie w sobie tylko pracującej natury.

— „Wierzcie mi, wierzcie ludzie! jam jest wielki, mocny“ —

mówi Kordyan w chwili najwyższego zapалу do sprzysiężonych, w scenie owych narad prowadzonych w podziemiach kościoła. Kładzie mu poeta wszelako w usta natychmiast takie słowa, które to zapewnienie potężnie ograniczają:

„Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczym —

Robak smutku mnie gryzie... tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać — i usiąść i zalać się łzami!...“

W ogóle zdaje się, że było zamiarem Słowackiego okazać jakąś sentymentalną miękkość w naturze swojego bohatera. Kiedy na przykład już postanowił Kordyan wziąć na się wykonanie czynu, który zdaniem jego przyniesie dla ojczyzny zbawienie, ale dla niego śmierć: — widzimy go w owej chwili w takim oto usposobieniu:

PREZES.

„Na Boga, Kordyanie,

Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obląkanie —

KORDYAN.

To nie! stareze. To włos mi siwieje i boli —

Włos każdy cierpi — czuję zgon każdego włosa;

To nic. — Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli

I różę. — Potem spadnie łez rześzystych rosa,

To mi włosy ożyją. — Masz pióro przy sobie?

Chciałbym spisać imiona płaczących nademną.

Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie —

Ona — jak w grobie. — Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!

A szubienica będzie pomnikiem grobowym“ itd.

Jestto prześliczne miejsce i niezawodnie jedno z lepszych w dramacie. Wątpliwości nie podlega, że takich rozpamiętywań zdolna być może tylko natura poetyczna, głęboko czująca, najidealniej szlachetna. Ale jeżeli to jedno pewne, to równie będzie pewnem i owo, że kto już tak fantazyjuje przed czasem, kto tak ze łzami rozbiera swoje poświęcenie, samotność i ofiarę, zanim jeszcze dzieła dokonał, i z takim usposobieniem przystępuje do rzeczy: ten jój pewnie nie potrafi dopełnić! Entuzjazm, serce, w ogóle władze duchowe będą go parły do czynu; ale ciało samo, fizy-

czość, nerwy rozigrane temu się oprą. A natenczas opadną go dokoła wspomnienia, widma, strachy jakieś w wyobraźni rozkołysanej wyległe... i taki zamęt powstanie w głowie takiego człowieka, że owo z taką niby pewnością siebie powzięte i zapowiedziane jego postanowienie niepodobna żeby się mogło skończyć inaczej, jak tylko w sposób tej sceny, co potem następuje w dramacie, w sposób mówię sceny 5tej aktu III (w przedpokoju komnaty carskiej).

Są i inne jeszcze strony w charakterze Kordyana, których nie podobna nazwać inaczej, jak chorobami wieku, a które i sam już autor świadomie odsłonił jako braki i niedostatki. Patrząc na człowieka tego z pewnego oddalenia, biorąc duchowy jego wizerunek w całości: każdy powtórzyłby do niego to co mu mówi spowiednik jego w więzieniu:

„Synu! powstań z prochu

I leć do Boga, ale przebacz światu!

Bóg cię wyrwa z lwiej paszczy i z lochu,

W którymbyś uwiądl naksztalt mdłego kwiatu“...

Zważywszy jednak na ten brak miłości ludzkiej, zdradzający się mimowolnie w wyznaniu Kordyana, które on składa spowiednikowi niby to w formie skargi, że nie ma nikogo na świecie, któremu by miał coś do przekazania.... że nikt z ludzi nie był dla niego przyjacielem; zważywszy na to, co mu Kordyan dalej oświadcza, iż słyszy jakiś głos tęskny w głębi ducha swojego, który

„Pamiętek woła i śladu na świecie:“

to w każdym razie niepodobna niewiedzieć i tego, że wiele w tej naturze jest niekonsekwencji i jak na bohatera narodowego, za jakiego on sam chciałby siebie uważać — nader drobnoucznych, acz zresztą wcale ludzkich i poetycznych nawet podnieciek. Jeżeli bowiem tacy mu obojętni ci ludzie, że nie obdarzył ani jednej duszy na świecie imieniem przyjaciela, to jakież tedy źródło zamierzonych jego poświęceń? Na cóż mu też w takim razie ów ślad na świecie, którego koniecznie pragnie? i dla kogoż te pamiątki, które by rad pozostawił po sobie? — A nadto: czy to też tylko świat jedynie temu winien, że Kordyan na nim nie

miłego dla siebie nie pozostawia? Czy się Kordyan usilnie starał zasłużyć sobie na to, na brak czego się teraz skarży? Czy Kordyan żył w świecie? czy w nim żył w taki sposób, że zasłużył na miłość ludzką? Czy ludzi poznał? Czy to potępienie, jakie na nich wszystkich ryczałtem rzuca, nie płynie też więcej z jakiegoś dumnej, choć bardzo może poetycznej fantazyi, aniżeli z rzeczywistego doświadczenia?...

Wszakże słyszymy w téjże samej scenie i następujące oto jeszcze z ust własnych jego wyznanie:

„Gdybym był wiedział, że tak bez powrotu

Ziemię zegnałem: przed chwilą odlotu

Patrzyłbym na świat innemi oczyma —

Dłużej, ciekawiej, a może ze łzami; —

Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami

Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!

Może dźwięk jaki nowy struna daje,

A jam nie słyszał! — Czegoś mi nie staje!“ itd.

Powyższa analiza natury, stawionej jako główna postać tego dramatu, okazuje w niej zatem z jednej strony niezawodnie szczytny i wyjątkowy fenomen w dzisiejszym społeczeństwie; z drugiej strony jednakże jest to i fenomen patologiczny, wizerunek choroby wieku. Że się czasy nasze zdobyć nie mogą na prosty, mniej czuły i poetyczny, ale zato zdrowy w sobie a potężny organizm, ale wydają w najlepszym razie tylko takich Kordyanów: — w tém całe nieszczęście obecnego stulecia! Słowackiemu zaś poczytuję to za zasługę, że z pewną świadomością wprowadził w dzieło swoim typ taki. Garczyńskiego Wacław jest chorośliwy w wyższym daleko stopniu, a poeta tego nie widzi.

Wszystko, co dotąd się powiedziało, stosuje się do Kordyana, jakim go widzimy w akcie IIIim. Ta też właśnie tylko część dzieła i zasługuje na rozbiór i wytrzymuje go. Ona sama jedna stanowi tutaj wszystko. Pierwszy i drugi akt — są to tylko przystawki, niezawodnie szczątki dawniejszych planów, na wiosnę (1833) powziętych, a jesienią odrzuconych. Powleka je

jeszcze w całej sile ów koloryt złe pojętego bajronizmu, jaki znamionuje dawniejsze Słowackiego roboty. Z artystycznego punktu widzenia węzeł ich z właściwą sztuką jest zgola luźny. Przy małej zmianie jednej i drugiej sceny Aktu IIIgo, mogłaby się zupełnie obejść architektura tego dramatu bez tych skrzydeł psujących tylko proporcję. Autor zdaje się, że dlatego tylko pozostawił je przy zrębie nowej budowy, ponieważ chciał dać czytelnikowi spojrzeć na rychlejsze koleje życia swojego bohatera. Miało to wyjaśnić tę całą stronę patologiczną charakteru Kordyana. Powody niedostatków w jego charakterze upatrywał autor w jego przeszłości w nienaturalny sposób przebytą; daje tedy klucz w rękę czytelnikowi do rozumienia tego wszystkiego.

W akcie więc pierwszym spotykamy się z Kordyanem w jego 15 roku życia. Widzimy go — przynajmniej powiada on to o sobie — cierpiącego bardzo! Cierpienia jego jednak nie wzbudzają najmniejszego współczucia. Jestto dziecko w karykaturze, przeżyte, strawione czcząsią życia jak starzec, paniątko jakieś, ze psute widać próżnowaniem i otoczeniem. Leży sobie oto wygodnie pod wielką lipą na dziedzińcu swojego dworu i marzy... o czém? — o świata tego marnościach!! Już patrzy na rodzaj ludzki z piętra, jak geniusz; gardzi tłumem (wyraz w takich razach nieunikniony), i żali się, że nie widzi celu życia przed sobą.

„Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!

Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiedłych liści!

Celem uczuć — zwiędnięcie; głosem uczuć — szumy

Bez harmonii wyrazów. — Niech grom we mnie wali!

Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali“... itd.

— Nadaremnie mu stary sługa, dawny wiarus napoleoński, prawi o wielkich swojej młodości wspomnieniach. Kordyan ciekawie go słucha, czasami wyznaje sobie:

„Wstyd mi! starzec zapala we mnie iskrę ducha.“

Ale ta iskra płomienia w nim nie wydaje, bo młodzieńszek już zbyt jest mądry, żeby w co dodatniego wierzyć.

„Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.

Z wyniosłych myśli ludzkich, niedowiarka okiem

Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.“

Główną zaś przyczyną tej całej biedy jest, że się małoletnie paniątko kocha.

„Jam się w miłość nieszczęsną całym sercem wsączył!“...

Przedmiotem tej miłości, dlatego nieszczęsnej, bo niewzajemnej, jest Laura, osoba starsza nieco aniżeli kochanek, która go też za dziecko — zresztą wiele obiecujące uważa i jako takie traktuje. Ta Laura, jestto znana nam już z pierwszego rozdziału panna Ludwika, a Kordyanem w tym Akcie jest nie kto inny jak Julek Słowacki z czasów wileńskich. Rzeczywiście, cały ten akt, jakoby około jedyniej osi obracający się około miłosnego stosunku rzeczonój pary, jest to tylko parafraza dramatyczna odpowiedniego ustępu owiej „Godziny Myśli“, w której autor swoją własną młodość opisał. Wiersz ten łączy się tak bezpośrednio z aktem Iszym Kordyana, że początek tego ostatniego byłby nawet niezrozumiały, gdyby go nie był tamten utwór poprzedził. Godzina Myśli kończy się tym czterowierszem:

„Oto jest romans życia, niesklamany niczém —

Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,

A drugie z odwróconém na przeszłość obliczem

Rzuciło się w świat ciemny! — Powieść nie skończona.“ —

Kordyana zaś początek taki:

„Zabił się młody. — Zrazu jakaś trwoga

Kładła mi w usta potępienie czynu,“ itd.

Kto się zabił? — tego by się czytelnik wcale więc z Kordyana nie mógł domyślić, gdyby nie było wskazówki ze strony tamtego poematu, że mowa jest o przyjacielu owym poety, o Ludwiku Spitznaglu, który z melancholii sam sobie życie odebrał.

Wkładając w ten sposób autor w opowieść dziejów Kordyana ustęp z własnej swojej przeszłości, nie zamierzał przeto bynajmniej pod przybraném imieniem przedstawić w dramacie siebie samego. Chciał on tu tylko dać wizerunek młodości spędzonej nienaturalnie i tak niefortunnie, że z niej jak z fałszywego punktu wyjścia snuć się już musiał i dalszy wątek życia bezładnie. Więc podłożył bohaterowi swemu żywcom historią własnej swojej młodości, nad którą nie przypuszczał, żeby być mogło coś jeszcze jaskrawszego.

W akcie drugim Kordyan już jest dorosłym. Jak się zdaje, przeboleł on już zawody, jakich w pierwszej wiosnie wieku doznał w skutek owych melancholii miłosnych. Wyleczony zupełnie on jednak z tego wszystkiego nie jest. Szuka tedy zdrowia duszy pod różnemi niebami. Spotykamy go wędrowcem to w Londynie, to gdzieś na skalistém wybrzeżu morza, to na Watykanie, to na szczytach gór szwajcarskich. Raz go widzimy rzucającego się w sam wir zbytku i zmysłowej rozkoszy — to znowu błądzącego samotnie z Szekspirem w rękę, albo oddającego korny pokłon głowie kościoła. Kordyan szuka wszędzie leków na swoją słabość, szuka trwałości i prawdy w uczuciach, szuka ducha w pozornych formach, imponujących jeszcze ludzkości. Pragnie znaleźć choć w jednym świata zakątku ten kwiat piękności i prawdy, któryby odpowiedział jego złotym marzeniom, a zakrył smutną rzeczywistość z przed oczu. Nadaremnie! To co go miało uleczyć, staje się dla niego nową trucizną. Przekonywa się, że wszystko jest na ziemi przedajne, fałszywe, zewnątrz pozornym szychem posyite, a wewnątrz puste i martwe...

„Próżno myśl geniusza świat cały pozłaca,

Na każdym szczyblu życia rzeczywistość czeka.

Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,

Co zbiera chwast po skalach życia — Ciężka praca!“

Owoż więc straciwszy siłę ducha do reszty w tych wędrowkach pomiędzy ludźmi w dalekim świecie, rzuca się wreszcie w objęcia natury, natury dziewiczej, niepokalaniej, dzisiaj jeszcze takiej samej, jaką kiedyś wyszła z rąk stwórcy. To jeszcze piękność — jedyna, ostatnia dzisiaj piękność w stworzeniu! Wspię na się na sam wierzeh najwyższej góry alpejskiej, ze szczytu jej ogarnia okiem cały widnokrąg. I w tej czystej atmosferze owianej wonią lepszych wieków, w atmosferze nie mającej żadnej wspólności z tym kałem technienia, jakim oddychają zaludnione niziny ziemskie, zapala się w nim pragnienie zużytkowania tych ostatnich niestety szczątków już życia na pożytek czegoś dodatniego na świecie.

„Uczucia po światowych opadały drogach...

Gorzkie pocałowania kobiety — kupilem!

Wiara dziecinna padła na papieskich progach —

Nie — nie — nie — aż w powietrza błękiecie

Skapałem się i ożyłem

I czuję życie!“

„O! gdyby tak się wdrzeć na umysłów górę,

Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie

I przebić czołem przesądów chmurę

I być najwyższą myślą wcieloną!

Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!

Pomyśleć tak — i nie móc? w szmaty podreżono!

Nie móc? to piekło!

Mogę — więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!“

W takim usposobieniu — natchniony, porwany — ale tylko uczuciem i zapałem — nie woła ani też konsekwencją dawniejszego żywota, powraca Kordyan do kraju i rzuca się w wir czynów. Z winy własnej i z winy okoliczności, wśród zawodu — upada...

Działania jego, od tej chwili poczynszy, zamyka w sobie akt trzeci. Rozbierać go szczegółowo nie będę. Wystarczy tylko nadmienić, że jeżeli gdzie, to właśnie w tych kilku scenach, które odtąd następują po sobie, okazał Słowacki tyle świetności i potęgi prawdziwego talentu dramatycznego, że tylko dziwić się można, że nie zajął w późniejszych swoich pracach odpowiedniego takim początkom miejsca w tym rodzaju poezji. Dramatyczne jego pisma później wydane ani siłą, ani przedmiotowością, ani wreszcie samą artystyczną dzielnością nie dorównują już tym kilku mistrzowskim scenom, tworzącym dzieła tego aktu trzeciego. W ogóle jestto część utworu, którą pod względem artyzmu zdaniem mojem liczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Rok 1834 i 1835.—Wiara w przeczucia. Śmierć babki.—Eglantyna. Przykrości wygnania dają się czuć pod każdym względem. Smutne usposobienie. Skromne życzenia, bez nadziei ich osiągnięcia. — Wieczorki genewskie. Prace i studia: Filozofia — Biblia — Georges Sand. Wallas — Mazepa — Balladyna — Horsztyński. — Lepsze chwile — Nowa znajomość — Marya W. — Podróż w miłym towarzystwie i dalsze z tego następstwa. — Rozezarowanie — trzy miesiące samotnego pobytu w górach. Przesilenie i nowe ideały. „W Szwajcaryi“ — Anhelli.

Do liczby rzeczy, nad zbadaniem których tysiące już sobie głowy łamało, a które pomimo tego na zawsze pozostaną zagadką dla filozofów i niefilozofów, należy niewątpliwie i pytanie, czy człowiek zdolny jest samym instynktem odbierać czasem wrażenia z zdarzeń, które dopiero w przyszłości spełnić się mają? Psychologiczną tę wątpliwość rozstrzygnąć dlatego prawie jest niepodobno, że nader trudno jest zebrać rzetelne w tej mierze fakty. Przypadek odgrywa tu wielką rolę. Co zaś najgorsza, to że najczęściej się zdarza, iż ci którzy dzielą wiarę w przeczucia i radziby zapewnić tej wierze jak najszersze między ludźmi rozpowszechnienie, sąto albo mistycy, którzy sobie roją że niestworzonych rzeczy doznają, albo oszuści, którzy wprost kłamią dziwy nadprzyrodzone. Bądź jak bądź — przeczyć temu jednak nie można, że zdarzają się niekiedy natury, natury za zwyczaj fizycznie wątłe i z zarodem pewnej chorobliwości w sobie, a zato duchowo więcej rozwinięte, niż ogół: którym wyjątkowo dany jest ten dar przeczuwania zdarzeń dopiero nadejść mających. Że zaś do nich należał i Juliusz Słowacki: tego możnaby na podstawie jego ko-

respondencyi dowieść najpozytywniej. Prawie każde nadchodzące nieszczęście, czy to w rodzinie czy dotyczące kraju, sprawiało w jego umyśle jakąś nieopisaną trwogę, z której sobie nie umiał zdać sprawy przed czasem. W listach jego pełno na to dowodów, że wysyłane do niego doniesienia o zgonie czyim w rodzinie zastawały go prawie zawsze, czy to przez sny szczególne, czy bezpośrednim instynktem przygotowanego na to, że się dowie o czémś bolesnym. Słowacki sam zastanawiał się nieraz nad tém swoim usposobieniem. Nie umiał go sobie wytłumaczyć, ale wierzył w przeczucia i często też w dziełach swoich (zwłaszcza za życia niewydanych) zastósowywał artystycznie ten wypadek spostrzeżeń zrobionych na sobie samym.

„Prawdziwie, że to jest coś niepojętego — ta magnetyczna władza przeczucia (pisał był z Paryża jeszcze *) przypominając sobie, co się z nim, bawiącym wtedy w Londynie, działo w nocy przed dniem 15 sierpnia 1831, dniem tak posępnie zapisanym w dziejach listopadowego powstania). Gdy dnia tego zszedłem na śniadanie, Anglicy mnie dopytywali się o przyczynę pomieszenia. Odpowiedziałem im, że musiało się stać coś smutnego w mojej ojczyźnie, i Anglicy śmiali się ze mnie. A ja tryumfowałem, kiedy w dni 15 nadeszły gazety; i Anglicy patrzeli na mnie, jak na człowieka obdarzonego władzą drugiego widzenia Szkotów.“

W jesieni r. 1833 zakończyła życie po kilkodzienniej chorobie babka jego w Krzemieńcu. Juliusz nic nie wiedział o jej słabości; a jednak przez cały ten czas dręczyło go i w tym razie jakby widmo jakieś ciągle mu zaglądające w oczy.

„Niespokojność jakaś dręczy mnie ciągle... Często zatrudniony czytaniem albo jaką cichą pracą, wstaje nagle; jak waryat chodzę z myślami, od których odpędzić się nie mogę. Ta niespokojność prawdziwie ma jakąś twarz ludzką i bladą, którą widzę nieraz nagle wyrastającą z kart książki, którą czytam, i nie rozumiem książki.“ —

Stan ten duszy przypisywał on wtedy tylko melancholicznej swojej skłonności. Wyjątkowo nie przypuszczał tym razem wcale, żeby mu to zwiastowało jaką smutną wiadomość. A takowa już była w drodze do niego!

*) d. 4 października 1832 r.

„Niespokojność ta (pisał dalej w tym samym liście) często jak jakaś gorycz odbiera nagle smak pokarmom, które do ust niosę. I muszę z nią walczyć, jak z domowym wrogiem. Dziwnie to, że imaginacja moja jest jedynym źródłem wszystkich moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi!.. Bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków. Szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę — każdego ranku, kiedy chodzę po suchych liściach w ogrodowej alei. Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tutejsza jesień. Dotąd czas najpiękniejszy — słońce świecące na wypożółkłych drzewach, zdaje się być bardziej złociste i piękne. Murawy zachowały tu dotąd smaragdową barwę. Kilka dni temu o południu pływałem czolnem po jeziorze. Wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło... tak równe, że kiedy koło mnie przepłynął z daleka parowy statek, w kwadrans potem widziałem zbliżający się fald czarnej rozbitej kołem parnego statku wody — fald ten posuwał się zwolna — wspaniale, i czolnem mojem lekko zakolysał — przeszedł, popłynął dalej — a czolno znów stało nieruchome na zwierciadle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone, nad brzegami w oddaleniu topole żółtym liściem okryte, jak złote kolumny — wiele drzew zielonych — wiele białych domków i pałacików, a za tym brzegiem Mont-Blanc biały — świeżym śniegiem z przyległemi mu górami okryty — podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu sybirskiej krainy. Wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać!“ (z listu z d. 27 października 1833).

To też był poeta nasz smutny bardzo całej owej jesieni i przez ciąg zimy, która po niej nadeszła. Do drugiej zaś alternatywy, jaką postawił, do zakochania się w kim — nie przychodziło! Zdaje się wprawdzie, że był on przedmiotem tkliwszych uczuć dla osoby, która go widywała codziennie. Chociaż jednak może on był kochany, to jednak za to wzajemnością jej nie odpłacał. Jeżeli zaś odpłacał, to tylko chyba przywiązaniem brata. Czasem wprawdzie zdawało się, jakby się już zanosilo i na coś więcej. Na tej jednak tylko nadziei miłości kończyło się wszystko u niego!

„Fundusze moje uszczuplają się — pisał 3 stycznia 1834 r. — rzucę Genewę i pójdę gdzie żyć w wieśniaka szwajcarskiego domu. Był piękna naturą otoczony — nie

dbam o zwierzęce wygody życia! Dziś nawet, Mamo moja, gdybyś mi szczerze napisała, że interesa nasze wymagają tego, dziś nawet skuteczniłbym ten projekt cichego życia w górach. Albowiem nie widzę w tém ani upodlenia ani śmieszności. Mówilem raz już o tym projekcie pannie Eglantynie — a ona ani się śmiała z niego ani go potępiała jak szaleństwo, i tylko mię prosiła, abym nie zapomniał, że ona mię uważa za brata, a matka jej za syna.“

Zajawszy ten stosunek przywiązanej do niego siostry, dzieliła ona szczerze wszystkie jego cierpienia. Lubiała często mówić z nim o jego matce, przypisywała się w listach, które on pisał do niej, i miewała też od niej listy. Nieraz mu powtarzała, że matkę jego kocha bardzo, że do niej pojedzie i będzie się jej starała syna zastąpić, a przynajmniej ulżyć jej, mówiąc jej o nim.

Owoż więc, co i Juliusza do niej coraz bardziej przywodziło. W tej mierze ciekawem jest, co pisał o sobie w czerwcu 1834, z powodu jej wyjazdu z domu na 5 tygodni.

„Panna Eglantyna wyjechała przed 5 dniami do Paryża, gdzie na nią jej wuj czeka i dziwy paryskie jej chce pokazać. Odjazd jej bardzo mi smutny — bo ona szczerze do mnie przywiązana — jak siostra — i bardziej może, niż siostra. Nie uwierzysz Mamo, jak smutny mi był ranek jej wyjazdu. Miała odjechać o godzinie 4 z rana, przyrzekłem więc, że ją o trzeciej obudzę; jakoż nie położyłem się spać i czytałem leżąc na kanapie do godziny 3ciej. Srebrne jakieś światło porankowe oblało drzewa i murawy ogrodu, przeszedłem przez pokoje i stukaniem do jej drzwi obudziłem ją. Ty wiesz Mamo, jaką pośpność ma w sobie chwila odjazdu. Ubrała się — wyszliśmy z domu przez rozwidniający się ogród — wschód słońca blaskiem złocił się — ptaszki śpiewały po drzewach i zimno poranku napępniało jakimś dziwnym elektrycznym drżeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórk, na którym staliśmy, czekając powozu. Z tego wzgórka widać było całe błękitne jezioro, za niem śnieżne góry, nad którymi wstawał ze snu biały Mont-Blanc. Eglantyna płakała jak dziecko — ja byłem takim, jakim mię często Mama widziałaś, z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia — każda taka chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którym całe moje smutne życie widzę w mieszanych kolorach. Zaszedł wreszcie powóz — wsiadła do niego — a ja zostałem sam je-

den — jak słup na zielonej murawie — patrząc na ozłoczone niebo. W kilka chwil potem weszło słońce — naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi i wahały się — przelewały się — aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. O godzinie 5ej wróciłem do siebie — pozamykałem okienice i dziwnie posępnego wrażenia doznałem, widząc na kanapie rozrzucone książki, które chwilą pierwój czytałem i które porzuciłem w nieładzie, idąc zbudzić pannę Eglantynę. Zdaje mi się, Mamo kochana, że ty pojmiesz, co było smutnego w tym powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin. Po wyjeździe Eglantyny smutno mi było bardzo. Ona miała nademną jakąś panującą władzę siostry. Kiedy mi list jaki zasmucił, jaka wiadomość zła zgryzła — ona umiała z twarzy mojej wyczytać smutek i zawsze jęj się musiałem wyspowiadać — a po spowiedzi lżej mi było.“

Po jęj odjeździe czuł Juliusz więcej jeszcze, niż kiedy, jednostajną samotność swego życia. Nic mu nie dolegało, było mu — jak się wyraża — dosyć znośnie na tym świecie; a jednak zdawało mu się, że żył przez ten miesiąc jak kwiat, na jednym miejscu — tąsamą rosą i tęsamém słońcem — dziś jak wczoraj — jutro jak dzisiaj... Jedne tylko listy, które do niego Eglantyna podczas tęj podróży swojęj pisywała, „listy długie i miłe,“ urozmaicały mu trochę tę jednostajność czasu.

„Przynajmniej — powiada — w godzinę nadejścia poczty oczekiwałem czegoś; gniewałem się, kiedy pocztylion z pustemi rękoma przeszedł koło domu, i znów nadzieję obrałem na jutro. Nie myśl, kochana Mamo, żeby te listy przynosiły mi nadzwyczajne szczęście. Oczekiwałem każdego, jak małej jakiejś nowości. Karmię się już tylko teraz ułamkami, czyli oblankami uczuć i szczęścia.“ (dnia 13 lipca 1834).

Ta trudność, ta jakby niemoc wzbudzenia w sobie silniejszych uczuć, pomimo że się w owych latach tyle osób, godnych może aby wywołać takowe, przesunęło około niego, było nieraz przyczyną, że Słowacki był sam ze siebie niekontent.

„Na jednym wieczorze w domu jednego z panów włoskich tańcowaliśmy. Widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły, na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już nigdy kochać nie będę. W mojęj głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogro-

mnęj miłości, niepodobne do osiągnięcia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami, jak wróble i bawią się. Czasem im zazdroszczę“... (d. 5 lutego 1835).

Podobnie niezapelnioną próżnię czuł w sobie Juliusz i ze strony innego jeszcze uczucia — przyjaźni. Miał on, w Paryżu jeszcze mieszkając, dwóch ukochanych przyjaciół. Jeden z nich atoli umarł, drugi późniejszém postępowaniem swojęm okazał, że nie zasługiwał na zaufanie niczyje. Za przybyciem do Genewy, nie żył poeta ściślej już z nikim.

„Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, (pisał dnia 18 grudnia 1834) nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie.“

Wprawdzie bawiło wtedy w Genewie, w różnych czasach, nieraz po kilku młodych Polaków, z którymi niekiedy się widywał Słowacki. Warto tu na przykład wspomnieć o wiejskiej uczcie, którą mu razu pewnego wyprawili jego rodacy, w sam dzień imienia jego matki, w r. jeszcze 1833.

„Imieniny twoje, Mamo, musiałem wczoraj obchodzić ze znajomymi. Chłopcy młode przyjechali po mnie o godzinie 10tej z rana i powieźli z sobą na obiad — na wieś, pod góry genewskie. Było nas kilkunastu. Kiedyśmy jechali — chmury czarne snuły się po niebie — sam tylko Mont-Blanc biały świecił się od słońca, jak posąg Sybiru. Potem deszcz lunął rześisty — ale po deszczu najśliczniejsza tęcza rozwinęła się nad nami. Wszystko to poruszyło aż do głębi serca nasze — w tęj tęczy widzieliśmy jakąś wróżbę. Zasiadliśmy do stołu, jeść nie wiele znaleźśmy mogliśmy w wiejskiej oberży, ale szampan wszystko wynagrodził. Na prośbę kolegów pierwszy raz improwizowałem, i domyślicie się, że ta tęcza była treścią mojęj ody. Koledzy klaskali w ręce, a potem ściskali mię ze łzami — a potem pili moje zdrowie; a kiedy im powiedziałem, iż Ty Mamo, nazywasz się Salomea — pili twoje zdrowie. Najbardziej rozczerwieniona była chwila, kiedy po różnych pieśniach zaintonowaliśmy wszyscy pieśń: Święty Boże! święty mocny — święty nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami! Ten hymn kościoła naszego nieraz mię do płaczu pobudzał — a w tęj chwili miał w sobie coś ogromnego... Młodzi, około stołu oparci na dłoniach, podobni byliśmy do dawnych ojców naszych. Wystawcie sobie tę garstkę na obcej ziemi, a pewnie uczujecie wrażenie, ja-

kiem nas natchnęła ta pieśń pobożna. Nasze uczty połączone są ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach, i kielichy są pełne goryczy, dopóki Bóg ich od nas nie odwróci.“ (z listu z d. 30 listopada 1833).

Takie poważne a miłe jednak chwile, w towarzystwie ziomków spędzone, były wszelako rzadkimi zdarzeniami w posępnym życiu wygnańca. Nie mogły mu one zastąpić tego, czego pragnął najwięcej. Zresztą przy podobnych okolicznościach powiększało się tylko koło jego znajomych. Imieniem przyjaciela — przez cały ten czas spędzony w Szwajcaryi, nie obdarzył Słowacki z nich żadnego.

„Nie mam teraz nikogo, coby mi najmniejszą chwilę życia skrócił przyjazną rozmową — nikogo, coby mi przyjaźnie rękę ścisnął. Wina to mego odludnego życia — wina miejsca, w którym żyję; наконец mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego, i znaleźć nie mogę. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakimś cichym klasztorze. Dlaczegoż nie dał mi tej mistycznej pochodni, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności?“ (d. 5 lutego 1835).

„Ludzie mnie trzymają za żelazo — bardzo zimne! Wszak pamiętasz Matko, że jeszcze na Julka dziecko mówiono, że dumny. To wina mojej twarzy — i Boga. Zdaje mi się, że Bóg miał włożyć kiedyś moją duszę w orla, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wichur obrywa mu pióra; co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam — patrzy na słońce! Szkoda, że nie poszedł stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic! Takby mi dobrze było ze skrzydłami — i z jękiem ptaka w piersiach! Trzeba zniżyć lot“ ... itd. (d. 30 czerwca 1835).

Dawniej — w pierwszych latach młodości i nawet jeszcze w Paryżu, kiedyto wydawał pierwsze tomy swoich poezyi — zapalała go nadewszystko myśl sławy. Nadzieje jego, na tej podstawie oparte, nie miały granic! Zdawało mu się, że warto wszystko, co człowiek nazywa szczęściem na ziemi, poświęcić temu jednemu ideałowi; albowiem sława wszystkie rodzaje szczęścia w sobie zamyka i jest już sama przez się szczęściem najwyższem. Zwolna, w latach dalszych, o których teraz mówimy, zaczęły

się przed oczyma poety rozplýwać coraz bardziej w nicość ułudy tego marzenia. W miarę im się więcej zbliżał do sławy, tem się bardziej przekonywał, że w niej nie znał tego wszystkiego, czego się dawniej od niej spodziewał. Nęciła go ona wprawdzie i teraz jeszcze. Kiedy patrzył, jak w r. 1835, na małej jednej wysepce genewskiego jeziora, stawiano pomnik dla Russa, wobec całej ludności miasta zalegającej brzegi jeziora, przy nieustających wystrzałach z armat: wtedy w chwili, gdy wkładano złoty wieniec na głowę posągu tego wielkiego pisarza, łzy mu się polały z oczu. Właśnie tego samego dnia z rana był on otrzymał wiadomość z kraju, że jego Kordyan z powszechnym zapalem został przyjęty w Krakowie. Ta okoliczność tem bardziej go nastrojała do rzewnego udziału w całej owej uroczystości ludowej. Nie mogła się nie zrodzić myśl w jego duszy, że kiedyś... i jemu może które z miast jego ojczyzny będzie oddawało w podobny sposób dowody czci przynależnej... Uznania tego był Juliusz pewien. Wiedział jednak, że to nastąpi dopiero późno, kiedyś — kiedyś długo po jego śmierci! Wiedział, przeczuwał, że życie jego będzie już do końca takie smutne, jak dotąd, i że on zostanie na zawsze taki samotny pomiędzy ludźmi.

„Tak się już teraz ograniczyłem w moich żądaniach, że żadne błyszczące marzenia nie śmieją klócić moją spokojności. Inaczej to było, kiedy byłem jeszcze dzieckiem! Pamiętam, że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia, bogactw i sławy obrazy. Niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojej bujającej myśli. Żał mi dziś nieraz, że ta władza marzeń zagasła we mnie. Jedyna myśl mię teraz pociesza w życiu — oto zdaje mi się, że jestem tem, czem być powinienem. Zdaje mi się, że nie minął mego powołania, że zapelniam sobą jedną małą kratkę na świecie.“ (d. 6 czerwca 1834).

„Czasem chodząc po alei ogrodu przy świetle księżyca, mam jakieś uczucie samotnej dumy, które mię pociesza. Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie; a kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły leżące po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniósą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrócie“... (d. 5 lutego 1835).

Jakże odbijała od tego posepnego obrazu, w którym on sobie teraz swoją przyszłość malował, jasna, pogodna, prawdziwie sielska dola najmilszego jemu ze wszystkich poety zygmuntownskiego, a nawet obydwóch Kochanowskich!

„Prawdziwą rozkoszą dla mnie są oba Kochanowscy. Codziennie odczytuję ich dzieła. Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swą chacie — z żoną — z dziećmi! Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać — i do tej lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroścę jego chaty — lipy — żony — dzieci — i czasów szczęśliwych, w których żył“... (d. 27 kwietnia 1834).

I Juliusz marzył często o podobnym kąciku własnym, o ustronną chacie takiej, w którejby żył bez troski o jutro, nie pytając się o świat dalszy, — byle razem z matką, od której rozłączenie tym bardziej coraz stawało mu się przykrejsze, że w tej miłości synowskiej, jak to sami widzimy, zamykały się wszystkie jego uczucia. Rzeczywiście matka zastępowała mu wszystko na świecie! Była to jedyna osoba na ziemi, którą gorąco kochał i w której miłość ku sobie wierzył. A Słowacki tak koniecznie potrzebował być choć przez kogoś kochanym! Gdyby nie ta matka, gdyby nie listy, które go do niej idealnie przenosiły, gdyby nie ta niewidzialna opieka, pod której skrzydła myślą się tulił: toby mu życie na tym samotnym wygnaniu było ciężarem nie do zniesienia, niepodobieństwem... Ileż on cierpiał, że do niej wrócić nie może, że jęj — zamiast pociech spodziewanych — zaprawił resztki życia goryczą, sieroctwem, osamotnieniem.

„Mamo moja! tobie Bóg nagrodzi za miłość twoją dla syna jakimś dziwnym i niewymownym szczęściem — Musiałem uspokoić i zatrzymać pióro, bo zaczęło pisać łzami“... (d. 5 lutego 1835).

... „Syn twój z daleka ręce do ciebie wyciąga i prosi cię, Matko, abyś mu przebaczyła, że cię tak samą na świecie zostawił, bez żadnych przyjemności życia, pomiędzy pomnażającymi się codziennie grobami rodziny. Mamo moja, czyśmy my starzy? czyśmy my przespali wieki lat, że tak nam wielu osób brakuje? Czy nas Bóg złączy kiedyś, dla tego abyśmy przed śmiercią mogli sobie powiedzieć, żeśmy żyli — abyśmy na zmienionych twarzach naszych wyczytać mogli to samo słowo: Żyliśmy. ...Matko moja, uśmiechnij

się! Niech Ci przyjdą wesole myśli — wesole marzenia! Wrócę kiedyś — a jeżeli nie, to znajdę sobie za granicą ładną — dobrą — może nawet bogatą żonę... Będę miał synów — córki; wybiorę najpiękniejszego z synów i przysięgam na twoje kolana. Tylko Matko odpędzaj go od książek, niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza Iliady zmarszczeniem brwi świat wstrząsnąć! Daj mu zimną Eneidę, której Julek częstym czytaniem nie podarł. — Niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci — niech nic nie zostawia po sobie, czego by mógł żałować“... (dnia 27 października 1833).

To były tylko myśli przelotne, wyrzeczone nie na seryo, — fantazyje, któremi chciał tylko matkę rozerwać i rozweselić. Daleko też częściej snuł on sobie marzenia, których celem ostatecznym był — nie powrót do Krzemieńca, ani też otoczenie się rodziną jako głową rodziny, ale tylko małeńki domek własny i matka w nim. Nieraz w listach powtarzał, że teraz głównym jego zatrudnieniem były marzenia, które się ograniczają do bardzo małej rzeczy, to jest do własnego byle gdzie domku.

„Chciałbym mieć coś swojego na tej ziemi, coś bardzo małeńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów, drzew i zieloności“...

Fantazyja jego już mu go malowała w gotowych kształtach. Miała to być chatka biała jak śnieg — z zielonemi okienicami, z czerwonym dachem — obsadzona różnobarwnymi malwami.

„Malwy są to moje ulubione kwiaty. Dziwnie, że je tak lubię, chociaż nie mają zapachu. Sądziłiby z tego ludzie, że jestem zupełnie nieczuły.“

Z tyłu, za domkiem, miało rość kilka jodeł i kilka brzoź drzących. Ścieżki byłyby wysypane żółtym piaskiem, i jaskółki gnieździłyby się nad gankiem. Wszystkoby w tej chatce było małeńkie, tylko salonik powinien być dosyć obszerny —

„abyśmy oboje mogli krażać i mijać się łatwo; gdyż lubię kwiaty, tak jak Ty Mamo, i tak jak Ty powziąłem jeszcze i zwyczaj chodzenia długiego w kółko po pokoju. Śmieją się nieraz domowi, widząc mnie krażącego jak gwiazda około marmurowego stołu po pokoju. Jedni myślą, że agitacy używam dla zdrowia, inni, że wiersze składam i komponuję; a to jest tylko familijny mój nałóg. Tak chodząc, najczęściej nie myślę o niczym, dogadzam tylko nie-

spokojności nerwów moich. — Kiedyż więc Mamo, obsadzi-
my mały nasz domek malwami? O! jakieby to szczęście
było!“ (d. 13 lipca 1834).

Cel życzeń był tedy sformułowany, gotowy. Chodziło tylko o
to, gdzieby osadzić na realnym gruncie ten obrazek w wyobraźni
zrodzony? Chodziło o rozstrzygnięcie pytania, w którym się kra-
ju zjechać i osieść? Tu mu się na myśl nasuwały różne punkta.
Lwów — Drezno — Kraków — którekolwiek z miast włoskich —
wreszcie Genewa, w której już mieszkał... Każda z tych miej-
scowości trzymała uwagę jego czas jakiś wyłącznie zwróconą na
się; po dojrzałszym jednak namyśle odsłaniały się trudności w pra-
ktycznym przeprowadzeniu projektu w życie, dla których niepodob-
no było ludzić się nadziejami. Klimat Krakowa wystawił mu ktoś
jako niestosowny dla jego skolatanego zdrowia.

„Wielu mi mówiło, że tam choćbym największe ostro-
żności około mego zdrowia przedsiębrał, dłużej nad miesiąc
nie mógłbym wytrzymać.“ (d. 28 września 1834).

Zresztą tak do Krakowa, jak do Lwowa lub wreszcie do
Drezna, okazywało się przeniesienie zbyt utrudnionem z powodu
okoliczności politycznych, które nad wszelkie wyobrażenie były
uciążliwe w tych latach. Wyprawa partyzancka do pewnych pro-
wincyi polskich roku 1833, której intencye i szczegóły dotych-
czas mało komu w kraju są znane, nie pozwalała ani myśleć o
wykonaniu projektów, jeżeli takowe dotyczyły powrotu emigranta
w te strony. To też wyraźnie do téjto okoliczności odnosi się Sło-
wacki, kiedy powiada:

„Nieszczęśliwe polityczne wypadki, do których się bynaj-
mniej nie mieszałem, nie pozwalają mi ani w prawo, ani
w lewo. Miejsce, gdzie teraz jestem, mogę w pewnym wzglę-
dzie za rozległe uważać więzienie. Nie pojmiecie tego, jak
nam źle, jak nigdzie przytulku nie ma“... (dnia 27 kwie-
tnia 1834).

Co się nakoniec tyczyło zamieszkania wspólnego we Włoszech,
albo też sprowadzenia matki do bardzo przyciśnionej drożyną
życia Genewy: — i takowe okazywało się przy bliższem rozpa-
trzeniu także niepodobieństwem, a to dla braku dostatecznych fun-
duszów. Majątek téj rodziny nie wystarczał na to, ażeby mie-
szkać mogli oboje w rzeczonych krajach.

Łudził się tedy biedny wygnaniec tylko przypuszczeniem je-
dnego jeszcze projektu, który równie był niepraktyczny, jak wszy-
stkie inne, chociaż miał więcej pozorów.

Mówiono mi o jednym domku w Dauphiné we Fran-
cyi, o kilka mil od Genewy. Domek ładnie umeblowany,
maleńki, wśród łąk, otoczony małą błękitną rzeczką, z ogo-
dem — słowem ładna mała pustelnia na pustyni. O pół-
czwarty mili od niej Lyon, miasto wielkie i największe po
Paryżu we Francyi. Domek ten możnaby, jak powiadają,
mieć za 10,000 franków, to jest za 18,000 złp. Prawda,
że ziemia przyłączona do niego nie prawie nie przynosi, bo
mały jest kawał téj ziemi; ale życie w tym domku byłoby
wcale nie drogie. Jakby mi tam dobrze było z Mamą! Na
zimę moglibyśmy jechać do Lyonu albo do Genewy, a sko-
ro tylko słońce dogrzeje, uciekalibyśmy do naszej chaty.
W około najpiękniejsze okolice — śliczne góry — po gó-
rach zamki, dawne i odnowione. W tych zamkach na lato
często przyjeżdżają i mieszkają panowie. — Powiedz mi,
Mamo, czy Ci się nie podoba ten projekt. Czy może my-
ślisz, że ja tak, jak Fortunat, zniechęciłbym się prędko
cichem i samotnem życiem? Tobie się może Mamo, wszy-
stkie takie projekta wydają romansowe i niepodobne do
uskutecznienia. Ale prawdziwie, że w tym wieku, gdzie
tyle jest oschłości i rzeczywistości zimnej w wypadkach, lu-
dzie szukają cichych schronień, jak dawniej szli do kla-
sztorów. Gdybym wiedział, że jest jaki sposób zgromadze-
nia i zebrania naszych funduszów, to mówiłbym Ci o tym
domku z jak najusilnijszém naleganiem. (d. 7 marca 1835).

Co matka na tę propozycyą odpowiedziała, nie wiem. Ale
i ten projekt upadł.

Wśród takich niepowodzeń, można sobie wystawić, co się
dziać musiało w duszy Juliusza, którego usposobienie skłonne
było do melancholii już z urodzenia. Sposępniał, zgorzkniał, zo-
bojętniał dla otaczającego go świata. Był w r. 1834 już zupełnie
innym człowiekiem, jak w roku poprzednim. Wtedy, wszystko
w Szwajcaryi było dla niego jeszcze nowością. Obudzało jego cie-
kawość, nasuwało nowe myśli, często nawet się podobało. Z ja-
kąż niecierpliwością oczekiwał on był wtedy przy nadchodzącej wio-
śnie przybycia owych wędrowców z najróżniejszych krajów do do-
mu Pani Patteg, których mu zapowiedziano na lato! Z jakąż

dokładnością malował potem w listach ich wizerunki! Była to jakby jaka zajmująca galeria najrozmaitszej szkoły obrazów, które nasz poeta studiował. Wrok jeden później nie miało to wszystko już żadnego interesu dla niego. Dom się zappełnił znowu nowymi figurami. Ale Słowacki zaledwie rzucił okiem na tych ludzi, którzy z nim żyli pod jednym dachem i zasiadali do jednego stołu. Nic prawie o nich w tym roku nie miał już do doniesienia matce. Wszystko, co o nich pisał, zawiera się w tych oto niewielu rysach:

„Wiele zamorskich figur przemija teraz koło mnie. Jaskółki angielskie rozpoczęły swój przelot na południe — i teraz dwie damy i jeden Anglik mieszkają w domu naszym. Nie możecie sobie wystawić, jak ci wszyscy wojażerowie są głupi, jak wszystkim czegoś nie dostaje! Jeszcze nie widziałem w domu naszym do rzeczy człowieka, ani przyjemnej kobiety. Z żadnym nie można mieć rozmowy interesującej. Wielu Anglików nie czytało Byrona! Inni o nim jak przez sen gadają. Cóż dopiero zapytać się ich o europejskiej literaturze! Damy dwie, które są w naszym domu, przesłizne z twarzy i z urody; ale już mię piękność ich gipsowa doskonale znudziła. Chciałbym, aby przez dzisiejszą noc zbrzydły, a nabrały dowcipu i przyjemności. Ale one zapewne nie chciałyby takiej metamorfozy.“ (dnia 6 czerwca 1834).

Nie zajmował się tedy żywiej niczem i nikim, nie bywał prawie u nikogo. Przez ciąg całej zimy ostatniej nie przyjął był żadnego zaproszenia na bale, bo go nudziły. Zaledwie dał się namówić pójść na kilka małych wieczorów, na których także nie szczególnie się bawił; główną bowiem zabawą, jak powiadał, było tam jadło i picie.

„O godzinie 7 zaczyna się kolacya — zasiadają damy i mężczyźni około stołu pełnego szynek, indyków zimnych z truflami i ciast cukrowych, któremi Szwajcarowie nad innymi narody celują, i przy takiej kolacyi trzeba siedzieć aż do godziny 11 czasem.“—

Po takiej heroicznej próbie cierpliwości i — apetytu, zaczynały się tańce, a pomiędzy nimi czasem i mazur. Ależ jak też tańczono tego nieszczęśliwego mazura!

„Dwadzieścia już z górą osób płci obojgę uczyłem z różnym skutkiem tańcować mazura, ale żaden mężczyzna

nie umie ani w takt biegać, ani à propos uderzyć w podkówkę.“ (d. 20 lutego 1834).

Owoż pojmie to pewnie każdy, że tryb taki spędzania wieczorów także nie przyczyniał się bardzo do zachęcenia naszego poety, ażeby więcej się oddawał towarzystwu, aniżeli samotności. A chociaż czuł, że takie wegetowanie, takie trawienie się w sobie samym nie może być dla nikogo korzystnym, i chociaż go matka za to strofowała w swoich listach, że nie żyje z ludźmi: rzeczy to wszystko jednak nie zmieniało. Odpisywał jój w takim razie:

„Czuję sam sprawiedliwość twoich Matko wyrzutów i co zimy staram się poprawić. Zaczynam wizyty — i znów odpadam w dawny grzech samotności. Widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie. Szczęściem to dla ludzi, że nie jestem niczem“... (d. 28 września 1834).

Teraz zwróćmy uwagę naszą na wewnętrzne życie poety—na jego zajęcia umysłowe, na to co czytał i co pisał w ciągu roku 1834.

Po napisaniu *Kordyana* oddał się przedewszystkiem studjom filozofii, i to głównie filozofii niemieckiej. Wpływu jój w piśmach jego wprawdzie nie widać; że był jednak czas, gdzie się nią dosyć zajmował, o tém wspomina w kilku ówczesnych listach do matki.

„Pracuję teraz ciągle — czytam bardzo wiele — rzuciłem się cały w filozofią niemiecką. Pomimo wielu czczych marzeń idealizmu, karmi ona moje imaginacyą.“ (d. 3 stycznia 1834).

Pomiędzy doręcznemi dziełami, które szczególnież rozczytywał, stawiał na pierwszém miejscu i „niewyczerpanem dla siebie źródłem pociechy“ nazywał pisma obydwóch Kochanowskich, i Biblią. Wzięcie do rąk pisma św. zawdzięczał przypadkowi. Oto ów misyonarz angielski, nazwiskiem Wolf, którego to w dość śmieszny sposób opisywał w przeszłorocznych listach swoich, jako sąsiada i prozelitę pracującego nad jego nawróceniem, zostawił mu na pamiątkę już na wyjeździe stary i nowy Testament, a

przyciem i kilka innych dzieł teologicznej treści. Tych Słowacki czytać nie myślał, ale za Biblią był mu bardzo wdzięczny. — „Ta księga, są jego słowa, każdemu człowiekowi w życiu towarzyszyć powinna.“ — Była ona oczywiście w języku angielskim. Słowacki postarał się niezwłocznie o pismo św. w polskim języku i już w lipcu (1834) donosił: „Do mojej polskiej biblioteki przybyła mi Biblia w naszym języku, którą często z rozkoszą czytam.“ — Z obcych poetów przenosił nadewszystko Szekspira i Danta. Od czasu, jak wyjechał z Paryża, zastąpili oni u niego miejsce dawniej zajmowane prawie wyłącznie przez Byrona. Z francuskich nowoczesnych pisarzy najwięcej uderzała go zaczynająca się właśnie w owych latach dopiero wsława Georges Sand.

„We Francji jest teraz nowa autorka, która wkrótce panią Stael zaćmi. Jestto rodzaj Byrona w spódnicy, to jest Byrona w prozie. Nie wiadomo dotychczas z pewnością, jak się nazywa, bo się ukrywa pod męskim imieniem Georges Sand. Ale pewnie jest kobietą. Niektóre dzienniki pisały, że się nazywa pani Dudevant. Napisała trzy romanse przesłiczne, ostatni dziwny i bardziej do poematu, niż do romansu podobny.“ (d. 24 marca 1834).

W tymże samym liście donosił także o własnym dziele, które miał wtedy pod ręką, a które było więc pierwszą jego pracą większą od czasu ogłoszenia *Kordyana*. Wzmianka ta tém bardziej jest ciekawa, że dzieło, o którym mowa, nie zostało wydane i nawet w pozostałych papierach doszukać się po śmierci poety nie można było ani śladu tego utworu.

„Ponieważ o wszystkich moich czynnościach donosić Ci zamierzyłem, otóż donoszę Ci Mamo, że teraz zajęty jestem pisanem nową tragedji o Wallasie, szkockim rycerzu. Wiesz, co mię do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą... Przypomniało mi się, że kiedyś w dzieciństwie, kiedyś mię Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz Wallasa życie“. Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie na moję imaginacyę. Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy — która Wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potem czytałem romans: *Les chefs Ecossais*. Mama wtenczas grałaś na fortepianie smu-

tnego niemieckiego walcia. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedji nie romansowo, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka; ale układając tragedję — i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walcia — aby koloryt wspomnień smutkiem napelnił moje karty. Tragedję tę poświęcę pamięci Jasia.*) Zobaczycie, że będzie jeżeli nie dobra, to przynajmniej niepospolita. Otóż widzisz Mama, że ja zawsze taki sam. Ciągłe układam kamiki na własny grobowiec — a życie puszczam mimo siebie. Wszystkie przyjemności życia mijają mię — i obchodzą kołem — mówiąc: nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy... O Mamo, ale ja jestem szczęśliwym — tak jak jestem; i czasem nie mogę zrozumieć, jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą! Zdaje mi się, że chleb, który spożywają, musi pachnąć nicością.“ (dnia 24 marca 1834).

Byłto zatem pierwszy plód zrodzony tego roku, owoc miesięcy wiosennych. Przez całe lato fantazja poety potem, jak zwykle, wypoczywała. Z jesienią — znalazło się znowu natchnienie i zrodziło w ciągu miesiąca października jeden z celniejszych utworów Słowackiego, znowu dramat — *Mazepę*. Okoliczności tworzącej powstaniu tej sztuki są opisane w następujący sposób:

„Wytańcowawszy się na jednym wieczorze (u pani W., Polki bawiącej wtedy z rodziną swoją w Genewie, — wieczór ten dany był w ostatnich dniach września), „wróciłem do domu, i jak na nieszczęście, ponieważ to zwykła pora roku, w której mię napada poetyczna kanikula już od lat czterech bez wyjątku, gdyż w tej porze rodzę zwykle, na-
zajutrz po wieczorze przyszła mi myśl jakaś do głowy. Myśl ta galopowała tak przez cztery godziny, że stała się długa na pięć lokciowych aktów. I nie dziw, że galopowała, bo też myślałem o galopującym Mazepie. Jakoż we dni kilkanaście napisałem tragedję, na której byś płakała Mamo, jeżeli nie po Mazepie, to po Julku. Mazepa ten jednak nie wygalopuje na świat tego roku, bo handel przecięty — i z książkami źle idzie. Więc będę cierpliwy — poczekam rok jeden, czy się spusty bibliotekarskie nie otworzą... Tym-

*) Jana Januszewskiego, wuja Słowackiego.

czasem niech Mazepa leży w tece; a jeżeliby mię wicher jaki zmiotł z tego świata, nim go wydaję, to proszę was i zaklinam, abyście się o ten plód u pani Patteg dopomnieli i wydali kiedyś na świat — nie zapomnijcie!.. Ale co ja bzdużę o wicherach zmiatających ludzi ze świata, kiedyś zdrów jak ryba — kiedy nawet krew, co mi nieco do głowy biła po napisaniu gwałtowno-krwawej tragedyi, Bóg łaskawy nie pijawkami, ale prosto krwotokiem z nosa sprowadził na dół — i nawet od lekkiego zapalenia takim prostym sposobem mię uchronił.“ (d. 7 listopada 1834).

Po napisaniu Mazepy, jednostajność i bezbarwność życia więcej się Juliuszowi dawała w znaki, niż kiedykolwiek.

„Nigdy jeszcze tak smutno nie przepędzałem zimy — pisał w liście z d. 18 grudnia 1834. Nie wiem, dlaczego, ale głębsza niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie... Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami moimi podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jednym miejscu — nakoniec znużony wywraca się i usypia pod kominem.“

Na taką słabość nie było lepszego lekarstwa, jak rzucić się w nową pracę. Tak się też stało.

„Całe dnie (pisał dalej w tymże liście) przepędzam w domu przy moim kominku — ale długie wieczory przez te dwa miesiące (od 18 października do 18 grudnia) trawiłem na pisaniu. Od kilku dni dopiero skończyłem moje prace, i teraz czuję jakąś odrętwiałość. Zdaje się, że przez ten czas natężone władze myślenia rozkręcają się teraz jak struny jakiego instrumentu — i za kilka dni powrócę do zupełnej ciszy zwyczajnego życia. To smutno! Już wieczorem żadne mary nie przyjdą mię nawiedzać — żadna idealna piękność nie uśmiechnie się do mnie! A tyle idealnych figur przeszło przez mój pokój, w ciągu tych dwóch miesięcy. Niektóre wyszły przez okna — inne spaliły się w żarze kominka — inne nareszcie zostały zasuszone w papierze, jak bratki, albo inne kwiatki niepełne“...

„W przeciągu miesiąca upłynionego napisałem nową sztukę teatralną — niby tragedją, pod tytułem Ballady na. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła, ta tragedia jest najlepszą, zwłaszcza że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nieznany ludzkiej stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny.

Zobaczysz kiedyś Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do stariej Ballady — ułożona tak, jakby ją gmin układał, — przeciwna zupełnie prawdzie historycznej — czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednak starałem się aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca... Nie mogę Ci tu dać kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności o mojej tragedyi. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którąś znajomą sztuką, to chyba z królem Lirem Szekspira. O! gdyby stała się kiedy przy królu Lirze! — Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami — i już tak jest od dwóch lat; im więcej się w obydwóch wezytuje, tém więcej widzę piękności. Mamo moja! jakże ja byłbym szczęśliwym, gdybym mógł z tymi dwoma umarłymi usiąść pod jakąś lipą albo dębem, przed moją własną chatą — w mojej rodzinnej ziemi — i marzyć — i pisać marzenia — i gwarzyć z tobą, kochana Mamo — i opowiadać Ci z zapalem plany moje poetyczne, tak jak niegdyś bywało. Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń. Jak dobrze Szekspir maluje ten stan w Richardzie II. Rycerz skazany na wygnanie ubolewa nad swoim losem i mówi: „Język mój będzie mi teraz niepotrzebny, tak właśnie jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Uwięziłeś język w ustach moich. Znadto już jestem stary, abym jak dziecię wziął znowu mamkę. Wyrokiem twoim skazałeś mię na bezmowną i niemą śmierć.“ — Te słowa zawsze czytuję z głębokim smutkiem“... (d. 18 grudnia 1834).

Z powodu że Mazepa i Balladyna powstały prawie w jednym ciągu i czasie, nastręczyło się autorowi mimowolnie porównanie tych dwóch utworów ze sobą. Wypadek porównania tak dalece był korzystny dla ostatniego dziecienia, a niepomysłny dla rychlejszego dramatu, że nie wiele brakło, a byłby to życiem przypłacił ów płochy pazik Jana Kazimierza.

„Zakończyłem moje zimowe prace (pisał dnia 5 lutego 1835), i z dwóch tragedyi jedna mi tylko została, bo jedną spaliłem w moim kominku. Mazepę taki smutny los spotkał. Druga zaś, Balladyna, jest moją faworytką, i będzie czekała, aż będę miał czem posmarować prasy drukarskie. Zdaje mi się, że mnie moi księgarze haniebnie oszukują, bo mi przestali posyłać rachunki i milczą jak krety w norze, czekając zapewne mojej osobistej wizyty. Prawdziwie, że nikomu na świecie zaufać nie można, a

mniej, niż innym, ufać trzeba ludziom, którzy nie mają pieniędzy. W tém położeniu jest jegomość, który się trudni moimi książkami. Cóż więc robić? Trzeba się spuścić na jego grzeczność i sumienie.“

Dla braku tedy funduszków nie drukował Słowacki nic zgola od czasu ogłoszenia Kordyana (1834) aż do r. 1838. Balladyna wyszła dopiero 1839. Poeta się wykosztował na publikacje swoje poprzednie, a koszta się nie wracały.

W obec stanowczego doniesienia powyższego o spaleniu Mazepy, nie wiedzieć, jak sobie tłómaczyć, że utwór ten jednak później wydany został. Albo go poeta w następnych czasach napisał powtórnie i lepiej, niżeli pierwszą razą; albo też miał wtedy tylko zamiar zniweczenia tego dramatu i donosił o zamiarze, jakby o rzeczy dokonanej, a później jednak wstrzymał się z dopełnieniem już zapadłego wyroku. Które przypuszczenie w rzecz trafia, niepodobno dzisiaj rozstrzygnąć. Mnie się atoli zdaje, że więcej ma za sobą prawdopodobieństwa drugie, niż pierwsze.

Obejmując teraz jednem spojrzeniem to wszystko, cośmy w powyższém opowiedzieli z osobna, widzimy, że przez cały ten czas spędzony w Genewie, skierowana była usilność Słowackiego głównie ku dramatycznej niwie poezyi. Kordyan (1833) — Wallas — Mazepa — Balladyna (1834) — oto dzieła bez przerwy następujące jedno po drugim, a same sceniczne. Rok 1834, smutny skądinąd w życiu Juliusza, nie był tedy pod każdym względem taki niewdzięczny. Owszem, w zawodzie autorskim — było to jedno z jego lat najświetniejszych; w każdym razie był to rok urodzaju, że tak powiem, był to rok trzech żniw...

W ciągu wiosny 1835 widzimy poetę zajętego jeszcze jedną nową, większych rozmiarów pracą, i znowu dramatyczną. Był to jedna ze sztuk nigdy za życia jego nie drukowanych i niewiadomo, jaki był tytuł tego utworu. Oto, co pisał o tém do matki d. 24 maja 1835:

„Piszę teraz więcej, niż kiedykolwiek, a co dziwniejsza, że piszę prozą. Abym ci dowiódł Mamo, jak Ty jesteś zawsze przytomna moim myślom, jak chciałbym wspomnienie Twoje ze wszystkimi marzeniami nawet poetycznemi połączyć, powiem Ci, że jedna z heroin mojej nowej

tragedyi nazywa się Salomeą. Zobaczysz kiedyś, że piękna jak lilia, i nieszczęśliwa prawie, jak Ty — tylko z innych przyczyn. Bóg wie, dla kogo ja to piszę i kiedy to wyjdzie? Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie — i stąd więcej może będzie naturalności — i bardziej rozwinięte zarysy. Kiedyś to wszystko ktoś wyda na świat — może mały Staś, jak dorośnie“...

Sztuką, o której tu mowa, nie jest Sen srebrny Salomei, jak może niejeden z czytelników moich wnioskuje. Sen Salomei jest napisany wierszem, i powstał w czasach późniejszych, dopiero w okresie towianizmu. A ta sztuka była pisana prozą i w r. 1835.

Pomiędzy papierami, stanowiącymi cały zapas autorskiój pozostałości po Juliuszu Słowackim do rąk moich oddanej, odzukałem rzeczywiście rękopis zdefektowany, z wydartemi kilkunastu kartkami tak z końca jako też tu i owdzie ze środka, z początku zaś tylko uszkodzony o tyle, że mu tu braknie jednej karty, na której być musiał tytuł dzieła zapewne i spis osób w niem działających. W tym rękopisie znalazł się dramat w 5 aktach, prozą pisany, o którym nie wątpię, że jest owém dziełem dokonaniem roku 1835 w Genewie, zwłaszcza że jedna z pierwszorzędných figur do niego wprowadzonych nazwana jest Salomeą. Wcieliłem go do zbioru pism Słowackiego pozgonnych i dałem mu na chybi trafi tytuł „Ilorsztyński.“ — Wprawdzie więcej zdaje się być prawdopodobnem, że główną rolą w téj tragedyi była rola Szczęsnego, tak iż imię to właściwiej się nastroczało na tytuł sztuki, niżeli tamto. Nie śmiałem jednak dawać w taki sposób domysłowi temu niejako sankcyi; albowiem skądinąd powstają wielkie wątpliwości, żeby poeta był się miał oprzeć tutaj przedewszystkiém na téj naturze tak pod moralnym względem nijakiej i tak też zresztą biernie tylko działającej w całym tém zawikłaniu. Ale jestto zawsze jedna z postaci i najstaranniej przeprowadzonych i z widoczną predylekcyą autora — prawdziwy typ człowieka ośmnastego wieku, obdarzonego wyższymi instynktami i przeznaczonego na coś zupełnie innego, gdyby duch czasu, otoczenie i jakiś fatalizm wiszący nad tą całą rodziną nie były w nim zwichnęły tych szlachetnych zarodków. — Rola Salomei

zajmuje także jedno z miejsc niepoślednich w dramacie. Wina tej kobiety, gdyby nam był znany koniec całej intrygi, okazałaby się zapewne mniejszą, niż się to zdaje w obecnym stanie tej sztuki. Wnoszę zaś o tym ze słów Słowackiego, danych rozstrzelonym drukiem w przytoczonym wyżej ustępie listu jego do matki. Pomimo tego, i Salomea jednak nie jest osobą, której imię mogłoby posłużyć za firmę dla całego utworu. Nawet w razie, gdyby się przypuściło, że w zaginionych scenach donośniejszym jeszcze być mogło wszystko, co ona czyni i cierpi: ograniczając tę rolę do czegoś tylko drugorzędnego owe słowa poety w korespondencji: „jedna z heroin.“ — Z tych przyczyn wołałem tedy oświadczyć się za Horsztyńskim i zdaje mi się, że w tym szlachcicu lepszej przeszłości, imponującym majestatycznie nawet w scenach, gdzie nie znajduje w sobie dość siły, żeby się oprzeć rozpacz, zgromadził autor wszystkie promienie dodatnich światła, kontrastujących z pośepnością tego obrazu.

Ocalone sceny tragedyi, o której tu mówimy, są nierówniej wartości. Obok ustępów potężnej siły i prawdziwie dramatycznych werwy, znachodzą się i sytuacje przewlekłe, zapełnione tą cikliwą melancholią, od której poeta nasz w owych latach nie był jeszcze zupełnie wyleczony. Sądu jednak o tym wszystkiem dać stanowczego nie można; z powodu bowiem, że jak na złość przypadają na sceny zaginione właśnie najkrytyczniejsze chwile w toku całego działania: niepodobna wyrzucić na pewne, co tu stanowiło główny węzeł intrygi i jakie autor dał rozwiązanie jej zawikłaniu. W skutek tego pozostaje więc niewiadomem, jak się części dramatu poszczególne miały do ogólnej całości; i jaki był stosunek poety względem figur w nim działających, to jest w jakich miarach porozdzielał on swoją sympatją między ludzi, których różne usposobienia maluje. —

Teraz przystępuję do opisanego ustępu w życiu mego poety, który mocno kontrastuje z resztą dni jego. Sprawia on wrażenie podobne do owej chwili, kiedy wśród całodzienną sloty błysnął ukradkiem z za obłoków promienne wróżby lepszego jutra. Wła-

śnie w czasie, kiedy powstawał wspomniany powyżej dramat, zaczęło się w podobny sposób rozpogadzać w sercu poety. Świat zaczął mu się zdawać piękniejszym. Były to dni trwającej właśnie wiosny. Wiosna sprowadzała zwykle nowe życie do domu, w którym gościł Słowacki. Ale tym razem nie wiosna była przyczyną, że i on teraz godzić się na to zaczynał, że to życie jest piękne. Do niego zaczęło się wtedy uśmiechać jeszcze coś więcej, jak samo tylko słońce na niebie...

Osoba, którą wtedy się zajął, — o ile z listów jego wnosić — nie bez pewnej wzajemności i z drugiej strony, była mu już znana od dość dawnego czasu. I dziwna rzecz! z początku ani cienia nie było jakiegokolwiek rodzącej się pomiędzy nimi skłonności. Przeciwnie, rychlejsze wzmianki Juliusza o pannie Maryi W. były tego rodzaju, że na pewne wniosłyby można, że mu się ona w pierwszej chwili raczej nie podobala.

Rodzina ta polska bawiła w Genewie już od r. 1833. Znajomość Słowackiego z tym domem datowała od listopada, tegoż roku.

„W tym miesiącu — pisał był zaraz po pierwszym poznaniu, dnia 30 listopada 1833 — miałem kilka wieczorów. Wprowadzony byłem do domu pani W., która tu mieszka z synami i z dwoma córkami. Starsza — dorosła już panna, ale wcale nieładna, gra ślicznie na fortepianie. Field będąc tu, dawał jej lekcye, i gra zupełnie Fielda metoda; więc jej granie bardzo mi miłym było“...

Tak więc opisywał poeta swoje Maryę po pierwszym z nią się poznaniu. Taki nie zgola nie obiecujący był tej znajomości początek.

Od owej chwili bywał Słowacki w domu pani W., ale rzadko i tylko raczej, że się tak wyrażę, z obowiązku towarzyskiego. W miesiącu sierpniu 1834, zdarzyła się sposobność zawiązania bliższej znajomości. Pani W. zamierzyła odbyć z dziećmi podróż po najpiękniejszych okolicach Szwajcaryi i zaproponowała Juliuszowi, ażeby im towarzyszył.

„Nie mogłem oprzeć się pokusie“ — pisał za powrotem z tej wycieczki, d. 21 sierpnia. Wziawszy więc mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem

na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów jak te, które przez 20 dni przemijały przed moimi oczyma... Ileż razy chciałbym być trzymać Cię Mamo za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami! Zmiana ciągle miejsc sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinemi miejscami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stało przedemną. Różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mnie jak wierne przyjaciół... różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich — było mi smutno i miło“...

Ponieważ wiele obrazów i wiele wspomnień z tej podróży weszło później, przepuszczone przez idealny pryzmat poezji i oddalenia — w skład jednego z najpiękniejszych poematów, jakie tylko stworzył Słowacki, nie od rzeczy tedy będzie zamieścić tu kilka dokładniejszych szczegółów o owęj wędrówce szwajcarskiej, ile że opis jej dany w korespondencji poety, zawiera w sobie ustępy, które, jak sądzę, i bez względu na tę uboczną ich ważność mile będą przez każdego czytane.

„Abyś mię sobie Mamo dobrze wystawić mogła, muszę Ci opisać mój fantastyczny ubiór. Miałem płócienną bluzę haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką — pas czarny skórzany — białe szarawary — kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką — do tego na grubiej podeszwie trzewiki — i kij wyższy odemnie, biały, z żelaznym kołcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób. Pani W., dwie jej córki — panna Maryanna, młoda ale nie ładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernatka Francuzka, panna M., trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów pani W. i jeszcze jeden młody Żmudzin, i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał; ale też nie było nieznośne; owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonią. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, — nie zawsze jednak!

Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi — pożegnałem oczyma Paquis — i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora Coppet, gdzie pani Stael mieszkała — potem Lausanne, Vevay, z drugiej zaś strony skały Meilleries, sławne skały, skąd kochanek Heloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon, i nakoniec wylądowaliśmy w Villeneuve.“

Tam czekał na nich najety powóz i zawiózł ich do Bex, gdzie przenocowali i zwiedzili tamtejsze kopalnie soli. Trzeciego dnia podróży, powędrowali ku klasztorowi św. Bernarda.

„Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały, drogą przez Napoleona wykutą. Z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami — chaty nędzne — ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb ubożego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyc szumu potoków. Mamo moja! jak mi się ludzie wydawali mrówkami! O godzinie 5 wieczorem wjechałem na mulę w krainę śniegów — potem między skalami, w ciemnym i mglistym powietrzu ukazał się klasztor... Ksiądz Gwardyan w czarnym habicie stał na ganku — pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty — za klasztorem błyszczało opalone w skalistym brzegu czarno-olowiątego koloru jezioro. Klasztor ten gdyby nie był przez mnichów zamieszkały, byłby prawdziwie zachwycający! Niestety, ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz Gwardyan, świecki i światowy, uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nieźle by się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Spaliliśmy w celach zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy, a siedzące towarzystwo około kominka, śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok! w różnych pozycjach zmarli siedzą — leżą — jedni do szkieletów podobni — drudzy czarną skórą powleczeni... okropny to widok!“

Stamtąd weszli znowu w uśmiechającą się krainę wiosny. Po dwóch dniach podróży stanęli u stóp góry skalistej, żółtego koloru, nazwiskiem Ghemi. Ta była tak stroma, że nie do góry, ale do sterczącego w niebo muru była podobna. Wniść na nią zabrało im, na mulach jadącym, trzy godziny. Droga w gzygzak

wykuta, ciągle wisiała nad przepaścią. Po drugiej stronie tej góry znaleźli przecudną okolicę. Była to dolina z najpiękniejszymi drzewami i kwiatami; na pochyłości stoku kaskady srebrne z gór spadające i przesłizne szaleły.

„O matko, ileż razy w tych miejscach myślałem o Tobie! Ileż razy cisnął mi się do moich ust refrain Göthego:

„Czy znasz ten kraj? znasz go o moja miła?

Tam byłby raj, gdybyś Ty ze mną była“...

Następnie wsiedli do łódki i płynęli jeziorem Thoun-Brien z do sławnej kaskady Giesbach.

„Patrzac na nią (powiada nasz wędrowiec), przychodziła mi na myśl Zofijówka, a potem łańcuch myśli rozciągał się dalej, aż do Wierzchówki... Byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu“...

„Po odwiedzeniu wodospadu Giesbach, damy nasze zmęczone i przerażone podróżą po przepaściach górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Luzern; my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskaną wolności, poszliśmy pieszo przez góry. Tu dopiero wojaż nasz zachwycającami nas zaczął karmić dolinami“...

Zwiedzili Lauterbrun i podziwiali kaskadę Staubach—„której spadająca woda nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę.“ Widzieli w niedalekiej oddali Jungfrau wiecznym śniegiem pokrytą, „co stoi jak olbrzym biały.“ Przebiegli nieopisaną piękności dolinę Gründelwald. Tu dochodziły ich huki spadających z najwyższych szczytów lawin, do grzmotu dalekiego podobne. Weszli na górę Faulhorn i nocowali w oberży na jej szczycie, ażeby mieć nazajutrz z rana sposobność przypatrzenia się wschodowi słońca. Patrzac na słońce wschodzące, kiedy ich mgły naokoło owiały, zdawało im się, przedzielonym temiz mgłami od reszty świata, że stoją na pokładzie okrętu płynącego do nieba. Podobny widok mieli i z góry Rhigi przez którą także wiodła ich droga. Idąc tak przez dolinę Oberhassli—Rosenlauen—Grimsel, a potem drogą św. Gotarda, przechodzili przez sławny most-dyabli na niej, i nareszcie po 9 dniach takiej wędrówki, jeziorem czterech kan-

tonów, najpiękniejszym ze wszystkich jezior szwajcarskich, przybyli do Luzern, gdzie na nich damy już od dni 7 czekały.

Zwiedzili potem jeszcze wszyscy razem kaplicę Wilhelma Tella i ową skałę, na którą Tell wyskoczył, odepchnawszy Geslera na jezioro. Nareszcie przez Bern powrócili do domu. —

Powrót ten dał im się uczuć jakby przejście z poezji w prozę.

„Zastałem dom pełny cudzoziemców, i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę; bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie — gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale on zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mnie i powitała z radością“... (d. 21 sierpnia 1834). —

Czytając cały ten opis podróży w listach Juliusza, zachwycać się można nieprzebraną bogactwem najpoetyczniejszych obrazów, które co krok przeplatają opowiadanie. Ale nie ma tam jeszcze ani śladu tego wszystkiego, czém technie ów wspomniany już wyżej poemat, choć w nim odnajdujemy niektóre sceny i daty, podane w korespondencyi że tak powiem, w materyale surowym. Była na przykład i w listach już wspomniana kaplica Tella i lawiny i pokłady lodowe i wreszcie „owa w szwajcarskich górach cudowna kaskada, gdzie Aar wody błękitnej spada.“ Ale dopiero poemat dodaje do tego wszystkiego:

„Tam ja ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tam zakochały się w niej moje oczy,
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans kłecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć“...

„Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,

Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,

A ona tak mię prowadziła wszędzie“ itd.

W ogóle tego kolorytu miłości, pozłacającej te wszystkie w rzeczywistości światło oglądane obrazy — nie ma jeszcze w korespondencyi, jako go nie było wtedy jeszcze i w uczuciach Juliusza. Miały się one tą barwą eterycznej błogości rozpromienić dopiero później. Fantazyi to więc poetyckiej tylko dziełem jest — że tego co nastąpiło potem, znajdujemy już odblask na tle wrażeń przeżytych wtedy.

W następnych miesiącach stosunek Słowackiego do domu pani W. nie zmienił się w niczym. Bywał on tam rzadko kiedy, tak iż mu nawet wymawiano, że tak zaniedbuje swoich towarzyszków podróży. Przyjął jednak zaproszenie na kilka tańczących wieczorów, na których donosi że się bardzo dobrze bawił. Pomiędzy tego, jeszcze w listopadzie 1834 skarżył się, że mu nudno w Genewie; jeszcze w lutym 1835 wspominał o pannie Maryannie, że „ma wiele wdzięku dobrego serca, ale nieladna!“ jeszcze w marcu donosił, że skoro tylko nadejdzie wiosna, będzie się starał „wyrwać z tego nudnego miasteczka, gdzie pleśniej jak ostrzyga nad jeziorem.“ W tymże samym jednak już liście (z d. 7 marca 1835) możnaby schwycić poetę naszego jakby na słówku mimowolnie rzeczonem, które w nim zdradzało coś, do czego się jeszcze wtedy nie przyznawał przed sobą samym.

.... „Jestem dosyć sentymentalną figurą i mam czasem dziwne przeczucia. I tak panna W. zaatakowała mię niedawno, abym jej w sztambuchu kartkę białą zabazgrał. Zaraz przy stole usiadłem — umoczyłem pióro i te płaczliwe wiersze napisałem méj towarzyszcze po alpejskich górach:

„Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali...
Tam byli kiedyś razem — i tam się rozstali.

A po latach — wróconym ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiazdziste klaniały się żyta —
Jechali błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,

Wszyscy pod jeden ganek. Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół. Są wszyscy — są wszyscy —
Przy jednym siedzą stole — przy czarach nalanych —
A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak bliscy!
I nikogo nie braknie oprócz — zapomnianych...
Młoda Marya do tańca każe stroić lutnię
I usiadła — spoczywa... Nagle do sąsiada
Rzekła: ach! kogoś braknie“.... Tu podkówka utnie
W takt mazurka. „On umarł“ sąsiad odpowiada.
— „Cichoż na jego grobie?“ — „Słowików gromada
Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze“ — —

W miesiąc, czy we dwa po wpisaniu do sztambucha tych wierszy, tak się okoliczności złożyły, że pani W. zamierzając w ciągu nadchodzącego lata wyjechać już z Genewy, a nie mając zamówionego mieszkania na te kilka miesięcy, które ją z dziećmi jeszcze zatrzymać miały w Szwajcaryi, zajęła kilka pokoi w „pensyonie“ pani Patteg, a więc w tym samym domu, w którym mieszkał Słowacki. Było to w pierwszych dniach maja. Mógł tedy teraz już autor powyższego wiersza w albumie, donosić matce więcej zajmujące o sobie wieści.

„Ja teraz w licznym towarzystwie domowym wesoło dosyć czas przepędzam — przynajmniej mam z kim pogadać, a czasem potańcować... Miałem bardzo przyjemną scenę. Oto damy tu miały u siebie dzieła mojego ojca, i położyły je na stoliku, otwarte na portret jego. Nie mogę Ci opisać Mamo, jakiego doznałem wrażenia, spostrzegłszy nagle jego wesołą, pogodną i uśmiechającą się twarz. Zdawało mi się, że przyszedł do mnie pytać się o moje życie i zostawić mi naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia“... (d. 24 maja 1835).

Wśród takich cichych, miłych, życzliwie nastrajających zdarzeń domowych, odbywała się zwolna i niepostrzeżenie jakaś przemiana w sercu poety. Widując się po kilka razy na dzień z paniami, przysłuchując się melodyom, które z dziwną rzewnością wygrywała uczennica ulubionego mu Fielda, uczestnicząc z ochotą we wszystkich zabawach i wycieczkach, jakie wspólnie

układali do pobliskich okolic miasta, grał Juliusz z dziećmi pani W. w zajęcia z pustotą dziecka, a w listach ciągle powtarzał: — „Jestem w domu pełnym dźwięku mojej rodzinnej mowy“... „dosyć mi dobrze teraz na świecie“!..

... „Koszono siano w naszym ogrodzie. Dziwna i interesująca nowina, że koszono siano! Ale wystaw sobie Mamo, jak to miło czuć woń przeszłości. Pamiętam, że raz w Mickunach stojąc na łące przy koszących ludziach, wyjąłem jakiś srebrny pieniążek, zdaje mi się, że złotówkę, i dałem ją chłopu, który wszystkich innych wyprzedzał. O laur, o nagroda! Nie byłże ze mnie mały Czacki? — Otóż kiedy skoszono siano, wyszliśmy wszyscy po śniadaniu i położyliśmy się na kopach rozrzuconych — panie i panny i chłopcy — i tak leżeliśmy całą niedzielę, święcąc dzień boży, nie myśląc o niczym, odurzani zapachem umarłej i i zabitej trawy“...

„List ten noszący cechę mego teraźniejszego usposobienia, najlepiej Ci Mamo przedstawi mnie w takim humorze, w jakim teraz żyję. Atmosfera imaginacji — kraj przeszłości — wyspa ideału — przerznięta rzeką łez — o jakże to niemieckie! Ale dalibóg prawdziwe! Panna Marya W., która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczym nie marzy, jak o pustelnicznym domku — nad rzeczką, o czarnej sukience — o lekarstwach dla chłopów — o topolach szumiących nad pustelnią — i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja en personne — nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów — dobrze opatrzonej w szlachecką układność, talenta, wasy, podkówki i ostrogi, wybiję z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej rzeczywistości.“ (d. 30 czerwca 1835). —

Otóż taki był początek i taki przebieg dziejów tej szczególnej w swoim rodzaju miłości. Przelotny to epizod w życiu poety, jak krótki sen! Odbija od reszty życia, jak mała zielona oaza, rzucona na rozległe rozлогі spieckłego stepu. Miłość ta wzrosła tajemnie — żyła eterycznie, niewyznana, bez nadziei, choć może nie bez niejakić wzajemności — i rychło pogrzebana została. Z mogiły, w której zamknął jej wspomnienia poeta, wytry-

snał kwiat — czysty jak lilia wodna, a smętny jak płacz. Tym kwiatem był poemat napisany niedługo potem: „W Szwajcaryi“...

Doskonałym komentarzem, dlaczego te uczucia pozostały, jak prawdopodobnie, nawet dla samej Maryi wprawdzie może odgadwaną, ale nie wyznana jej tajemnicą — jest miejsce w jednym z rychlejszych jego listów (z d. 24 maja 1835), a które oto następuje:

„O! jak ja się zawiodłem, myśląc kiedyś, że pisząc zrobię sobie pewny dochód, niezależny od okoliczności; że kiedyś będę w stanie ofiarować Ci Mamo przynajmniej na rok gościnny pokój za granicą; że kiedyś będę Ci służył do stołu — i całował ręce Twoje — i klękał przed Tobą i dziękował za wszystko, coś uczyniła dla mnie. Nie! Bóg mnie zapisał w księdze przeznaczenia w wielkiej rodzinie tych ludzi, o których po śmierci powiadają księgi, że... Nie chcę dokończyć, bo już Cię raz droga Mamo, nieuważne słowo w liście moim przeraziło. Ale nie jeden ja nie mogę wylać z głowy chleba! Oto Adam... ożenił się — co rok dwa wydał dzieła — i teraz musiał odprawić służę, a żona jego sama trudni się kuchnią!... Czy tam u was kalendarze zajmują miejsce na policach bibliotek? Trzeba jednak nie upadać. Walka z obojętnością ludzi podobna jest do walki Tytanów... Rzuci mi na czoło wielkie światło piorunu — będę pięknym kiedyś“...

W ciągu lata zaczęli się państwo W. wreszcie coraz bardziej sposobieć do podróży; zbliżała się chwila ich odjazdu do kraju.

„Mąż pani W. przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi! wracają — wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia — usnuć sobie domowe szczęście — zenić synów — wydawać za mąż córki — zasadzać ogrody — siać zboże — budować i przybudowywać domy — patrzeć na zachód słońca — wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciółmi, z wiejskim sąsiedztwem... Zazdroszczę! choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza — bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć, jak Luter patrząc na groby w Worms: Invideo, quia quiescunt. Zazdroszczę, bo cicho spoczywają! Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz Mamo te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijące się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć

taki biały kwiat, obwinać się koło niego i zasnąć! To bardzo mistyczne i ciemne, Matko moja! Lilia wodna niech się Tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dzieweczkę — a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragediach — z takim długim westchnieniem kona moja nadzieja... Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margerytki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnej koniczyny: i dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka. Zda się jednak, że musi coś czekać!...

... „Myślę za miesiąc wyjechać w góry i osiąść na kilka miesięcy w jakiej chacie — oberży, aby widzieć chmury jesienne łamiące się po skałach, aby się napoić pięknoscią natury i mieć na długo serce pełne myśli rozplywających się w Bogu. Nie uwierzysz Mamo, jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wielce na wewnętrzznego mnie — a jak ja często mówię — na wewnętrzznego we mnie anioła. Zda się, że myśli moje odmłodziły“...

To było pisane d. 30 Czerwca. Projektowany wyjazd w góry za miesiąc był niezawodnie w związku z mającym także niezadługo nastąpić odjazdem państwa W. Myśl rozłączenia dręczyła go już naprzód. Nie miał odwagi spędzać pierwszych chwil po oddaleniu się Maryi, w tych samych miejscach, „gdzie ją widywał i gdzie się z nią bawił.“ Wszystko w około niego byłoby mu ja tu każdej chwili przypominało. Wolał przeboleć stratę i cierpieć swoje gdzieindziej.

Zaszły jednak okoliczności, z powodu których jego oddalenie się w góry nastąpiło o wiele rychlej, aniżeli jak sobie zamierzał, za miesiąc dopiero. Wyjechał jeszcze w pierwszej połowie lipca, nie doczekawszy nawet wyjazdu Maryi z Genewy.

Oto, co pisał do matki we dwa miesiące potem, już z miejsca nowego swego pobytu:

„Od dwóch miesięcy już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem nad jeziorem Lemana, w najpiękniejszym miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony. Ludzie różnie o tem sądzą. Jedni mówią, że się był szalenie zakochał w pannie W. i uciekłem. Nie ma w tem za grosz prawdy. Ponieważ z Tobą, najdroższa Matko, mówię otwarcie, otóż wyznam Ci, że uciekłem — a to dlatego, że biedna córka domu widząc mię dosyć zajętego paniąką młodszą od niej — i widząc tę paniąkę do-

syć mi przyjazną — zaczęła schnać i niebezpiecznie zachorowała; i matka domyśliła się, o co rzecz idzie — i musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, chociaż żal mi było domu, gdzie 2 1/2 lata mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dni było bardzo wesoło“... (list bez daty, ale snąć pisany w wrześniu 1835).

Z dalszego ciągu tegoż listu okazuje się, że odjeżdżał bardzo smutny, i że go też i żegnano nieobojętnie.

„Plakałem odjeżdżając — plakany“... „Przy odjeździe taki smutek, taka nuda mię opadła, że zakazałem, aby mi nie przysyłano książek. Wziąłem tylko kilka moich ulubionych autorów, z tymi, jako to z Szekspirem i Byronem, chodzę po górach — kładę się pod drzewami — i czytam. Śliczne trawy — śliczne kwiaty — woń wiejska przypomina mi dzieciinne czasy — myślę o Mickunach i Wierzchówce“...

Że nie tylko myślał o dziecinnych czasach, ale i o bieżących, i że nie tylko przenosił się myślą do Mickun, ale i do Genewy, w której owa „dosyć mu przyjazna panienka“ ciągle jeszcze bawiła: na to dowodów w korespondencji nie znaleźć. Ale za to znajdują się na to dowody między jego poezjami, za życia autora nie wydanymi. Znalazło się w pozostałych papierach Słowackiego pięć przesłanych poezji lirycznych, które choćby nie miały wyraźnego podpisu, że tam i wtedy powstały (między 20 a 30 lipca 1835), to jużby samą treścią swoją wskazywały dostatecznie, że właśnie przypadają na tę chwilę życia poety. Mają tytuły: Przekleństwo do ***, Rozłączenie, Stokrotki, Chmury, Ostatnie wspomnienie do Laury.

Dwa pierwsze wiersze odsłaniają szczególnie owocne usposobienie autora:

Przekłeta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi! ty żądem gadziny
Wygnałaś na samotność... Bądź wiecznie przekłeta!
Każdy mój jęk zna ciebie — każda łza pamięta.

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi lży w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś — niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem...
 Lecz wiedz, że w samotności, okryty żalobą
 Oczy błędne obracam za każdym szelestem,
 Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą!

Tój czekam omamiony, tój samotny płaczę,
 Która mi była siostrą na wygnania ziemi —
 Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
 Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskimi,

A nigdy serca mego nie umiała krwawić,
 A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
 Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
 Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

A ty! a ty, co lalaś żółciowe gorycze,
 Skoro się otwierała serca mego rana —
 O gorzej niż przekłeta! widmo tajemnicze
 Złój przeszłości... przekłeta bądź — i zapomniana!

Że się ten wiersz ściąga do Eglantyny, to po tém wszystkiém,
 co powiedziano wyżej, zdaje się być niewątpliwém. Każdy pewnie
 na to się zgodzi. — Obaczmy teraz, jakiemi słowy przemawia
 poeta do Maryi:

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta!
 Pomiędzy nami lata białe gołąb smutku
 I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
 Wiem, kiedy płaczesz w cichój komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala,
 Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
 Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
 I łą różową leje, i skraj siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać:
 Znając twój dom — i drzewa ogrodu i kwiaty,
 Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
 Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
 Osrebrzać je księżycem — i promienić świtem.
 Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
 Pod oknami, i nazwać jeziora błękitem;

Potém jezioro z niebem dzielić na połowę
 W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem,
 Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
 Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perelka,
 Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża.
 Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
 Za jeziorem — dojrzałem dwa z okien światelka.

Przywykłem do nich — kocham te gwiazdy jeziora
 Ciemne mgłą oddalenia — od gwiazd nieba krwawsze,
 Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
 Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty — wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
 Lecz choć się nigdy — nigdzie połączyć nie mamy,
 Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
 Jak dwa smutne słowiki, co się wabią — płaczem.

Nad jeziorem Leman d. 20 lipca 1835 r.

Sąto prawdziwe brylanty naszej poezji lirycznej. —

Jedyną pociechą w tych samotnych rozpamiętywaniach i cierpieniach wygnańca, była przepyszna natura, która go otaczała. Wioska, w której osiadł wtedy Słowacki, nazywała się *Veytoux*. Chociaż to było w górach, w okolicy bardzo ustronnej, wynalazł on tam sobie jednak bardzo miłe mieszkanie.

„Najalem śliczny pokoik — cudnie umeblowany — błękitny; z okna widać winnicę — za winnicą jezioro, jak pół nieba wyróconego na ziemię — za jeziorem góry *Meilleries*, sławne w Heloizie Russa: słowem trudny do opisanego widok! Osoby, które Neapol i Hellespont widziały, mówią że ten im wyrówna. Ludzie wszyscy tu pięknie zbu-

dowani — mnóstwo kobiet przeslicznych — zgrabnych — a wszyscy zdają się szczęśliwi. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie?... W dzień pokój mój — jezioro — niebo — góry — wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przezroczyste. Jaskółki przylatują do pokoju i tłuką czasem pierśią o zwierciadło... Prześliczne miałem księżycowe nocy — wtenczas wychodziłem nad jezioro — siadałem na małym przylądku wchodzącym do wody. Z jednej strony miałem księżyc, z drugiej strony zamek Chillon, który z okna o 200 kroków widzę. Pierwszy raz słyszałem w starej wieży śpiewanie puszczyka. Co mi w takich nocach przechodziło przez głowę, trudno wypowiedzieć. Czasem żalowałem ludzi i rycerzy, którzy ginęli niegdyś w tym zamku — a dziś zapomnieni — i zamek ich tak cichy, stoi w księżycowym blasku. Potem pytałem siebie, za co ci ludzie ginęli? i odpowiedź była napisana w światełkach chat wieśniaczych... Nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach. Otóż ci rycerze, którzy dawniej ginęli, zapewnili zgonem swoim szczęście przyszłych pokoleń. Widziałem więzienie pyszne Chillonu, widziałem filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźni. Czytałem Byrona patrząc z bliska na mury zamku, i Więzień Chillonu piękniejszym mi się wydał.“ (Wszystko z listu bez daty wspomnianego wyżej).

Pobyt jego na téj uroczej pustyni trwał 3 miesiące — przez część lipca, sierpień i wrzesień. W początkach października powrócił. Gdyby się wnioski w literalnym sensie wysnuwać miało z wiersza owego do Eglantyny, zatytułowanego *Przekleństwo*, toby przypuszczać należało, że zerwany został wszelki stósunek pomiędzy poetą naszym a domem pani Patteg. Tak się jednakże nie stało. Wiersz był pisany pod wpływem chwilowego rozżalenia i w rozdrażnieniu. Niejedno też w nim położyć należy na karb tylko fantazyi poetycznej, która zawsze rzeczywistość potęguje w beźmierność i nieskończoność. Zresztą nie obeszło się bez kroków, które mu ułatwiły powrót do dawnych gospodyń.

„Jestem bardzo samotny — pisał był jeszcze w Veytoux mieszkając, w wrześniu. Na dole w domu minister protestancki, dobry do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci. Z nim czasem gawędzę. Ale smutny jestem. Pani W. z rodziną wyjechała do Drezna. Odprowadzała ją wiele osób. Panna Eglantyna umyślnie ją odprowadzała, aby potem mnie odwiedzić — i była u mnie —

i płakała — i tysiąc prośb, abym wrócił. I matka jej ciągle mię zaklinała. Ale tak mi znudniało to, com porzucił, że wolę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mię karmili i kochali przez 2 lata, i dlatego jutro wyjeżdżam, chociaż ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleilo“...

Pojechał tedy na kilka dni do Genewy i „przyjęto go tam, jak się wyraża, jak syna“. Potem wrócił jeszcze do siebie. Ale się już oswajał z myślą, że następującą zimę przepędzi jeszcze pomiędzy niemi, co też i nastąpiło rzeczywiście.

Wstrząśnienia moralne, jakich doznał zeszłego lata, miłość — może pierwsza rzeczywista, a nie fantastyczna tylko miłość w życiu Juliusza, odosobnienie od zewnętrznego świata, który go zawsze więcej drażnił, aniżeli myślał głębszą podsycił, wreszcie dzika, a jednak pełna uroku natura, w której objęcia cały się rzucił: — wszystko to sprawiło, że ten trzymiesięczny pobyt nad cichymi brzegi jeziora miał stanowić w zawodzie jego porę pewnego przesilenia. Czy weźmiemy pod rozwagę dzieła jego, które wtedy powstały, czy stan duszy poety, w jakim siebie wtedy malował, dostrzeżemy, że była to dla niego krisis, ale krisis zbawienna. Na okazanie zmiany w duchowym usposobieniu Juliusza, przytoczę tylko następujące słowa, godne pod każdym względem zastanowienia:

..... „Wyznam Ci Mamo, że znienawidziłem moje pierwsze utwory. Czuję potrzebę większej doskonałości; rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napelniało moje karty, aby więcej leż było w słowach. Mam lat 25, trzeba abym już był tém, czém być mam; i dlatego może nienawidzę moich pierwszych dziełek. Lubię jednak więcej nad inne Godzinę Myśli. Coś w niej jest, co mię samego kołysze przeszłości dźwiękiem — jakąś cichą, dawną piosenką. — Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonią, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękami natury — widziałem ją z bliska, błę-

kitną — albo chmurną. Raz wyszedłszy na wielką górę — pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przetrnięty potokiem. Było to w niedzielę rano — dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, nappełniał całe powietrze — cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga. Nie wiem, dlaczego opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że Ty sobie Mamó droga lepiej mię wystawiasz w takim obrazie. Jestto niby wizerunek symboliczny tego, co czuje teraz“. (d. 20 października 1835).

Nie mniej okazują coś odmiennego — w porównaniu z dawniejszymi dziełami — i pisma jego z owego czasu. Należą tu najprzód owe wyżej już wspomniane liryczne rzeczy, które poeta, jak się w liście jednym wyraża, spozierając na jezioro napisał. Dalej powstał niewątpliwie w owymże czasie także poemat „W Szwajcaryi“, utwor wyraźnie jeszcze pod wpływem świeżych wrażeń pisany, ale już wrażeń po swojemu przekształconych przez wyobraźnię. Można by go więc nazwać prawdziwem *Dichtung und Wahrheit* owego epizodu życia poety i żywcem zastosować do niego słowa, które parę lat rychlęj rzucił był Juliusz o podróżach:

„Wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko iż wszystko ukazuje mniej pięknem jak było w imaginacyi. I potem zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany; drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginacyą. Kiedyś utworzy się trzeci — najpiękniejszy — z imaginacyi i z sennego przypomnienia — i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z obu obrazów.

Nakoniec doliczyć należy do prac w owym czasie powstałych jeszcze także i Anhellego*).

*) Co do Anhellego nie ma wprawdzie pozytywnej pewności, ale jest za to wiele wskazówek ubocznie prowadzących do wniosku, że i to dzieło pomyślane, a nawet rozpoczęte być musiało już w Veytoux, chociaż ostatecznie wykończonem zostało dopiero w Genewie w ostatnich miesiącach roku 1835. Wskazówki te są następujące: W liście owym jeszcze w lecie z nad jeziora pisanym znajdujemy takie miejsce: „To co się po tych (które znasz) dzieciach narodzi (= wyjdzie z druku), będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze Ciebie, moja droga Mamó. Nawet zamyslałam Ci ofiarować na pierwszej stronicy nowe, zape-

Dlaczego zaś ogłoszenie powyższych prac nastąpiło o wiele później, Anhellego dopiero w roku 1838, a poematu w Szwajcaryi w r. 1839: na to odpowie najwymowniej następujące i skądinąd jeszcze ciekawe miejsce w tymże liście (d. 20 października 1835):

... „Książki moje mało mi przynoszą, bo daleki od Paryża, wystawiony jestem na wszelkie szachrajstwa księgarzy. Ci mi przysyłają rachunki, których zrozumieć nie mogę, i czasem po kilkadziesiąt franków dają, kiedy im się podoba. Przychód dwóch tomów pierwszych poszedł na druk następnych, a te zaledwo się teraz opłacają. Ty moja droga, nie będziesz mną pogardzać za to, że ja na moje pióro wielkiego odbytu znaleźć nie mogę — Ty nie będziesz z szwajcarską litością innych, obcych ludzi patrzeć na mnie kopiącego się w ziemi, jak biedna mrówka. Idę nieznany i smutny, ale kiedyś może powiedzą ludzie, że wart byłem własnego domku — ogrodu i kilku przyjaciół. Dlaczego takie zniechęcenie, zapytasz droga moja — dlaczego? Oto z bardzo małej przyczyny. Dziś widziałem jednego z moich ziomeków,

wne tej zimy (co przyjdzie) wylęgłe dzieciątko. Dopiero to, żaręcam Ci Matko, będzie Twoim wnukiem; powiedz, czy Ci to nie zaszkodzi.“ (Nadmieniam, że w kopii listu, którą mam przed sobą, dopisała matka Juliusza do tego miejsca na dole uwagę, że mowa jest o Anhellim. Co też tém bardziej zdaje się zasługiwać na wszelką wiarę, że owa obawa, ażeby dedykacja nowego dzieła matce nie zaszkodziła, szczególnie do tego właśnie utworu daje się odnieść). — Nieco później, d. 20 października — spotykamy znowu taką o tém wzmiankę w genewskiej już korespondencji poety. „Postąpiłem w moim nowym poemacie i chciałbym bardzo tej zimy co wydać.“ — Na październik zatem albo listopad przypada dokończenie, a na owe miesiące spędzone w górach poczęcie i zaczęcie utworu, którym — mimo to, że o kilka lat dopiero później został oddany do druku — i z tego jeszcze powodu zdaje się być Anhelli, pisany stylem biblijnym, że przez cały ciąg owego właśnie roku Pismo święte było jedną z ksiąg rozczytywanych codziennie i z rozmiłowaniem przez Słowackiego. Pełno o tém wzmianek w owoczesnych jego listach. „Często wieczorem — pisał był na przykład w liście z d. 7 marca 1835 — przed zaśnięciem czytam głośno rozdział Biblii. Mam ją po polsku. Przedwczoraj tak mocno wraziła mi się w imaginacyą męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem i obudziłem się okropnie przerażony“...

który po kilka razy nazywał mnie poetą, a na koniec wyznał, że nic jeszcze nie czytał mojego. Prawda, że to był handlarz win, który z próbkami jeździ po świecie i interesu domu swego załatwia; bierze kilka tysięcy franków na rok pensyi i zamyśla się ożenić ze starą wdową kupca i handel winny wziąć w posagu. — Rozsądny człowiek!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Rok 1836 do połowy 1837. — Przygotowania do podróży włoskiej — trudności pasportowe. Wyjazd do Rzymu — wrażenia — nowe znajomości, Krasiński. Neapol — Sorrento — poemat „Wacław”. Podróż na Wschód. Grecya — Egipt — Kairo — piramidy — spotkanie z przyjaciółmi koło Dendery. Teby — jazda na wielbłądach ku Palestynie. Kwarantanna w El-Arish. Jerozolima — noc u grobu Chrystusa. Ruiny Balbeku — Klasztor ormiański na Libanie — spotkanie — „Ojciec Zadżumionych”. Bajrut — powrót okrętem do Liwurny.

Do wszystkich tych w poprzedzającym rozdziale opisanych okoliczności, które przez ciąg 1835 roku naprężyły wyobraźnię, ale też i niepokoiły umysł poety naszego, doliczyć należy jeszcze jedno, o czém tam nie wspominałem. Oto otrzymał on był w maju jeszcze rzeczonego roku od matki i od krewnych swoich wiadomość, że się wujostwo jego (Teofil Januszewski z żoną) wybierają w podróż do Rzymu. Na towarzysza tej podróży wzywano i jego, uwiadamiając zarazem, że projekt ten przychodzi tak niezwłocznie do skutku, że w dniach, w których on wiadomość o tém odbierze, podróźni już będą w drodze. Na razie zasmuciła Słowackiego dotkliwie myśl, że się z nimi w tę podróż nie wybrała i matka. Skoro jednak rozważył, że stały temu na zawadzie przeszkody, których jak mu donoszono, usunąć nie było można, poczytał sobie i to za pociechę niemałą, że przynajmniej wuja i przyrodną siostrę swoją zobaczy.

Wycieczka do Włoch należała od dawna do najżywszych życzeń Juliusza. Chwycił się tedy oburącz myśli, jaką mu teraz poddano, chociaż przewidywał już w pierwszej chwili, że trzeba

będzie pokonać niejedną trudność, jeżeliby rzecz ta, dla obu stron tak upragniona, nie miała i tym razem pozostać tylko marzeniem. Wprawdzie brakowi funduszów, który mu się szczególnie właśnie w owych czasach nieraz czuć dawał, można było czy tym, czy owym sposobem zapobiec. Ale jak tu od władz rządowych otrzymać pasport w te strony? Rząd szwajcarski nie wzbraniał emigrantom pobytu w granicach własnego kraju, lecz pasportów żądnych im nie wydawał do państw obcych. Trzeba się było chyba starać o to we Francji. Słowacki niezwłocznie też napisał do przyjaciół swoich paryskich, aby uczynili odpowiednie kroki w tej mierze. Czekał na odpowiedź niecierpliwie. Przez kilka miesięcy nie było jej wcale, wreszcie (we wrześniu) odebrał uwiadomienie, że rząd francuski robi trudności, lecz że jest jeszcze nadzieja rezolucji pomyślniej, ponieważ wdały się w to wysoko położone osoby. Tymczasem krewni nalegali listami, już z Włoch pisywanymi, ażeby Juliusz przyjazd przyspieszył, parła go do tego i niecierpliwość własna — ale pasportu z Paryża ciągle nie było. Z powodów już powyżej wskazanych, były czasy owe dla osób w położeniu Juliusza pod względem, o który właśnie chodziło, nad wszelki opis uciążliwe. W październiku (1835) otrzymał nowiny, które mu prawie wszelką odebrały otuchę. W listopadzie błysnęło znowu małe światełko nadziei. Miała się zająć jego sprawą jakaś księżna, wiele wpływu wywierająca w sferach rządowych. Ale Słowacki mało ufał tym obietnicom i uważał już cały ten projekt wyjazdu swego za Alpy za rzecz przepadłą. Martwił się z tego tém bardziej, że wzgląd na coraz szczuplejsze jego dochody nakazywał mu bądź co bądź porzucić Genewę jako miejsce zanadto drogie dla niego. Nie wiedział, gdzie się obrócić. Do Paryża powracać sobie nie życzył. Więcej zdawała mu się być dla niego stosowną Bruxella. Ostatecznie też postanowił przenieść się do tego miasta. Czekał tylko jeszcze na powrót Januszewskich i ułożył się z nimi, że jeżeli obiorą sobie drogę jakim traktem przez Alpy niezbyt od szwajcarskich granic odległym, to i on się tam stawi, ażeby się przynajmniej raz jeszcze w życiu zobaczyć z nimi. Miało to nastąpić jednak dopiero na wiosnę. Zimę tedy (z roku 1835

na 1836) wypadło mu jeszcze przepędzić w domu pani Patteg w Genewie.

Przez cały ten czas, gdzie się rzeczy ważyły pomiędzy nadzieją, że mu pasport przysła, a obawą, że trzeba sobie będzie szukać nowego przytułku gdzieś tam pomiędzy Belgami, miotał nim niepokój, niesprzyjający autorskiej czynności.

„Zimę tę niewiedzieć jak przepędzam — pisał do matki dnia 17 listopada 1835. Ciągła nadzieja wyjechania stąd do Teofilów porwała łańcuch moich marzeń. Ja, co zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu, tego roku głowę mam podobną do niezapalanej latarni. Więc nudzę się; cześć myśli jest największą dla mnie męką. Nie wiem, o czém marzyć, a nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnej rzeczywistości.“

Od tego listu, pisanego w listopadzie, aż do korespondencji włoskiej, która się poczyną z dniem 28 maja 1836, jest przerwa ani jednym słówkiem nie zapełniona, której powodu nie umiem wytłómaczyć sobie zupełnie. Nie wiadomo tedy, ani czy co napisał tej zimy (prócz dokończenia *Anhellego*), ani kiedy mu nad wszelkie spodziewanie nadesłano ów upragniony pasport z Paryża, ani też jakie były okoliczności towarzyszące godzinie wyjazdu. Dość że w miesiącu styczniu czy lutym (1836) opuścił Juliusz dom, w którym przez całe trzy lata przemieszkując, tyle doznawał życzliwej gościnności; w którym mu tyle natchnień przeszło przez serce i zrodziło niejedną z celniejszych jego utworów; w którym wreszcie błogie, nigdy przedtém w takiej czystości jemu nieznane światełko tego, co pocziwy niegdyś Karpiński nazywał najpiękniejszym szczęściem na ziemi, uśmiechać się zaczęło do niego, ażeby tém prędzej potem ukryć się za obłokiem i — dogasać powoli w cichych wspomnieniach wygnańca. Wyjeżdżał z postanowieniem spędzenia na włoskiej ziemi przynajmniej roku całego. Jechał pocztą do Marsylii, stamtąd na statku parowym, morzem do Liwurny; następnie, po trzech dniach wypoczynku w tém mieście, do *Civita Vecchia*, a stąd na koniec łodem do Rzymu, gdzie go krewni oczekiwali. Rozpoczynając tę podróż, znał już cokolwiek język włoski. Miał on jeszcze w roku 1834 sposobność

poduczenia się jego w towarzystwie pewnego Włocha, który w Genewie w jednym domu z nim mieszkał i ciągle w tym języku rozprawiał ze Słowackim.

Bawił w Rzymie razem z Januszeuskimi przez trzy miesiące od początku marca do końca maja. Mieszkali razem; w pierwszych tygodniach, dopóki jeszcze z będących wtedy w Rzymie rodaków mało kogo znali, był Juliusz nieodstępnym ich towarzyszem. Później znalazły się nowe znajomości i to ze wszech miar miłe i zajmujące; więc trzeba odtąd było poecie dzielić czas swój między nich wszystkich, ażeby i jednej stronie i drugiej zadość uczynić.

Z całego czasu spędzonego nad Tybrem jest tylko jeden list Juliusza, pisany do matki na kilka dni przed wyjazdem do Neapolu, d. 28 maja 1836. Wypiszę z niego, co tylko rzuca jakie światło na życie poety w owych miesiącach; uprzedzam jednak, że nie będą to szczegóły ani w części tyle dokładne, jak z czasów genewskich.

O wrażeniach, jakie na nim stolica chrześcijańskiego świata zrobiła, nie ma w liście żadnej wzmianki. Natomiast znalazło się w pozostałych papierach kilka tercynów, wtedy zapewne pisanych, które dają odgadnąć uczucia, z jakimi oglądał Juliusz ostatnie szczątki wielkości starożytnego Rzymu.

R Z Y M.

Nagle mię trącił płacz na pustém błoniu:

„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem“...

Tak śpiewał pasterz trzód siedząc na koniu.

Przede mną mroczne błękitnawym dymem

Sznury pałaców pod Apeninami,

Nad nimi kościół ten... co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami

Okrętów tłum, jako łabędzie stado,

Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą

Poranny zachwiał wiatr i pędził dalej

Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali

Ci aniołowie fal — a ja zostałem

W pustyni sam — z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich lez nie lałem,

Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni

Słońce, szydzący Bóg, czy Rzym widziałem?

Było zatem w pierwszych wrażeniach rzymskich coś przyniatającego do ziemi smutkiem naszego wędrowca. Uspokojenie to jednak potem minęło. I dlatego też pisał na odjeździe w liście owym z Rzymu wysłanym na przykład co następuje:

„Jak dziwnie powietrze włoskie działa na moje zmysły, tego opisać nie mogę. Mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba, chciałbym tu być przepędzić moje przeszłość.“

Wspominałem wyżej o znajomościach, które z bawiącymi w Rzymie rodakami zawiązał w owym czasie Słowacki. Oto tutajto spotkał on się po raz pierwszy w życiu z wieszczem, którego imię tak jest przyjaźnią i poezją z jego imieniem związane, jak imię Moora z Byronem, jak Garczyńskiego z Mickiewiczem. Mówię o Zygmuncie Krasińskim. Wiekiem prawie równiecy (Zygmunt o trzy tylko lata młodszy był od Słowackiego); talentem poetyckim, dla tłumu czytających mało wtedy jeszcze przystępnym, tak ściśle spokrewnieni ze sobą — zrozumieli się oni od razu i tak sobie wzajemnie do serc przyłgnęli, że ten związek ich duchów pozostał dogonnym, pomimo wstrząśnień przelotnych, które w ostatnich latach życia Juliusza zagrażały zerwaniem téj idealnej przyjaźni. W czasach pierwszego poznania Słowacki, chociaż autor kilku już dzieł wydanych, mało jeszcze w kraju był ceniony jako poeta. O Krasińskim chyba najbliżsi wiedzieli, że pisze; Agay Han i Nieboska komedia były już ogłoszone (1834), lecz bezimiennie; Irydyon przechodził właśnie przez prasy paryskie w dniach owych, gdy się ci dwaj młodzi ludzie po raz pierwszy ujrzeli na rozwalinach nieśmiertelnego miasta.

... „W ostatnich czasach żyłem w Rzymie z kilku ziolkami moimi, młodymi, zapalonymi, i tych towarzystwo ożywiało mnie nieco. Jeden z nich miał wiele podobieństwa do dawnego dzieciennego przyjaciela mojego Ludwika. Rozmawiając z nim, przyszło mi na pamięć wiele dawnych uczuć i wiele dawnych wyrazów. Chodziliśmy razem na spacer i najczęściej przepędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jestto ogród pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich.*) Przy świetle księżycy kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny otaczające tę willę przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w siniej mgłę tonął, z dziwnym rozemdleniem serca myślałem o przeszłości. Nieraz Ciebie, moja droga, wspomniałem cicho i głośno... opowie Ci to kiedyś Zygmunt, mój towarzysz romansowych wędrówek, bo może on prędko Ciebie widzieć będzie, a obiecał mi, że to uczyni, jak będzie mógł najspieszniej po powrocie z zagranicy... Z Zygmuntem biegaliśmy po odległych spacerach. Wieczorami tak na żywych i pasjonowanych rozmowach czas nam zbiegał, że często wracałem do domu, kiedy się już Teofilowie spać położyli. Przeczytałem był wszelkie moje prace Teofilostwu, które się im nie bardzo podobały — (to się ściaga, jak mi dobrze wiadomo, jedynie do Balladyny) — „i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem“...

Z innych osób wtedy w Rzymie poznanych wymienić potrafię tylko Alexandra Hołyńskiego, młodego obywatela z Białej Rusi z pod Witebska, i Zenona Brzozowskiego z Ukrainy, którzy obydwaj, jak sądzę, objęci są właśnie razem z Zygmuntem w tym wyrażeniu „młodzi moi znajomi“; dalej rodzinę baronostwa Richthoffenów z Poznańskiego, i Alexandra Potockiego, który się liczył do Emigracyi.

O Richthoffenach znajduje się taka wzmianka w listach Juliusza:

... „Mąż Niemiec — żona Polka, bardzo miła osóbką, wiele gadająca, z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich. Gdybyś sobie, droga moja, wystawić mogła, coto za urok jest dla nas w Polkach! jak one zdają się nam z innego świata, lepszego, zgrabniej-

*) Cudne to miejsce dzisiaj nieprzystępne jest dla publiczności; przeszło bowiem w posiadanie zakonu Salezjanek.

szego stworzeniami: tobyś się nie dziwiła, że słysząc tylko o tej pani, lataliśmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć. Ideał utworzony w imaginacyi rozprysnął się za pierwszym spotkaniem tej damy w ogrodzie Borghezeych, i teraz została mi w niej tylko miłutka znajomość, bo mnie Alexander Potocki zarekomendował, a moje nazwisko, już trochę znane, pomogło mi do otrzymania dobrego nader przyjęcia“ (dnia 28 maja 1836).

W pierwszych dniach czerwca rozstał się Juliusz z Krasieńskim i razem z krewnymi wyjechał z Rzymu do Neapolu. Hołyński i Brzozowski w kilka tygodni później także się tam znaleźli. O trybie życia w tym mieście najlepiej zawiadomi następujący wyjątek z listu:

„Od piętnastu już dni siedzę w oknie mojem, na ulicy św. Łucyi*) w Neapolu, patrząc na błękitne morze, na Wezuwiusz, na Neapol ciągnący się w półkregu na lewo, w dzień biały, w nocy jaskrawy tysiącem światła. Mam balkonik mały nad morzem, na balkoniku stoi krzesło i różny wazon; w tym krzesle siedzę jak śpiący, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tureckiego tytoniu; czasem podnoszę głowę i widzę... co? Teofila z Gajem (dawny znajomy z Wilna, który z żoną także podróżował wtedy po Włoszech) siedzących na drugim balkoniku na górze i patrzących na morze. Tak zwyczajnie część dnia upływa w kontemplacyach. Pod wieczór robimy różne projekta spacerów, które czasem przychodzą do skutku, a czasem niezgodnością głosów zerwane, kończą się na tym, że każdy z nas idzie w swoją drogę; to jest: Teofilowie na ludną i publiczną promenadę prowadzą się jak dwoje gołąbków, Gajostwo idą skupować lawy i obrazki, a ja wracam znów na moje siedzenie na balkoniku i przemierzam cały wieczór. Takie jest życie moje, niech go (jak powiada Adam) słuchacz w duszy swój dośpiewa.“

... „Zachwycony jestem Neapolem, a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Dlaczego? wyznam ci moja droga, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę... Dlatego w Neapolu nie chce mi się długo siedzieć, a w Sorrento przywołaniem mocnych

*) Był to dom położony pod Nrm. 3 na ulicy S. Lucia.

myśli będę się starał zapełnić tę czerzość, która mię teraz nadto lekkim czyni i nosi po wierchu wszystkich marzeń. Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się i lzy miałem w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem więcej na mnie z tamtego świata. Ale czy uwierzysz, droga, że Herkulanum i Pompei nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia! Chodziłem po ulicach Pompei z cygarem w zębach, jak po spalonej wiosce: uliczki małe, brukowane przed wiekami, z dwóch stron grobowce, i domki bez dachów i sufitów uróżowane jak stare kobiety szczałkami malowideł czerwonych; małe framugi wylepione muszelkami, z których niegdyś lały się źródła wody, dziś nie płaczące; świątynia Izys mała, z wyrocznią, która dziś restaurowana ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu; mały cyrk teatralny odkryty, ani przy jego kolumnach nie stoją zaschłe trupy aktorów, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Odgrywał na nim tylko Gaj komedią, bo chciał wziąć z murów mały kamyk marmurowy na pamiątkę, a cicerone odkrył rzecz i pamiątkę wyjął czulemu sentymentalizującemu wojażerowi z zanadtra... Ja na to wszystko patrzyłem siedząc w łóżu. — Wchodząc do domu poety, towarzystwo odezwało się do mnie po polsku, abym przesiadł, jako poeta, progi przesiadł. Cicerone nasz przebiegły zaraz zrozumiał, o co rzecz chodzi, zaraz powołanie moje wywahał i dowcipnie się znalazł, bo przystąpiwszy do mnie rzekł: Ponieważ Pan jesteś u siebie, więc mi coś daj! Na tak zgrabne przymówienie się nie mogłem nic odpowiedzieć, tylko brzęcząc słowem, które zaraz imię moje poety zamieniło w ustach cicerona na tytuł *Eccellenza*, i tak uradowany przewodnik zaprowadził mię do najtajniejszych zakamarków poetycznego domu, pokazując mi różne bezwstydne i rozwiązłe obrazki. O! poeto starożytny, nie żal, że ciebie niepamięć zasypała, a dom twój popiół przywalił! — Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę że możnaby w jednym z tych domków szczęśliwie spędzić życie; trzeba by tylko z trzykroć majątku. Wtenczas Ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów; ja miałbym także cichą i żaluzjami zielonemi zasłoniętą pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potem miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potem niechby choć popiół przysypał nasze grobowce!“ (dnia 20 czerwca 1836).

Owoż dobitny przykład, co to jest człowiek z wrodzonym usposobieniem do ciągłych marzeń i przyzwyczajony samemi okolicznościami do życia w napowietrznej sferze samych tylko ideałów fantazyi. Potrzeba pragnień jakichś nigdy nie zaspokojonych zamienia się u ludzi takich w drugą naturę. Dopóki żył samotny w Szwajcaryi: tęsknił do rodziny, skarżył się gorzko, że nie widzi nikogo ze swoich około siebie. Po wielkich z trudnościami przebojach i po długim czekaniu, ma ich teraz przy sobie... i cóż poczyną? Oto zamyśla o wyjeździe do Sorrento, ażeby ich samych zostawił w Neapolu! Marzy natomiast o własnym domku nad morzem. Gdyby posiadał, co tu wyraził, szukałby znowu czego innego na świecie! Prawdziwy poeta w życiu, jak w pismach...

Myśl wycofania się ze zgłębku miejskiego w zacisze wiejskie w samej rzeczy doprowadził do skutku. Pojechał do Sorrento i przesiedział tam cały czerwiec, podczas kiedy Januszewscy ciągle w Neapolu bawili. Z końcem miesiąca do nich powrócił i taką zdawał sprawę matce z tego pustelniczego miesiąca:

... „Przepędziłem miesiąc cały w Sorrento blisko Neapolu, sam jeden, bo Teofilowie miasta nie chcieli porzucić, ja zaś potrzebowałem przeżyć choć miesiąc jeden między drzewami, daleki od zgłębku brukowego, i znalazłem sobie mały pokoik, z którego nie widać nie było prócz gaju cytrynowego i morza, za morzem w mgle oddalenia Wezuwiusz. Całe dnie przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem. Zrazu chodziłem się kąpać w morzu, i te kąpiele przez miesiąc cały brane nie przyniosły innego skutku, oprócz czasowego osłabienia, które ustało, skorom kąpeli zaprzestał. Życie moje wiejskie w Sorrento przypominało mi dnie samotne przepędzone w Veytoux nad brzegiem jeziora; i to podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłem mi było. Pisałem trochę, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w bliskim kościółku grający organ dochodził do mojej cichej celi. Czasem, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich, słuchałem oparty na murze grającej na gitarze dziewczyny. Była to młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady. Zawsze widać mię było nad morzem w godzinę zachodu słońca, bo lubiłem słuchać powiewu wiatru, który ciągle od morza na ziemię wiejący, w chwili zachodu obracał się nagle i gonił za słońcem na morze. I tak przeszedł mi cały miesiąc życia bez żadnej rozmaitości... Je-

dnostajność taka nie znudziła mnie jednak wcale, i byłbym dłużej pozostał w mojej zaciszy, gdyby nie bliski wyjazd Teofilów i nie chęć przepędzenia z nimi ostatnich dni mojego tu pobytu, zwłaszcza że dla braku funduszków nie mogę ich odprowadzić do Florencji... (Neapol, dnia 3 sierpnia 1836).

Wzmianka powyższa „pisałem trochę“ nasuwa pytanie, które też z dzieł Słowackiego powstało wtedy? Jestto wątpliwość trudna do rozwiązania. Już to w ogóle czasy te spędzone we Włoszech nie wydały wielkiego plonu. Zbyt wiele przeróżnych wrażeń miał do przyjęcia w siebie Słowacki w tym nowym dla siebie świecie; zbyt był zajęty tém wszystkiém, co się działo około niego, żeby był mógł dawać posłuch i wewnętrznym natchnieniom, powołującym go do autorskiej czynności. Pomiędzy niewydanemi za jego życia rzeczami znalazłem zaledwie trzy pomniejsze utwory, które niewątpliwie przypadają na te włoskie miesiące. Sąto poezye liryczne, zatytułowane *Sumienie* (z podpisem: dnia 1 maja 1836),*) „*Rzym*“ (przytoczony powyżej w całości), i kilka strof mających napis „*Ułamki*“, podobnież tercynami dantejskimi pisane, jako ten wiersz poprzedni. To wszystko, jak rozumiem, rzucone było na papier w Rzymie. Na ów miesiąc w Sorrento nie mam nic, coby odnieść mógł z pozostałych jego papierów. Z dzieł dawniej drukowanych jeden tylko Wacław (wydany roku 1839) mógłby być utworem tegoto czasu. I rozważywszy wszelkie okoliczności, które tu zbyt długo byłoby szcze-

*) W wierszu „*Sumienie*“ zdaje się ściągać znowu wszystko, jak w owém „*Przekleństwie*“, do Eglantyny. Ażeby jednak czytelnik nie poddawał się mylnym przypuszczeniom, jakie mu się przy czytaniu tego wiersza zapewne następczą, uważam sobie za obowiązek nadmienić, że literalnie brać nie można niektórych wyrażen, jakie się tam znajdują. Jest w całym tym stosunku poety do Eglantyny w ogóle wiele rzeczy bardzo trudnych do wyjaśnienia; lecz co pewne, to że i potem byli oni dobrze ze sobą, korespondowali i wspominali o sobie życzliwie. Słowacki przynajmniej w listach swoich do matki z téj epoki mówi o niej zawsze tonem przywiązanego brata. „Dobra siostra moja genewska“, „listy siostry mojej Eglantyny miłe mi są, bo sercem pisane“, itp. oto wyrażenia, w jakich o niej zawsze przemawia.

gółowo rozbierać, przypuszczenie powyższe nabiera tyle prawdopodobieństwa, że co do mojej osoby śmiałybym nawet na pewne twierdzić, że poemat ten wtedy musiał być napisany. Była to kreacya, jak rozumiem, osnuta na tle tego wszystkiego, czego się o ostatkach życia tego bohatera powieści Malczeskiego nasłuchać mógł Słowacki w Rzymie od niektórych rodaków tamże bawiących a dobrze obeznanych z domu tulczyńskiego dziejami i misteryami. Powodu do rozmów o tém dostarczała już sama bytność pomiędzy nimi Alex. Potockiego, który był, jak wiadomo, najstarszym z synów Szczęsnego z żony jego Zofii Greczynki.

Lecz wróćmy do biografii poety. Zamiarem jego było więc pozostać, kiedy krewni odjadą (a miało to nastąpić z końcem miesiąca) w Neapolu i nadal, aż do nadejścia funduszków, któreby mu pozwoliły udać się potem na kilka jeszcze miesięcy do jakiego innego miasta. Tymczasem zaszła na kilka dni przed chwilą, która ich rozłączyć miała, nagle decyzja inna, i z powodu takowej odebrała matka Juliusza niespodzianie następujące doniesienie w liście datowanym z d. 24 sierpnia 1836.

„Zdziwił się Mama zapewne, odebrałszy list ten na wsiadaniu prawie pisany. Wyjeżdżam na Wschód, do Grecji, do Egiptu i do Jerozolimy. Projekt ten od dawna zrobiony i kilka razy odrzucony ode mnie, jako nadto straszne przedsięwzięcie, przyszedł nakoniec do skutku. Odbędę sześciomiesięczną wędrowkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego i w Alexandryi połączę się z dwoma moimi współtowarzyszami podróży“ (Hołyńskimi, z których młodszy, Alexander, poznany jeszcze w Rzymie, głównie go namówił do téj wyprawy i też dopomógł do wykonania projektu). „Będzie więc nas czterech żeglujących po Nilu aż do pierwszej katarakty. Nie lękaj się o mnie, moja droga, ani fraszuj się o sposoby dosyłania mi czego. Mam wszystko zabezpieczone.“

... „Teofilowie odradzali mi wojaż; ale kiedy się wałęsałem, czy go mam przedsięwziąć czy nie: otworzona losem biblia zdecydowała mnie następującym wierszem: „Kościoły azyjskie pozdrawiają was.“ Może to droga moja weźmiesz za przesad, ale wierszowi temu zawierzyłem i on mię prowadzi w daleką drogę. Dziś wieczór o godzinie 12 w nocy wyjeżdżam z Neapolu do Otranto, stamtąd do Korfu, z Korfu do Aten, z Aten do Alexandryi, taki przynajmniej ma-

my teraz ułożony plan podróży; jak go dalsze okoliczności zmieniają, nie wiem. Spodziewam się, że ta podróż będzie mi użyteczna; chociażby tylko ustaliła moc charakteru, którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy połączonej z trudami znacznymi: to już dosyć będę z niej miał korzyści. Obaczę nowe kraje, nowych ludzi; będę żył z nimi, będzie mi nosił wielbłąd karawany i pomyślę o śmierci na grobie Chrystusa. Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potem z sercem pełnym pamiątek i obrazów wrócę do jakiejś cichej europejskiej samotności.“

Ta podróż wschodnia stanowi najwięcej zajmujący, najtreściwszy i zarazem najpoetyczniejszy okres w życiu Słowackiego i w całej korespondencji jego do matki. Żałować tylko należy, że nie mamy wszystkich listów, w których udzielał swoich wrażeń w ciągu owego czasu. Przez ciąg 10 miesięcy — tak długo bowiem podróż ta trwała — wyprawił Juliusz do Krzemieńca w ogóle pięć listów z dokładnymi sprawozdaniami ze wszystkiego, gdzie był i co widział. Dwa pierwsze z tych pięciu listów gdzieś po drodze przepadły. Jeden z nich datowany był z Aten, z miesiąca września; drugi pisany był w Alexandryi, w jakie półtora miesiąca potem. Tych dwóch listów nie ma więc w zbiorze, i dlatego też nader niedokładne będą szczegóły nasze o tej pielgrzymce poety, o ile takowa dotyczy Grecyi i północnego Egiptu. Potem pisał do matki jeszcze trzy razy; to jest z Bajrutu w lutym (1837) posłał do Krzemieńca dwa listy, niezwłocznie jeden za drugim, a trzeci list, który był pisany na morzu śródziemnym na dni kilka przed zawinięciem do portu, w czerwcu rzucił na pocztę w Liwurnie. Te trzy numera znajdują się w zbiorze i z nich czerpiemy wszystko, co poniżej nastąpi.

Ażeby zacząć od ogólnego obrazu usposobień wędrowca naszego w ciągu podróży, stawię na czele następujące miejsca, wyjęte z listu pisanego d. 17 lutego 1837 w Bajrucie.

...„Sześć miesięcy włóczę się jak waryat po świecie; widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydać zmysłowi wzroku; czułem wiele, byłem wesoły, zachwycony, płakałem. Miałem całe dni pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności, to jest niespokój o Ciebie, i drugą niespokojność, że się Ty o mnie troskać musisz“...

...„Uważam już podróż moję za skończoną prawie: zwiedziłem Grecyą, Egipt, Syryą, Palestynę, i przybyłem do miasta portowego Bajrut, skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Na miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Bel-chesz-Ban. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne; towarzystwem mojem będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz Rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syrii. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszy na rozmyślanie, bo chociaż podróż ta bardzo mnie zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw zdrowie moje służy mi przewybornie; i kiedy mój towarzysz (Zenon Brzozowski), silniejszy stokroć ode mnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowej, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczył pewny nasz rodak doktor w Kairze. Dziesięć dni ciąglej sloty wytrzymałem na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie. Ale o tem wszystkiem napiszę Ci moja droga obszernie w drugim listku“...

...„Moja Mamo, do której ja z różnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z Tobą podzielić każdym widokiem, każdym wrażeniem; dlaczego Ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz w tej chwili... abym mógł płakać położywszy twarz na rękach twoich... Spokojności! Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca“...

O Grecyi zaledwie tę krótką wzmiankę spotkać można w jednym z późniejszych listów:

...„Grecya pełna ruin precudownych podobała mi się bardzo, i bardziej niż Rzym mnie zachwycała. Egipt zatęlił Grecyą w mojej pamięci. Nic cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące. W liście z Alexandryi pisałem, jakiegom wrażenia doznał, widząc się pierwszy raz w orientalem mieście, i żałuję tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby tego opisać.“ (d. 11 lipca 1837 z Liwurny).

W Alexandryi wylądował Słowacki dnia 21 czy 22 października (1836). Dwa dni przedtém, napisał prześliczny ów „Hymn o zachodzie słońca na morzu“, zaczynający się od słów:

„Smutno mi Boże! dla mnie na Zachodzie
 Rozlałeś tęczę blasków promienistą —
 Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
 Gwiazdę ognistą —
 Choć mi tak niebo ty złocisz i morze,
 Smutno mi Boże!“

Dnia 22 października, w gospodzie alexandryjskiej wypoczywając po niewczasach podróży, złożył drugi wiersz, także dopiero drukowany między pośmiertnymi dziełami, „Do Teofila Januszewskiego“.

W niewiele dni potem, nie zatrzymując się dłużej w Alexandrii, wsiadł na łódkę nilową i pogonił za przyjacielem swoim Alexandrem Holyńskim, który go wyjazdem swoim z Neapolu wyprzedził i bawił wtedy gdzieś w głębokim Egipcie, koło posągów Memnona. Pierwszą stacją w tej żegludze Nilem było Kairo.

... „Dnia 28 października przybyłem łódką do Kairo. Pyszne miasto, piramidy z daleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach. Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba (Słowacki i Brzozowski) byliśmy na małych osiołkach, i dziwnie na tém stworzeniu maleńcy wydawali się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mnie zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników, i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne, granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższej piramidy. Cudowny widok! Szczyt Faulhorna, kupała św. Piotra, Wezuwiusz, piramidy, były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy! ale zato straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacja tworzyła. W Kairze uliczki małe, mnóstwo sklepów; przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie białe płaszczyk z wełny, robiony w Tunisie, a zwany burnus. Wybrawszy najcieńszy, jaki tylko był na wschodzie, kupiłem go dla Ciebie, moja droga,

myśląc, że Ci do przebudzie obwinać się w niego jak w lekkie i miękkie prześcieradło i tak leżeć na swojej maleńkiej kanapce. Mój towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczyk tunetański dojdzie. Drugi taki płaszczyk, ale gruby i pospolity, okrywa mnie jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać Krzyżaka. Widziałem targ niewolników i jedną ładną Abisynkę, za którą dawano już 1000 fr.“

... „6 listopada wzięwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, szukając spotkać się z dwoma Holyńskimi, którzy nie doczekawszy się puszczili się przed nami w tę drogę. Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żorawi lecących po błekiecie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi unoszące się nad wioskami, wioszczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sepy wielkości człowieka siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl leżący na piasku, dla którego porwali się od stołu, aby mu się z bliska przypatrzeć, wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny“... (z listu datowanego z Bajrutu d. 17 lutego 1837).

Przerywam to opowiadanie, aby nawiasowo nadmienić, że pomimo uwagi o „niedostateczności słów“ do wydania wrażeń takiej podróży, znalazło się jednak kilka rzeczy w pozostałych jego papierach, które poeta napisał pod wpływem wrażeń na miejscu. Jestto najprzód wiersz „Odwiedziny piramid“, z datą dnia 2 listopada 1836; i drugi pod tytułem „Rozmowa z piramidami“ (oba ogłoszone dopiero w zbiorze pośmiertnym). Dalej liryczna pieśń nosząca nazwę „Na Nilu.“ Nakoniec znany już dawniej, bo dołączony do Lilli Wenedy „List do Alexandra H(ołyńskiego) pisany na łódce nilowej.“ Już początek tego wiersza maluje dokładnie sytuację:

Rozdzielił nas gościniec płynnego szafiru;
 Ty w Tebach, ja dopiero wypływam z Kairu.
 Spodziewałem się niegdyś, że miło nam będzie
 Złączyć na Nilu skrzydła okrętów łabędzie;
 Razem odwiedzać mumii balsamiczne składy,
 Razem oczy w nilowe rzucać wodospady

I razem jako dawniej, kończyć spór zacięty
 O cień Chrystusa z drzewa przez Woltera zdjęty.
 Dziś próżno cię wyglądam i próżno mię czekasz,
 Wiatrem, który mię niesie za tobą, uciekasz;
 A twój brak tak mi serce w podróży oziębia,
 Żem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia.“ itd.

Co się tyczy rysunków wspomnianych w liście powyższym, i te się także znalazły pomiędzy pozostałymi papierami poety. Leżą właśnie przede mną. Są z nich jedne wykonane ołówkiem, drugie akwarelkami. Jest ich wszystkich 15, mają daty począwszy od 27 października do 26 listopada (1836). Niektóre z nich wcale się Słowackiemu udały, i może by warto było dać je do jakiego obrazkowego pisma peryodycznego.

Dnia 19 listopada przyszło wreszcie do upragnionego spotkania się z Holyńskimi. Wszystkie szczegóły tej miłej sceny tak wtedy w pamięci Słowackiemu utkwiły, że jeszcze w rok potem, w Florencji bawiąc, spisywał owo zdarzenie, jakby się działo właśnie przed jego oczami.

... „Wiedząc już, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu, wzięłem strzelbę na ramiona i z jednym Arabem puściłem się przed łódką naszą brzegiem, aby się mieszkalców wiosłujących o tych cudzoziemcach wypytać. Po godzinie drogi ujrzałem z daleka ich pawilony w jednym z kanałów nilowych i spostrzegłem dwóch młodych w europejskich ubiorach na na piasku. Pędem bić zacząłem do nich, młodszy brat skoro mię obaczył, także zaczął bić ku mnie i rzuciliśmy się w uściski zobopólne, dumni ze spotkania się na tej ziemi cudów. Wkrótce nadjechała łódź z Zenonem, którego już mój Arab uprzedził, że znalazłem tych, za którymiśmy ścigali. Wszyscy więc razem, służącym powierzywszy straż łódek, poszliśmy do oddalonej o godzinę drogi Dendery. Największy ten po piramidach gmach w zachwyceniu nas pogrążył. Chodziliśmy między kolumnami, jak odurzeni; siadaliśmy na ziemi, rozmawiając z litością o wojaczach europejskich, którzy takich cudów wystawić sobie nie mogą; słowem nakarmiliśmy oczy, serce i zamknęliśmy do serca dzień pamiętek tak cudowny, że nawet przyjaźń naszą między nami powiększył. Potem Holyńscy zaprosili nas do łodzi na obiad, a my ich na poncz wieczorem do

siebie. O godzinie 12 w nocy rozjechaliśmy się; towarzysze nasi bowiem już wracali z katarakty, my zaś dopiero jechaliśmy do niej. Łódki ich ze śpiewem majtków oddaliły się szybko wodą niesione, nasz zaś okręciak przeciwko wodzie płynął z trudnością i łamał księżycowe fale.“ (Florencya, d. 24 listopada 1837).

Przyjechawszy do katarakty, wzięli na dzień jeden osiołki i ruszyli, objeżdżając Nil, do Nubii, ażeby widzieć wysepkę Fileę, sławną z ruin i pięknego położenia. Potem skierowali drogę ku Tebom i zwiedzili tak ruiny tego miasta „przechodzące wszystko ogromem,“ jako i statuy Memnona o wschodzie i o zachodzie słońca. Wreszcie —

„Dnia 10 grudnia to jest po trzydziestokilkodniowej podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków już dawniej znajomych, oraz Holyńskich. Pięć dni przepędziliśmy znowu w tém mieście, i potem siadłszy na wielbłądy, kupiwszy sobie namiot, z dwoma służącymi i beduinami, puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie droga, jak to dziwnie siadać na kłęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy człowieka rzuca w różne strony wstając na nogi; lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy kłęka, zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem, i beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab. Czas był najpiękniejszy. Pierwszą noc spaliliśmy w grobowcu świętego tureckiego; była to mała biała kapliczka z kopułką: święty nieboszczyk leżał po jednej stronie, my po drugiej. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka i przez te mieliśmy ze świętym komunikacyą. Wielbłądy leżały więcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kapliczką rosło wielkie czarne drzewo, w którem całą noc śpiewał puszczyk. Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez osiem dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wioseczkę. Małe różne wydarzenia takiej podróży stają się bardzo znacznymi i urozmaicają się dziwnie. Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hyeny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynię i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada — nic z tych rzeczy nie jest obojętnem. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe palące się lekkim płomikiem jak koronki brabanckie, słowem przyjemna po-

dróż w pustyni. Jużeśmy przybyli do El-Arish, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotem dni 12 kwarantany. Ale o tém i o dalszej podróży w następującym liście. (Z Bajrutu, d. 17 lutego 1837).

Odsiadując kwarantanę razem z towarzyszem swoim Brzozowskim (Hołyńscy bowiem byli pozostali w Kairze), doznał Słowacki w tém miejscu pustém, położoném na samém pograniczu Egiptu a Syrii, rozlicznych przygód, a wcale niespodziewanych. Ustęp, który poniżej wypisujemy, tém bardziej jest ciekawy, że wiele z tych obrazów, zdjętych tu z natury, odnajdujemy i w pięknym jego poemacie: Ojciec zadżumionych w El-Arish.

„Teraz opiszę Ci moję kwarantanę w pustyni przy małym miasteczku El-Arish. Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach dano nam na odbycie kwarantany 12dniową równinę piasku gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi do koła, nic więcej. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić, i zostawiono na łasce pana Boga. Wszakże do małego namiotiku, który z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się było można schronić na przypadek deszczu, słowem miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem śródziemnego morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym małym rozłożył swoje graty, i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia. Wieczorem towarzyszył mój dobywający zapomnianego czakana, zagrał mi wielką koledę, której słuchałem z rozczerzeniem leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł... Wtém niebó okryło się chmurami, burza piorunowała, ale najokropniejsza z wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu, leżących w osobnych namiotach, ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca kilkakrotnie zapalona zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże podmywając nasze łóżka położone na ziemi, zmusiły nas do zwinienia wszystkiego w jeden

pakiet, i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć co się z moim towarzyszem stało, i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtém patrząc, aż mała rzeczka płynąca przez dolinę wzbiera, przerywa brzegi i białymi kragielami falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok nowej inundacji nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo, i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świat pochmurny przeszedł nam smutno suszącym się na górze. Głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem. Potém czas piękny wrócił, i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy. (Bajrut, d. 19 lutego 1837).

Wartoby było, aby po tym krótkim, sprawozdawczym tylko tu rzuconym opisie, odczytał sobie teraz czytelnik cudną przedmowę do powieści o Ojcu zadżumionych. Znajdzie w niej to samo — ale tam i strojniej i szczegółowiej jest wszystko opowiedziane.

Kiedy minęły dni kwarantany, ukłękły znowu wielbłądy przed wędrowcami naszymi i podniosły się z nimi, „wyciągając długie, węzom podobne szyje, ku grobowcowi Chrystusowemu.“ Wjechali na ziemię klasyczną Palestyny. Bardzo krótko bawili w miastach leżących im po drodze, Gazie i Jafie. Bez wytchnienia dążąc ku Jeruzalem, stanęli wreszcie u bram miasta d. 13 stycznia (1837) o godzinie 9 wieczór.

... „Zastaliśmy bramy miasta zamknięte: cisza grobowa, księżyc, szczerkanie psów odpowiadające na nasz stuk do bramy — niepewność, czy firmy nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować — jakieś wspomnienia krzyżackie... wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie po dwóch godzinach otwierają się bramy, zajeżdżam do klasztoru. Szpitznagel*)

*) Alexander Spitznagel, wicekonsul w Jafie, przyjaciel uniwersytecki Słowackiego i zapewne brat Ludwika, bawił wtedy właśnie przypadkiem w Jerozolimie, o czém nasz poeta dowiedział się po drodze.

słyszac głos cudzoziemców, schodzi na dół; biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: Oleś! — Nie pozna mnie... Pytam go po kilka razy: jakto? czy mnie nie znasz?... Odpowiada mi po trzykroć: Niech Pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie... Nakoniec musiałem ze ściśnionem sercem wymówić moje imię i nazwisko... Jeżeli przykrą mi była ta chwila, to jeszcze przykrzejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem... Przyszedł do mnie i wzięwszy za rękę, powiedział: do zobaczenia. Oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że jeżeli wyjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia żegnać się trzeba... Cały ten dzień było mi smutno. — Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa... na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łyżczyły mi się z oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona została mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam, i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp, miałem biblią, którą czytałem do 11 w noc; o pół do dwunastej weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali ów kamień, a potem przyszedłszy do mnie oboje, pocałowali mnie w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli — zostałem sam. — O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoje mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny) zaczął w swojej altanie dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, po północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, swiergocąc każdy po swojemu o wschodzie słońca... Grecy na grobie odprawiali mszę, potem Ormianie; o drugiej zaś w nocy, ksiądz rodak wyszedł ze mszą w imieniu mojej ojczyzny, a ja klęcząc na tém miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: „Nie ma go tu, zmartwychwstał“, słuchałem całej mszy z głębokim uczuciem. O

trzeciej w nocy znużony poszedłem do klasztoru, i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.“ (Z listu jak wyżej). Zwiedzał potem wszystkie ważniejsze punkta Palestyny, wspomniane w piśmie św. Odbýwał pielgrzymkę tę konno. Był u morza Martwego, w Betleem, w wiosce Jericho, na Jozefata do linie, w Nazaret i w Tyberyadzie, ciężko nawiedzonej nieszczęściem na kilka tygodni przedtém. W skutek trzęsienia ziemi w mieście tém nie zostało ani jednego domu całego i 500 ludzi zginęło pod ruinami. Oglądał jezioro genezaretańskie i rozpamiętywał sceny biblijne, przywiązane do tego miejsca. Cała ta ziemia palestyńska wydawała mu się dziwnie uroczą, pełną najpiękniejszych kwiatów, podobna do różnobarwnego kobierca. „Góry tylko, na których stoi Jeruzolima, dzikie, nieplodne, nadają temu miastu straszliwą fizyonomią, i okropna jest dolina Jozefata“...

Wyjechawszy z Tyberyady, w pięć dni stanął w Damaszku, który choć położony w bardzo pięknej okolicy, mało go zajął i przypominał mu Kairo. Potem przebył śnieżny Antylibanon i znalazł się między ruinami Balbeku (dawnego Heliopolis). Niewypowiedziane ruiny te go zachwyciły. Przypominał sobie, że kiedyś, kiedy jeszcze był dzieckiem, leżało w domu rodziców jego na fortepianie dzieło wielkie z ogromnymi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry, które on nieraz wtedy przeglądał.

„Stojąc między kolumnami rzeczywistemi teraz, przypominałem sobie te chwile dzieciństwa, i serce moje było pełne smutku.“

Stamtąd przejechał konno także Libanon, równie zasypany śniegiem, jak Antylibanon, i zjechał do krainy, w której zastał najpiękniejszą wiosnę.

„Jedne drzewa wcale nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały pruszą kwiatem, słońce pyszne, słowem jestto prawdziwie ziemia obiecana! Nie wyruszę z niej, aż za dwa miesiące. Nie pojedę do Konstantynopola, bo mi to miasto niewiele interesuje; wolę jeszcze pozostać z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów“...

To było pisane d. 19 lutego 1837 w Bajrucie. Krainą, o której mówi, była nadbrzeżna, wzdłuż morza Śródziemnego ciągnąca się część Syryi, która niegdyś stanowiła kraik starożytnych

Fenicyan. W kilka dni potem, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obojgu towarzyszy podróży. Zenon puścił się łodem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabskie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syrii. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z tej pustelni:

„Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi — wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego łądować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żyłastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włożyć się z nim po świecie, więc go pijam, czyli raczej co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętej, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia. — Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dni całe na dumaniu; wieczór siedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabul bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło.“

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczulem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włączę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jedynostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknięcie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem na koń; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, potem człowiek z butlem na plecach — i cała krotocwilność takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarzej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo: rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypominało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: idź w pokój! wiara twoja zbawiła ciebie.“ (Z listu pisanego na morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6 tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumaniu“, jakby wnosić można z ustępu powyższego przywiedzionego. W dalszej osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potem mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadziurnych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

śmiertnym. Kiedy jednakże rozważam cały nastrój w pierw wymienionej powieści, nastrój nader smętny i poetyczny, i porównywan z nim ówczesne usposobienie poety, dumającego tak samotnie w ormiańskim owym klasztorze: to mi się zdaje, jakoby daleko było prawdopodobiejszym przypuszczenie, że owato powieść wtedy powstała, aniżeli żeby tam miał być Juliusz nad „Podróżą“ pracować. Ton tego poematu jest zbyt już wolny, szyderczy i niepoważny, by to miał być owoc i zarazem odbłask tej religijnej kontemplacji autora, w jakiej go tam widzieliśmy. Daleko właściwszą jest rzeczą odnosić Podróż do czasu spędzonego później we Włoszech, a mianowicie w Florencji.

Jakoś dnia 6 albo 7 kwietnia, pożegnał się Juliusz z zakonnikami Libanu i powrócił do portowego miasta Bajrutu. Nie znalazł w porcie, jak się był spodziewał, żadnego okrętu odpłynąć mającego do Europy, i długo musiał czekać na okręt. Z tej przyczyny w Bajrucie spędził z jakie 40 dni w hotelu. Pierwsze dni takiego tam siedzenia były dla niego nieznośne, mimo uczynności konsula, który mu książek do czytania pożyczał i nieraz go z uprzejmą gościnnością do domu swego zapraszał. Nakoniec jednak zdarzył los, że przyjechał tam z Jerozolimy starszy Holyński, brat Alexandra, przyjaciela poety. Znajomość Słowackiego z starszym Holyńskim była dotąd tak mało znacząca i przelotna, że zaledwie się mogła uważać za znajomość. Widzieli się tylko raz jedyny wtedy nad Nilem, kiedy to wspólnie wszyscy oglądali ruiny świątyni w Denderze.

„Nie znałem go i myślałem, że w towarzystwie jego nie znajdę przyjemności; ale przeciwnie, on sam pierwszy zbliżył się i związał się ze mną. Całe dni potem spędzaliśmy razem chodząc na spacer, rzucając spojrzenie ukradkiem na zakryte wschodnie piękności. Ulubionem miejscem naszym był ementarz w Bajrucie, gdzie co wieczora siadaliśmy razem na marmurowym turbanie, patrząc na morze i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w oddawaniu czci zmarłym, wierniejsze niż nasze kobiety wspomnieniom. Marzyłem kiedyś będąc dzieckiem o takich ementarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy... Słowem dobrze nam było, i mnie dobrze, bo znalazłem w nim przyjaciela. Kiedy miałem wy-

jeżdżać, Holyński myśląc, że może moja kiesa wypróżniła się, różnymi sposobami starał się wszcząć dyskurs o pieniadzach. Nareszcie jednego wieczora zaczął mówić — zaczął się i przestał; ścisnąłem go za rękę, kończąc sam zaczęta przez niego frazę. Dobry chłopiec, rzucił mi się na szyję i rozplakał się rzewnie łzami, usiłując koniecznie, abym wziął u niego 2000 fr. Z największą trudnością wymówiłem się od tego i musiałem go przekonać, że mam pieniądze wystarczające mi na powrót do Europy... Ale łez tych nigdy nie zapomnę, i Ty go, droga moja, za to wiem że kochać będziesz. Ostatnie dni spędziliśmy razem. W wigilię mego wyjazdu razem byliśmy na balu u mojego konsula. Ładna to, jak na Bajrut, była feta: fajerwerki, balon puszczony, dziedziniec zamieniony w salę do tańca, kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach, żony konsulów itd. Tańczono przy pozytywku; bo fortepiany choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrument posyłać potrzeba. — Muszę Ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputacją poety; więc wszyscy ubiegali się, abym z nimi gadał, i od czasu Lamartina naznaczyli mój pobyt pierwszą kreską. Dostyc mi to było miło, zwłaszcza że po tym balu nazajutrz miałem wsiąść na okręt i puścić się w daleką podróż. Była więc w tém jakaś poetyczność, którą wyrazić nie potrafię“. (Z listu, jak wyżej).

Nazajutrz po tym balu rozstali się nasi przyjaciele ze sobą i z Bajrutem. Słowacki wsiadł na okręt i pożeglował do Cypru, a Holyński, który nie chciał już w tém mieście zostać potem ani godziny bez niego i dlatego też już pierwój był rzeczy swoje wyprawił naprzód, dosiadł konia i ruszył w góry libańskie do cedrów Salomona. Było to jakoś w pierwszej połowie maja.

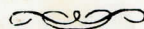
W dobry miesiąc potem znajdował się nasz wędrowiec na morzu już gdzieś niedaleko włoskiej Liwurny, i pisał list (datowany z d. 14 i 15 czerwca), list ostatni z podróży, w którym udzielał matce spostrzeżeń swoich zebranych na pokładzie okrętu.

....„Życie moje na statku jest bardzo jednostajne. Wstaję przed wschodem słońca i obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem. Potem widzę czerwieniące się niebo, koguty na rzeż przeznaczone pieją i głos ich dziwnie się wśród morza wydaje, przypominając spokojność życia wiejskiego; kot okrętowy wychodzi igrać ze mną, ży-

wy i wesoły o godzinie porannej; potem wschodzi słońce, a pokład okrętowy czerni się od habitów sześciu mnichów, rzucających spokojne łoże; potem kawa, ranne godziny zajęte czytaniem, marzeniami — przy obiedzie nieraz mój butel budzi wesołość... Po południu o godzinie 5 cały okręt odmawia głośno rożaniec do Najświętszej Panny, prosząc ją o wiatr dobry... i наконец wzywa swoje rodziną Madonnę de Monte Negro, aby się opiekowała nim i o wiatr pomyślny prosiła... Wieczera i obserwacje gwiazd wschodzących dzień mój kończą... Czasem z którym z mnichów gram w warcaby... Nakoniec piszę dziś ten list na mojej szkatulce na kolanach, siedząc na pokładzie okrętowym i ciesząc się, że po trzydniowej ciszy zawiał nam wiatr dobry i do portu Liwurny prowadzi.

... „Podróż morską miała dosyć dobry wpływ na mój charakter. Przywykłem być z kim ciągle, nie mając osobnego pokoju, gdziebym się mógł zamykać... Przywykłem do wielu niewygód, przekonałem się, że obiad bez mięsa obejść się może i że należy czasem pościć, tak jak nieraz pościliśmy z Zenonem, żyjąc przez dzień cały ryżu garsteczką, przy niedzieli tylko jedząc kury. Zdrowie moje prawdziwie cudownie mi służyło. Spałem nieraz na wilgotnej ziemi pod namiotem na wietrze, i zdrowszy teraz jestem po tym wszystkiemu, niż przedtem. Słowem, uznaję nad sobą samym opiekę Boga i ufam, że ja nie tylko nade mną, ale i nad Tobą rozciągnie, bo inaczej co bym ja robił na ziemi? — Dziwnie teraz będzie bardzo dla mnie przejście z życia wschodniego do zwyczajów europejskich: widzieć, że znakiem uszanowania nie jest już nakrycie głowy, a zdjęcie trzewików; że obrusa nie kładą pod stołem, ale na stole; że ludzie nie jedzą palcami, że pozdrawiając kogo nie przytykają ręki do ust i do czoła ani do serca, jak w ziemiach arabskich... Wczoraj jadłem nową potrawę, był to żółw morski, któregośmy ulowili śpiącego na wodzie. Mięso jego dobre, wonnością wydawało się trochę do łososia podobne. Prowizye nasze wystarczały nam do końca, woda się nie zepsuła, kury potłuszczały; trzy barany, długo nas swoją figurą bawiące na pokładzie okrętowym, już nie exystują; a śmierć ostatniego była oplakana rzewnymi łzami przez okrętowego chłopczyka, który się był do zwierza przywiązał jak do braciszka i ze strony barana podobne przywiązanie uzyskał, tak że baś biedny, póki żył, jak pies biegał za nim. —

... „Mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie. Tyle nowych obrazów tkwi teraz w mojej pamięci. Przyszłość będzie się dziwnie w mojej głowie na takiem tle odbijać. Choćby tylko promień takich pięknych wspomnień miał upaść na starość moją, jeżeli dożyję starości... Kiedyś, usiadłszy z Tobą na cmentarzyku krzemienieckim, będę Ci opowiadał o grobach dawnych i wielkich ludzi, i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak uśmiechać, jak niegdyś słuchając marzeń moich o przyszłości“... (Z listów z dnia 14 czerwca i 19 lutego 1837).



20892

Pedagogiczna
Biblioteka Wojewódzka
w Białymstoku

20892